

A man with curly brown hair, wearing a dark green t-shirt and a necklace, holding a large, ornate dagger. The background is a dark, textured green.

TARCZA GAI

OPOWIEŚCI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE

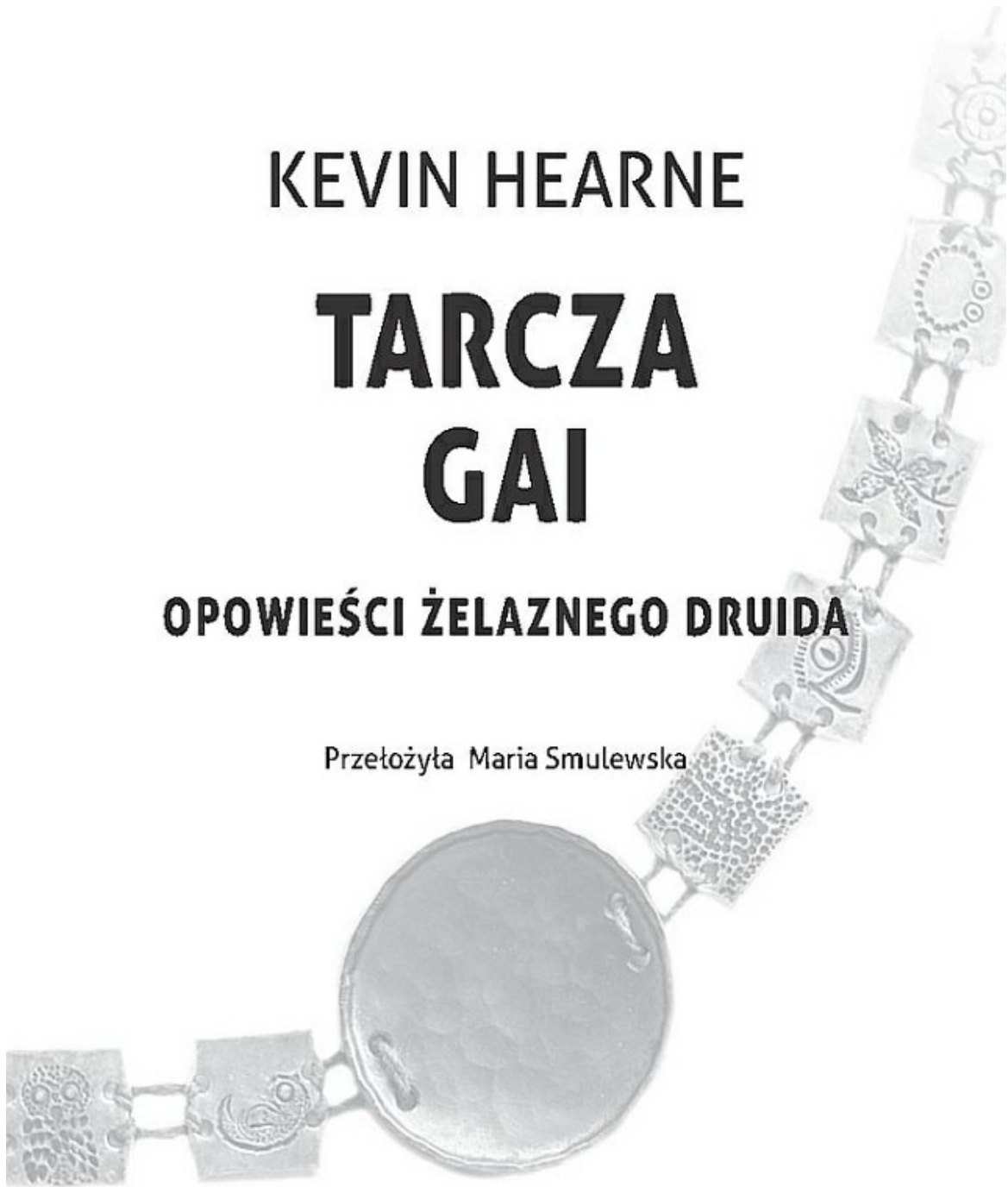


KEVIN HEARNE

TARCZA GAI

OPOWIEŚCI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



DOM WYDAWNICZY REBIS



Wstęp

Bardzo się cieszę, że opowieści druida zostały przetłumaczone na język polski.

Formuła i długość takich krótszych utworów dają mi dużo radości. Jest to dla mnie sposób na wypełnianie białych plam między powieściami i na powiedzenie czegoś więcej o moim świecie i zamieszkujących je postaciach, nawet jeśli te historie nie pasują ściśle do wyznaczonej przez serię chronologii. Wydaje mi się, że wielu pisarzom takie właśnie opowieści chodzą po głowie, ale do niedawna naprawdę nie było żadnego sensownego sposobu, by mogli na nich w ogóle cokolwiek zarobić. To e-booki doprowadziły do renesansu opowiadań w każdym niemal gatunku literatury.

Krótsze formy są zarazem bliższe opowieściom, które druidzi ze starej tradycji literatury ustnej mogli snuć przy ogniskach. Po prostu pasują do Atticusa. Dlatego mam w planie jeszcze kilka opowiadań w stylu *Niebezpiecznej kapliczki*, tak żeby Atticus mógł zdradzić Granuaile i Oberonowi więcej sekretów ze swojej zamierzchłej przeszłości. Kto jak kto, ale on przeżył już tyle, że raczej nie grozi mi brak pomysłów.

Jestem bardzo wdzięczny moim polskojęzycznym czytelnikom za entuzjazm, z jakim przyjęli Kroniki Żelaznego Druida. Moja wizyta w Warszawie i Poznaniu, gdzie wybrałem się zbierać materiał do ósmego tomu kronik, była zdecydowanie za krótka. Mam nadzieję, że będę miał okazję znów odwiedzić Polskę, szczególnie że spotkałem tam fantastycznych ludzi, a do tego w Poznaniu jest takie miejsce, gdzie mają niesamowite menu z grogiem.

Spróbowałem tylko jednego, więc muszę wrócić, żeby spróbować wszystkich. Tu, w Stanach, trudno w ogóle o grog, a co dopiero o całą grogową kartę! Choć rzadko bywam w Europie, robię co mogę, by nieść moim amerykańskim przyjaciołom odrobinę Polski. Jestem entuzjastycznym ambasadorem żubrówki oraz poezji Wisławy Szymborskiej, która zresztą bardzo dobrze brzmi w angielskim tłumaczeniu.

Niech harmonia (i kielbasa) będzie z Wami.

Kevin Hearne

1 sierpnia, Kolorado

Grymuar jagnięcy

Cztery lata przed wydarzeniami opisanymi w *Na psa urok* Atticus nadal ukrywa się przed Aenghusem Ógiem w Arizonie. Co nie oznacza jednak, że jego życie nie jest skomplikowane.

Panteon egipski fascynuje mnie od zawsze, ale nie bardzo miałem jak go wprowadzić do mojej zwykłej narracji, jeśli nie liczyć wzmianek o przygodach Atticusa z przeszłości. Nie mogłem się więc oprzeć pokusie i ze szczegółami zrelacjonowałem jedną z nich.

Klan Rathskellerów

Rathskeller to w niemieckojęzycznych krajach określenie na podziemną restaurację lub bar, najczęściej znajdujące się pod ratuszem. Pisząc tę opowieść, czerpałem z baśni niemieckich, a ważnym jej elementem jest pewien napój, uznałem więc, że będzie to odpowiednie nazwisko dla jej bohaterów.

Uwolnić Kaibaba

To pierwsze opowiadanie, które napisałem w ramach świata Żelaznego Druida. Akcja toczy się kilka tygodni przed wydarzeniami z *Na psa urok* i chciałem wykorzystać tę okazję, by ukazać prymarną funkcję druidów: ich najważniejszym zadaniem jest chronić Ziemię przed magicznymi zagrożeniami

i być zawsze gotowym jej bronić.

Próba charakteru

Mój wydawca nigdy nie prosił mnie o to opowiadanie, ale i tak je sobie napisałem i potem udało się je umieścić w elektronicznej wersji *Między młotem a piorunem*. W tej części Atticus wyrusza na wyprawę do Asgardu, a tymczasem Granuaile przeżywa przygodę, o której wspomina potem w tomie *Zbrodnia i Kojot*.

To opowiadanie było prawdziwym wyzwaniem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Musiałem stworzyć zupełnie nowy głos dla Granuaile i tym samym lepiej poznać tę postać. Od szóstego tomu serii, czyli od *Kroniki wykrakanej śmierci*, Granuaile ma już własne rozdziały, praca nad tym opowiadaniem pozwoliła mi więc wypróbować, jak druidka powinna mówić w następnych książkach.

Bogini na rozdrożu

Tę opowieść Atticus snuje przy ognisku, siedząc z Granuaile i Oberonem podczas lat jej treningu gdzieś między tomami *Zbrodnia i Kojot* a *Kijem i mieczem*. Jeśli chodzi o Szekspira, to naprawdę potrafię bez końca geekować na jego temat, toteż przygotowywanie się do tego opowiadania sprawiło mi wiele radości.

Dwa kruki i jedna wrona

Napisałem to opowiadanie, gdy skończyłem pracę nad piątym tomem kronik, *Kijem i mieczem*, ale chronologicznie rzecz dzieje się przed wydarzeniami z tego tomu i udało mi się potem opublikować to w takiej kolejności. Proces wydawniczy jest w wypadku dzieł elektronicznych tak szybki, że mogłem najpierw skończyć powieść, a potem napisać opowiadanie, ale i tak udało mi się je wydać trzy miesiące przed opublikowaniem książki.

W przeciwieństwie do *Grymuaru jagnięcego* i innych opowiadań, które mogą być czytane jako niezależne utwory, to opowiadanie stanowi integralną część kronik. Wydarzenia w nim opisane wpływają bezpośrednio na sytuacje w następnych książkach i nawet dostaję od czasu do czasu maile od czytelników, którzy nie przeczytawszy go, pytają mnie po *Kijem i mieczem*, czy coś ominęli.

Naganiacz dusz

To opowiadanie wydane zostało po raz pierwszy w Stanach w antologii *Carniepunk*. Opisuje wydarzenia, które miały miejsce zaledwie kilka tygodni po *Dwóch krukach*, a aluzja do nich pojawia się z kolei w tomie siódmym kronik, *Nóż w lodzie*.

Niebezpieczna kapliczka

Mam wielką słabość do tego opowiadania, bo przesiąknięte jest legendami o Graalu, a mam do nich podejście prawdziwego geeka. Kiedy prowadziłem

lekcje na temat *Ziemi jałowej* T.S. Eliota, żeby ją lepiej zrozumieć (a w rezultacie lepiej o niej uczyć), zacząłem czytać o legendach o Graalu. Skończyło się na tym, że zupełnie nie mogłem przestać. Istnieje tyle rozmaitych wersji tych opowieści i pełno w nich różnych, delikatnie mówiąc, „tajemnic”, które prawdę powiedziawszy, mogą się współczesnemu czytelnikowi wydawać kompletnym szaleństwem. Wiele tych przedziwnych elementów starszych wersji legend ma swoje źródło w pogańskich rytuałach. Potem zostały one przefiltrowane przez chrześcijańskie ujęcie tematu i naprawdę trudno dotrzeć teraz przez te wszystkie warstwy do oryginalnego tekstu. Ponieważ według jednej z teorii Graalem był tak naprawdę Kocioł Dagdy, jeden z Czterech Skarbów Tuatha Dé Danann, uznałem, że to świetny pretekst, by włączyć legendy o Graalu do mojej własnej mitologii.

Poza tym, że mogłem sobie pogeeekować na temat Graala, była to też okazja do ukazania ważnego momentu w życiu Atticusa. To właśnie wtedy Żelazny Druid wpada na pomysł stworzenia amuletu z zimnego żelaza i srebrnego charmsa.

Niebezpieczna kapliczka została po raz pierwszy wydana w antologii *Unfettered* i opowiada o zamierzchłej przeszłości Atticusa, ale jej rama narracyjna plasuje się chronologicznie w okresie nauki Granuaile, między tomem *Zbrodnia i Kojot a Kijem i mieczem*.

Preludium wojny

To opowiadanie, tak jak *Dwa kruki*, stanowi ważny element serii. Opisuje wydarzenia rozgrywające się między *Nożem w lodzie* a *Kołkiem na dachu*, wprowadza nową postać i opowiada o tym, jak Granuaile udało się zemścić na nordyckim bogu oszustwa.

Grymuar jagnięcy

Niektórym to się dzisiaj wydaje, że starożytny Egipt był zajefajny. Wszystko przez te urocze hieroglify oraz (może w mniejszym stopniu) przez Banglesów.

Prawda jest taka, że starożytni Egipcjanie większość ludzi traktowali jak majątek ruchomy należący do klasy rządzącej, a do tego praktykowali jedną z najczarniejszych magii, jaką ktokolwiek kiedykolwiek widział. A raczej – jakiej nie widział, bo Egipcjanie naprawdę śmiertelnie poważnie traktowali swoje tajemnice. Poza tym pisali takie różne wdzięczne książeczki, jak *Księga Umarłych* i ilustrowane wesołymi obrazkami pozycje dla najmłodszych pod tytułem *Mały skarabeuszek, co krwią srał* oraz *Anubis pożera serca nieposłuszných*. Wcale nie żartuję. Widziałem je na własne oczy, nim cesarz Aurelian zniszczył Bibliotekę Aleksandryjską.

W tej bibliotece to w ogóle niejedno widziałem. W sumie to nawet widziałem za dużo – w szczególności kilka rzeczy, których nigdy nie powinienem był zobaczyć. To dlatego właśnie unikam teraz tego państwa jak ognia. Na moją logikę – o ile tak to mogę nazywać – jeśli ja nigdy nawet nie myślę o tym kraju, jest szansa, że i stare egipskie bóstwa nie myślą o mnie. I że zapomniały już o tych kilku tomach na temat rytuałów seksualnych i nekromancji, które im zwinąłem. Toteż wszelkie połączenia z Kairu od razu budzą we mnie nieco więcej niż cień podejrzenia. Kiedy więc odebrałem telefon w moim sklepie, a głos w uchu przedstawił się jako Nkosi Elchaszab z Egiptu, przez chwilę miałem ochotę się po prostu rozłączyć, zanim facet w

ogóle powie, czego ode mnie chce.

Sytuacja wygląda w skrócie tak: dawno temu – w okresie mojego życia, który powinienem chyba nazywać „młodością”, choć miałem już wtedy dobre dwieście lat – włamałem się do ściśle tajnej części Biblioteki Aleksandryjskiej. Zrobiłem to z polecenia Ogmy, jednego z bogów Tuatha Dé Danann, wyszło więc na to, że aby zadowolić zachcianki jednego boga, wkurzyłem kilku innych, tym razem z panteonu egipskiego. Nie aż tak, żeby im się chciało na mnie polować, ale w każdym razie na pewno nie byłem mile widziany na ich terytorium. Szczególnie Bastet obraziła się na mnie na dobre, tym bardziej że nie jestem specjalnym kociarzem. Ale przede wszystkim poszło o jej książkę, a w sumie to książkę jej wyznawców, która zawiera dość dosadne opisy jej „misteriów”. Jest to przedziwna księga – sam pergamin zrobiony jest z kocięj skóry (przy czym jakością nie ustępuje najlepszym welinom), a okładka z innej, grubszej skóry tego zwierzęcia całkiem skutecznie chroni dzieło przed pomniejszymi zaciekami. Udało mi się już kilkakrotnie uniemożliwić próby jego kradzieży. Bastet nasyłała na mnie nawet zabójców. Ale w zasadzie taką zabawę w kotka i myszkę musiałem już nieraz prowadzić w sprawie większości moich egipskich skarbów. Prawie wszystkie wyposażone były w bonusową klątwę lub inne zaklęcie, przez co przysporzyły mi więcej kłopotów niż pożytku. Teraz to już nie chciałem ich oddać z czystego uporu – żeby móc powiedzieć „Nie złapiesz mnie!” tym wszystkim starożytnym magom i bogom, którym się wydawało, że wystarczy trochę postraszyć druida, a odda im natychmiast wszystkie swoje ciężko zapracowane (czy też ciężko kradzione) woluminy. Mam zwyczaj gromadzić magiczne tomiska, tak jak smoki gromadzą skarby. I jestem gotów bronić mojej własności z podobną zawziętością.

Jednakże pan Elchaszab pytał tylko o niewinną książkę kucharską.

– Czy rozmawiam może z antykwariuszem Atticusem O'Sullivanem?

– Tak, to ja.

– Słyszałem, że jest pan w posiadaniu niezwykle rzadkich książek z Egiptu

– ciągnął ze śpiewnym arabskim akcentem.

Mógłbym z łatwością przejść w tej rozmowie na arabski, ale woląłem, żeby myślał, że jestem Amerykaninem, a zatem statystycznie osobą ograniczoną do angielskiego i dwóch lat jakiegoś języka obcego w liceum.

– Dzwoni pan z Ministerstwa do spraw Starożytności? – spytałem.

W dzisiejszych czasach przyznanie się do posiadania czegokolwiek starego z Egiptu jest równoznaczne z zafundowaniem sobie wizyty facetów w ciemnych okularach.

– Nie, panie O'Sullivan. – Zachichotał zaskoczony. – Moje stosunki z ministerstwem są raczej napięte. Zresztą nie sądzę, żeby w ogóle wiedzieli o istnieniu tego akurat dzieła. I pewnie nawet nie byłiby nim zainteresowani, jako że nie ma żadnego związku z faraonami. To po prostu książka napisana po koptyjsku, gdzieś z pierwszego, najwyżej drugiego wieku naszej ery. Zawiera przepisy na jagnięcinę. Ma pan może coś takiego?

Miałem. Nadałem jej roboczy tytuł *Grymuar jagnięcy*, bo nie miała żadnego. Nie mogłem nigdy pojąć, dlaczego książka kucharska stała w Aleksandrii na półce razem z o wiele mroczniejszymi dziełami, między innymi z tamtą właśnie kolekcją ćwiczeń erotycznych Bastet, którą po cichu nazywałem sobie *Dobra kicia*. Nigdy dotąd nikt mnie nie pytał o ten grymuar. Prawdę powiedziawszy, liczba osób, które nadal mówią po koptyjsku, sięga pewnie najwyżej kilku setek. Trzymałem tę książkę tylko jako ciekawostkę językową, ale sam fakt, że zainteresował się nią ten mężczyzna, budził w mojej głowie całą serię nowych pytań.

– Być może – odpowiedziałem ostrożnie. – Musiałby pan jakoś ją dookreślić, żebym wiedział, czego szukać?

– Nigdy jej nie widziałem ani nie czytałem żadnych opisów jej wyglądu. Wiem jednak że niegdyś znajdowała się w Bibliotece Aleksandryjskiej.

– A to ona nie spłonęła? – spytałem tonem Amerykanina, co to nie ma o niczym pojęcia.

– Tak, ale książka zniknęła z niej przed pożarem.

– To musi być strasznie stara. Papirus czy pergamin?

– Bardzo nietypowy pergamin.

Trafnie to ujął. Skąd tyle o niej wie?

– Pewnie jest już bardzo zniszczona. Może nawet nieczytelna. Czy to by pana nie zniechęcało do kupna?

– Nie, w żadnym razie – zapewnił mnie.

Wyszedłem z lady z herbatami i ruszyłem w stronę regału z białymi krukami, który stał pod północną ścianą sklepu. Sprzedaż czegoś takiego mogła mi zapewnić byt na cały rok, może dwa, i mógłbym wtedy mieć gdzieś recesję. Z drugiej strony, nie bałem się, że stracę okazję. Handel starymi książkami i antykami był tylko jednym z wielu planów na powolne bogacenie się, które wypracowałem sobie w ciągu długiego życia. Innym było na przykład spokojne czekanie, aż popkultura zestarzeje się na tyle, że nabierze szlachetnej patyny czasu, a jej fizyczne wytwory tak zniszczą, że będą potrafiły szeptać o latach świetności przed narodzeniem kupujących.

W każdym razie mój zbiór białych kruków był porządnie zabezpieczony zarówno przed światem magicznym, jak i niemagicznym. Nie musiałem jednak rozplątywać splotów i wyłączać zaklęć, żeby spojrzeć na grymuar – wystarczyło, że rzuciłem nań okiem przez kuloodporną szybkę. Stał na swoim miejscu, między innymi egipskimi cudami.

– Tak, mam tę książkę. Trzyście przepisów na jagnięcinę.

– Doskonale! – Mimo że dzielił nas przecież Atlantyk, bez trudu można było wyłapać w jego głosie niesamowitą ekscytację. – Ile? Mogę natychmiast przelać panu pieniądze.

– Nie. Tę książkę może pan kupić tylko osobiście.

Cisza po drugiej stronie.

– Nie wysyła pan książek za granicę?

– Wysyłam, ale nie teksty magiczne. Takich nie powierzam poczcie.

– Magiczne? Ależ to tylko starożytna książka kucharska.

Wierzyć się nie chciało, że teraz postanowił nagle udawać Greka.

– Panie Elchaszab, gdzie pan usłyszał o tej książce? I skąd pomyśli, że to ja ją będę miał?

To prawda, że miałem właściwie monopol na magiczne księgi, ale jednak musiał się skądś o tym dowiedzieć.

– Pański sklep słynie z białych kruków – odparł, nie odpowiadając na żadne z moich pytań. – Po prostu dzwonię po wszystkich możliwych antykwariuszach.

Skończyła mi się cierpliwość. Normalni klienci nie próbują kupić starożytnych tekstów po koptyjsku, które powinny były spłonąć dawno, dawno temu.

– Żarty pan sobie ze mnie stroi? Przed chwilą sam pan powiedział, że słyszał, iż mogę ją mieć. Zatem albo wtedy pan kłamał, albo teraz. Wcale nie muszę panu sprzedawać tej książki, panie Elchaszab. Chętnie ją sobie zachowam, bo jak z pewnością obydwaj dobrze o tym wiemy, jest to jedyny istniejący egzemplarz. Jeśli chce ją pan nabyć, musi pan zrobić małą wycieczkę do Stanów i negocjować ze mną osobiście. Nie będę rozmawiał z żadnymi przedstawicielami, prawnikami, ani nawet z chowańcami.

Nie prychnął ubawiony ani nie udał, że nie ma pojęcia, co to chowaniec.

– Trochę mi to zajmie, nim dotrę na miejsce – syknął tylko urażonym tonem.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – zapewniłem go, ale na wszelki wypadek dodałem: – Raczej.

W końcu nie miałem pojęcia, kiedy konkretnie ma zamiar się pojawić.

– W takim razie do zobaczenia – odparł i się rozłączył.

Natychmiast o nim zapomniałem i zabrałem się do przyrządzania herbatki Twórcza Nuta, bo miało akurat przyjść paru klientów na cotygodniową sesyjke RPG, a mistrz gry lubił wypić coś mocniejszego, żeby przewyższać nieco swoich graczy. Podczas dungeon crawlu podawałem mu więc mieszankę podobną do ulubionej przez wszystkich studentów Chwili dla Mózgu. Zawsze gdy zbliżała się sesja, studenci z całego stanu walili drzwiami i oknami do

mojego sklepiu i kupowali tony saszetek, żeby jakoś przetrwać te ciężkie dni, wychodząc z tradycyjnego założenia, że w jeden tydzień porządnego wkuwania spokojnie nadrobią zaległości, które się nazbierały po całym semestrze siedzenia nad kuflami zamiast nad książkami. Wieść o mojej „cholerniej herbatce” – przy czym słowo „cholerna” nie wiadomo kiedy stało się pozytywnym epitetem, a zagubiło zupełnie etymologię chorobową – rozniosła się na wszystkich uniwersytetach po tym, jak pomogła jednemu studenciakowi zaliczyć egzaminy. Jego opowieść, a potem kolejne podobne sprawy, że mój sklep nie był wśród rozbalangowanej młodzieży uniwersyteckiej znany pod swoją prawdziwą nazwą Trzecie Oko, ale nosił miano Cholernego Hipisa (patrz: „Chłopie, muszę zdać, inaczej odetną mi kasę. Chodźmy na herbatkę do Cholernego Hipisa”).

Tak na marginesie – nie jestem hipisem. Ale wychodzi na to, że w dzisiejszych czasach znajomość ziół i jakiegokolwiek podejście kontrkulturowe wystarczy, by zostać tak zaszufadkowanym.

Beztrósko skupiłem się więc na codziennej pracy w sklepie i w ogóle nie zaprzątałem sobie więcej głowy Egipcjaninem, póki tydzień później nie stanął na moim progu.

Gdy go przekroczył, wiedziałem od razu, że to on, bo zabezpieczenia natychmiast ostrzegły mnie, że oto w moją przestrzeń osobistą wkroczył właśnie użytkownik magii. Nic więcej jednak nie zrobiły. Nie zainstalowałem tu nigdy niczego, co niwelowałoby magię z egipskich systemów, bo ryzyko, że tu, w Arizonie, będę się musiał z nimi użerać, wydawało mi się dotąd raczej niewielkie.

Był to mężczyzna w średnim wieku z długą, zadbaną, rozdzieloną na dwa pasma brodą, która sięgała mu poniżej mostka. Każdą część brody owinał paskami skóry, tak że na samych końcach wybuchały kłębamii włosów. Potężne złączone brwi ocieniały jego głęboko osadzone, nerwowo rozglądające się oczy. Włosy schował pod okrągłą białą czapczką z tych, co trochę przypominają fez i są bardzo popularne w północnej Afryce. Kafan i spodnie

też miał białe, tyle że kafań wyszywany był złotą nicią wokół szyi, na krawędzi rękawów i wokół guzików. Innymi słowy, wygląd miał wskazywać na pobożnego muzułmanina. Uznałem, że to jedynie przebranie, bo w przeciwnym razie nie powinien uruchomić moich alarmów nastawionych wyłącznie na użytkowników magii.

Rozejrzał się szybko po sklepie, ustalił, że jestem jedynym obecnym pracownikiem, i zrobił rozczarowaną minę. Podszedł do działu z herbatami.

– Przepraszam – zaczął z akcentem. – Szukam pana O'Sullivana.

– To ja.

Drgnięcie jego potężnej brwi świadczyło o zaskoczeniu. Wyglądam na dwadzieścia jeden lat, więc o wiele za młodo, żeby się na czymkolwiek znać, a już na pewno nie na rzadkich księgach. Szybko się jednak opanował.

– Doskonale! Nazywam się Nkosi Elchaszab. Rozmawialiśmy przez telefon o koptyjskiej księżce z przepisami na jagnięcinę.

– A, tak, pamiętam – powiedziałem. – Pewnie chce ją pan zobaczyć.

– Tak. Jeśli rzeczywiście jest to ta książka, której szukam, myślę, że uda nam się dobić targu. – Uśmiechnął się czarująco.

– Chętnie ją panu pokażę, ale po lunchu.

Zrobił zawiedzioną minę.

– Książka nie znajduje się w sklepie – skłamałem. – Trzymam ją w bezpieczniejszym miejscu. Proszę wrócić po południu, będzie na pana czekała. Tymczasem proszę sobie pozwiedzać Tempe. Na Mill Avenue znajdzie pan wiele ciekawych sklepów i można tam dobrze zjeść.

Jego wielka brew zapadła się w środku, sygnalizując niezadowolenie właściciela, ale natychmiast się podniosła, bo przecież musiał mieć świadomość, że złością nic tu nie wskóra. Skinął mi tylko krótko głową.

– W takim razie do zobaczenia.

Odpowiedziałem podobnym gestem.

– Na razie.

Patrzyłem cierpliwie, jak wychodzi, a gdy już drzwi się za nim zamknęły,

rzuciłem się do telefonu, żeby zadzwonić do jednego z moich prawników, Hala Hauka. Jako prawnik miał wtyki gdzie trzeba. A jako wilkołak miał jeszcze wtyki tam, gdzie nie trzeba. Takie wtyki i wtyczki, że normalny człowiek wolałby nawet nie wiedzieć, do jakiego gniazdka pasują. A może nawet gniazda. Os na przykład.

– Cześć, Hal. Mówi Atticus. Potrzebuję wszystkiego, co tylko dasz radę znaleźć o typku z Egiptu, który twierdzi, że się nazywa Nkosi Elchaszab... To dość pilne... Tak.

Hal zleci to prywatnemu detektywowi i zobaczą, co się da o nim znaleźć tutaj, a do tego jeszcze na pewno ma kogoś w Kairze, kto będzie mógł powęszyć też tam. Ja też miałem swoje metody docierania do prawdy i dlatego właśnie potrzebowałem trochę czasu, nim będę mógł spokojnie położyć przed tym człowiekiem mój grymuar. Na pewno nie był jedynie smakoszem na tropie kulinarnej sensacji. Współczesne przepisy na jagnięcinę są naprawdę imponujące. W głowie się nie mieści, co ci magicy z telewizji potrafią wyczarować z odrobiny galaretki miętowej i czatni z mango.

Zbliżało się już południe, gdy w końcu zamknąłem sklep i wskoczyłem na rower, żeby podjechać ten krótki kawałek do domu w Mitchell Park. Po drodze pomachałem wdowie MacDonagh. Siedziała w ogródku i trzymając w dłoni szklaneczkę Tullamore Dew, z lubością pochłaniała kolejny krwawy brytyjski kryminał. Była to naprawdę urocza staruszka z mojej ojczyzny. Czasami pomagałem jej z cięższymi pracami w ogródku, bez końca wysłuchując jej rubasnych komplementów.

– Powinieneś nosić kask i ochraniacze na kolana, kochasiu! – zawołała teraz z werandy. – Taki seksowny chłopak nie powinien paradować prawie na golasa. Nie kuś losu, he, he.

W domu powitało mnie szczekanie za drzwiami. To mój wilczarz irlandzki oświadczał wszem i wobec, że strzeże swojego terenu – to jest: nim się zorientował, że to ja. Przez specjalny splot, który stworzyłem między nami kilka lat temu, usłyszałem w głowie jego myśli:

<Atticusie, to ty?>.

No. Wpadłem tylko wrzucić coś na ząb i jeszcze po jeden drobiazg. Myślisz, że zdzierzysz sałatkę z tuńczyka na lunch?

Otworzyłem drzwi i już tam był, merdając ogonem jak szalony. Podrapałem go czule za uszami i pod brodą.

<Może jeśli odejmiesz od tego sałatkę! Dzięki temu mój oddech będzie dla kotów niczym ambrozja. Albo może raczej niczym kocimiętka>.

Przykro mi, Oberonie, ale raczej nie naćpają się twoim tuńczykowym oddechem.

<W sumie pewnie to by było trochę takie oszustwo ze strony psów, gdyby się tak dało, nie? Cóż, trudno. A możemy tego tuńczyka zagryźć plasterkiem indyka albo coś?>.

Jasne.

Otworzyłem trzy puszkę z tuńczykiem – dwie dla Oberona i jedną dla siebie – i przyrządziłem szybką sałatkę z selera naciowego, szczypiorku, pokrojonych winogron i majonezu. Zapakowałem tę mieszankę między kromki świeżego chleba z paroma liśćmi sałaty rzymskiej i uznałem, że musi mi to starczyć za cały posiłek. Swoją kanapkę zabrałem do garażu, gdzie stała spora żeliwna skrzynia zamknięta na kilka sposobów. Tylko jeden z nich był tradycyjny. Była to zwykła kłódka. Dobre dziesięć minut zeszło mi na rozplataniu kolejnych zakłęb, a gdy już je zdjąłem, uniosłem wieko i wyciągnąłem pochwę z wyjątkowym mieczem w środku.

Był to Fragarach – zdecydowanie nie mylić z Fraglesami – prastary miecz faeryczny, który trafił w moje ręce równie uczciwym sposobem jak *Grymuar jagnięcy*. A jako że kilku irlandzkich bogów koniecznie chciało go odzyskać, wymyśliłem sobie, że najlepiej będzie kryć go w żelazie, żeby nie dało się go wywróżyć, a poza tym w ogóle lepiej za dużo się nim nie bawić. Tym razem jednak warto było zaryzykować, że wyjdzie na jaw moja kryjówka. Fragarach znaczy po irlandzku Odpowiadacz, a miecz nosi to imię ze względu na zakłęb, które zmusza każdego namierzonego nim padalca do odpowiadania

na pytania zgodnie z prawdą. Teraz pomoże mi wyjaśnić tajemnicę, która męczy mnie od stuleci.

Gdy pan Elchaszab wrócił do sklepu, grymuar już czekał na niego na ladzie. Oczy mu zabłyśły zachłannie, gdy rzucił się łapczywie przeglądać książkę, „żeby ocenić jej stan”, a ja tymczasem wyciągnąłem spod lady Fragaracha i wypowiedziałem słowa usidlającego zaklęcia.

– *Freagroidh tu.*

Egipski czarnoksiężnik zamarł w niebieskiej poświacie, która nie pozwoli mu się stąd ruszyć ani mówić nieprawdy, gdy zadam mu pytania.

– Jak cię zwa? – zacząłem.

– Nkosi Elchaszab.

Czyli tu mnie akurat nie okłamał.

– Czego szukasz?

– Zaginionej książki Amona.

Zaraz spytam o więcej konkretów, ale po prostu nie mogłem się oprzeć, żeby nie pociągnąć dalej tego montypythonowskiego dialogu:

– Jaki... jest twój ulubiony kolor?

– Czerwony.

– Dlaczego chcesz odnaleźć tę zaginioną książkę?

– Trzynastcie przepisów sprawi, że Egipt znów będzie rządził światem.

Aha, czyli jednak nie jest to całkiem zwykła książka kucharska.

– Powiedziałeś mi przedtem, że to przepisy na jagnięcinę. To co to jest tak naprawdę?

– To przepisy na odmienienie losu. Sześć różnych sposobów na odwrócenie swojego przeznaczenia. I siedem na zmienienie losu wrogów.

– I niech zgadnę. Trzynasty przepis gwarantuje śmierć wroga.

– Zgadłeś.

Hm. W każdym razie wiem już, dlaczego ta książka znajdowała się w ściśle tajnej części biblioteki.

– A po co potrzebna jest w tych przepisach jagnięcina?

– Nie jest potrzebna w żadnym.

Tu mnie zażył.

– Ale przecież w każdym kolejnym przepisie wymieniona jest jako składnik. – Przecież umiem czytać po koptyjsku, na litość boską.

– Nie. Chodzi tylko o to, że nim zacznie się wykonywać dany przepis, trzeba złożyć ofiarę z jagnięcia. To dla Amona.

Bogowie niejedyni! Krwawa ofiara mająca umożliwić ci zabicie wroga, wzbogacenie się czy cokolwiek innego zdecydowanie klasyfikowała grymuar jako książkę z ciemnej strony mocy. A ten typek już się nie mógł doczekać, kiedy ją dorwie w swoje łapska.

– Skąd się dowiedziałeś o tej książce? – spytałem.

– Pracowałem dla Ministerstwa do spraw Starożytności. Na wykopalisku w Aleksandrii odkryliśmy kilka lat temu pewne zapiski, w których wzmiankowano o grymuarze. Jasno z nich wynikało, że książka zniknęła z biblioteki jeszcze przed Aurelianem. A jej istnienie potwierdzała wzmianka w innym dziele, które niedawno odkryłem.

– Skąd się dowiedziałeś, że trzeba poświęcić jagnię i tak dalej?

– Z opisów znajdujących się w tekstach najpotężniejszego egipskiego czarnoksiężnika. Nazywał się Nebwenenef i to on napisał ten grymuar.

Oczy mi trochę wyszły na wierzch. Przełknąłem z trudem. Jest coś, czego każdy druid uczy się od swojego archdruida – to historia powstania druidów. I w niej właśnie pojawia się Nebwenenef. To czarnoksiężnik, który pięć tysięcy lat temu zabił żywiołaka Sahary. Tylko że grymuar był z pierwszego, albo może nawet drugiego wieku. Jak by go miał niby napisać, skoro nie żył już wtedy prawie od trzech tysięcy lat?

– Gdzie znalazłeś te teksty?

– Pod moim domem.

– Były tam zakopane?

– Tak.

– Kto jeszcze je widział?

– Nikt.

I bogom dzięki.

– Wiesz, kim jestem? – spytałem, a było to dość ważne pytanie i bynajmniej nie pobrzmiewała w nim pogróżka. Jeśli ten facet wie o mnie za dużo, będę się musiał natychmiast stąd zmywać.

– Jesteś Atticus O'Sullivan, antykwariusz specjalizujący się w białych krukach.

– Czy to wszystko, co o mnie wiesz?

– Wygląda na to, że znasz się trochę na magii. Ale nie bardzo wiem, jak dobrym jesteś magikiem ani jakiego rodzaju.

Może nie wszystko jeszcze stracone.

– Jak się dowiedziałeś, że mogę mieć tę księgę?

– Od diabelca, którego wezwałem z Czwartego Kręgu Piekielnego.

To przeważało szalę. Choć oznaczało też, że pewnie raczej jestem tu bezpieczny. Diabelec z pewnością trafił już z powrotem do piekła i nikomu nie miał czasu powiedzieć, gdzie się ukrywam i kim jestem, bo inaczej ten typek by tu teraz w ogóle przede mną nie stał.

– Bawisz się więc we wszelkiego rodzaju czarną magię, nie tylko egipską?

– Tak.

– A ten diabelec to co konkretnie ci o mnie powiedział?

– Powiedział, że jesteś w posiadaniu zaginionej księgi Amona i że myślisz, iż to książka kucharska. Powiedział też, że twoja magia jest chyba ziemskiego pochodzenia.

Jeśli sprytny diabelec. Zgrabnie przemilczał, że jestem druidem.

– Co jeszcze powiedział?

– Że masz świetne zabezpieczenia, ale rzadko rzucasz zaklęcia ofensywne. Prawie nigdy.

To też była prawda. Kiedy już musiałem przejść do ofensywy, to zwykle zdawałem się na Fragaracha.

– Pytanie hipotetyczne. Gdybyśmy znajdowali się dawno, dawno temu w odległej galaktyce, czy próbowałbyś zostać Lordem Sithów?

– Nie wiem, co to takiego.

– Lordowie Sithów potrafią strzelać światłem z dłoni i zanosić się histerycznym chichotem, gdy ich wrogowie zmieniają się na ich oczach w kupkę popiołu.

Egipcjanin się rozpromienił.

– Brzmi nieźle. Tak, chętnie.

Więcej już nie musiałem o nic pytać. Grzecznym, acz stanowczym ruchem wyrwałem mu grymuar i położyłem na nim dłoń. Potem dopiero zdjąłem z faceta zakłęcie Fragaracha i zniżyłem miecz.

– Przykro mi, ale ta książka nie jest na sprzedaż.

Zamrugnął rozpaczliwie.

– Nie jest na sprzedaż? Ale przecież powiedział pan, że mam przyjechać negocjować.

– Negocjacje nie stanowią gwarancji zakupu.

Chciałem na wszelki wypadek przysunąć sobie ten grymuar jeszcze bliżej siebie i wtedy właśnie wszystko szlag trafił.

Bez żadnego ostrzeżenia (nawet mu powieka nie drgnęła!) Elchaszab wyprostował lewą rękę i rąbnął mnie nią prosto w twarz. Nie na tyle mocno, żeby mi złamać nos albo coś, ale i tak wystarczająco, by pchnąć mnie do tyłu. Odruchowo puściłem grymuar. I o to mu chodziło. Chwycił książkę i popędził do drzwi, uznawszy widać, że skoro nie może jej kupić, to ją zwyczajnie ukradnie.

Ewidentnie pojęcia nie miał o mojej magii. Nim zdołał wybiec na ulicę, zdążyłem wykonać odpowiedni splot między skórą okładki a wełnianym dywanikiem, który pełnił funkcję wycieraczki. Ponieważ były to materiały naturalne, gdy tylko uruchomię splot, książka wyleci z jego rąk i będę miał kupę śmiechu.

Ale tak się nie stało.

Uruchomiłem spłot i książka usiłowała się wyrwać, ale facet trzymał ją mocno jedną ręką, a drugą machnął tak, jakby strzepywał z dłoni wodę, i mój spłot się zerwał! Byłem tak zdumiony, że nim zdołałem zebrać myśli, już zdążył wybiec na ulicę. Teraz zasłaniał mi książkę własną piersią, więc straciłem ją z oczu. Widząc, że pakuje się do wynajętego samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, uznałem, że da się jeszcze uratować sytuację innym spłotem. Choć czyste syntetyki są dla mnie poza zasięgiem, naturę można czasem znaleźć w najbardziej wyrafinowanych produktach naszej cywilizacji. Spłotłem gumę jego opon z asfaltem znajdującym się w asfaltobetonie na ulicy i jednocześnie popędziłem za złodziejem. Ash Avenue znajduje się na południe od University Drive i jest uliczką zaciszną, ryzyko, że mnie coś akurat przejedzie, było więc małe. Egipcjanin odpalił samochód i włączył bieg. Auto ani drgnęło, więc otworzył okno i spojrzał na przednią oponę. Włączyłem magiczne widzenie – spłot, który pozwala mi widzieć, co się dzieje w magicznym spektrum – bo byłem ciekaw, co robi. Chciałem wiedzieć, w jaki sposób niszczy moje zaklęcia.

Jego aura była dość dziwna. Tuż przy skórze obrysowana bielą, jak to zwykle u użytkowników magii, ale pod tym dziwnie błotnista, jakby jakiś dzieciak postanowił wymieszać wszystkie szkolne farbki, żeby zobaczyć, jaka magiczna mikstura z tego wyjdzie. Tu i ówdzie przebijały kolorowe przebłyski, ale w większości był to brąz w odcieniu małego łajna.

Elchaszab znów strzepnął palcami, tym razem kierując je na oponę, i zobaczyłem coś jakby strumień wody zalewający mój spłot. Była to przedziwna, chaotyczna magia. Moje spłoty mają bardzo ścisłą strukturę, która wyglądem nie bez powodu przypomina celtyckie plecionki. Magia z innych systemów, jak choćby wicca czy wudu, też ma swoje uporządkowane struktury. Tymczasem magia tego gościa wyglądała jak wyjątkowo wybuchowy wytrysk.

Wcisnął gaz, ale tylna opona wciąż trzymała mocno. Spłoty na przedniej już się rozpuściły czy stopiły, czy co tam. Machnął palcami do tyłu, znów przedziwny strumień zalał moje spłoty i już było po nich. Przycisnął pedał

gazu i zniknął mi z oczu z piskiem odczarowanych opon i moim *Grymuarem jagnięcym*. Pozwoliłem mu na to, bo walczyłem już nie tylko z samym człowiekiem, ale głównie z własną ignorancją. Jego magia była trochę przerażająca. Tatuże, które splatały mnie z ziemią i pozwalały mi czerpać jej moc, zbudowane były podobnie jak sploty, które właśnie zmył z opon. Czy potrafiłby cisnąć we mnie jakąś magiczną gąbką i odpleść mnie od ziemi? Musiałem się tego dowiedzieć, ale wolałbym, żeby nie było to drogą prób i błędów. Błąd w tym wypadku mógłby mnie kosztować życie. Postanowiłem więc najpierw dowiedzieć się, co udało się wyszperać Halowi, a potem przenieść się do Egiptu, nim Elchaszab zdoła tam dolecieć. Gdy dotrze do domu, żeby poświęcić jagnię i rozpętać jakiś diabelski chaos, już tam będę na niego czekał. Muszę wziąć poprawkę na to, że na pewno będzie miał przy tym niezłą paranoję. Na jego miejscu w życiu bym się nie łudził, że taki gość jak ja pozwoli mu tak po prostu odjechać w siną dal. I miałbym rację.

Zadzwoiłem z komórki do Hala.

- Znalazłeś już coś o tym facecie z Egiptu?
- Nie dałeś mi nawet dwóch godzin – warknął.
- Właśnie mi rąbnął jedną ze starych ksiąg. Taką naprawdę paskudną.
- Tylko powiedz, że nie jedną z tych, które wyjaśniają, jak wywołać coś, co może połknąć całe Utah na śniadanie.
- Nie. Jedną z tych, które wyjaśniają, jak zabić, kogo ci się żywnie podoba. Idealna dla kogoś, kto planuje zamach stanu na przykład.
- Cholera. I rąbnął ci ją sprzed nosa?
- To wybitny użytkownik magii. Potrafi jakoś rozpuszczać moje sploty. Muszę biec za nim do Egiptu i potrzebuję pomocy, żeby go namierzyć.
- Chcesz kontakt do tamtejszej watahy?
- W Kairze jest wataha?
- Oczywiście. Alfą jest facet o imieniu Jusuf.
- To by było super. Przydałyby mi się ich zdolności tropienia. Wiesz, że jestem gotów zapłacić każdą stawkę. I proszę cię, wyślij mi mejlem, cokolwiek

znajdziesz. Poczte sprawdzę już w Egipcie.

– Co zrobisz, jak go złapiesz?

– Okradając mnie, przekreślił swoją szansę na litość. Zresztą powiedział mi, co zamierza zrobić z tą książką. – A do tego, kto ją napisał. Dzięki czemu wiedziałem już, że trzeba było dawno temu spalić ten grymuar. – Toteż chyba zastosuję tu prawo druidzkie.

– Zamierzasz go zabić, co?

– Stara szkoła.

Pięć tysięcy lat temu Sahara była porośnięta o wiele bujniejszą roślinnością niż dziś. Już wtedy była to pustynia, ale bardziej przypominała Sonorę – mnóstwo roślin i zwierząt, a nie kilometr za kilometrem wydm i tylko pojedyncze marne kępki trawy. Wcale nie była taka zła. A potem pojawił się czarnoksiężnik Nebwenenef, który zniewolił żywiołaka Sahary i usiłował przejąć jego moc. Zginął, bo jej w sobie nie pomieścił, ale żywiołak także tego nie przeżył, a jego magia zalała dolinę Nilu, gdzie mógł się dorwać do niej byle czarodziej czy bóg. Pustynia stała się überpustynią, a Gaja postanowiła, że coś takiego nie powinno się już nigdy powtórzyć. Dlatego właśnie stworzyła druidów.

Podstawowym obowiązkiem druidów jest chronienie żywiołaków przed wszelkimi magicznymi atakami. Zwykle ataki – takie jak zatrucie środowiska – nic nas w sumie nie obchodzą, choć ludziom często się wydaje, że to właśnie takimi rzeczami powinni się zajmować druidzi. Co nie znaczy, że się nimi nie martwię. Jasne, że tak, ale te ataki odbywają się na taką skalę, że niewiele mogę zrobić, a przede wszystkim tego typu zagrożenia nie istniały, gdy stworzono druidów.

Natomiast takim pajacom jak Elchaszab, którzy pragną przejąć władzę nad innymi, od czasu do czasu strzela do głowy, żeby zagarnąć dla siebie moc ziemi i wtedy właśnie całkiem sporo mogę zrobić. To, że Elchaszab potrafił zwalczać moje sploty, oznaczało, że ma jakiegoś asa w rękawie – asa zagrażającego magii ziemi. A to z kolei oznaczało, że moim obowiązkiem jest

go zniszczyć. A poza tym, prawdę powiedziawszy, każdy, kto miał ochotę naśladować Nebwenenefa, z zasady budził moją podejrzliwość. No i facet dał mi w pysk.

Teraz już go nie zlekceważę i jakoś się z nim uporam. To może mi zająć tylko chwilę, ale może też dłużej. Na wszelki wypadek przed opuszczeniem miasta musiałem pozakłatwić kilka spraw.

Najpierw aktualna dziewczyna. Jako że nie mogłem przecież powiedzieć jej, że chodzi z facetem, który jest trzydzieści razy starszy niż jej dziadek i czasem musi walczyć z różnymi wrednymi czarnoksiężnikami, musiał wystarczyć esemes, że wyjeżdżam na tydzień z powodu kłopotów w rodzinie. Wymieniliśmy kilka esemesów, ona mi odpowiednio powspółczuła, spytała, czy może pomóc, życzyła, żeby wszystko się jak najlepiej ułożyło, i tyle.

Gorzej mi poszło z Oberonem.

<Ale ja chcę iść z tobą! Moim obowiązkiem jest chronić cię i zachęcająco merdać ogonem, kiedy dopada cię zwątpienie we własne siły!> upierał się.

Tam będzie niezwykle niebezpiecznie, Oberonie.

<Tym bardziej muszę być przy tobie! Zauważ, że moje zęby są zdecydowanie ostrzejsze niż twoje. A jak coś powalę na ziemię, to raczej już nie wstaje>.

Słuchaj, Oberonie, jak myślisz, z iloma kotami naraz dałbyś sobie radę?

<I jak to się ma do ceny wołowiny w Boise?>.

Pytam poważnie. Chodzi o to, że jest taka jedna bogini kotów imieniem Bastet. Baba mnie nie lubi i zabroniła mi wracać do Egiptu.

<No i co z tego? Przecież bywasz czasem w Egipcie, nie?>.

Tak, ale tylko na pustyniach, gdzie nie ma kotów. A tym razem będę w Kairze, gdzie jest ich mnóstwo.

<A nie mógłbyś czegoś zrobić, żeby zaczęły ładnie mruścić?>.

Raczej nie. – Nagle zaświeciła mi się żaróweczka pod sufitem. – W sumie, jak już o tym wspomniałeś, to może...

<Zatem sprawa załatwiona! Zrób więc to coś, a ja idę z tobą>.

Może rzeczywiście przydałby mi się ktoś do obstawiania tyłów.

<Jestem w tym świetny!>.

Najprościej było załatwić sprawę sklepu. Nie zatrudniałem nikogo, więc nikt nie mógł zająć się sprzedażą pod moją nieobecność, toteż zamknąłem go zwyczajnie na cztery spusty i wywiesiłem tabliczkę obiecującą, że wrócę za kilka dni. Nim to jednak zrobiłem, wyciągnąłem z zabezpieczonej półki na białe kruki *Dobrą kicię*. Być może, jak się tam nie pojawię z pustymi rękami, to łatwiej mi pójdzie poszukiwanie Elchaszaba.

Według mojego prawa jazdy właśnie skończyłem dwadzieścia siedem lat, więc już od dwóch lat amerykańskie firmy wynajmujące samochody uważały mnie za wystarczająco odpowiedzialnego, by dać mi do rąk kluczyki. Tego rodzaju ograniczenia wiekowe zawsze mnie strasznie śmieszą. Wybrałem sobie pierwszy lepszy samochód osobowy i wcisnąłem Oberona na tylne siedzenie – razem ze skórzanym gryzakiem, żeby się nie nudził. Wjechałem na drogę 87, na którą ludzie tu mówią Beeline, i ruszyłem na północ, do Payson, a tam pojechaliśmy drogą 260 na wschód, w stronę Christopher Creek, aż do zalesionego Mogollon Rim, gdzie będę mógł zaparkować samochód na polu namiotowym i przenieść się do Egiptu poprzez nic prowadzącą do Tír na nÓg, którą stworzyłem tu dawno temu. Gdy tylko zatrzymałem samochód, Oberon wyskoczył i zaczął oszczekiwać okoliczne sosny.

<Macie dziś szczęście, wiewióry! Dobrze wiem, że tam jesteście! Gdyby nie to, że mam pilną sprawę do załatwienia na drugim końcu świata, już byście nie dożyły zachodu słońca!>.

One cię nie rozumieją, Oberonie.

<No, no, już one wiedzą, co ja do nich szczekam>.

Dobra, rzeczywiście mają szczęście, a teraz chodźmy.

Na plecach miałem pochwę z Fragarachem, a w skórzanej torbie prehistorycznego pomola Bastet. Przedtem na wszelki wypadek owinałem tę książkę trzy razy w płótno wodoodporne. Do torby wrzuciłem też dwa

sztylety, bo czułem, że może nastąpić konieczność szybkiej i bliskiej walki. Jedną rękę położyłem na Oberonie, a drugą na splecionym drzewie, po czym przeciągnąłem nas po nici na podobne drzewo w Tír na nÓg, z dala od Dworu Faerii i tych wszystkich, którzy chcieli mnie dorwać. Nie zamierzałem tam zbyt długo przebywać, żeby nie zwiększać ryzyka, że ktoś mnie zauważy, od razu więc zacząłem szukać odpowiedniego drzewa, żeby przenieść się do Egiptu. Stworzyłem te nici dawno temu właśnie na wypadek, gdybym musiał się tam wybrać w podobnej sprawie, ale choć próbowałem o nie dbać i nawet czasami pomagali mi w tym faeryczni strażnicy delegowani do podobnych zadań przez Brighid, Pierwszą wśród Faerii, to jednak wiele nici przepadło. Pewnie zniszczyło je rozrastające się miasto. Najbliższa znajdowała się na plantacji daktyli na północ od Kairu. Obstawiłem kiedyś, że drzewa na plantacji powinny być przez jakiś czas bezpieczne, i okazało się, że miałem rację.

W Kairze było dziewięć godzin później niż w Phoenix, wylądowaliśmy więc tam o trzeciej nad ranem. Właśnie był czas zbiorów, ale robotnicy pojawiają się wśród palm daktylowych dopiero za kilka godzin i nikt nas nie powinien zauważyć. Na wszelki wypadek rzuciłem jeszcze na nas obydwu zaklęcie noktowizji i wymknęliśmy się z gaju.

<Fajnie jest się tak wymykać. Normalnie jakbyśmy byli widmami! Albo cieniami!>.

I wyglądasz przy tym wspaniale.

<Przystojne z nas duchy, co?>.

No! I pomyśl, jaka to by była dobra nazwa na zespół. Przystojne Duchy.

<I nawet mamy właśnie światowe tournée! Gdzie my w ogóle jesteśmy?>.

Na północ od Kairu. Najpierw musimy znaleźć kafejkę internetową, żebym mógł sprawdzić, co tam znalazł Hal na tego faceta. Ale rozglądaj się, czy nie ma tu jakichś kotów. Tylko nie szczekaj.

<A warczeć mogę?>.

Nie. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Po prostu ostrzeż mnie, jeśli

wyczujesz, że są blisko.

Udało nam się złapać na stopa jakąś ciężarówkę, która nas podwiozła do miasta, ale ta wczesna pora była okropnie frustrująca. Póki ludzie się nie obudzą, a kafejki nie otworzą, niewiele będę mógł zdziałać. Mieliśmy przynajmniej kilka godzin przewagi nad Elchaszabem, który pewnie nadal czekał na odprawę w Stanach. A nawet jeśli już był w samolocie, na pewno minie jeszcze sporo czasu, nim wyląduje i upora się z tutejszymi celnikami.

Nie powiedzieliśmy kierowcy, gdzie byśmy chcieli właściwie konkretnie dotrzeć, i z perspektywy czasu widzę, że był to poważny błąd. Zatrzymał się przy bazarze, bo jak wyjaśnił, musiał odebrać chleb z piekarni, żeby zawieźć go potem na północ. Podziękowaliśmy mu za podrzucenie do miasta i wtedy właśnie resztę dnia zepsuło nam potężne miau.

<Koty na horyzoncie!>.

Dzięki, słyszę, słyszę.

Słyszałem i widziałem. Z mrocznego zaułka patrzył na nas szary kocur o białych łapkach.

Nim kierowca zniknął nam w piekarni, udało mi się go jeszcze spytać, którądy do Nilu. Machnął na wschód i powiedział:

– Kilka kilometrów w tę stronę.

Chodźmy, Oberonie. Trzymaj się blisko mnie. Nie atakuj, ani nawet nie patrz groźnie na tego kota.

Pobiegłem na południe, w stronę głównej ulicy prowadzącej z zachodu na wschód. Oberon bez trudu dotrzymywał mi kroku.

<Pozwól, że się upewnię. Czy my uciekamy przed kotem? Serio?>.

Przed tym i przed każdym innym w tym mieście. Serio.

<A jeśli zaatakują?>.

Wtedy możesz zabić tyle, ile dasz radę.

<Serio?>.

Serio. Ale jak już raz zaatakują, to nie przestaną. Chcę odwlec tę chwilę, ile się tylko da. W Kairze są tysiące kotów, a nas jest tylko dwóch.

<Aha. A przypomnij mi, ile to tysięcy?>.

Oberon naprawdę świetnie podłapywał wszelkie nowe słowa i jego język był coraz bogatszy, ale kompletnie nie radził sobie z pojęciami czasu, a każda liczba większa niż dwadzieścia oznaczała dla niego „dużo”.

To więcej kotów, niż kiedykolwiek widziałeś w jednym miejscu naraz.

<Pamiętasz, jak raz mi pokazałeś ten sklep zoologiczny? Tam było całe mnóstwo kotów>.

Dobra. To teraz wyobraź sobie, ile by mogło być kotów w dwudziestu takich sklepach.

<Coś ty! To by był jakiś koci koszmar>.

No to teraz wyobraź sobie taki koci koszmar dwa razy wzięty, albo i trzy razy. To tak wyjdzie koło tysiąca.

<Nie gadaj! To nie fair!>.

Otóż to. Dlatego właśnie nie mam ochoty na tę walkę. Nie będzie fair.

Skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy na wschód, w stronę Nilu. Przez jakieś pierwsze pół kilometra było dobrze – w każdym razie jeśli chodzi o koty. Bo tak poza tym to w szarym świetle leniwie nadciągającego świtu już było widać, że powietrze na przykład to tu nie jest najlepsze. Smog był okropny, a do tego chmura piaskowego kurzu z pustyni i nieznośny smród gnijących odpadków. Jako że muezzin nie wzywał jeszcze do porannych modlitw, ulice były prawie puste i bogom dzięki, bo naprawdę trudno było się połapać, według jakich reguł właściwie jeżdżą tutejsi, nieliczni o tej porze, kierowcy. Już się nawet łudziłem, że może uda nam się przemknąć niezauważenie, gdy Oberon wszystko zapeszył, stwierdzając, że jego zdaniem to naprawdę uciekamy zupełnie bez sensu, bo nic nas nie goni.

<Może ty jednak trochę przesadzasz, Atticusie. Przecież to tylko jedno małe miauu, od jednego małego kotka. Jeśli te terierki z parku się o tym kiedykolwiek dowiedzą, nigdy mi już nie dadzą spokoju. Pojęcia nie masz, jak one się potrafią z człowieka naigrawać! I wierz mi, pozwalają sobie na prawdziwą bezczelność, bo wiedzą, że ich ludzie będą je bronić choćby nie

wiem co>.

Ale nim zdołałem cokolwiek na to powiedzieć, za naszymi plecami rozległo się przerażające parsknięcie i z zaułka za nami wyskoczył czarny kot.

Zwolniłem na chwilę, tylko żeby zrzucić sandały, a potem znów przyspieszyłem, lekko już sapiąc. W niedźwiedzim charmsie miałem dość ograniczone zapasy, a przecież nie było żadnej gwarancji, że będę biegł przez takie miejsca, gdzie uda się podładować energię. Ta dzielnica Kairu była starannie wybrukowana, byłem więc odcięty od ziemi. Pozostawało liczyć na to, że lepiej będzie nad samym Nilem, ale wołałem być gotów, na wypadek gdyby jednak po drodze nadarzyła się jakaś okazja i dało się oszczędzać magię w charmsie.

<Dobra. Teraz to się czuję dziwnie. Bo przedtem to jeszcze można było udawać, że lubię sobie po prostu pobiegać bladym świtem z moim człowiekiem, ale teraz to już nie ma wątpliwości, że uciekam przed dachowcem. W miejscu publicznym. Myślisz, że istnieje ryzyko, że ktoś to kręci na kamerze z wojskowej satelity? Wiesz, takiej, co wszystko jest na niej na zielono, bo się nagrywa po ciemku? Jakie jest ryzyko, że to podrzucą na YouTube'a i skompromituję się na całym świecie?>.

Tu się toczy gra o dużo wyższą stawkę niż twoja pieska reputacja, Oberonie. To dopiero początek. Zauważyłeś, że kot utrzymuje równy dystans? Nie próbuje nas wcale dogonić.

Oberon obejrzał się za siebie, przez co został za mną w tyle, ale zaraz to nadrobił.

<Dobra, przyznaję. To się robi coraz dziwniejsze. Biegasz dość szybko jak na człowieka, ale jednak dla kota dogonić ciebie to powinna być betka. Na co on czeka?>.

Na kumpli.

Biegliśmy teraz już przez dzielnicę eleganckich domów, a ze wszystkich okien i zaułków wylaniały się koty. Smugi bieli, szarości i rudości, które rejestrowałem kątem oka, nie pozostawiały wątpliwości interpretacyjnych.

Koty z całej ulicy, a pewnie i z całej okolicy dołączały się do polowania. Te, które pojawiły się przed nami, nie odcięły nam jednak drogi, tylko czekały ładnie, aż przebiegniemy, a potem dołączały do stada, które ciągnęło się jakieś sześć metrów za nami. Bastet zachowywała się więc tak, jak się tego obawiałem. Zamierza nas rozgromić, nasyłając na nas niezliczoną liczbę swoich ludzi i poświęcając ich bez litości, byle mnie tylko wykończyć. Nasza procesja zaczęła już wywoływać zamieszanie na skrzyżowaniach, to jest na tych, na których w ogóle ktokolwiek był. My z Oberonem bynajmniej nie zatrzymywaliśmy się na przejściach dla pieszych i pędzące za nami koty też miały w ogonie przepisy drogowe. Jeśli widziałem, że na jakiejś ulicy jest za duży ruch, żeby można było przebiec, po prostu skręcałem na południe i biegłem, póki nie dało się znów skorygować kierunku, by podążać jak najszybciej na wschód, w stronę rzeki.

Jeden z takich zygzakowatych manewrów skończył się tym, że kilka z siedzących nam na ogonie kotów wpadło pod koła samochodów. Narobiło się przez to mnóstwo wrzasków, trąbienia, krwi i futra, ale myszołapów to nie zniechęciło. Te, które przeżyły, sunęły dalej za nami w coraz większej chmarze, pchały się między samochody, a do ich stada dołączały wciąż nowe.

<W każdym razie jest ich teraz na tyle dużo, że przynajmniej to uciekanie ma jakiś sens, więc jest dobrze>.

Jest dobrze? Przecież one wszystkie chcą nas zabić!

<Staram się zauważać pozytywy>.

Poczułem w płucach mokre, brudne powietrze i uśmiechnąłem się z ulgą. Skoro jest wilgoć, musimy się w końcu zbliżyć do Nilu, choć jak dla mnie to nadal byliśmy zbyt daleko. Ucieczka przed taką ilością kotów nie należy do przyjemności. Ich łapki nie wydają żadnych dźwięków, ale wie się przecież, że pogoń trwa, bo niektóre mają te dzwoneczki na szyjach, które brzmią dość przerażająco, gdy jest ich parę za twoimi plecami.

Prychnąłem ubawiony i krzyknąłem:

– „Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie”¹.

<Hej, to Metallica, nie?>.

Blisko. John Donne. Jesteśmy coraz bliżej, Oberonie. Już śmierdzi rzeką. Dajesz radę? Masz siłę na sprint?

<Myślałem, że to jest sprint>.

Zamierzam włączyć magię, żeby trochę przyspieszyć. Może wtedy uda nam się zgubić te kociaki. Tobie też mogę dać trochę energii, chcesz?

<Może daj trochę i zobaczymy. Jeśli będzie za łatwo, to ci powiem, będziesz sobie mógł zachować tę energię na potem, bo nie pędzę jeszcze pełną parą>.

W biegu wyciągnąłem z torby sztylety i trzymałem teraz po jednym w każdej dłoni. Wypowiedziałem zaklęcie umożliwiające mi wykorzystywanie magii ziemi z charmsa, tak jakby była to moja własna energia, dzięki czemu będę mógł biec szybciej i się nie męczyć – póki mi starczy paliwa. Miałem nadzieję, że wystarczy go chociaż do rzeki. Podobny splot stworzyłem dla Oberona.

Reakcją na nasze nagłe przyspieszenie było pełne zdumienia miauknięcie stada za nami. Najpierw koty straciły trochę czasu, usiłując nas dogonić, a gdy się zorientowały, że to raczej niemożliwe, zmieniły taktykę. Sierściuchy, które pojawiały się po bokach i przed nami – te, które biegły tu od strony rzeki – nie chciały już nas przepuścić. A raczej: nie chciały mnie przepuścić, bo Oberon był im najwyraźniej obojętny. Co go oczywiście nie powstrzymało przed kłapaniem szczęką na każdego futrzaka, który mu się na swoje nieszczęście nawinął.

Jeśli o mnie chodzi, to musiałem tylko starać się pozbywać ich z twarzy i szyi. Bo tak naprawdę pojedynczy kot niewiele może człowiekowi zrobić i one o tym dobrze wiedziały. Sztylety torowały mi więc drogę między skaczącymi na mnie dachowcami, a poranne powietrze przeszywał co chwila miaukliwy wrzask, gdy opadały na boki, a ja biegłem dalej. Próbowałem nie czynić im żadnej poważnej krzywdy, wykonywałem szybkie zamachy, unikałem dźgania i naprawdę miałem nadzieję, że Bastet ruszy sumienie i pomoże potem swoim

rannym ludziom.

Odpieraj atak i nie zwalnij – poleciłem Oberonowi, który został trochę w tyle, bo za bardzo się wczuł w rozszarpywanie jakiegoś karku. – *Nie musimy ich zabijać, to zajmuje za dużo czasu. Najważniejsze, żeby nie dogoniło nas to stado za nami.*

<Na wielką niedźwiedzicę, Atticusie, masz rację! Właśnie się nieopatrznie obejrzałem i wiesz co? Moim zdaniem takie ilości kotów nie powinny być dozwolone!>.

Ile ich tam jest?

Oberon zaskomlał.

<Pojęcia nie mam, Atticusie! Mózg mnie boli. Myślę, że właśnie zupełnie skotowaciałem od tych liczb i kotów>.

Do mojego lewego ramienia przywarł pazurami pręgowany kocurek, więc okręciłem się mocno, żeby go z siebie strzepnąć. Zostały mi po nim głębokie rany, ale siła odśrodkowa pchnęła go na jakąś ścianę. Nie mogłem sobie teraz pozwolić na przystawanie, żeby oglądać rany. Kiedy się obracałem, ujrzałem przez chwilę biegnącą za nami chmurę, wiedziałem więc już, dlaczego Oberon skołowaciał. Za nami było o wiele więcej kotów, niż ktokolwiek zdołałby odeprzeć. Zdusiłem rodzący się w brzuchu pierwotny okrzyk paniki.

Przed nami jeszcze dobre ćwierć kilometra do rzeki, a kiciusiów nie ubywało. Raczej odwrotnie. Zrobiłem unik i jakiś syjamski przeleciał mi z piskiem nad głową. Potem prawą ręką walnąłem w perskiego, a z lewego ramienia usiłowałem strzepnąć peterbalda, który trzymał się szczęśliwie tylko jednym pazurem. Koty, które próbowały zaatakować moje nogi, kopałem po prostu na boki – przy takiej prędkości nie mogło mnie przecież zatrzymać pięć kilo futrzanej wagi.

Przed nami było ich więcej i wszystkie pędziły prosto na mnie. Niewykluczone, że to już liczba, przez którą nie dam rady się przedrzeć. Oberon osłaniał mnie z prawej strony, więc bogom dzięki, że mnie przekonał, żebym go ze sobą zabrał. Gdyby nie on, być może już by było po mnie.

– Bastet! – krzyknąłem po koptyjsku. Nie znałem żadnego prawdziwie starożytnego języka egipskiego, ale byłem prawie pewien, że bogini musi choć rozumieć język, którym posługiwano się tu powszechnie do siedemnastego wieku. – Wiem, że mnie słyszysz! – Namierzyła mnie poprzez oczy jednego kota, więc musiałyby chyba być zupełnie głucha, żeby nie słyszeć mnie przez uszy setek, które teraz za mną biegły. – Nie musimy tak tego załatwiać! Nie musi zginąć nikt więcej! Mogę ci zwrócić to, co zostało ukradzione! Zatrzymajmy się i pogadajmy!

Koty się bynajmniej nie zatrzymały, więc ja też nie. Opędzałem się od nich dalej sztyletami, a Oberon nadal walił w nie łapami albo kąsał zębami i odrzucał na boki. Ale to nie szkodzi. Ważne, że rozpoczęliśmy tę dyplomatyczną uwerturę. Bastet była oczywiście zbyt dumna, by odpowiedzieć tak od razu.

I tak ciągnęła się nasza jatka, a ostrza moich sztyletów błyskały w słabym świetle szarego bezchmurnego świtu. W mijanych budynkach zaczęły się zapalać lampy, a zaspani obywatele rejestrowali okrzyki wściekłości i śmierci i reagowali na nie arabskimi łotdefakami w suchym powietrzu eleganckich apartamentów. Aż w końcu naszym oczom ukazał się Nil. Czarne wody zdawały się zupełnie nieruchome, bo nie było jeszcze dość światła, które mogłoby igrać na falach i wskazywać kierunek nurtu. Nad powierzchnią unosił się smród nafy i niewypowiedzianego gówna skutecznie przytłaczającego świeży oddech życia, którym charakteryzowała się ta piękna rzeka w zamierzchłych czasach.

Energia skończyła mi się dobre pięćdziesiąt metrów od brzegu rzeki, zwolniłem więc zasapany, a moje płuca dały mi jasno do zrozumienia, że nie cierpią mnie bardziej niż Gargamel smerfów.

<Hej! A gdzie się podziała moja moc?> spytał Oberon.

Biegnij dalej! Musimy dotrzeć do rzeki!

<Kiedy czuję się tak, jakbym miał pojemność silnika na poziomie jamnika>.

Nie zatrzymuj się, bo będzie po nas.

Mieliśmy lekką przewagę względem goniącego nas stada, ale futrzaki zmniejszały ten dystans bardzo szybko i darły się triumfalnie, widząc, że zwolniliśmy. Przed nami nie było już więcej kotów. Z tej strony rzuciły się już na nas wszystkie, a niedobitki albo dołączyły do pogoni za nami, albo lizały gdzieś rany.

Hałas dzwoneczków przybrał na sile. Już nas prawie miały, a tymczasem moje ciało błagało o jakieś sensowniejsze i powolniejsze tempo, ale cisnąłem do przodu. Jeszcze trzydzieści metrów. Dwadzieścia.

Już widziałem rampę prowadzącą do jakiejś prywatnej przystani z kilkoma małymi uroczymi łajbami. Widać było, że jest tu dość płytko, co byłoby właściwie idealne, gdyby nie to, że koty na pewno mnie dorwą, nim tam dotrę.

Dzwoneczki z piekła rodem już były tuż za mną. Przełożyłem sztylet z lewej ręki do prawej, w której teraz trzymałem aż dwa, a lewą klepnałem się po karku i tam ją zostawiłem. Nie oganiałem się od komarów – próbowałem ratować życie. Nie minęły dwie sekundy po tym manewrze, a już kotki zaczęły wskakiwać na moje plecy i wbijać się w moje nogi. Pochwa Fragaracha, którą wciąż miałem na plecach, ułatwiała im wspinanie się po moim torsie. Prychając i sycząc groźnie, rozdarły mi koszulkę i wbiły się pazurami do krwi, ale w każdym razie nie dawały rady usiąść mi na ramionach i rozorać karku aż do kręgosłupa, bo zakrywałem go dłonią. Za to wgryzały się we wszystko inne i drapały, co mogły, gdy ja wiłem się i potykając, parłem w stronę wody. Oberon trochę mi pomógł, rozpychając się w tym kocim chaosie, i udało mi się dzięki temu skrócić na rampie w stronę wody. Potem to już rzuciłem się na oślep i pofikołkowałem w dół, starając się nie pociąć się przy tym sztyletami, ale uznałem, że nie szkodzi, jeśli przy okazji drasnę kilka tych namolnych kociaków. Pospadały ze mnie, bo nie przewidziały takiego ruchu. Oberon zasłonił mnie z tyłu, dzięki czemu jakoś żadna kicia nie wskoczyła na mnie, gdy byłem przez chwilę na ziemi, a ja wstałem cały zakrwawiony i wykończony i potykając się, znów biegłem w stronę wody.

Chodź, stary – powiedziałem, w każdej dłoni dzierząc sztylet. – *Do rzeki.*

<Jestem tuż za tobą>.

Nie dałem nawet rady zrobić pełnego wdechu, bo trzy kolejne koty skoczyły mi na plecy i kilka na nogi, ale w końcu wpadłem do Nilu. Rany zapiekły od wody, jakoś jednak je tam chłodziła. Futrzaki trzymały się mocno i wyszarpywały mi kolejne dziury w ciele – woda ich przed tym nie powstrzymała. Kolejne kociaki wskakiwały do rzeki. Słyszałem chlupanie wokół, ale nigdzie nie widziałem Oberona.

I wtedy moja stopa dotknęła szlamu na dnie rzeki, a tatuaże natychmiast odnowiły połączenie z ziemią. Energia Nilu powitała mnie serdecznie, a ja z ulgą poczułem, jak mnie wypełnia, uzupełnia straty, pomaga się leczyć i robić, co zechcę.

Wyskoczyłem na powierzchnię z taką mocą – choć pewnie siła nurtu też zrobiła swoje – że spadło ze mnie te kilka ostatnich miauczydusz. W miejscu, w którym stałem, woda sięgała mi mniej więcej do żeber. Oberon płynął tuż obok. Koty skakały do rzeki za mną, ale nie dawały rady doskoczyć do mnie, a już w wodzie przypominały sobie, że za cholerę nie umieją pływać – to znaczy dawały radę utrzymywać głowę nad powierzchnią, ale raczej nie stanowiły już teraz dla mnie zagrożenia. Po lewej osłaniała mnie łódka, po prawej jednak miałem moło. Kilka co bystrzejszych kociaków wybiegło na nie i skoczyło na mnie ze znacznie mniejszej odległości, lecz teraz, gdy nie musiałem się już martwić ich zabójczą ilością nadciągającą z każdej strony, mogłem odpierać atak i ciskać je do Nilu, żeby tam mogły sobie spokojnie przypomnieć, co i jak z tym pływaniami.

Stań w takim miejscu, żebyś miał dno i z wody wystawała ci tylko głowa – poradziłem Oberonowi. – *A koty podtapiaj.*

<Tu mogę stać> pochwalił się Oberon i od razu mi to udowodnił. Głowę i szyję miał bezpiecznie nad wodą. <A nie powinienem przypadkiem osłaniać twoich tyłów?>.

Spoko. Teraz już panuję nad sytuacją.

Pojedyncze koty, które usiłowały do mnie dopłynąć, głównie to musiały się przejmować tym, że płyną pod prąd. A te, którym udało się do mnie dotrzeć, i tak nie miały jak skoczyć. Wystarczyło je pchnąć, a już płynęły ładnie w dół rzeki. Te, które skakały na mnie z mola, musiałem tylko odbić, a gdy raz walnęły w wodę, nie sprawiały więcej kłopotów.

Kicie zapełniły już całe molo i sporą część brzegu. Hałas był nie do zniesienia. Może i była jeszcze wczesna pora, ale głowę daję, że zaraz się pojawią ludzie i zaczną strzelać fotki komórkami. A tego nie chciałem.

– Bastet! – usiłowałem po koptyjsku przekrzyczeć ten harmider. – Mogę zwrócić księgę twoich tajemnic! Mogę ci ją zwrócić w tej chwili! Jest w idealnym stanie! Nie musimy walczyć! Proszę, nie chcę krzywdzić twoich ludzi! Porozmawiajmy!

Nagle wszystkie koty zamarły, to znaczy nie licząc tych, które walczyły z nurtem rzeki. Pozostałe po prostu siedziały i się na mnie gapiły. Nie słychać było nic z wyjątkiem pojedynczych chlupnięć i sapania Oberona.

Oberonie, nic nie rób. Na chwilę zostaw koty w spokoju.

<Okej>.

Od strony mola usłyszałem niski kobiecy głos. Nie zauważyłem, żeby któryś kot poruszał pyszczkiem, ale głos wydawał na pewno jeden z nich.

– Hrrr. Pokaż książkę.

Moja skórzana torba była teraz pod wodą, więc wyciągnąłem ją na powierzchnię i przy okazji schowałem do niej sztylety.

– Księga była pod wodą?! – wrzasnął głos. – Zniszczyłeś ją!

– Nie, nie! – zapewniłem ją. – Ochroniłem ją. Jest owinięta wodoszczelnym materiałem. Zaraz ci pokażę.

Wyciągnąłem paczkę z *Dobłą kicią* i rozplotłem płótno, które wcisnąłem z powrotem do torby. Księgę Bastet trzymałem ostrożnie opuszkami palców, próbując pokazać, że okazuję pełen szacunek. Nadal nie widziałem, który z tych kotów to Bastet – a może tylko przemawiała przez jednego z nich – więc zwróciłem się do wszystkich mruzków łącznie:

– W przeciwieństwie do większości skarbów z przeszłości tej księgi nie naruszył właściwie zęb czasu – powiedziałem. – Trzymałem ją w zamknięciu, tak że nawet powietrze nie miało do niej dostępu. Da się nadal przeczytać każde słowo. Pomyśl tylko, Bastet! Jeśli trafi do odpowiednich ludzi, może wywołać wprost renesans zainteresowania twoją osobą! Znowu będą się do ciebie modlić, znowu będziesz potężna. Twoje wpływy mogą sięgać nawet poza ziemię Egiptu, możesz mieć miliony wyznawców!

Było to raczej mało prawdopodobne, ale wiedziałem, że bardzo chciałyby w to uwierzyć. Jakby dla podkreślenia moich słów w tej samej chwili rozległo się nawoływanie muezzina. Bastet wiedziała dobrze, co to znaczy – oto inny bóg otrzymywał modlitwy, które kiedyś w Kairze składano jej. Pomyślałem, że jeszcze pozachwalam mój towar.

– Inni bogowie mają święte księgi, które przetłumaczono na każdy język. Czczą ich ludzie na całym świecie. Możesz zrobić to samą z tą księgą. Który inny egipski bóg mógłby zrobić coś takiego? Żaden. Prawda jest taka, Bastet, że wyświadczyłem ci wielką przysługę, zachowując księgę w tak doskonałym stanie.

– Hrr. Daj mi ją.

Mój wzrok przykuł ruch w tylnych szeregach kotów. Jakiś cień rósł w górę. Był to czarny kot o żółtych ślepiach i małym złotym kolczyku na lewym uchu. Rósł i rósł, i zmieniał się, aż ujrzałem kobietę o kocim łbie. I baba miała na sobie normalne ciuchy, których kot przecież nie miał jeszcze przed chwilą. Taki trik to by normalnie zrewolucjonizował modę.

Jej ramiona zdobił jeden z tych olbrzymich złotych naszyjników, jakie się widzi w piramidach, ale nie miała nic specjalnego na głowie. Spod naszyjnika wyłaniała się biała płócienna suknia, spięta pod piersiami niebieską szarfą. Ręce miała nagie, ale za to pokryte miękkim czarnym futrem i kilkoma bransoletami. Jej palce niby były ludzkie, ale zakończone bardzo kocimi pazurami. Muezzin nareszcie skończył nawoływania, mogliśmy więc rozmawiać normalnym tonem.

– Hrr. Daj mi ją natychmiast, człowieku.

– Mów mi Atticus. Chciałbym coś w zamian.

Bastet rzuciła mi oburzone spojrzenie.

– Nie bądź śmieszny! Ukradłeś ją! Oddawaj ją natychmiast, a dostać to możesz ode mnie najwyżej w skórę!

– Nie, tak nie będzie. Weź pod uwagę, że wyświadczam ci przysługę, zwracając ją w tak dobrym stanie. Do dziś byłaś przecież pewna, że ja już dawno nie żyję, a książka przepadła raz na zawsze.

Jej żółte ślepia zmrużyły się groźnie.

– Nie jestem zwykłym człowiekiem.

Skłoniłem głowę grzecznie.

– Bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz.

– Dlaczego przybyłeś do Egiptu?

– Ironia losu. Ktoś mnie z kolei ukradł książkę. Przybyłem ukraść ją z powrotem.

I upewnić się, że facet już nigdy nie skrzywdzi ziemi, ale tego nie powiedziałem na głos.

Kocia morda Bastet przestała patrzeć podejrzliwie i wyglądała raczej na ubawioną.

– Hrr! Hrr! Hrr! Czy była to może egipska księga ukradzioną przez Egipcjanina?

– Tak.

– To żadne przestępstwo. To się nazywa sprawiedliwość! Czy wiesz, kto ci ją ukradł?

– Niejaki Nkosi Elchaszab.

Bastet zamarła.

– Krokodyli kapłan?

Krokodyli kapłan? Czyli pewnie wyznawca Sobka, boga Nilu. To by wyjaśniało naturę jego magii. To raczej normalne, że woda rozmywa i

wypłukuje ziemię. Nic dziwnego, że moje sploty się rozpuszczały. I że jego aura była błotnista.

– Ten właśnie. Nie wiesz może, gdzie go znajdę?

– Czy to informacja, której żądasz za oddanie mojej księgi? – spytała Bastet.

– Nie. – Pokręciłem głową. – W zamian za książkę chcę twojego pozwolenia na podróżowanie po Egipcie oraz obietnicy, że nie zdradzisz mojej obecności w tym kraju żadnej innej istocie.

– Hrrr. – Tym razem jej uśmiech wydał mi się niepokojąco drapieźny. – Podoba mi się ta umowa. Ja zabieram książkę i idę w swoją stronę, a ty idziesz w swoją, czyli prosto w krokodylą paszczę. Kapłan Sobka zniszczy cię bez trudu.

Wyciągnęła po książkę szarą dłoń.

– Chciałbym najpierw usłyszeć, jak wypowiedasz słowa przysięgi – powiedziałem.

Bastet syknęła z niecierpliwości.

– W zamian za księgę, którą trzymasz w ręku, możesz bez żadnych ograniczeń poruszać się po Egipcie i nie będziesz miał kłopotów z żadnymi moimi ludźmi. Nie zdradzę twojej obecności żadnemu człowiekowi. – Uniosłem brew, żeby dać jej znak, że schrzaniła sprawę. Od razu wiedziała, o co mi chodzi. – Niech ci będzie. Ani żadnemu bogu, ani zwierzęciu, które jego jest. A teraz dawaj.

Z ulgą podszedłem do niej i dałem jej *Dobrą kicię*. Bastet przekaże ją jakiemuś akademikowi, który nie będzie miał pojęcia o ochronie, a ja ponownie ją ukradnę i zniszczę wszelkie zapiski na jej temat. Ostatnie, czego potrzebuje teraz ludzkość, to odrodzenie się kociego kultu erotycznego.

Bogini przekartkowała księgę, żeby się upewnić, że nie dałem jej komiksów albo coś. Zamruczała z rozkoszy na widok znajomych stron, po czym przypomniała sobie, że wciąż stoję obok, i syknęła wrogo.

– A niech cię Sobek zeżre.

– O, jak miło. No cóż, niech harmonia będzie z tobą, Bastet, i jeszcze raz przepraszam za poranienie twoich ludzi.

Zignorowała mnie zupełnie i odeszła, jak to koty mają w zwyczaju. Zniknęła w szarym świetle poranka, a jej pieszczochy powędrowały za nią.

<Ha!> ryknął Oberon, gdy Bastet zniknęła nam z oczu. <Jeden pies kontra tysiące kotów i pies wygrał!>.

A druid?

<Cicho, Atticusie. To moment mojej chwały. Daj mi się nacieszyć chwilą>.

Jak już skończysz, to chodź, pójdziemy poszukać jakiegoś miejsca, gdzie by się dało wyschnąć.

Koszulę miałem w strzępach, a rany jeszcze się nie zagoiły. Napełniłem niedźwiedzi charms i włączyłem uzdrawianie. Rany znikną z czasem. Najważniejsze to zdobyć teraz gotówkę, suche ciuchy i tymczasową komórkę. A potem jedzenie i Internet.

Ludzie zaczęli pojawiać się na ulicy po porannych modlitwach, spytałem więc o drogę do najbliższego bazaru. Kilka przecznic na północ wystarczyło zamachać kartą kredytową i porządnie się potargować i już miałem niemal wszystko, czego było mi trzeba. Pokazano mi też, jak dojść do kafejki internetowej – a były to w epoce przed iPhone'em miejsca wszechobecne. Gdy już zapakowałem zakamuflowanego Oberona pod stół i zaopatrzyłem go w kiełbasę, zalogowałem się na skrzynkę pocztową i znalazłem plik z eleganckim CV pana Nkosiego Elchaszaba autorstwa detektywa zatrudnionego przez Hala.

Hal usłużnie podkreślił mi następujący fakt: Elchaszab był biedny jak mysz kościelna, póki po studiach nie zaczął pracować dla Ministerstwa do spraw Starożytności. Z początku zachowywał się zupełnie normalnie, aż gdzieś po roku pracy zaczął kupować nieruchomości za cenę zdecydowanie przekraczającą jego dochody, a do tego mnóstwo kosztownych cudeniek, żeby mieć co powiesić na ścianach. Nic nie wskazywało na to, żeby znalazł sobie jakąś dodatkową fuchę, toteż wszystkim pojawiło się w głowach to samo pytanie: skąd bierze pieniądze? Wśród zaintrygowanych było też państwo

egipskie, przeprowadzono więc w tej sprawie odpowiednie dochodzenie.

Elchaszab tymczasem twierdził, że to wszystko dlatego, że sprzedaje swoje obrazy zamożnym zagranicznym kolekcjonerom. Rzeczony obraz był dość nudnymi mazajami – takimi, jakie może stworzyć ktoś, kto łygnie na dzieła Jacksona Pollocka i powie sobie: „E, też bym tak potrafił”. Ale ministerstwo podejrzewało – i na pewno miało rację – że gdy sprzedawał te bohomy, cena za nie obejmowała również jakieś bonusowe egipskie skarby i że to je szmugłował Elchaszab za granicę do owych „zamożnych kolekcjonerów”. W dodatku obrazom nadawał takie tytuły jak: „Małe popiersie Sobka, XII dynastia”, żeby ministerstwo wiedziało dokładnie, co im się wymyka. Nie udało im się go złapać na gorącym uczynku, ale i tak go dla zasady wyrzucili z roboty.

Dwadzieścia lat później – obecnie był już po czterdziestce – wciąż żył ze swojej sztuki. Teraz pewnie już częściowo naprawdę z niej, bo wołał sobie za te dzieła tak wysokie ceny, że niejeden bogacz musiał uznać, iż to coś wartościowego. Ale ministerstwo uważało, że dalej szmugluje. Podejrzewali, że natrafił na grobowiec gdzieś w okolicy miasta Fajum, które Grecy nazywali Krokodylopolisem, a teraz sprzedaje go kawałek po kawałku. Był pod stałym nadzorem władz.

Jak dla mnie najgorsza wiadomość była taka, że miał aż dwa domy. Jeden w Kairze, a drugi w Fajum, jakieś sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód stąd. Raczej nie miałem jak się zasadzić na niego w obu tych miejscach naraz, więc nie było wyjścia – musiałem zadzwonić pod numer, który Hal podał mi u dołu mejla, i założyć w ciemno, że najgorszych uczynków czarnoksiężnik dopuszcza się w Fajum.

– Pozdrowienia od starego wilka z Ameryki – powiedziałem, gdy jakiś głos warknął mi w słuchawce na powitanie.

– Kto mówi?

– Kumpel Hala Hauka z Arizony.

– A, jasne. – Ton alfy z Kairu zmienił się natychmiast. – Znam Hala.

– Powiedział, że ty i twoi chłopcy będziecie mogli mi pomóc.

– W czym? – spytał Jusuf.

– W obserwowaniu pewnego adresu w Kairze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Prosiłbym was o wszystkie informacje: kto wchodzi, kto wychodzi.

– Do takiej prostej roboty nie potrzebujesz moich chłopców.

– Mieszka tam czarnoksiężnik, który będzie pewnie próbował wemknąć się do domu po kryjomu.

– A, to co innego. Rzeczywiście nas potrzebujesz.

Wilkołaki są niesamowicie przydatne w życiu, ponieważ są odporne na magię większości rodzajów (z tego samego powodu naprawdę lepiej z nimi nie zadzierać). Wydaje ci się, że jesteś niewidzialny? Nie w oczach wilkołaka. Ubzdurałeś sobie, że dysponujesz zabezpieczeniami nie do pokonania i twoje skarby są bezpieczne? Nie, jeśli napatoczy się wilkołak. Jest jak ratel miodożerny – bierze, co chce. Jasne, możesz zawsze z nim walczyć, jeśli masz jakieś srebro pod ręką, ale lepiej żebyś go miał sporo, bo musiałoby starczyć na całą watahę. A jeśli inne watahy dowiedzą się, że wybijasz wilkołaki... Cóż. Powiedzmy, że w dzisiejszych czasach nikt już nie zadziera z wilkołakami.

Umówiłem się z Jusufem i podałem mu mój numer, na wypadek gdyby pojawił się Elchaszab. Jusuf wyśle rachunek Halowi i wszyscy będą szczęśliwi.

W Ameryce w epoce sprzed GPS-u, jeśli się chciało pojechać gdzieś, gdzie się jeszcze nigdy nie było, zamawiało się taksówkę. Albo jeśli się miało dość odwagi, prosiło się teścia, żeby cię podwiózł. W Egipcie wystarczyło pomachać pieniędzmi na bazarze, a mnóstwo ludzi natychmiast zgłaszało się na ochotnika, żeby cię obwozić po okolicy. Nas przygarnęła trzyosobowa rodzinka, która była zachwycona, że spędzi trochę czasu na wożeniu nas tu i tam, szczególnie że zapłaciłem im za benzynę i odpaliłem jeszcze coś ekstra.

Muszę przyznać, że gdy się tak rozłożyliśmy z Oberonem na naczepie starego pickupa, ucieliśmy sobie małą drzemkę.

Fajum (pisownia, a nawet nazwa miasta bywała w jego historii bardzo

różna) jest prawdopodobnie najstarszym miastem w Egipcie. Już Herodot opisywał tutejszy niesamowity labirynt, wspanialszy od wszystkich skarbów Egiptu, i nawet można zobaczyć jeszcze, skąd się wzięły te jego zachwyty, ale dziś to już raczej ruiny, bo jakiś rzymski kretyn wymyślił sobie, że zrobi z tego miejsca kamieniołom. Mimo jednak tych i wielu innych zniszczeń archeologowie i tak mieli jeszcze w Fajum dużo do znalezienia. Ministerstwo do spraw Starożytności nie bez powodu więc podejrzewało, że Elchaszab znalazł coś akurat w tym regionie. Generalnie jeśli tylko pokopało się tu dość głęboko, zawsze się coś znalazło.

W tej okolicy znajduje się słone jezioro zwane kiedyś Moeris, a teraz Karun, i to właśnie na jego wschodnim wybrzeżu można było niegdyś natknąć się na wyznawców Sobka. W Krokodylopolis trzymali oni sobie prawdziwe krokodyle, które obwieszali błyskotkami i karmili miękkim różowym mięskiem. Gadziny to się w tamtych czasach pławiły w luksusach. Jeśli wierzyć Bastet, teraz zaś pławiły się w podobnych w domu Elchaszaba. Choć może raczej należałoby go nazwać twierdzą, bo otoczony był murem z cegieł i skryty za potężną bramą. Znajdował się na wschód od starego Krokodylopolis, a na północ od labiryntów.

Fajum nie było wcale miastem aż tak starannie wybrukowanym jak Kair, więc tu przynajmniej nie miałem problemu z dostępem do magii. Zrobiliśmy sobie spacer wokół posiadłości Elchaszaba, nie próbując się nawet ukryć. Głównie przyglądałem się bowiem tym murom w magicznym spektrum, chcąc się dowiedzieć, jakie zaklęcia zabezpieczające poinstalował na nich Elchaszab. Co dziwne – żadnych. Z wyjątkiem paru na bramie. To oznaczało, że najprawdopodobniej po drugiej stronie muru czai się coś strasznego, czego nie da się zobaczyć przez bramę.

Wykonałem piękny skok pogo, żeby zajrzeć za mur. Tu także żadnych zabezpieczeń. Znowu więc podskoczyłem, chwyciłem się rękoma i podciągnąłem, żeby porządniej spojrzeć na drugą stronę. Wszystko mi było jedno, czy ktoś mnie zobaczy, czy nie.

I rzeczywiście – czało się coś straszego, a jakże. I to czało się w fosie. Głębokiej i szerokiej. Pełnej wygłodniałych krokodyli. Musiałem przyznać, że to mi dość zaimponowało.

Kilka z tych potworów od razu mnie zauważyło i zaczęło sunąć w moją stronę, licząc na smakowity kąsek, bo w sumie wystarczyło, żebym grzecznie zeskoczył na dół, a już by miały śniadanie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie uspokoić ich tych gadzich mózdków i nie przepłynąć im koło nosa, ale uznałem, że ryzyko jest za duże. W odmętach tej ciemnej wody może się spokojnie czać jakiś olbrzym, którego świadomości nie wyłapię, a wtedy on z całą pewnością złapie mnie.

Elchaszab usytuował swój dom mniej więcej tak, jak się zwykle prezentuje lwy i tygrysy w zoo. Wewnątrz murów ziemia unosiła się niczym kopiec wulkaniczny, tak że w środku mur był o wiele wyższy niż na zewnątrz i można go było tak po prostu przeskoczyć. Zresztą była tam woda i gady, nikt by nawet nie chciał skakać. Dom zaś zbudowany był na wyspie, do której dało się dotrzeć tylko wąską groblą prowadzącą od bramy.

Mógłbym się jednak założyć, że to nie jedyne wejście. Taki szczywany lis jak Elchaszab na pewno wybudował sobie jakieś inne drogi ewakuacyjne, zwłaszcza jeśli parał się szmuglowaniem skarbów tego kraju za granicę. Pewnie miał gdzieś w domu taki regał à la Scooby-Doo, który odsuwał się, ukazując wijące się schody, które z kolei prowadziły do jakichś przerażających katakumb, gdzie wreszcie znajdowała się drabina do klapy ukrytej w magazynie lub innym zupełnie niewinnie wyglądającym miejscu.

Szansę znalezienia tego sekretnego wyjścia od środka były o wiele większe niż namierzenia wejścia, które mogło być przecież wszędzie. Musiałbym się więc dostać do domu, najlepiej bez włączania zabezpieczeń i alarmów. Jeśli ma mi się udać ta zasadzka, to miłośnik krokodyli musi wrócić do domu o zupełnie nieruszonych alarmach.

Jeszcze raz się rozejrzałem, po czym zsunąłem się z muru – ku wielkiemu rozczarowaniu mieszkańców fosy.

– Dobra. Już wiem, co i jak. Do kasby zatem!

Oberon ruszył przy moim boku, entuzjastycznie merdając ogonem.

<Będziemy świetni, słowo daję. A swoją drogą, to coś, co zobaczyłeś po drugiej stronie, przypomniało ci o potrzebie nabycia dla mnie smakołyka, prawda?>.

– Hm. No tak. I jeszcze musimy ci znaleźć jakieś miejsce, gdzie byś sobie spędził resztę dnia. Nie ma takiej możliwości, żebyś mógł tam iść ze mną.

<Nie ma rzeczy niemożliwych!>.

– A potrafisz przeciągnąć się po linie na samych łapach i nie wpaść do fosy pełnej krokodyli?

<O kurczę! Tam jest naprawdę fosa z krokodylami?>.

– No. Schowamy cię gdzieś. Nie chciałbym, żeby ktoś pomyślał, że szukasz nowego właściciela.

Kupiłem mu trochę jedzenia i wody oraz kilka kości, żeby miał co sobie gryźć, a potem znaleźliśmy przyjemny dach, na którym będzie mógł się w spokoju wylegiwać – w Fajum nie brakowało takich płaskich, idealnych do tych celów. Życzyłem mu miłej drzemki i ruszyłem z powrotem na bazar, żeby kupić długą linę, małą kotwicę i porządną pręt. To powinno mi ułatwić przekroczenie fosy.

Tym razem, gdy znów wdrapałem się na mur Elchaszaba, byłem już zakamuflowany. Z magiczną pomocą wbiłem metalowy pręt mniej więcej do połowy w cegły z wyschniętego błota, z których zbudowany był mur. Jeden koniec liny przywiązałem do pręta, a drugi do kotwicy, po czym stworzyłem splot łączący stal kotwicy z murem na patio Elchaszaba. Dom był zbudowany z takich samych błotnych cegieł. Gdy tylko włączyłem splot, kotwica poleciała w stronę domu i utkwiała tam, nawet nie musiałem jej rzucać.

Miałem potem całkiem dużo liny do wybrania, bo źle oszacowałem odległość. Musiałem też na nowo przywiązać linę do pręta, żeby była porządnie napięta.

Wszystkie te działania zwróciły oczywiście uwagę krokodyli. Mimo że

byłem zakamuflowany, kiedy zacząłem bujać się nad ich głowami, obudziły się z letargu i strasznie podekscytowały. Właziły jeden na drugiego, żeby znaleźć się pode mną. Nie widziały mnie, ale miały wystarczający węch, by namierzyć moje położenie. Zaczęły na siebie syczeć i kłapać pyskami. Nigdy jeszcze nie czułem się potencjalnie tak smakowity.

Gdy już przelazłem nad fosą i stało się jasne, że raczej nie wpadnę w ich wygłodniałe pyski, większość z nich się poddała, ale kilka gadzin powędrowało za mną na ląd, słusznie wnioskując, że kiedyś jednak muszę zejść na ziemię. Zwolniłem, odnalazłem nikłe, głodne nitki ich świadomości i wyjaśniłem im, że nie jestem ich śniadaniem. Serio. Więc sio. Wracać do fosy, grzeczny krokodyl. Wypełniły moje polecenie z pewnym oporem, ale jednak wypełniły, mogłem więc zeskoczyć cicho przy patio krokodylego kapłana i rzucić kamuflaż.

Wystarczył rzut oka w magicznym spektrum i już wiedziałem, że patio jest wyposażone nie tylko w drogie meble, ale i w magiczne zabezpieczenia. Tak zresztą jak i wszystkie okna. Nie szkodzi, i tak nie zamierzałem wejść żadnym z nich. Przemknąłem się w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara na tę stronę domu, gdzie zamiast zwykłego okna zauważyłem wąski blok ze szkła. Strzelałem, że to łazienka.

Ryzyko, że zaraz za tą akurat ścianą będą jakieś rury, było małe, a jeszcze mniejsze, że Elchaszab zabezpieczył magicznie także łazienkę.

Cegły suszone, zrobione z mułu, to właśnie taki rodzaj materiału, który lubię. Zajęło to może dłużej, niżbym chciał, ale jednak nie było zbyt trudno ich rozpleść, tak żeby w ścianie pojawiła się dziura mojego kształtu. Potem musiałem wprawdzie przeciąć jakieś druty sztyletem i jeszcze kopniakiem przebić się przez cienką płytę gipsową, ale to i tak było o wiele prostsze niż rozbijanie magicznych zabezpieczeń.

I tu czekała mnie pierwsza niespodzianka: pachniało cynamonem i jabłkami. Elchaszab miał tuż przy umywalce jeden z tych elektrycznych odświeżaczy powietrza. Puchate ręczniki w eleganckie wzorki starannie

złożone czekały na swoją kolej w rytuale mycia rąk. Nie tego bym się spodziewał po krokodylim kąpaniu. Cała łazienka w ogóle wyglądała na dziwnie nieużywaną – była idealnie czysta, więc chyba nie mogła służyć podłemu czarnoksiężnikowi. Z ulgą wysnułem wniosek, że musi to być łazienka dla gości i Elchaszab pewnie nawet tu nie zajrzy po powrocie do domu.

Wymknąłem się jeszcze na chwilę na dwór, żeby podładować niedźwiedzi charms, i dopiero gdy go napełniłem po brzegi, wkradłem się na paluszkach z włączonym magicznym widzeniem, żeby móc dojrzeć na czas wszelkie magiczne zabezpieczenia i najlepiej te niemagiczne też.

Zamknąłem za sobą drzwi do łazienki, licząc na to, że tak mu będzie spieszno, żeby się pobawić grymuarem, że nie zauważy bałaganu. Na zewnątrz zobaczyłem krótki korytarz, którzy prowadził do kilkorga drzwi, pewnie sypialni. Elchaszab nie wyglądał mi na człowieka, który by lubił mieszkać w tej samej części domu co jego goście, więc machnąłem ręką na wszystkie te pomieszczenia i ruszyłem dalej. Potem był spory salon z wielgachnym telewizorem i półkami zapełnionymi bezcennymi figurkami jakichś tam bogiń i bogów. Naprzeciw zobaczyłem przedsionek, a za nim główne wejście, rozejrzałem się więc czujnie, czy nie ma jakichś kamer, ale nie było. Za to były zabezpieczenia magiczne na samych drzwiach frontowych.

Pod łukiem przechodziło się do kuchni, ale tu pewnie nie znajdę nic interesującego. Kolejny łuk prowadził na pozór donikąd – myślałem najpierw, że ma tylko dawać ładny widok na niesamowity posążek Sobka stojący w oświetlonej niszy, ale gdy przyjrzałem się z bliska, zobaczyłem, że kryje się za nim kolejny korytarz. Być może nim dojdę do prywatnych pokoi Elchaszaba. Sprawdziłem pierwsze drzwi i framugę, nim odważyłem się je otworzyć. Żadnego czary-mary. Żadnych włosów na progu. I niezamknięte na klucz.

Biblioteka. Na ścianie oddzielającej ją od korytarza stało biurko, a pozostałe trzy ściany zastawione były regałami pełnymi książek. Do tego

wygodny fotel ze stolikiem i lampka do czytania.

Zatałem ręce. Po prostu wiedziałem, że będzie po Scooby-Doowemu. Teraz wystarczy wyciągnąć odpowiednią książkę i jeden z regałów się odsunie. Albo... Skoczyłem do lampki przy fotelu i pociągnąłem za zwisający przy niej łańcuszek. Włączyła się!

I nic poza tym.

A niech to.

Zacząłem więc wyciągać książkę za książką. Niektóre były nawet ciekawe, na przykład parę grymuarów, które powinienem sobie potem zwinąć, ale większość do niczego się nie nadawała. Ani do czytania, ani do włączania tajnego przejścia. Obejrzałem fotel. Podniosłem dywanik. Pod spodem nie kryła się żadna tajna kłapa. Sprawdziłem biurko, które i tak nie rokowało ze względu na położenie. Też nic. Westchnąłem ciężko i przyznałem w duchu, że jednak się myliłem. Przejście może znajdować się w innym pomieszczeniu. Być może trzeba będzie przeszukać cały dom.

Wyszedłem z biblioteki i zamknąłem za sobą drzwi. Skręciłem w prawo i spojrzałem na kolejne drzwi. Tu także nie było żadnych magicznych zabezpieczeń, ale za to na progu ujrzałem stary trik z włosiem. Otworzyłem drzwi, wślizgnąłem się do środka i splotem zainstalowałem włos z powrotem na jego miejsce. Niech się pan nie obawia, panie Elchaszabie. Nikogo tu nie było.

Znajdowałem się w pracowni mistrza. Pod ścianami stały płótna z brzydkimi plamami farby. Przy oknie pozostawiono sztalugę, a pod nią rozłożone były mocno poplamione farbą plastikowe folie. Mimo tego zabezpieczenia podłoga – pokryta tanim linoleum – cała była popačkana barwnymi plamkami. W niskiej szafce znajdowały się wszelkie potrzebne malarskie dobra – mnóstwo tubek z farbą, pędzle i terpentyna. Tuż obok był zlew, żeby zmyć nadmiar tych kolorów. Coś mnie tknęło i spróbowałem kurka nad zlewem. Niestety służył tylko do odkręcania ciepłej i zimnej wody.

Za żadnym płótnem też nie kryły się tajne drzwi i zacząłem wpadać w

poważną frustrację. Szukałem już dobrą godzinę i nic. Przesunąłem sztalugę. Podniosłem każdy ceramiczny pojemnik na pędzle. Pociągnąłem za każdą plastikową płachtę. I nadal nic.

W desperacji zacząłem podnosić kolejne tubki z farbą, które leżały rozrzucone chaotycznie na blacie szafki. Czułem się jak idiota, ale każdą odkładałem starannie w to dokładnie miejsce, skąd ją wziąłem. Nagle coś pstryknęło, gdy uniosłem tubkę błękitu falowego. Rozejrzałem się po pokoju, podświadomie oczekując, że odsunie się teraz jakieś płótno. Nic. Za mną wciąż stała sobie sztaluga i nic nie zagłuszało spokoju, jeśli nie liczyć nieboskiej komedii kolorów tuż pod nią.

Za to po drugiej stronie szafki pojawił się elegancki kwadracik ciemności. Ujrzałem kamienne schody prowadzące w dół do czegoś, co z pewnością było bardzo niegrzeczne. Obszedłem szafę i ruszyłem po schodach, rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś sposobu, by je zamknąć. Elchaszab na pewno nie zostawia za sobą otwartych drzwi, gdy chce zejść na dół zająć się swoją brudną robotą. Zobaczyłem całkiem spory przycisk podpisany po arabsku ZAMKNIĘCIE, ale pobłyskiwał niepokojąco białą poświatą, więc go sobie odpuściłem. Wystarczyło jeszcze kilka schodków w dół i straciłem już całe światło z pracowni, natomiast gdzieś z głębin przede mną docierał do mnie nikły blask może z jakiegoś pomieszczenia albo tunelu, trudno powiedzieć. Włączyłem noktowizję i tak udoskonalonym wzrokiem rozejrzałem się wokół. Na samym dole schodów ujrzałem mały, niepodpisany i nieświecący magią przycisk. Wcisnąłem go. Drzwi zamknęły się za mną, a do tego zamrugał cały ciąg starych żarówek, oświetlając tunel i sprawiając, że moja noktowizja stała się zupełnie niepotrzebna. Rozplotłem ją więc i ostrożnie ruszyłem dalej korytarzem o gładkich ścianach wzniesionych z takich samych cegieł jak reszta budynku. Szedłem cały czas lekko w dół. W końcu podłoga była już tak pochyła, że wolałbym chyba schody. Najwyraźniej wchodziłem pod fosę Elchaszaba. Potem jeszcze kawałek i po kilkuset metrach znów spadek zrobił się ostry, aż wreszcie pojawiły się schody. W końcu tunel odzyskał poziomą podłogę i po trzech czy czterech metrach wszedłem do oszałamiającego

pomieszczenia, którego na pewno nie zbudował Elchaszab. Tak, zainstalował tu żarówki i jego obecność dosłownie czuło się w całej tej komnacie niczym warstwę tłustego brudu, ale to miejsce było na pewno ze dwa razy starsze ode mnie. Przede mną rozciągała się wielka sala podtrzymywana przez masywne kolumny. Ani chybi znajdowałem się głęboko pod zbadanymi i opisanymi ruinami Krokodylopolis. Gapiły się na mnie oparte o ścianę sarkofagi mające dobre cztery tysiące lat. Nie były to oczy ludzi czy Anubisa, tylko Sobka. Takich sarkofagów w życiu nie widziałem. Ucieleśnione marzenie archeologa. Albo czarnoksiężnika. Nigdy jeszcze nie widziałem sarkofagu Sobka, a tymczasem w tej komnacie było ich co najmniej ze dwadzieścia, każdy o wysokości dobrych dwóch metrów. Ciekawe, czy w środku wciąż znajdują się mumie i czy się dobrze zachowały. Przystanąłem, żeby przyjrzeć się jednemu, który wydawał mi się w wyjątkowo dobrym stanie.

Łeb krokodyla zdobiła wysoka żółta korona i czerwony dysk będący symbolem Amona-Ra. Zamiast typowych atrybutów faraonów, czyli laski pasterskiej i bicia, zwanych heka i nechaha, pan krokodyl trzymał w prawej ręce uas, berło symbolizujące władzę, a w lewej anch, znak życia, przy czym palce zacisnął na jego pętli, a dołem krzyża wskazywał swoje prawe ramię. Ludzkie ciało wyrzeźbione było z wapienia i ozdobione płytkami z kolorowych kamieni układających się w barwną mozaikę. Część z kamyczków była połączana, a wokół szyi boga skrzyły się klejnoty. Łeb krokodyla zrobiono z polerowanego, pięknie rzeźbionego bazaltu. Zęby miał wyrzeźbione z wapienia i pomalowane na biało. Część farby już się odkruszyła, widać więc było, jak wyglądały przed pomalowaniem. Uas i anch nie były z kamienia, ale chyba z połączanego brązu.

Nie jestem ekspertem od egipskich wykopków, ale tak na oko te sarkofagi pochodziły najdalej z okresu Średniego Państwa – a wcale bym się nie zdziwił, gdyby były w ogóle z okresu Nowego Państwa, na co by wskazywała ta robota. Normalnie nogi i stopy są na sarkofagach ledwo zasygnalizowane, namalowane albo tylko zaznaczone płaskorzeźbą na powierzchni, ale te były całkowicie wyrzeźbione.

To jakiś cud, że nie zostały dotąd zrabowane – nie tylko przez Elchaszaba, ale przez całe pokolenia złodziei. Choć z drugiej strony nie było tu nic więcej poza samymi sarkofagami, więc jeśli to była tradycyjna komnata grobowcowa, to całkiem sporo z niej już zniknęło. Ale dlaczego Elchaszab miałby wziąć wszystko inne, a zostawić sarkofagi? Tajemnicza sprawa.

Już miałem dotknąć ancha, gdy usłyszałem chlupot i stękanie jakiegoś zwierzęcia w komnacie obok. A potem echo charakterystyczne dla dźwięku rozchodzącego się w pomieszczeniu, gdzie jest kamień i woda. Zamarłem.

Czai się tu o wiele więcej niebezpieczeństw niż tylko robótki Elchaszaba. Poza tym czymś, co właśnie stęknęło, jest tu pewnie jeszcze mnóstwo prastarej magii, która tylko czeka, żeby mnie dorwać. Być może czeka właśnie w tym sarkofagu. Choć zimne żelazo powinno mnie w zasadzie przed nią ochronić, rozsądek nakazywał najpierw jednak przyjrzeć się jej w magicznym spektrum. Odsunąłem rękę. W sumie te sarkofagi raczej nigdzie się nie wybierały. Mogę je sobie obejrzeć później. Na razie lepiej skupić się na przeprowadzeniu rekonesansu.

Ostrożnie ruszyłem dalej, czujnie rozglądając się po pomieszczeniu. Ciąg żarówek pojawiających się w nierównych odstępach tworzył coś w rodzaju kałuż żółtego światła, trochę tak jak latarnie na ulicy, a tymczasem we wszystkich kątach panowała kompletna ciemność. Za pierwszymi kolumnami ujrzałem znajome znaki na podłodze: okrąg zamknięty w kolejnym, a w nim nie tyle pentagram, ile mieszanina linii, liter hebrajskich i mistycznych symboli wprost z *Więszzego Klucza Salomona*. Był i Biały Nóż, i Czarny Nóż, i Sierp, i Miecz, i wszystko inne. Elchaszab zdecydowanie był kimś więcej niż tylko krokodylim kapłanem. Tkwił po pachy w mrocznej części magicznego bajora – zupełnie tak jak niegdyś Nebwenenef.

Ściany zbiegały się w taki sposób, że musiałem zbliżyć się do środka pomieszczenia. Stamtąd zobaczyłem przejście do następnej sali. Zdobione było płaskorzeźbami mającymi świadczyć o wielkości Sobka. Przynajmniej tak zinterpretowałem rozdziawioną paszczę krokodyla wyrzeźbioną nad

przejściem.

Kolejne pomieszczenie było słabo oświetlone. Pojedyncza żarówka walczyła niemrawo z mrokiem napierającym z każdego kąta. Moje nozdrza zaatakował zapach wody i fetor zgnilizny. Coś tu umarło. Może więcej cosiów. Ten smród jak dla mnie stanowił wystarczający znak, że czas wyciągnąć z pochwy Fragaracha.

Zrobiłem dwa kroki w głąb pomieszczenia i usłyszałem szmer wody. Przekląłem żalosne starania żarówki, bo przez nią znów musiałem włączyć noktowizję, żeby cokolwiek zobaczyć. Ta komnata była mniej więcej tej samej wielkości co poprzednia, tylko że pośrodku nie było żadnych symboli nabazgranych na podłodze – znajdował się tam basen czarnej wody. Wprost z niej wyrastały kolumny podtrzymujące sklepienie, a powierzchnia była lekko wzburzona, jakby coś się właśnie pod nią poruszyło.

Nietrudno było zgadnąć, co czyha na mnie w tej otchłani. Ten drań zostawił mi tu krokodyla. A może kilka. Za lewym ramieniem usłyszałem cichy elektryczny szum.

W kącie czaiła się starodawna zamrażarka, spod której sunął gruby kabel. Ginął gdzieś w pomieszczeniu, z którego właśnie wyszedłem. Widocznie Elchaszab przeciągnął za sarkofagami prąd aż tutaj. Otworzyłem zamrażarkę. Była pełna steków i pieczeni. Oberonowi by się to podobało. Wyjąłem kilka i cisnąłem na podłogę tuż przy basenie, a ostatni wrzuciłem do wody. Coś natychmiast zareagowało w ciemnościach, a ja przemknąłem się odwrotnie do wskazówek zegara z mieczem wyciągniętym przed sobą. Jeśli to coś będzie mnie chciało zezreć, będzie musiało sobie najpierw schrupać ostrze Fragaracha. Gdy tylko ruszyłem wzdłuż dłuższej ściany, usłyszałem plusk w miejscu, z którego właśnie uciekłem, a potem kilka poważnych odgłosów paszczowo-gębowych. W słabym świetle mignęło mi złoto. Olbrzymie cielsko zsunęło się do wody niczym zatrwazający sinus – był to największy krokodyl, jakiego w życiu widziałem, a do tego tak obwieszony metalem, że dla niego samego warto by wrócić do systemu waluty złotej. Popędziłem do następnej ściany i

wymknąłem się przez kolejne przejście. Nie mogłem nic zrobić, by powstrzymać krokodyla przed przeleżeniem tam za mną, pozostawało mi więc liczyć na to, że nie będzie akurat w nastroju, by opuścić swoje przytulne bagienko z jakże łatwymi do upolowania stekami.

Ta komnata była z kolei dość dobrze oświetlona, tak jak pierwsza, mogłem więc rozpleść zaklęcie noktowizji. Jej zawartość natomiast była zupełnie inna. Zamiast ciągu sarkofagów pod ścianą znajdowały się w niej skrzynie – takie zwykłe drewniane, które były popularne, nim zaczęły nam się kończyć drzewa na planecie i ludzie wpadli na pomysł, że może by jednak używać kartonów, bo recykling i w ogóle. Pewnie były wypchane po brzegi skarbami, których brakowało w pierwszej komnacie. Zostawiłem je w spokoju. Ministerstwo do spraw Starożytności na pewno się ucieszy, że je im tak ładnie zapakowano. Mnie o wiele bardziej interesowały podejrzanie negatywne wibracje, które wyczuwałem na drugim końcu pokoju.

Elchaszab przerobił stary kamienny blat, który być może służył dawno temu do balsamowania ciał, na prowizoryczny ołtarz. Kamień upačkany był całą cieczami, które raczej powinny siedzieć w środku ciała, a do tego na każdym jego końcu leżała mała czaszka.

Wokół ołtarza wyrysowane były wielkie koła, a wzdłuż ich obwodów symbole modlitewne i ochraniające. W środku starannie ułożono materiały rytualne. A do tego jeszcze inne koła – wzywające. Koła splatające, zdobione nie czym innym jak pentagramami. Smród siarki potwierdzał, że udało mu się już kiedyś wezwać demona, i to ucieleśnionego – nie jedynie ducha, na którą to formę wskazywałyby koła z pierwszego pomieszczenia. Między gwiazdami znajdowały się starannie wymalowane zaklęcia wzywania, splatania, zmuszania, podporządkowywania i wygnania. Wyglądało to niemal zbyt perfekcyjnie.

Przyjrzałem się podejrzliwie ołtarzowi. Dwie czaszki ustawione były pod dokładnie tym samym kątem. Obok jakieś miski z rytualnymi składnikami – sól, ogony salamander i takie tam – i każda misa znajdowała się w tej samej

odległości od poprzedniej co następna. Świece były nowiuteńkie i wszystkie tego samego rodzaju. Nóż ułożony idealnie prostopadle do krawędzi stołu.

Przed oczami stanęła mi tamta łazienka dla gości – odświeżacz powietrza, elegancko złożone ręczniki. I porządek w bibliotece. Nawet pracownia, w której miał niby panować artystyczny nieład, tylko została tak zaaranżowana, i to z wielką starannością. Facet ma zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne. To pewne.

To by zresztą miało sens. Magia to nie żarty i wymaga precyzji. Ale pomyślałem sobie, że splątam mu figła. Wystarczy jedno zadrapanie paznokciem po zaklęciach zmuszania, podporządkowywania i wygnania, a dostanie szału. Spędzi godziny na przemalowywaniu wszystkiego od nowa, żeby znów było idealnie. To znaczy – jeśli wcześniej go nie zabiję.

Na ołtarzu stały niewzruszone moimi oględzinami złote posążki: Sobek, Amon i Amon-Ra. Ich martwe, namalowane oczy spokojnie czekały na modły i ofiary. Prychnąłem ubawiony – Elchaszab najwyraźniej nie mógł się zdecydować, o czyje względy zabiegać. Amon był bezdyskusyjnym bossem w czasach wcześniejszych dynastii, ale potem musiał się podzielić posadą z Ra, a Sobek jest według niektórych opowieści uważany za manifestację boga Amon-Ra. Pewnie biedny Elchaszab nie był pewien, który z tych trzech ma właściwie otrzymywać ofiary z *Grymuaru jagnięcego*.

Była to ostatnia komnata. W kącie za ołtarzem, na lewo ode mnie, wiała się klatka schodowa prowadząca na górę. Jeśli da się tędy wyjść na powierzchnię, to wiem już, jak wynosi stąd swoje skarby. Nie musi szmuglować ich prosto z pilnie strzeżonego przez rząd domu – po prostu wyłania się zupełnie gdzie indziej.

To wyjaśniało też właściwie, dlaczego nie posprzedawał tych sarkofagów. Już nawet mniejsza o to, że to by mogło wywołać zbyt wiele niewygodnych pytań – ale po prostu nie dało się ich stąd wytargać po tych wąziutkich schodkach. Zresztą stromym tunelem, którym dotarłem tu z jego pracowni, też pewnie by ich nie wytaszczył. Dlaczego właściwie nie zainstalował sobie tu

zwykłej windy? Czy to by się zbyt rzucało w oczy? Tak czy siak, schody należało sprawdzić. W końcu była to prawdopodobnie moja najlepsza droga ucieczki. Ale najpierw muszę się przyjrzeć ołtarzowi.

Obszedłem go i zauważyłem, że za nim kryje się jeszcze dostawiony mniejszy stoliczek, coś w rodzaju niewielkiego biureczka, niższego od ołtarza, dlatego nie mogłem go zauważyć, gdy wszedłem do pomieszczenia. Na nim leżały dwa zwitki papieru. Nie, pergaminu. Coś niesamowicie starego, pewnie nielegalnego. Inkaust już wyblakł i pergamin kruszył się ze starości. Ale wystarczyło spojrzeć w magicznym spektrum, żeby wszystko dało się ładnie odczytać w jasnym świetle starożytnej magii. Założę się o pięć herbatniczków, że to o tym właśnie wspomniał Elchaszab. Zapiski samego Nebwenenefa.

W pierwszym odruchu chciałem je po prostu zniszczyć, ale pomyślałem, że gospodarz od razu by to zauważył i już by wiedział, że ktoś tu był. Jak wszystko przy ołtarzu, zwoje też były idealnie ułożone. Głupio byłoby przez coś takiego zdradzić swoją obecność. Ale na pewno wrócę tu i zniszczę je, nim stąd wyjdę.

Odwróciłem się w stronę schodów. Były metalowe i bardzo porządne. Nie skrzypiały i nie drżały, gdy się po nich wspinałem, i mój wewnętrzny ninja był pod wrażeniem. Za to przeciw były inne moje wnętrzości – a konkretnie żołądek. Coś tu strasznie śmierdziało pod sufitem. Ale jakoś inaczej niż w tamtej komnacie z krokodylim bogiem.

Gdy dotarłem do sufitu, zamarłem. Fetor czuć było z pomieszczenia nade mną, ale stąd jeszcze nic nie widziałem. Po cichu wyciągnąłem sztylet z torby i wsunąłem go w dziurę nad moją głową, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiejś pułapki. Pomachałem nim na boki. Przejechałem nim wzdłuż brzegów. Nic.

Zrobiłem ciche a kuku, czując się przy tym trochę kretyńsko, ale co tam – nie po to przeżyłem dwa tysiące lat, żeby teraz wpaść w jakąś zasadzkę Elchaszaba. Żadnej reakcji. I dalej nic mi się nie udało zobaczyć. U góry panowały egipskie ciemności drugiego stopnia.

Włączyłem noktowizję i wyjrzałem na ciut dłuższą chwilę, obracając się

tym razem o trzysta sześćdziesiąt stopni. W balustradzie była przerwa, żeby można było wyjść na piętro, ale wyglądało na to, że znajduje się tu tylko jedno niewielkie pomieszczenie. Tu także był sarkofag, tylko jeden i bardziej zwyczajny niż tamte Sobka, a do tego normalnie położony – znaczy w ogóle był położony, jak panowie bogowie przykazali, a nie postawiony nie wiedzieć po co pod ścianą. Poza tym zobaczyłem trzy duże klatki i to z nich tak cuchnęło. Za mną była tylko naga kamienna ściana, a nade mną ciągnęły się schody ku kolejnym nieznanym piętrům. Schowałem sztylet.

Wspiąłem się po stopniach i wyszedłem na piętro sprawdzić, co jest w klatkach. W pierwszej zobaczyłem niewielki szkielet bez czaszki. W drugiej zgniłe ciało, także pozbawione głowy. Odziane w resztki niegdyś białego płótna, które mocno już zezarły szczury. A może te mięsożerne skarabeusze z *Mumii*, przez które nadal mam koszmary. Trudno było powiedzieć, czy to męskie czy żeńskie ciało, ale było młode. Przypomniały mi się tamte czaszki na ołtarzu. Myślałem, że leżały tam tylko tak dla teatralnego efektu, ale drań naprawdę zabijał dzieci. Demony łatwo namówić do posłuszeństwa, gdy się im złoży taką ofiarę.

W trzeciej klatce zobaczyłem kolejne nieruchome ciało. Leżało nogami do drzwi, a korpus skrywał głowę – o ile miało jeszcze głowę. Smród był okropny. W kącie stało wiadro wypełnione po brzegi odchodami. Może to zabrzmiało dziwnie, ale dzięki niemu odzyskałem nadzieję.

– Hej, mały – szepnąłem, po czym dotarło do mnie, że pewnie nie muszę szeptać i że lepiej by było mówić po arabsku. – Obudź się! – zawołałem.

Zero reakcji. Ścisnęło mnie w gardle, ale krzyknąłem jeszcze raz. Dziecko ani drgnęło.

Skupiłem się na zamku i splotłem jego mechanizm tak, żeby przesunął się do pozycji otwierającej. Pociągnąłem drzwi do siebie i wszedłem do klatki. Chłopiec – bo był to chłopiec, tak na oko dziesięcioletni – miał głowę. Żył, ale był nieprzytomny. Puls, który wyczułem na szyi, był słaby. Był pewnie odwodniony i zagłodzony. Elchaszab po prostu go tak zostawił i wybrał się do

Ameryki ukraść mój grymuar.

Nie mogłem pozwolić, by tak tu leżał choć chwilę dłużej. Potrzebowałem opieki medycznej i to natychmiast. Tak jak robiłem to często z Oberonem, wykonałem splot, żeby dziecko mogło wykorzystywać magię z mojego niedźwiedziego charmsa. Gdy tylko zakończyłem zaklęcie, otworzył oczy i zaczął uciekać przede mną, kulić się w kącie klatki, zasłaniając się rękoma i błagając po arabsku, żebym go nie zabijał.

– *Salaam* – powiedziałem. Biedak miał prawo być przerażony. – Przyszedłem cię stąd zabrać. Uciekajmy od tego człowieka. – Wycofałem się z klatki, drzwi zostawiłem otwarte i pokazałem mu, że jestem na wolności. – Chodź! – Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przecież on nic nie widzi po ciemku i może myśleć, że ja to Elchaszab. Rzuciłem na niego zaklęcie noktowizji i znów zacząłem go namawiać. – Chodźmy. Po schodach w górę. Chodźmy do domu. Twoi rodzice na pewno się o ciebie martwią.

Miałem nadzieję, że szybko się zdecyduje. Energii w charmsie nie starczy na długo, właściwie to już się kończyła.

– Nie pracujesz dla niego? – spytał, wpatrując się we mnie oczami jak spodki.

Prychnąłem i pokręciłem głową.

– Nie. Od śmierci wolę życie. Jeśli ktokolwiek dziś umrze, to będzie to on, nie ty. Chodź.

– Kim jesteś?

Dobre pytanie. Od razu do głowy przyszły mi imiona kilku superbohaterów, przy czym moim zdaniem najfajniejszy jest niewątpliwie *Whiskey Man*, bohater może nieco podejrzany, ale chłopczyk pewnie nawet nie wiedział, co to whisky.

– Mów mi Atticus – powiedziałem więc. – A ty jak masz na imię?

– Hamal.

– Jesteś z Fajum, Hamalu? – Skinął głową. – Dobrze. Twój dom jest tam na górze. Chodźmy.

Wyciągnąłem do niego rękę i poruszył się wreszcie. Wstał i nagle rzucił się w moją stronę, wskoczył na mnie i wtulił się kurczowo, jakby był o wiele młodszy. Zacisnął mi ręce na szyi.

– Dobra, tak też damy radę – mruknąłem i niosąc go, ruszyłem po schodach.

Minęliśmy następne mroczne piętro, pomieszczenie pełne kolejnych skrzyń i jeszcze jedno, a potem szliśmy długo przez litą skałę. W końcu dotarliśmy do małego, wyraźnie nowoczesnego pokoju, który służył za przebieralnię. Na wieszakach wisały rozmaite stroje, dzięki którym Elchaszab mógł wymykać się na zewnątrz, wyglądając zupełnie inaczej, niż kiedy wchodził do domu. Na kilku monitorach widać było jakąś pustynię z różnych perspektyw. Pewnie było to miejsce, gdzie wychodziło się stąd na dwór. Nikogo nie było akurat widać. Rozplotłem naszą noktowizję.

Tym razem nie kusił mnie żaden wielki czerwony przycisk – Elchaszab był widocznie pewien, że tu już nikt nie trafi. Zwykły pstryczek w ścianie przy schodach otwierał ukryte drzwi, które okazały się sztucznym gładem. Znajdował się on w krzakach, i to ciemnych, przez co wyjście okazało się nieco bolesne, ale za to idealnie ukryte.

Ciekawe, kto zbudował Elchaszabowi ten odlot rodem z filmów płaszczka i szpady. I czy ten ktoś jeszcze żyje, czy może skończył jako obiadek dla krokodylego boga tam, na dole.

Gdy już byliśmy na zewnątrz, czekałem chwilę, aż drzwi się za mną automatycznie zamkną, ale guzik. To oznaczało, że znów muszę szukać pstryczka, a nie było to takie łatwe, bo Hamal nie chciał mnie puścić. W końcu jednak znalazłem mały przycisk na samym gładzie, tuż nad ziemią, i udało się zamknąć drzwi. Wylądowaliśmy na skale na pustyni na północ od jeziora. Miasto znajdowało się dobre kilka mil stąd na południe.

– Proszę bardzo – powiedziałem do Hamala. – Już jesteśmy na powierzchni. Już jesteś bezpieczny.

Chłopiec jednak nic na to nie powiedział, tylko zaczął płakać. I to bez łez,

co nie było dobrym znakiem. Był koszmarnie odwodniony, a jezioro na nic się tu nie zda. Kiedyś w starożytności miało słodką wodę, ale teraz jest słone i niemal zupełnie odcięte od Nilu.

Znów miałem ziemię pod stopami, więc załadowałem niedźwiedzi charms i pobrałem jeszcze trochę, żeby móc biec jak najszybciej. Pojęcia nie miałem, gdzie tu jest najbliższy szpital.

Popędziłem wzdłuż brzegu jeziora, potem na południe, aż dotarłem do przedmieść Fajum i znalazłem bazar. Ludzie patrzyli na mnie podejrzliwie – co wyprawia ten biały człowiek z mieczem niosący brudnego chłopca?

Czas było postawić na ludzką przyzwoitość. Zacząłem po arabsku wzywać pomocy.

– Ten chłopiec potrzebuje wody! Znalazłem go na pustyni!

Natychmiast otoczyły nas ze cztery osoby. Poza oazą pustynia jest tu sucha i bezlitosna. Ludzie dobrze o tym wiedzą.

Zerwałem połączenie, przez które przekazywałem Hamalowi energię, i jego uścisk natychmiast stracił na sile. Dzięki temu udało mi się go położyć na ziemi. Przyklęknąłem przy dziecku. Ktoś miał menażkę z wodą i przytknął ją do ust Hamala.

– Ostrożnie, nie za dużo. Ten chłopiec potrzebuje lekarza. Nie znam okolicy. Czy jest tu szpital? – spytałem, żeby pchnąć sprawy w odpowiednim kierunku, i to zanim ludzie zaczną zadawać takie proste pytania, jak: „A co ty, chłopie, robiłeś na pustyni?”.

Od razu wybuchła kłótnia co do najrozsądniejszego rozwiązania – czy dzwonić po karetkę, czy wołać lekarza, który podobno mieszkał niedaleko, czy może zanieść chłopca do szpitala, bo wiecie, jak to jest z karetkami, i czy przyjedzie dość szybko? Przez chwilę nikt na mnie nie patrzył, więc zarzuciłem kamuflaż i się wycofałem.

Zauważyli, że zniknąłem, ale nie mogli się połapać, gdzie się podziałem. Stałem cicho obok i słuchałem. Szybko machnęli na mnie ręką, bo najważniejsze teraz to uratować dziecko. Otóż to. Wiedziałem już, że zajmą się

Hamalem i oddadzą go rodzicom, więc pobiegłem z powrotem na pustynię i wlałem w krzaczory. Znalazłem przycisk na głazie i drzwi znów się przede mną otworzyły. Po raz drugi ruszyłem w dół, ale już z załadowanym maksymalnie charmsem i zaciśniętą szczęką. Najwyższy czas, żeby krokodyli kapłan dostał za swoje.

Niestety niczego nie będzie mógł dostać, póki się tu nie zjawi. Rzuciłem jeszcze okiem na komórkę. Żadnych wieści z Kairu od Jusufa.

Siadłem przy schodach na tym piętrze, gdzie znalazłem Hamala, i postanowiłem się uzbroić w cierpliwość. Elchaszab w końcu wróci. Tego byłem pewien. Będzie bowiem chciał jak najszybciej wypróbować *Grymuar jagnięcy*. A to będzie chciał przecież zrobić nie gdzie indziej jak na swoim ołtarzu z rozlicznymi posążkami Amona. Wtedy zapłaci mi za wszystko, co zrobił Hamalowi i innym biednym dzieciakom.

Jeśli jednak Elchaszab nie wróci wystarczająco szybko, może go ubiec policja, bo przecież Hamal w końcu zacznie mówić. Zdecydowanie wolałbym sam poinformować o wszystkim odpowiednie służby – już po tym, jak przejmę grymuar.

To doprawdy dziwne, że archeologowie nie odkryli dotąd tych komnat. Tak, znajdowały się głęboko pod ziemią i w dodatku nie było nad nimi żadnej przyjemnej piramidki, która by wrzeszczała: „Hej! Tu będzie co łupić”, ale jednak przecież w dzisiejszych czasach nie brakuje im sprytnych elektromagnetycznych ustrojstw, które służą właśnie do namierzania tego typu skarbów. Jedyne wyjaśnienia, jakie mi przychodziły do głowy, to: albo Elchaszab jakoś chronił ten teren przed poszukiwaniami za pomocą rytuałów lub po prostu łapówek; albo może prawdziwy Sobek postanowił skrywać swoje skarby. Jeśli się weźmie pod uwagę, z jaką zapalczywością walczyła o swoją książeczkę Bastet, to całkiem prawdopodobne, że i Sobek jest równie nadopiekuńczy, gdy w grę wchodzi jego dziedzictwo.

Podczas archeologicznej orgii na początku dwudziestego wieku egipscy bogowie napawali się jakiś czas tym nagłym zainteresowaniem całego świata.

Wiedziałem jednak dobrze, że nie wszystko jeszcze zostało znalezione, bo entuzjazm bogów znacznie osłabł, gdy się połapali, że to zainteresowanie wcale się nie przekłada na wzrost liczby wyznawców. Toteż teraz już nie zdradzali swoich sekretów tak ochoczo jak niegdyś. A to miejsce było takim właśnie sekretem Sobka.

Im dłużej nad tym myślałem (a czasu miałem aż za dużo), tym bardziej byłem pod wrażeniem sprytu Elchaszaba. Nie brakowało mu ani talentu, ani odwagi, by współpracować z demonami, ale chyba nawet on musiał przecież zdawać sobie sprawę, że porywanie i zabijanie dzieci to nie jest metoda, którą da się długo wykorzystywać. Gdyby jednak mógł osiągać te same efekty, zabijając jedynie jagnięta zamiast dzieci... Cóż, wtedy właściwie nic by go już nie ograniczało. Nikt się przecież nie przejmuje, gdy zarzynasz jagnięta. Po to ci je sprzedają.

Chlupnięcie i przerażone beczenie. Czyli wrócił w końcu Elchaszab i ma ze sobą jagnię. Jak tylko nakarmi swojego krokodylka, wejdzie do komnaty przede mną. Obnażyłem po cichu Fragaracha i przycupnąłem przy schodach.

Beczenie nie ustawało, było teraz jeszcze głośniejsze, a do tego słyszałem ciche przekleństwa mamrotane przez Elchaszaba.

– Jeszcze tylko spacyfikuję tego tu i spokój – warknął do siebie. – Najchętniej to bym cię od razu poświęcił i z głowy. Stójże spokojnie.

Głośniejsze beczenie. Potem coś huknęło o ołtarz. Może Elchaszab rzucił grymuarem o blat?

– Proszę bardzo, Nebwenenefie. Zdobyłem go, widzisz? – powiedział czarnoksiężnik, a w jego głosie słychać było dumę.

Szelest, może plastikowych siatek, potem chyba coś wysypał na kamienie. Ostry metaliczny dźwięk noża wyciąganego z pochwy.

– Ale najpierw muszę w końcu załatwić tamtego. Hamal! – zawołał, śpiewnie przedłużając drugą sylabę.

Mało nie prychnąłem. Większość seryjnych morderców woli nie znać imion swoich ofiar. Łatwiej się śpi w nocy ze świadomością, że się zabiło

jakieś tam ofiary, a nie ludzi mających imiona, rodziny. Ale nie Elchaszab.

W ogóle nie przewidziałem, że może chcieć wchodzić tu do mnie na górę. Mój plan zakładał, że zakradnę się do niego na dół, gdy tylko się czymś zajmie. Ale jeśli koniecznie chciał wytknąć łeb przez tę dziurę, to proszę bardzo. Pójdzie łatwiej i szybciej, niż mogłem to sobie wymarzyć.

Po cichu przesunąłem się tak, żeby znaleźć się dokładnie za jego głową, gdy wejdzie po schodach. Przygotowałem miecz. Ciężkie buty stuknęły głucho na stopniach. Jego biała czapeczka wyrosła mi z otworu niczym wielka pianka cukrowa, a gdy tylko pod nią zobaczyłem szyję, zamachnąłem się z całych sił. Ale musiał coś usłyszeć czy wyczuć, bo raptem cofnął głowę, a Fragarach walnął z hukiem w schody.

– Cholera! Kto to? – ryknął Elchaszab.

Zakląłem w duchu i odsunąłem się od schodów. Tylko dureń zostaje tam, gdzie wróg może go namierzyć.

– Czy to ty, Hamalu? Jak udało ci się uciec?

Czarnoksiężnik przemyślał sobie to, co powiedział, i sam uznał, że gada od rzeczy. Gdyby to był dziesięcioletek, nie czekałby, nie szykował zasadzki, tylko uciekał gdzie pieprz rośnie. Świadomość Elchaszaba powoli przetrawiła dane przekazane przez podświadomość.

– Nie. To był miecz. To ty. Amerykański czarodziej – przeszedł na angielski. – Wiem, że tam jesteś, O'Sullivan. Pojęcia nie mam, jak się tu dostałeś, ale zaraz tu umrzesz.

I więcej nic już nie powiedział, co mnie nieco rozczarowało. Liczyłem na dłuższy monolog. Czy miał nadzieję, że mu coś na to odpowiem? Po moim trupie. Nie zamierzałem też ani kichać, ani puszczać bąków, ani w ogóle nic, co by zdradziło moje położenie. A już na pewno nie planowałem zaglądać na dół. Ale on też już nie wetknie tu łba. Poniekąd mieliśmy impas.

On nasłuchiwał. Ja też. Tylko beczenie jagniątko. Aż w końcu Elchaszabowi się znudziło to wzajemne nastawianie uszu i zaczął się znów ruszać. Zapalił kilka zapalek, pewnie żeby zapalić świece na ołtarzu.

Przestawiał miski. Coś tam mamrotał pod nosem, ale nic nie rozumiałem, bo mówił okropnie cicho i niewyraźnie, a może był to jakiś nieznan mi język.

Nagły głęboki wdech i syk z bólu. Co on, do diabła, wyprawia? Znów zaczął coś tam bełkotać, ale teraz już głośniejszym, śpiewniejszym i wiedziałem już, że na pewno nie znam tego pełnego szczelinowych i gardłowych głosek języka.

Bogowie niejedyni! On wzywa demona i użył do tego własnej krwi. Poszczuj go tu na mnie. Ale jeśli rzeczywiście to właśnie robi, to musi się dość skupić, więc na pewno nie patrzy na schody. Postanowiłem, że zaryzykuję i zajrzę.

Cicho podszedłem do dziury, położyłem się na podłodze, chwyciłem się krawędzi prawą ręką i zawisłem głową w dół tak, żeby móc szybko spojrzeć na dół.

Z komnaty na dole padało żółtawopomarańczowe światło, ale właśnie w chwili, gdy tam zajrzałem, zmieniło barwę na czerwoną, a do tego huknęło, jakby ktoś z dużym impetem zatrzasnął lodówkę. Aż schody zadrżały.

– Tak! – wrzasnął Elchaszab, a światło znów stało się żółtopomarańczowe.

Spojrzałem w dół i ujrzałem, że krokodyli kapłan radośnie i triumfalnie wymachuje pięściami. Wpatrywał się z zachwytem w demona, który pojawił się w kręgu wzywania. Wyraźnie w ogóle go nie ruszały duszące opary siarki, które wypełniały komnatę. Po prostu wiedziałem, że zaraz zarechocze upiornie, a potem z satysfakcją i triumfalnie rozkaże temu demonowi mnie zeżreć. Tylko że nagle rozległ się diabelsko ochryply głos – i to on zabrzmiał upiornie i triumfalnie. Elchaszabowi zrzędła mina. Coś poszło bardzo nie po jego myśli.

– Nie! – Jego głos przeszedł w kompletnie spanikowany falset.

Właśnie docierało do biedaka, że nie ma jak okiełznać tego demona, bo ktoś mu porysował pieczęć zmuszania. I nie, nic nie wyjdzie z podporządkowywania, bo i ta pieczęć została złamana. Ani – z tego samego powodu – z wygnania. Jeden mój ruch paznokciem w połączeniu z jego pośpiechem, by mnie zabić. I wystarczyło. Już było po nim. Pozostało mu jedynie wrzeszczeć do woli, gdy demon rozszarpywał jego brzuch, a jelita

wypływały na podłogę. Wrzeszczał dość długo. Demon mlaskał z rozkoszy, pałaszując go żywcem.

Sprawiedliwość.

Wycofałem się, jak najciszej potrafiłem, ale demon na pewno wiedział, że tam jestem. Demony niezawodnie potrafią namierzyć swoje ofiary. Zaraz tu po mnie przyjdzie, to pewne. Jeśli jednak będę usiłował uciec schodami w górę, dorwie mnie szybciej, bo będę miał słabą pozycję do obrony. A tymczasem miałem przecież kilka asów w rękawie, którymi większość śmiertelników nie mogła się pochwalić: miałem amulet z zimnego żelaza spleciony z moją aurą, co chroniło mnie przed większością magii, a mój miecz przecinał każdą zbroję. Demony nie mają w zwyczaju nosić kolczug ani innej tradycyjnej zbroi, ale nie pogardzą magicznymi zbrojami odpornymi na zwykłą broń ludzką. Lecz Fragarach był bronią niezwykłą.

Odsunąłem się od dziury, bo miałem niepokojące przeczucie, że ten demon jest znacznie szybszy ode mnie, i to nawet jeśli podkręcę sobie prędkość. Ale i tak ją sobie oczywiście podkręciłem. Jeśli będzie musiał wleźć po tych wszystkich stopniach na górę i mnie namierzyć, nim będzie mógł przystąpić do ataku, to zawsze jednak trochę mu to zajmie, więc powinno mi to dać czas na zadanie ciosu. A być może w swojej arogancji nie będzie nawet ostrożny.

Elchaszab wyzionął w końcu ducha, zupełnie więc już nie interesował demona, dla którego liczył się tylko ból i strach. Uświadomiłem sobie, że owieczka też już jakoś nie beczy. Trudno było powiedzieć, czy nie żyje, czy może po prostu liczy na to, że demon jej nie zauważy. Nie widziałem jej jakoś, kiedy wykonywałem swoje akrobatyczne a kuku, ale też za bardzo jej wtedy nie szukałem.

Demon był teraz zupełnie wolny. Osoba, która go wezwała, nie żyła; nic go nie ograniczało. Jagnię, nawet jeśli jeszcze żyło, nie mogło się poszczycić porządną duszą, dlatego demon postanowił dorwać mnie.

Nie usłyszałem żadnych kroków na schodach, tylko okropny rumor i już był u góry – żarzący się na pomarańczowo niczym sterta węglików. Gęba,

rozdęty brzuch i dwie pary olbrzymich łap, żeby zagarniać zarcie do paszczy. Żadnych nóg. Tylko wielkie czarne cielsko zaokrąglone niczym balon. Przemieszczał się na kłykciach. Gębę rozdziawił w uśmiechu.

– *Khaja gorl mahka...* – zaczął.

Głos miał niczym bardzo gderliwy Tom Waits plus palnik acetylenowy. Nie dałem mu skończyć zdania. I tak go nie rozumiałem. Skoczyłem o wiele szybciej, niż się tego spodziewałem, i odrąbałem mu przednią lewą łapę na wysokości łokcia.

Zdumiało go to, ale zdumienie nie złagodziło jego reakcji. Z rykiem zamachnął się na mnie prawą przednią łapą, nie tracąc zupełnie równowagi, mimo że stał przez to tylko na dwóch łapach. Próba zablokowania tego ataku kosztowała mnie złamany nadgarstek lewej ręki. Cofnęliśmy się obaj, ranni i czujni. Uznałem, że najlepszą strategią będzie atak. Demon na pewno nie był przyzwyczajony do gry w obronie, a ja musiałem jak najszybciej i jak najlepiej wykorzystać wszelką przewagę, jaką miałem, bo moje zapasy magii były ograniczone.

Zamachnąłem się na jego lewą stronę, wysoko, gdzie byłoby trudno cokolwiek zablokować. Odwrócił się, żeby uniknąć ciosu, i odpowiedział machnięciem tylnej prawej łapy. Przewidziałem to jednak i udało mi się odkręcić, tak jak jemu przed chwilą. Ale przy tym zauważyłem, że na tylnych łapach nie ma takich wielkich pazurów jak na przednich. Pewnie głównie służyły mu do przemieszczania się.

Był szybszy ode mnie, ale ranny i nieprzyzwyczajony bronić się przed mieczem. Dotąd widział tylko dwa proste machnięcia, być może więc zdawało mu się, że to wszystko, co potrafię. Udałem więc, że znów biorę zamach na jego lewą stronę, a potem skręciłem nadgarstek i przesunąłem miecz przed ciałem, żeby zasłonić je przed prawym sierpowym, którego się spodziewałem. Fragarach trafił go w nadgarstek i odrąbał mu zdobioną pazurami dłoń. Ten ruch odsłonił jednak mój prawy bok.

Demon zupełnie zwariował. Zostały mu tylko dwie łapy, więc gdy

zobaczył, że się odsłoniłem, odbił się z tylnej prawej nogi i rąbnął mnie lewą pięścią w żebra, łamiąc mi je skutecznie. Runąłem na ziemię, zachodząc w głowę, gdzie się podziało powietrze tego świata.

Pojęcia nie miałem, jak bym miał teraz wstać. Lewy nadgarstek nie wytrzyma ciężaru. Połamane żebra uniemożliwiały przetoczenie się na prawą stronę. Nie miałem jak oddychać. Uznałem jednak, że to nie szkodzi. Wyglądał mi na takiego demona, co to sam przychodzi do ciebie z walką – szczególnie jeśli wyglądasz na wykończonego. On też nie wylądował po tym ciosie zbyt zgrabnie, ale już szykował się do ataku. Uniosłem ostrze Fragaracha, żeby nie utknęło na podłodze, i podciągnąłem nogi, żeby zmniejszyć cel. Bez powietrza więcej już nie dałem rady zrobić. Próbowałem wziąć bolesny oddech, ale nie spuszczałem oczu z demona.

Ryknął przeraźliwie i owiał mnie cudny zapach gówna i pomoru. Ta odrobina wystarczyła, bym docenił to, że nie mogę wziąć głębokiego wdechu. Zęby bestii przywodziły na myśl kolce punji i były tak zepsute, że powinno się je pokazywać ku przestrodze tym, którzy nie chcą używać nici dentystycznej. Olbrzymia łapa wystrzeliła w moją stronę, napotkała moje ciało i utknęła. Zatrzymała się, po czym opadła bez siły. Stracił za dużo krwi – czy też pewnie raczej ichoru.

– *Barg rah!* – warknął potwór i słowo daje, że to musiało znaczyć „kurwa mać”.

Ale jeszcze miał resztkę sił w tylnych łapach i nim zdążyłem się poruszyć, wbił te swoje cholerne czarne zębiska w moją łydkę. Jęknąłem i zamachnąłem się Fragarachem na jego łeb, odcinając kawałek, jakby to był melon. Cios pchnął go do tyłu, zęby puściły moją nogę i runął na ziemię, by zaraz potem rozplynać się w kałużę siarki. Cieleśna powłoka demona nie wytrzymuje zwykle długo, gdy już zostanie on uwolniony.

Odetchnąłem z ulgą (choć z trudem) i odpoczywałem chwilę – o tyle, o ile dało się przy tylu obrażeniach. Ale smród był tu piekielny, a do tego naprawdę musiałem znów nawiązać kontakt z ziemią, więc po chwili ruszyłem do akcji.

Mimo że w pełni załadowałem przecież charmsa, gdy tu schodziłem, dużo poszło na podkręcenie prędkości i teraz nie zostało mi już wiele na leczenie. Uznałem, że na razie tylko zablokuję ból, żeby móc się poruszać i skoncentrować. Łydka pewnie była zainfekowana jakimiś świństwami z paszczy demona, ale jako tako funkcjonowała. Wstać nie było łatwo – z połamanymi zębami i nadgarstkiem – nogi jednak były w nie najgorszym stanie, więc mogłem zejść na dół i odzyskać grymuar. Albo może lepiej będzie od razu go zniszczyć, razem z zapiskami Nebwenenefa.

Uznawszy, że jestem sam, zwałem się pokracznie po schodach. I to był błąd. Narobiłem mnóstwo hałasu i przez to nie usłyszałem, co się dzieje w pomieszczeniu obok. Zorientowałem się, dopiero gdy już byłem na kamiennej posadzce. Zamarłem. Tarcie, jakby kamienia o kamień. Żółte światło żarówek ukazało mi niepokojący cień na podłodze. Był coraz większy, bo coś zbliżało się do przejścia między moją komnatą a tą, którą należałoby nazwać budą dla krokodyla. Tym razem już bardzo dbając o to, żeby poruszać się jak najciszej, rzuciłem się za ołtarz. Przed nim leżały porzucane resztki częściowo zeżartego Elchaszaba oraz jego plastikowe siatki na zakupy. Grymuar leżał otwarty między świecami, które czarnoksiężnik zapalił tuż przed śmiercią. Moją uwagę zwrócił cichy odgłos przerażenia. To pod ścianą na lewo ode mnie, tuż przy drzwiach, pod skrzyniami pełnymi tajemniczych skarbów kuliło się wciąż jeszcze żywe jagnię. Cień ucieleśnił się w progu, więc przykucnąłem, żeby mu zejść z oczu, gdy tak sunął na ciężkich stopach.

Czymkolwiek był ten potwór, przeraził jagnię na amen – zabezpieczyło przeraźliwie i pewnie zrobiłoby w gacie, gdyby je miało. Zaryzykowałem i wyjrzałem zza rogu ołtarza, uznawszy, że to coś pewnie najpierw zajmie się owieczką.

Był to jeden z sarkofagów Sobka – a raczej jego przód, jego wieko, które nagle postanowiło być mobilne i stać się uosobieniem kamiennie-metalowego koszmaru. Brakowało mu tyłu, w wielu miejscach brakowało mu farby, za to nie brakowało mu pięknego zestawu wapiennych zębów w bazaltowej szczęce, która potrafiła się teraz dość swobodnie jak na kamień otwierać. Jego nogi

działały mniej więcej tak jak u figurek akcji – poruszał się jak sztywniak dzięki pęknięciom w kamieniu na wysokości kolan i bioder. Połączony uas, który tak mnie zaintrygował jako dzieło sztuki, jakoś nagle zupełnie stracił na atrakcyjności, gdy wbił się w żywe ciało. Bo to właśnie zrobiła potwora – prawą ręką wbiła berło w jagnię i złamała mu kręgosłup, potem cisnęła na bok trzymany dotąd w lewej dłoni anch i chwyciła świeżo ubitą jagnięcinę.

Miałem sporo do przemyślenia i mało czasu.

Po pierwsze: jakim cudem to w ogóle ożyło? Czy było to coś naprawdę żywego, czy jakiś rodzaj martwiaka? Było to dla mnie bardzo istotne rozróżnienie, ponieważ jako druid nie mogę za pomocą splotów czynić żadnej krzywdy istotom żywym. Z jednej strony kamienne ciało i to, że wyszło toto z sarkofagu, sugerowałyby jakiegoś umarlaka czy też coś podobnego do golema, ale z drugiej – jeśli to Sobek?

Nie było to całkiem wykluczone, ale chyba jednak mało prawdopodobne. W Kairze Bastet ukazała się najpierw pod postacią kota, a potem jako półczłowiek, więc chyba jednak łatwiej by było Sobkowi przejąć ciało żywego krokodyla z pomieszczenia obok niż ożywić wieko sarkofagu. Sarkofag jednak nie przystanął, żeby udzielić mi niezbędnych wyjaśnień. Wpakował sobie głowę jagnięcia między czarne zębiska i oderwał ją, po czym natychmiast wypluł. Uniósł trupa wysoko, tak by krew spływała mu prosto do paszczęki. Nie połykał jej, bo nie był jednakowoż w posiadaniu gardła. Budową przypominał raczej pacynki, a jednak krew nie wylewała się dołem, tylko wchłaniała się w kamień. Po cichu przeszedłem na magiczne widzenie – co zużyło niepokojąco dużo z moich nikłych już zasobów energii – i ujrzałem, że to nie jest Sobek. Nie miał białej aury typowej dla bogów. Jego ośrodek mocy znajdował się z tyłu paszczy, gdzie spływała i znikła krew. Innymi słowy, było to trochę kamienia i metalu ożywionego przez zewnętrznego ducha. Potem będę się zastanawiał, czyj to duch, dlaczego i w jaki sposób ożywił sarkofag właśnie w tej chwili. Teraz należało się raczej zastanowić, co tu zrobić, żeby nie oderwał mojej głowy i nie wypił mi krwi, jakby to był czerwony napój energetyzujący.

Ucieczka zdawała się atrakcyjnym wyjściem z tej sytuacji. Gabaryty tego potwora – miał dobre dwa metry wzrostu i szerokość regału na książki – uniemożliwią mu raczej przecisnięcie się przez tę klatkę schodową. Tylko że naprawdę nie powinienem przecież zostawiać tu grymuaru. I wolałbym, żeby ten sarkofag nie rósł tu sobie w siłę. Ale jak go pokonać?

Fragarach wiele tu nie pomoże. Świetnie sobie radził z wszelką zbroją, ale nie z kamieniem. Prawdę powiedziawszy, jak się tak nad tym zastanowić, to niewiele jest sztuk walki, które by sobie świetnie radziły z kamieniem. Może dlatego, że nadpobudliwe sarkofagi należą jednak na szczęście do rzadkości.

Mógłbym rozpleść mu stopy – które i tak były połową stóp. Może wtedy przewróci się i po krzyku. Warto było spróbować, choć wtedy zostaną mi już tylko jakieś smętne resztki magii, które ledwo starczą na wyciszenie bólu.

Za pomocą charmsa pozbyłem się magicznego widzenia, ale już zaklęcia rozplatającego nie dało się wykonać bez wymówienia słów. Wyszepiałem je jak najciszej, ale nawet szept poniósł się echem i poinformował potwora, że nie jest sam. Przesłał pić krew, przechylił głowę i odwrócił się w moją stronę. Zauważył mnie w chwili, gdy wyglądając zza ołtarza, kończyłem splot i przelewałem w niego energię.

Jagnię wypadło mu z ręki i rozdziawił gębę. Myślę, że ryknąłby albo syknął, gdyby miał jakieś struny głosowe. Nawet bym chyba wolał, żeby wydał jakiś odgłos paszczowy, bo ta cisza była trochę upiorna. Lewą ręką machnął, jakby wskazywał coś na posadzce przy swoich kostkach. Nic się nie stało – w każdym razie nic nie było widać. Ale łatwo mogłem sobie wyobrazić, co się dzieje w magicznym spektrum, bo ten gest był mi już – dzięki Elchaszabowi – aż nadto znajomy. Moja magia ziemi została właśnie zmyta magią wody Sobka. I już nic mi nie zostało.

Nie było nawet sensu się ukrywać. Odpychając się od podłogi prawą ręką, bo lewa nadal była do niczego, wstałem zza ołtarza i obnażyłem Fragaracha. Za wiele mi nie pomoże w starciu z kamieniem, ale przynajmniej jakoś się nim będę mógł osłaniać przed bronią potwora, która z jednej strony wyglądała jak

dwójzab, a z drugiej miała coś między główką a hakiem. Rzuciłem się w prawą stronę, żeby potwór musiał obrócić się na tych swoich niemalże glinianych nogach.

Posługiwał się swoim berłem niepokojąco sprawnie i z szybkością co najmniej nietypową dla kamiennych posągów. Jego łapa wywijająca uasem o wiele zgrabniej, niż poruszały się nogi. Zakręcił berłem przed sobą i zamachnął się na mnie. Udało mi się odbić pierwszy cios, potem następny, ale szło mu na tyle dobrze, że przez chwilę zwarliśmy się twarzą w twarz, przy czym on miał gębę wciąż otwartą, co uznałem za niemą groźbę. Jednak jego broń była mimo wszystko powolniejsza, więc udało mi się odbić i ten cios, a potem wykorzystać moment, gdy się po nim odsłonił, i kopnąć go w brzuch. Nie miał pięt, na których by się mógł oprzeć, runął więc do tyłu. Upadając, zamachnął się jeszcze uasem niczym bosakiem i złapał moją lewą nogę, na której się opierałem, więc i ja poleciałem na tyłek. Gdy rąbnąłem w ziemię, coś mi tam gruchnęło w środku. Teraz już nie miałem połamanych żeber, miałem je potrzaskane w drobny mak. Najprawdopodobniej właśnie przebiłem sobie nimi śledzionę. Zalała mnie taka fala bólu, że nie miałem siły ani się przetoczyć na bok, ani w ogóle ruszyć. To dało potworowi Sobka czas, by usiąść spokojnie i znów zdzielić mnie uasem. Tym razem jego haczykową główką celował w twarz. Nie miałem innego wyjścia jak zasłonić się lewym przedramieniem, co w zasadzie uratowało moją facjatę, ale załatwiło mi kolejne złamanie. W sumie to oznaczało, że ręka nie jest tak całkiem do niczego, tylko cholernie boli. Wzdrygając się z bólu, przetoczyłem się z pola rażenia i podparłem prawą ręką.

Żaden z nas nie wstał zbyt szybko, choć każdy z innego powodu. Ja – bo miałem połamane kości, on – bo był koszmarnie ciężkim monstrem, które wymyśliło sobie, że można utrzymać pozycję pionową, nie posiadając pięt. Udało mu się nawet prawie wstać, ale potem stracił równowagę i znów runął na podłogę.

Gdy dałem radę wreszcie się pozbierać, a moja magia wyczerpała się do cna, przez co poczułem w pełni ból połamanych żeber i ręki, dotarło do mnie,

że być może wszystko, co mogę zrobić, to utrzymywać toto na podłodze. Nie miałem przecież pod ręką wiertarki udarowej. Z magicznego punktu widzenia mieliśmy kompletny impas: nawet gdybym miał jeszcze cokolwiek w charmsie, już nie miałem wątpliwości, że ta istota potrafi rozpuszczać moje sploty; jeśli natomiast on spróbuje mnie jakoś zaatakować magicznie, ochroni mnie zimne żelazo. Choć tego akurat jeszcze nie wiedział. Machnął na mnie lewą ręką i aż zatrzasnął szczękę ze zdumienia, gdy nic się nie stało. Amulet podskoczył mi parę razy na piersi i tyle.

– Ha! Wypchaj się, sobku jeden. Trochę to durne z twojej strony, żeś sobie wybrał ziemską postać, skoro polegasz na magii wody, hę?

W sumie mało prawdopodobne, żeby znał angielski, ale wiedziałem, że przynajmniej mnie słyszy, bo przecież zareagował, gdy przed chwilą szeptałem. Na pewno też widział. Tak więc mimo braku normalnych oczu i uszu duch, który to coś ożywił, musiał mieć przynajmniej podstawowe zmysły. Ale za bystry to nie był. Wciąż machał na mnie ręką, uparcie licząc na to, że zaklęcie zadziała.

– Dlaczego teraz? – spytałem, myśląc na głos. – Miałeś całe wieki, żeby zacząć się rozbijać w tych komnatach. Co się nagle zmieniło?

Poddał się i już nie próbował rzucić zaklęcia, za to postanowił wstać. Drapał przy tym po kamieniu w ten charakterystyczny sposób, od którego włosy na karku nie tylko stają dęba, ale niemal próbują uciec. Dobrze wycelowany kop wystarczył, by znów wylądował na ziemi, i udało mi się nawet wymknąć mu, nim się zamachnął uasem, ale ten ruch dużo mnie kosztował. Jeszcze bardziej rozboleła mnie łydka ugryziona wcześniej przez demona. Ból zaczynał nabierać nowych fascynujących głębi i warstw. Teraz na przykład palił niczym ogień.

– Przeszedłem tu całe godziny temu i nawet nie drgnąłeś. Ale po tym, jak Elchaszab...

Aha! Elchaszab przyniósł tu przecież *Grymuar jagnięcy*, a do tego prawdziwe jagnię. I to przeparał z tym przed samym nosem tego czegoś.

Musiało to mieć podstawowe znaczenie, bo na pewno pierwsze, co to coś miało na liście sprawunków do załatwienia, to zeżreć jagnię. A przecież złożenie ofiary z jagnięciny było niezbędne, zanim się wykona cokolwiek z grymuaru. Wskazówki, jak używać grymuaru, znajdowały się w zapiskach Nebwenenefa i Elchaszab wypowiedział nawet jego imię.

– Nebwenenef? – spytałem, a kamienny posąg Sobka przestał się gramolić i odruchowo odwrócił łeb w moją stronę.

A niech to krokodyl kopnie! Zatem legenda o jego śmierci była mocno przesadzona. Znalazł jednak sposób, by wrócić do żywych. Grymuar jest pewnie jego przepustką do odzyskania mocy. I oczywiście te jego zapiski, które widziałem za ołtarzem. Zapiski, które przecież promieniowały znacząco, gdy spojrzałem w magicznym spektrum.

Mało ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jaką moc ma ból. Znaczący się póki tego nie doświadczą na własnej skórze. Chciałem skoczyć za ołtarz, chwycić pergamin i go zniszczyć. Ale moje ciało poinformowało mnie stanowczo, że mowy nie ma o skakaniu. Pokuśtykałem więc tam tak szybko, jak mogłem, co dało Nebwenenefowi dość czasu, by zgramolić się z podłogi. Fragaracha zapakowałem po drodze do pochwy na plecach i chwyciłem zamiast niego jedną ze świec. Za ołtarzem postawiłem świecę na stoliku przy starożytnych rękopisach, złapałem pergamin i zbliżyłem do ognia.

Nebwenenef miał mnie już teraz w szachu. Jeśli tylko utrzyma bezpieczną odległość, nie dam rady go powalić na ziemię kopniakiem, i nie miałem już teraz miecza, żeby blokować jego ciosy. Zaczął znów wymachiwać coraz szybciej uasem, a ja spojrzałem kontrolnie na pergamin, który powinien już się pięknie palić.

Nic z tego. Magia wody dość dobrze chroni przed ogniem. Teraz już nie miałem wątpliwości, że te zapiski są w jakimś sensie samym Nebwenenefem. Może czarnoksiężnik splótł się z ciecżą w atramencie. Gdybym się uparł, w końcu ogień zwycięży, ale na to trzeba by czasu – minut, może nawet godzin – a czasu nie miałem.

Uas rąbnął w ołtarz i rozwalił świecę, ale mnie już tam nie było. Wycofałem się, wychodząc z pola rażenia, ale tak, żeby ołtarz wciąż był między Nebwenenefem a mną. Zrobiłem krok w prawo, a on krok w lewo i chlupnął nogą w resztki ciała Elchaszaba.

Moja lewa ręka straciła już zdolność trzymania, więc pergamin przygryzałem zębami i próbowałem go w ten sposób porwać, ale równie dobrze mógłbym usiłować odgryźć kawałek stalowej blachy. Ten pergamin został zabezpieczony najlepszymi zaklęciami, jakimi tylko dysponował Nebwenenef. Najwyższy czas przestać się cackać i przyłożyć się do roboty. Dosłownie się przyłożyć, albo chociaż przyłożyć do tego rękę, która do niczego się już poza tym nie nadaje. Nie spuszczać oka z Nebwenenefa, owinałem sobie pergamin wokół lewej ręki, żeby przylegał jak najbardziej do mojej skóry. Bez względu na to, jak potężne magiczne tajemnice w sobie kryje, powinny one zniknąć po kilku sekundach kontaktu z moim zimnym żelazem. Wystarczyła jednak sekunda, by Nebwenenef się połapał, że coś jest nie tak. Zatrząśł się, na chwilę w ogóle stracił swoje funkcje motoryczne i niemal poślizgnął się na bebeczach Elchaszaba. Wiedział, że nie może dopuścić do tego, żebym sobie tam stał i dalej owijał pergamin wokół ręki, więc ruszył w kierunku schodów z wyraźnym zamiarem okrążenia ołtarza. Przesunąłem się, żeby pozostać w bezpiecznej odległości, i zsunąłem pierwszą kartę pergaminu na podłogę, a na rękę nawinałem kolejny kawałek. Cały czas się przesuwałem. Nebwenenef znów zadrzał i płynność ruchów jego łap zdecydowanie się obniżyła. Ja też nie byłem może zbyt zwinny, tym bardziej że wdepnąłem w resztki Elchaszaba i mało się na nich nie wywróciłem. Nebwenenef wykorzystał to i ponad ołtarzem dźgnął mnie dwójzębny końcem uasa. Widziałem, że nadciąga cios, ale zwyczajnie nie miałem go jak zablokować, tym bardziej że na skutek połamania żeber płynność moich ruchów też pozostawiała wiele do życzenia. Próbowałem zrobić unik w bok, ale za wolno i trafił mnie w lewą pierś, choć na szczęście była to płytka rana. Zęby nie były zakończone kolcami, wyszły więc gładko z mojego ciała, gdy tylko się wycofałem poza ich zasięg, starając się nie poślizgnąć na mazi pod stopami.

Zrzuciłem drugą kartę i przyłożyłem do ramienia trzecią, wciąż odsuwając się od ołtarza i zostawiając po sobie krwawe ślady. Nebwenenef uniósł uas, jakby chciał cisnąć nim we mnie jak włócznią, ale dostał trzeciego już napadu drgawek i berło wysunęło mu się z ręki. Udało mu się nie upaść tylko dzięki temu, że oparł się o ołtarz. Gdy zabrałem się do czwartej karty, runął zupełnie i straciłem go z oczu. Zostały mi już tylko dwie karty. Starannie zaaplikowałem każdej obfitą porcję zimnego żelaza. Potem wziąłem ostatni pergamin i wróciłem z nim do ołtarza, żeby coś sprawdzić. Po drugiej stronie nic już nie było słyhać, więc ostrożnie wyminąłem cały bałagan i przyłożyłem ostatnią kartę zapisków do płomienia świeczki. Z ulgą ujrzałem, że natychmiast staje w ogniu. Nieźleś sobie to, Nebwenenefie, wykombinował. Facet żył i jakoby umarł na długo przed czasami faraonów, ale jakimś cudem udało mu się tak to sprytnie obmyślić, że po tych wszystkich wiekach jego duch nadal był spleciony z magią żywiołaka, którą ukradł i rozproszył po Dolinie Nilu.

Teraz to już raczej będzie milczał jak głaz, a szkoda, bo chętnie bym go spytał, jak tego dokonał. Być może w ogóle wtedy nie umarł, a jedynie się rozproszył. Tu, pod Krokodylopolis, powoli zebrał się jego cień i obmyślił sposób, by odzyskać moc. To wpłynął na jakiegoś kapłana, to opętał czarnoksiężnika, żeby spisał, co trzeba, by Nebwenenef odzyskał fizyczną postać. Splótł się częściowo z atramentem i pergaminem, a potem wystarczyło już tylko omamić obietnicą władzy kogoś takiego jak Elchaszab i wmówić mu, że to wszystko dla Amona, by naiwniak wszystko pięknie zorganizował i nieświadomie doprowadził do ściągnięcia Nebwenenefa z powrotem do świata żywych. Będę musiał zbadać moje pozostałe egipskie grymuary, żeby się upewnić, że żaden inny nie służy do podobnych celów. I jeszcze trzeba będzie przejrzeć wszystko, co napisał Elchaszab, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Nebwenenef nie podyktował mu czegoś niebezpiecznego. Lepiej, żeby nic takiego nie funkcjonowało we współczesnym arabskim. Nie po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, co jeszcze zostało zniszczone w Bibliotece Aleksandryjskiej. Tamten pożar mógł poniekąd przyczynić się do opóźnienia powrotu Nebwenenefa o całe stulecia.

Odłożyłem pergamin na ołtarz, żeby spalił się do reszty, a potem wziąłem *Grymuar jagnięcy* i go też podpaliłem. Później będę musiał pamiętać, żeby spalić też pozostałe karty zapisków, ale pozbieram je, jak już trochę się podlecę. Zanim je spalę, jeszcze je przejrzę, żeby zobaczyć, czy aby nie ma tam jakichś wzmianek o innych księgach poza „zaginioną księgą Amona”, które dawałyby czarnoksiężnikowi moc za jakże niską cenę krwawych ofiar. Gry ruszyłem w stronę schodów, ujrzałem rzeźbę Sobka rozłożoną na podłodze twarzą do dołu w pozycji, która nastęrczy naukowcom wielu trudnych pytań. Nikomu nie będzie się chciało wierzyć, że ktoś wyrzeźbił posąg w takiej pozycji, ale jednak trudno będzie zaprzeczyć faktom. Położyłem jeszcze stopę na jego głowie, nie w geście zwycięstwa, ale żeby się upewnić, że na pewno wyegzorcyzmowałem Nebwenenefa z tego kamienia. Z tego, co zobaczyłem wtedy w magicznym spektrum, ośrodek jego mocy znajdował się z tyłu jego głowy, w miejscu, gdzie powinno być gardło. Nie zaszkodzi przyłożyć tam jeszcze na wszelki wypadek trochę zimnego żelaza.

Wspinanie się po schodach było prawdziwym wyzwaniem – i to bolesnym. Podziękowałem bogom niejedynym za to, że całą tą chryją nie zainteresował się sam Sobek. Gdyby się zjawił, tak jak przedtem Bastet, mogłoby być ze mną cienko. Bądź co bądź dwóch czarnoksiężników, którzy posługiwali się magią tego boga, wystarczyło, by niemal mnie wykończyć.

Gdy wytoczyłem się wreszcie przez kamienne drzwi, była już noc. Z ulgą połączyłem się z ziemią.

Oberonie? Słyszysz mnie?

<Atticus? Gdzie jesteś?> Jego głos zabrzmiał niepewnie.

Trochę daleko. I w dość opłakanym stanie. Muszę się podleczyć. Możesz poczekać na mnie do rana tam, gdzie cię zostawiłem?

<A nie mógłbym do ciebie przybiec?>.

Boję się, że ktoś by cię mógł złapać, jak zobaczy, że latasz luzem po ulicach.

<Też coś. Złapać biegnącego wilczarza irlandzkiego?>.

No tak, też racja. A pamiętasz drogę do domu Elchaszaba?

<Jasne>.

Okej, to pobiegnij aż na tył domu, a dalej to już cię poprowadzę.

Lecząc się ze wszystkich sił, przedzwoniłem do Jusufa i powiedziałem mu, że dobrze by było, jakby zebrał chłopaków w Kairze i przyjechał z nimi do Fajum. Mogliby zejść ze mną do tego Elchaszabowego piekła i rozłożyć na części pierwsze wieko sarkofagu, żeby rąbnąć je w ramach zapłaty dla watahy. Będę musiał rozpleść też kotwicę wbity w ścianę domu i w ogóle zatuszować jakoś ślady mojego włamania. I poprzytulać wszystkie te sarkofagi, żeby wyzerować ewentualną magię, która mogła się w nich jeszcze kryć. Muszę zrobić wszystko, by Nebwenenef nie miał tym razem żadnych szans na przetrwanie. I dopiero kiedy usunę z biblioteki Elchaszaba wszystkie grymuary, zadzwonię na policję i niech sobie wtedy odkrywają tę koszmarną scenę zbrodni i archeologicznej orgii. A najlepiej, żeby udało mi się wszystko to załatwić, zanim Hamal ocknie się w szpitalu i wszystko im opowie.

– W tej chwili wskakujemy do samochodów – warknął Jusuf. – Do zobaczyska.

Bastet z kolei zamierzała zatrudnić sobie ludzi, żeby szerzyli wieści o jej starych misteriach, więc najlepiej byłoby jeszcze przed powrotem do Arizony rąbnąć jej *Dobrą Kicię*, ale jeśli mi się nie uda, to trudno. Ostatecznie byłaby to akceptowalna cena za pozbycie się na dobre Elchaszaba i Nebwenenefa. Pokonywanie takich jak oni było przecież moim najważniejszym celem – to po to Gaja udziela mi swojej mocy. Choć jako ostatniemu druidowi często daje mi się we znaki ten winny-li-niewinny wyrzut sumienia, że żyję, gdy umarło tyłu, to jednak dziś czułem, że moje życie ma sens. A nawet że zasłużyłem sobie na browara.

Jakieś pół godziny później moją kryjówkę namierzył Oberon. Zaczął od kichnięcia.

<Fuuuu! W czym ty się tarzałeś, Atticusie? Chyba będziesz się musiał wybrać na myjnię samochodową!>.

Przepraszam, stary.

<Wiem, że powinienem polizać cię teraz czule po twarzy, ale tak sobie myślę, że może zrobię to innym razem, dobra?>.

Jasne, rozumiem. Też bym chciał się umyć. A jak twój umysł? Odkotowaciał?

<Chyba tak. Wymagało to kilku sumiennych drzemek na tym dachu, na którym mnie zostawiłeś, ale w końcu obmyśliłem sobie metaforę, która obrazuje naszą sytuację i nadaje temu wszystkiemu sens. Kojarzysz te teledyski z nagraniami z festiwali muzycznych, na których zawsze pokazują tłumy wysokich ludzi, żeby zespoły wydawały się supersłynne? No. To było tak jak tam. Tylko że koty nie były pijane, najarane i nie miały dzinsów. Były tylko tak wkurzone, że aż się za nimi kurzyło>.

Czyli że w tej metaforze my byśmy byli członkami zespołu?

<No ba! Ja chcę być gitarzystą takim jak Slash, bo facet po prostu wymiata tą gitarą. Tak, w sumie to chcę też taki wielki kapelusz i żeby mi spadał na oczy. I poproszę o takiego udawanego papierosa zrobionego z cukierka o smaku bekonu>.

Aha. A ja kim bym miał być?

<Bo ja wiem, Gwen Stefani? Klatę masz mniej więcej jak ona, nie?>.

Roześmiałem się i moje żebra natychmiast mi przypomniały, że jeszcze nie czas na takie zabawy.

Mądra rada.

<Długo tu będziemy, Atticusie?>.

Oby nie. Tam na dole było naprawdę koszmarne i o mały włos byłoby po mnie.

<Aha. A w powrotnej drodze możemy sobie pobiegać po tym lesie, w którym zaparkowaliśmy? Bo wiesz, jak nie złożę wiewiórkom grzecznościowej wizyty, to się na mnie na śmierć obrażą>.

Dobra. Swoją drogą ciesz się, że Egipcjanie nie mieli boga wiewiórek.

<Brrr! No dzięki za tę wizję, Atticusie! Teraz będzie mnie to nawiedzać w

koszmarach!>.

A myślisz, że ja nie będę miał koszmarów?

I to we wszelkich odmianach, a głównie o tym, jak mnie zżerają koty, krokodyle i demony.

A co dopiero mówić o Hamalu. Do końca życia będzie go męczyła trauma po tym, co przeżył w krypcie Elchaszaba. Muszę go potem odnaleźć i zobaczyć, czy mogę mu jakoś pomóc.

Diabli by wzięli wszystkie te hieroglify, przez które starożytny Egipt wypada na taki fajny. Tych starych bogów naprawdę lepiej byłoby wymazać z pamięci ludzkości. Zdawałoby się, że ten drobny fakt, że zwykle pojawiają się na grobach, powinien dawać do myślenia. Naprawdę najchętniej spędziłbym następne tysiąclecie na niesłyszaniu ani słówka ani o Bastet, ani o Sobku, ani o żadnym z nich, ale wiedziałem dobrze, że przyjdzie mi się jeszcze z nimi kiedyś zmierzyć. Z nimi i z ich czarnoksiężnikami. Żądza władzy jest po prostu zbyt silna, a piramidy wciąż unoszą się na przestworach piaskowego oceanu niczym przynęty kuszące każdego, kto gotów jest dla ambicji zrezygnować z człowieczeństwa.

¹ Tłum. Stanisław Barańczak (wszystkie przypisy tłumacza).

Klan Rathskellerów

Akcja tego opowiadania toczy się dziesięć miesięcy przed wydarzeniami z pierwszego tomu Kronik Żelaznego Druida, Na psa urok.

Grudzień w Arizonie jest zdecydowanie chłodny, ale jeszcze nie zasługuje na miano zimnego. W otwartych galeriach handlowych, takich jak Tempe Marketplace, ludzie robią zakupy odziani tylko w lekkie sweterki. Nie zdarzają się tu poślizgnięcia na gołoledzi i nikomu nie odpadają odmrożone palce u nóg, bo na pustyni takie zagrożenia po prostu nie występują. Z tych samych przyczyn mieszkańcy Arizony nigdy prawie nie padają ofiarami krwiożerczych yeti ani nie grozi im zaduszenie przez przerażające głowonogi. Dotąd myślałem, że nie muszą się też przejmować tymi socjopatami koboldami. Ku mojej rozpaczcy jednak w poniedziałek wieczorem okazało się, że tu się akurat myłę.

Tempe Marketplace to prawdziwa mekka zakupoholików: kilka hipermarketów i jeszcze do tego multipleks. Pod kinem kulą się mniejsze sklepiki i restauracje, przywodząc na myśl zebrzące dickensowskie sieroty („Proszę, proszę, niech pan wyda jeszcze trochę”). Brukowany deptak usiany eleganckimi meblami ogrodowymi i wodnymi ozdobami sprawia, że kupujący mogą czuć się jednocześnie na luzie i „ą-ę”. A przede wszystkim nie ma tu żadnego umpa-umpa, walącego z głośników – prawdziwa rzadkość w amerykańskich centrach handlowych. Jest za to muzyka na żywo wieczorami od czwartku do soboty, bo galeria sponsoruje darmowe koncerty na świeżym powietrzu. Na scenie zawsze produkują się zespoły przyjazne dzieciom, które

grają tak, jakby miały w umowach wpisane, że muszą unikać akordów minorowych. W pozostałe dni tygodnia scena używana jest do innych atrakcji, takich jak na przykład wizyta Świętego Mikołaja i elfów.

Tego wieczoru tatusiowie siedzieli w domu i oglądali *Monday Night Football*, a mamusie zabrały dzieciaki na spotkanie z Mikołajem, żeby przy okazji zrobić zakupy dla mężów. Studenci i hipsterzy tłoczyli się w knajpce zwanej San Felipe's, bo akurat była *happy hour*. Widać było też kilku starszych przedstawicieli grupy demograficznej „dwadzieścia coś i stanu wolnego”. Widziałem ich wszystkich, bo w San Felipe's brakowało większości ścian, postawiono tylko niski metalowy płótek, dzięki czemu klienci mogli delektować się legalnym browarkiem i jednocześnie widzieć scenę, która znajdowała się dokładnie naprzeciwko knajpy. I właśnie między sceną a San Felipe's po raz pierwszy zaświtało mi, że coś jest bardzo nie tak. A stało się to, gdy mój pies Oberon wyczuł jakiś nieludzki zapach.

Oberon jest wilczarzem irlandzkim i choć należy do psów, które zdają się przy tropieniu na wzrok, to i tak jego nos jest o wiele lepszy niż mój. A ponieważ splotłem jakiś czas temu jego świadomość ze swoją i od tej pory stopniowo uczy się ludzkiego języka, nie musi się już ograniczać do szczekania i merdania ogonem, gdy chce mi coś powiedzieć. Mówi to w swoim umyśle, a ja słyszę jego słowa w moim.

<Atticusie, jest tu coś, co nie jest człowiekiem> powiedział.

To ty, Oberonie. Albo ja, jeśli chcesz się już bardzo czepiać.

<Nie, to coś ma zapach, którego nie znam. I nie jest to ani roślina, ani żadne zwierzę, które bym znał. Jakiś taki ziemisty smrodek>.

To wywołało u mnie napad rozbieganych oczu. Najpierw przyjrzałem się uważniej klientom knajpki, szczególnie ich austom, żeby sprawdzić, czy aby wszystkie mają ludzkie kształty. Ujrzałem trochę kolorów ubawienia i podniecenia, a trochę niepokoju i samotności, ale poza tym nic niezwykłego.

<Hej, wiesz co? Zdaje mi się, że to wali od Mikołaja i elfów> doprecyzował Oberon.

Odwróciłem głowę w stronę sceny, gdzie korpulentny Mikołaj o kręconej białej brodzie usiłował robić serdeczną minę, a elf pakował mu na kolana wrzeszczące wniebogłosy dziecko. Aura świętego nie pozostawiała wątpliwości – był poirytowany i z całego serca pragnął znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie tu. Być może dziecko darło się tak, bo to wyczuwało. A może dlatego że dzieci nie są jeszcze zaślepione latami logiki i nauki i widzą świat taki, jaki jest. I to małeństwo miało pewnie pełną świadomość tego, że „elf”, który je przekazywał Mikołajowi, naprawdę nie należy do ludzkiego gatunku.

To nie elfy – powiedziałem Oberonowi, choć dobrze rozumiałem, skąd jego pomyłka. Były to urocze z wyglądu stworzonka i idealnie pasowały do świątecznego nastroju. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na ich aury i już wiedziałem.

<Już wiem! To karzelki udające elfy>.

Nie, to nie są karły.

<Dobra, dobra, chciałem powiedzieć „niscy ludzie”, przepraszam! Wierzyć mi się nie chce, że muszę zachowywać polityczną poprawność, skoro tylko ty mnie słyszysz>.

Oberonie, to są gnomy. To je wyczuleś.

Było ich pięć, a każdy miał mniej więcej metr trzydzieści wzrostu, i to w butach na koturnach. Tylko jeden udawał, że pomaga Mikołajowi i dzieciom tłoczącym się w kolejce. Reszta miała to w nosie i wpatrywała się w mijające je tłumy zakupowiczów, uznałem więc, że i my powinniśmy ruszyć dalej, żeby nie rzucił im się w oczy gapiący się na nie Irlandczyk z wielgachnym psem. Podreptałem wzdłuż długąsnego płotku San Felipe's.

<Gnomy?> spytał Oberon. <Masz na myśli te ludki z białymi brodami, które dobrzy ludzie stawiają w ogródkach, żeby psy miały sobie co pożuć?>.

Nie, tamte to krasnale ogrodowe. Pojawiły się dopiero po drugiej wojnie światowej. A te tu to prawdziwe gnomy ze Starego Świata. Są dość rzadkie. I nie próbuj ich przeżuwać, bo potrafią się niezłe odgryźć.

Oberon aż przystanął.

<Chcesz powiedzieć, że to gnomy udające karzełki udające elfy? Czy ty znowu próbujesz tu ze mną grać w sześć stopni oddalenia od Bilbo Bagginsa? >.

Poklepałem go po grzbiecie, bo nie chciałem ciągnąć za smycz.

Chodź.

Oberon ruszył, a ja skręciłem zaraz za knajpką, tak żeby wyjść z pola widzenia osób na scenie. Dopiero tam podszedłem bliżej płotka oddzielającego osoby trzeźwe od podpitych i usiłowałem między głowami dojrzeć gnomy, które mnie raczej nie powinny tu już zobaczyć. Ten dyskretny plan zrujnował mi niestety Oberon.

– Jasna cholera! – ryknął jakiś klient, odstawiając na wpół pusty kufel.

Jego kumpel podążył wzrokiem we wskazanym kierunku.

– O kurczę!

– Ale, kurwa, wielkie bydle! – podsumował najbystrzejszy przy tym stoliku.

Wtedy ten pierwszy zaczepił typka z sąsiedniego stolika.

– Panie, patrz pan, jakie, kurwa, wielkie bydle!

– Jasna cholera!

I w koło Macieju. Westchnąłem.

<Dlaczego ludzie zawsze mówią mniej więcej to samo na mój widok?> spytał Oberon, spuszczać uszy na kwintę i siadając z równie głośnym westchnieniem.

W sumie to nie wiem. Kiedyś było w zwyczaju mówić takie oczywiste rzeczy w ramach żartu albo ironicznie, ale od ostatnich kilku dziesięcioleci odnoszę wrażenie, że ludzie mówią je raczej odkrywczym tonem, i to mnie niepokoi.

<Długo tak tu musimy siedzieć i ich słuchać? Wiesz dobrze, że zwykle lubię poznawać nowych ludzi i w ogóle, ale nawet ty musisz przyznać, że jak są upojeni, to zaczynają działać na nerwy tak mniej więcej po trzech nanosekundach>.

Masz rację, stary. Zaraz zauważą, że trzymam twoją smycz, i zaczną zadawać mi pytania. Tylko rzucę jeszcze okiem na te gnomy i spadamy.

Udało mi się znaleźć prześwit między dwiema plotkującymi studentkami i przyrzeć się przez nią jednemu z gnomów. Jego aura nie powiedziała mi o nim nic więcej. W przeciwieństwie do ludzkich aur, które zawsze emitują emocje, aury gnomów niezmiennie są miękkie i jednolicie brązowe – coś jakby mleczna czekolada, i tylko przy skórze mają białą linię magii. Ale sama obecność tych typków tutaj świadczyła o tym, że coś jest bardzo nie ten tego. Gnomy nie cierpią ludzi i nie chcą mieć z nami nic do czynienia. Aż pięć gnomów w dzikim tłumie ludzkich istot? To było wręcz nie do pomyślenia. Albo coś je do tego zmusiło – może jakaś sprawa honorowa – albo zupełnie powariowały. Nie próbowały nawet ukrywać swoich wielkich nochali ani magicznie przystrzyżonych wąsów. Klienci galerii beztriosko ignorowali te niepokojące znaki jako elementy przebrania.

Jeśli gnomy były tu w ramach jakiejś wendety, lepiej, żebym się w ogóle do tego nie mieszał. Ale jeśli pojawiły się tu w celach samobójczych (patrz: wyjątkowo dokuczliwy u nieśmiertelnych *Weltschmerz*) czy coś w tym stylu, to wypadałoby, żebym jednak temu zapobiegł. Tempe było naprawdę niezłym miejscem do ukrywania się i jako takie służyło mi już od dziesięciu lat, więc naprawdę nie byłoby dobrze, gdyby teraz wszystko mi zepsuło parę szalonych gnomów, których dzikie harce na pewno zwróciłyby uwagę nie tylko ludzi, ale i bogów.

– Hej, chłopie – odezwał się jeden z pijących. – To twój pies? – Nie odpowiedziałem, tylko uniosłem smycz. Gest ten został niestety odebrany jako zaproszenie do dalszej rozmowy. – Wielkie z niego bydle!

Odwróciłem się w stronę głosu. Należał do mechanika w niebieskiej koszuli z białą naszywką, na której wyszyte były litery „Jeff”. W plastikowej kopercie wsuniętej do kieszeni facet miał dwa długopisy i manometr.

– Cześć, Jeff. Mogę pożyczyć długopis? – spytałem. Zamrugął zdziwiony, jakby nie mógł pojąć, skąd obcy człowiek zna jego imię. Wyraźnie zapomniał,

że ma je wyszyte na koszuli i że ludzie zwykle potrafią jednak czytać. – I może jeszcze z jedną serwetkę, dobra?

– Co? Czekaj, chłopie. Czy my się znamy?

Jego mina wskazywała, że raczej w to wątpi, choć trudno powiedzieć, dlaczego uważał, że musimy się znać, by mógł mi pożyczyć długopis. Jego kumple natychmiast podchwycili jego nastawienie i spojrzeli na mnie groźnie.

– Nie, tylko po prostu nie jestem analfabetą. To co? Pożyczyłbyś mi ten długopis? Proszę? I serwetkę. Długopis oddam ci dosłownie za sekundkę, obiecuję.

Jeff miał ochotę odmówić, ale powiedziałem przecież magiczne słowo, to nie chciał wypaść przed kumplami na chama.

– Jasne, stary, co mnie to w sumie.

Wyciągnął długopis z kieszeni i podał mi go nad niskim płótkiem San Felipe's. Rzucił mi też serwetkę.

– Dzięki – powiedziałem.

Położyłem serwetkę na górnej krawędzi płotka i nabazgrałem krótką wiadomość po staro-wysoko-niemiecku. Nie wiedziałem, jakim językiem posługują się gnomy, ale pomyślałem, że jest szansa, że ten akurat rozumieją. Napisałem: „Chcę z wami pogadać. Idźcie za psem”. Podałem serwetkę Oberonowi i wydałem mu następującą instrukcję:

Idź z tym do gnomów i upuść serwetkę przed jednym z nich. Szczeknij raz, odczekaj, aż to przeczyta, a potem przyprowadź go tu do mnie.

<Się robi>.

Spuściłem Oberona ze smyczy, a on ruszył, ostrożnie trzymając serwetkę między zębami.

– Hej, a ten dokąd? – zaniepokoił się Jeff.

– Proszę, twój długopis. I dziękuję.

W nagrodę za pożyczkę uśmiechnąłem się do niego uprzejmie. Wziął ode mnie długopis i odruchowo schował go do kieszeni.

– Czy ty wiesz, że twój pies właśnie odszedł sobie bez smyczy?

Z miejsca postanowiłem, że gdybym miał samochód – a nie miałem – nigdy bym z nim nie jeździł do Jeffa, jakby mi się zepsuł. Głowę daję, że by mi mówił, że trzeba go naprawić albo że niebo jest niebieskie, albo coś równie okropnie oczywistego. Ale starałem się, żeby nie było po mnie widać, iż powziąłem takie postanowienie. Uśmiechnąłem się przyjaźnie.

– E, zaraz wróci. Nic się nie martw. Po prostu aportuje.

– Co aportuje?

– Jednego z elfów Mikołaja.

– Ma ci go przynieść w zębach? – Kumple Jeffa zarechotali niepewnie. – Czy to legalne?

– Nie, na pewno nie w zębach. – Jak tu we współczesnym żargonie uspokoić jego łagodny przypadek obywatelskiego niepokoju? – Wszystko jest okej – spróbowałem, a potem odwróciłem wzrok, żeby dać mu do zrozumienia, że uważam naszą krótką rozmowę (i znajomość) za zakończoną.

Jeff nawet chętnie odpuścił, ale nie mógł się oprzeć pokusie, żeby jednak szeptem jeszcze nie skomentować:

– Co za dziwacy się czasem trafiają w tym mieście – usłyszałem za plecami.

Chyba nawet lepiej, że nie wiedział, jak trafne są te słowa.

<Już do ciebie idziemy> poinformował mnie Oberon.

Po chwili wyłonił się zza rogu. Merdał ogonem, a za nim szedł gnom – ze zmarszczonym czołem, spięty, wyraźnie spodziewający się zasadzki. Jego przebranie upodabniało go bardziej do Beatlesów z ich teledysku do *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* niż do elfa – taki czerwony za długi mundur, a pod tym miał płócienną koszulę z wysokim, nakrochmalonym kołnierzem. Mundur miał mnóstwo sznurów na przedzie i zdecydowanie za dużo mosiężnych guzików. Czerwone gatki z żółtymi paskami po bokach sięgały mu aż do kolan, a tam zaczynały się żółte podkolanówki, które ginęły w olbrzymich butach na koturnach dodających mu ponad ćwierć metra wysokości. Bez nich nie miał chyba nawet metra wzrostu. Wbił we mnie wzrok, zsunął go na moją prawą rękę, zarejestrował tatuaże i wyraźnie się

uspokoił. Zwrócił się do mnie po staro-wysoko-niemiecku, czyli dobrze strzelałem, że zna ten język. Szkoda tylko, że ja nie posłużyłem się nim ani razu już kilku dobrych stuleci.

– Jesteś nareszcie – powiedział. – Zaczynaliśmy się niepokoić. Dobra. Wszystko gotowe?

Tym mnie zbił z pantafelku. Zachowywał się tak, jakbyśmy się znali, ale byłem pewien, że w życiu go na oczy nie widziałem. I że nie mam wypisanego imienia na koszuli.

– Mam nadzieję, że gotowe – odparłem. – Przypomnij mi swoje imię, przyjacielu?

Gnom spojrzał na mnie z nagłą podejrzliwością. Jego ciemne oczy zmrużyły się, a wąsy drgnęły.

– Najpierw powiedz mi, kim ty jesteś.

– Rozpoznałeś mnie przecież przed chwilą.

Przechylił głowę na prawo, wskazując mi nosem moje ramię.

– Masz tatuaże Tuatha Dé Danann i widzę, że jesteś tu w swojej prawdziwej postaci – powiedział. – Ale wydaje mi się, że nie jesteś tym, na kogo czekamy.

Zbladłem. Czekają zatem na jakiegoś boga spośród Tuatha Dé Danann, a to przecież właśnie przed nimi się ukrywam. Tuatha Dé Danann byli niegdyś zwykłymi druidami takimi jak ja. Tatuaże spletały ich – tak jak i mnie – z ziemią. Na pierwszy rzut oka łatwo było mnie więc wziąć za jednego z nich. Ale który miał się tu zaraz pojawić?

– Nie, nie jestem nim – przyznałem. – Akurat przechodziłem obok i zaintrygowało mnie, co lud ziemi robi wśród ludzkich istot.

– Te, chłopie, co to za język? – zawołał Jeff. – Rosyjski? Jesteście komuchami czy coś?

Jego kumple wybuchnęli śmiechem i w ramach uznania dla bystrego żartu przybili z nim żółwiki.

Nie warto było nawet tłumaczyć Jeffowi, że Związek Radziecki rozpadł się

kilkadziesiąt lat temu i już nie mamy zimnej wojny. Ani tym bardziej że języki słowiańskie i germańskie niewiele mają ze sobą wspólnego. Zignorowałem go więc i pokazałem gnomowi, że lepiej będzie, jak się trochę odsuniemy od San Felipe's. Jeśli Jeff będzie chciał drażnić sprawę, będzie wtedy musiał zostawić swoje piwko, a czułem przez skórę, że nie stać go na aż takie poświęcenie. Gnom bardzo chętnie oddalił się od hałaśliwych istot ludzkich. Podeszliśmy bliżej California Pizza Kitchen, pizzerii znajdującej się po drugiej stronie deptaka.

– Jesteśmy tu, by odzyskać to, co nam ukradziono – oświadczył. – Złodziej zaraz się tu pojawi. Pomaga nam Goibhniu.

Barometr wskazujący wewnętrzne ciśnienie mojej paranoi pozwolił wskazówce opaść z ulgą. Goibhniu to irlandzki bóg kowalstwa i piwowarstwa. Dobry z niego chłop. A przynajmniej tak mi się zdawało, kiedy ostatnio się widzieliśmy, choć muszę zaznaczyć, że było to w zupełnie innym kraju i dobre tysiąc lat temu. Pojęcia nie miałem, co teraz o mnie myśli, ale jednak to, że staje po stronie gnomów, było dobrym znakiem.

– A co wam ukradziono, jeśli wolno spytać?

– Prawda za prawdę – odparł gnom. – Powiedz mi, kim jesteś.

Złożyłem razem dłonie i skłoniłem się przed nim grzecznie.

– Rozmawiasz z ostatnim druidem.

Gnom tylko prychnął z niedowierzaniem.

– Druidzi wyginęli wieki temu.

– Ano, wszyscy poza mną. Wiesz, że mówię prawdę. Rozpoznałeś moje tatuaże. I mało jest w dzisiejszych czasach ludzi, którzy znają ten stary język. – Gnom spojrzał czujnie na Oberona. – I tak, rozmawiam też z moim psem. Powiedz mi więc, co ukradziono.

Zgarbił się, wąsy opadły mu z rezygnacją.

– Jest nas pięciu i tylko tyłu zostało z całego klanu Rathskellerów – wyjaśnił. – A jest to klan najwyśmienitszych piwowarów naszego ludu. Jak być może zauważyłeś, nie ma wśród nas ani jednej kobiety. Grozi nam

wymarcie. Od pięćdziesięciu lat pracujemy nad darem dla mistrza klanu Fruchtbarów. Jest to Piwo Niekończącej się Siły. Mieliśmy je wymienić na pięć panien młodych, lecz ten cenny trunek został nam skradziony.

– Przez kogo?

– Przez Kohleherza i jakąś faerię.

W życiu nie słyszałem o żadnym Kohleherzu. Ale to, że maczała w tym też palce jakaś faeria, od razu mnie zdenerwowało. Mogłem od biedy zaufać Goibhniu, ale nigdy, przenigdy nie zaufam żadnej faerii. Każda z nich bez wahania wydałaby mnie moim wrogom wśród Tuatha Dé Danann.

– I mówisz, że ci złodzieje zaraz się tu pojawią?

– Będą tu lada chwila.

– W takim razie ruszam dalej w drogę – powiedziałem. Przyszedłem do galerii tylko po to, żeby zobaczyć, jakie piwo dają w pubie irlandzkim przy kinie, więc w zasadzie mogłem tak to ująć, ale głównie chodziło mi o to, żeby gnom odniósł wrażenie, że nie jestem stąd. Na wypadek gdyby chciał komuś opowiedzieć o naszym spotkaniu. – Niech harmonia będzie z tobą i z całym klanem Rathskellerów. Jestem nawet bardziej zagrożony wyginięciem niż wy, będę więc ci bardzo wdzięczny, jeśli zachowasz informacje o mnie w tajemnicy.

Gnom skinął mi głową i bez słowa odwrócił się z powrotem do sceny. Nie obiecał, że się zgadamy na Facebooku ani nic w tym stylu.

<Co jest grane?> spytał Oberon.

Musimy się ukryć. Rzucę na ciebie kamuflaż.

<Dobra, a przed czym się ukrywamy?>.

Przed bogiem, faerią i jakimś Kohleherzem, cokolwiek to jest.

<To czemu sobie po prostu stąd nie pójdziemy?>.

Bo jestem ciekaw, o co tu właściwie chodzi.

Rzuciłem kamuflaż na Oberona i zniknął mi z oczu, bo moje zaklęcie spłotło go z pigmentami z otoczenia. Nie daje ono idealnej niewidzialności, szczególnie jeśli Oberon się rusza, ale i tak jest niezłe. Potem rzuciłem to samo

zakłęcie na siebie i rozejrzałem się, czy ktoś to zauważył. Kilku przechodniów spojrzało uważniej w moją stronę, ale natychmiast wzruszyli ramionami i skupili się na kupowaniu. To mnie upewniło, że nas nie widać, ruszyłem więc powoli przez wybrukowane skrzyżowanie do budynku na rogu przeciwnym do San Felipe's. Znalazłem miejsce, gdzie było akurat mniej ludzi, rozebrałem się i kazałem Oberonowi pilnować ciuchów. Położyłem mu je między przednimi łapami.

<A ty dokąd?>.

Pójdę na dach nad tobą. Przez chwilę będziemy się zajmować gapieniem się na ludzi. Dawaj natychmiast znać, jeśli wyczujesz coś, co by nie było człowiekiem.

<Niech będzie, ale głodny jestem. Nie będziemy się w to długo bawić, co?>.

Spróbuj się uzbroić w cierpliwość, Oberonie. Jak już skończymy, kupię ci stek.

<Serio?>.

Serio. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, kiedy ostrzegłeś mnie przed tymi gnomami, więc należy ci się stek zawinięty w boczek.

<Tylko jeden? Wywęszyłem ci przecież pięć gnomów. Czy to przypadkiem nie znaczy, że należy mi się pięć steków?>.

Uśmiechnąłem się i splotłem swoje ciało z postacią puchacza wirginijskiego. Była to jedna z czterech zwierzęcych postaci, jakie mogłem przybierać, i najlepsza do dyskretnego obserwowania podejrzanych działań w jesienny wieczór.

Moim zdaniem kurs wymiany gnomów na steki nie stoi jeden do jednego.

<Nie bądź sknerą, Atticusie> powiedział Oberon, gdy już wzbijałem się w powietrze.

Wciąż byłem zakamuflowany, a do tego puchacze naprawdę cicho latają. Kilka osób nawet zarejestrowało jakiś ruch i zwróciło głowy w moją stronę, ale

natychmiast straciły zainteresowanie, bo nie zobaczyły nic poza typową dla galerii handlowych kakofonią barw.

Będę musiał już teraz trochę oszczędniej używać magii, bo na razie nie będzie możliwe połączyć się z ziemią. Jeden z moich charmsów – a miałem ich dziesięć – służył jako magazyn na magię, ale przez te wszystkie zaklęcia, które rzuciłem, był już w połowie pusty. Mój naszyjnik był zresztą całkiem sprytny. Pracowałem nad nim całe wieki i udało mi się w końcu zrobić tak, by zmniejszał się lub zwiększał zależnie od tego, jaką postać przybierałem. Sama przemiana w ptaka pochłonęła sporo energii, a podtrzymywanie kamuflażu nie wymagało jej może strasznie dużo, sprawiało jednak, że mój zapas powolutku się kurczył. Starannie wybrukowany teren centrum handlowego to właśnie takie miejsce, gdzie moje szanse są dość marne, w zasadzie więc w razie braku jakiejś dodatkowej broni powinienem jak ognia unikać wszelkich awantur. Czułem jednak, że tym razem to się może nie udać.

Nie minęło pięć minut, odkąd przykucnąłem na dachu, gdy nagle ujrzałem, że od zachodniej strony wchodzi na dziedziniec Goibhniu. Jego włosy nie były aż tak rude jak moje – można by je nawet uznać za kasztanowe – i o wiele dłuższe, aż do ramion, z przedziałkiem pośrodku głowy. Miał na sobie dzinsy i sweter irlandzki, który zakrywał większość jego tatuaży. Zatrzymał się pod sceną, uśmiechnął jakby drwiąco i skinął gnomom. Odpowiedzieli mu tym samym i wyraźnie im ulżyło na jego widok. W lewej ręce miał termos z nierdzewnej stali, prawą trzymał w kieszeni. Ruszył w stronę wejścia do San Felipe's. Na chwilę zniknął w środku, ale zaraz znów się pojawił przed sceną, tylko już po tamtej stronie płotka. Wszystkie stoliki przy brzegu były zajęte, bo stamtąd najlepiej było widać (i być widzianym). Goibhniu podszedł pewnym siebie krokiem do stolika, przy którym siedziały cztery osoby, wyciągnął coś z kieszeni i położył na stole. Były to cztery banknoty, po sto dolarów każdy. Dał każdemu z siedzących po jednym, a oni natychmiast wzięli swoje napoje i sobie poszli.

Teraz już był w posiadaniu całego stolika przy płotku, siadł więc na barowym krześle i ostentacyjnie postawił termos na środku blatu. Pojawiła się

smukła kelnerka. Zamówił u niej coś, czego pewnie nawet nie tknie.

Zaraz potem wyczułem narastające wokół napięcie – niczym subwooferowe crescendo, sejsmiczne i nieuniknione. Przyznam, że aż mi piórka stanęły dęba. Źródłem tego napięcia musiał być ktoś tam na dole, ale nie mogłem ustalić kto. Czas było inaczej spojrzeć na to wszystko. Włączyłem charms splatający mój wzrok z magicznym spektrum. Staram się go za często nie używać, bo gdy się widzi, jak wszystko się ze wszystkim splata, to trudno się nie nabawić nadmiernego obciążenia sensorycznego. A jednak jest niezastąpiony, gdy trzeba przejrzeć magiczne przebrania faerii, i dlatego właśnie nazywam go szkłem faerycznym.

Źródłem magicznego poruszenia rzeczywiście i tym razem była faeria, a raczej coś, co ten faeryczny typek niósł na plecach. On sam przebrany był za ciemnowłosego chłopaka emo – potargana czupryna zasłaniała mu pół twarzy, a do tego miał koszmarnie obcisłe dzinsy. Tak naprawdę jednak miał jasne włosy, był trochę wyższy i wysportowany. Na plecach miał worek jutowy, taki spory, mniej więcej wielkości torby na odpadki ogrodowe. Sznurki były tak zaciśnięte, że niemal nie widać było zawartości, ale czułem, że w środku kryje się mroczna, kipiąca magia, która tylko czeka, by wydostać się na zewnątrz. Magia z głębin ziemi, która powinna była tam pozostać.

<Atticusie, dlaczego sierść mi się jeży?>.

Bo jakiś potwór tu nadchodzi.

<Śmierdzi jak olej silnikowy wymieszany z gównem>.

Faeryczny typek zauważył Goibhniu i ruszył w stronę wejścia do San Felipe's. Gnomy zarejestrowały go, ale dalej robiły swoje, choć ewidentnie nie mogły się już zupełnie skupić.

Do stolika Goibhniu wróciła kelnerka i postawiła kufel piwa i dwa puste kieliszki do wódki. Podziękował jej i sobie poszła. Potem w polu mojego widzenia znów pojawił się faeryczny typek. Skinął bóstwu, ale nie przysiadł się ani nie odłożył wora. Goibhniu odpowiedział podobnym skinieniem, ale bez cienia uśmiechu. Zacząłem się zastanawiać, czy są spokrewnieni i czy Goibhniu

przyniósł ten termos specjalnie, żeby wkurzyć faerie.

Wszystkie faerie – mam tu na myśli prawdziwe faerie irlandzkie, a nie te urocze skrzydlate koszmaki, które Disney nazywa *fairies* – są potomkami Tuatha Dé Danann, ale urodzonymi już w Tír na nÓg. W przeciwieństwie do swoich ojców faerie są stworzeniami czysto magicznymi i nie tolerują dotyku żelaza. Stal jest dla nich bardzo zła. Kute żelazo jeszcze gorsze. A zimne żelazo, czyli żelazo z meteorytów, niesplecione z magią ziemi – najgorsze ze wszystkiego. To dlatego noszę na szyi amulet z zimnego żelaza – to najlepszy na rynku środek faeriobójczy.

Goibhniu bez słowa sięgnął po stalowy termos i odkręcił go. Nalał odrobinę bursztynowego płynu do jednego z kieliszków, zakręcił z powrotem termos i odstawił go na stół. Od tej chwili widziałem już dwie zupełnie różne rzeczywistości.

To, co było widać, gdy się patrzyło ludzkim wzrokiem, właściwie się nie zmieniło: ciemnowłosy chłopak emo stał sobie i patrzył na kieliszek na stole, a na jego plecach wisiał nieruchomy wór. Jednak w magicznym spektrum – które znacznie skuteczniej ukazywało rzeczywistość, a widoczne było dla mnie jako dodatkowa zielona warstwa – jasnowłosy faeryczny typek podniósł pusty kieliszek i podsunął go w okolice swojego prawego ramienia. Z wora na jego plecach wysunęła się cienka ręka tak czarna, jakby była ciosana z węgla, i chwyciła kieliszek swoimi jedynymi trzema palcami. Sznur się poluzował, worek poruszył i wyłonił się z niego brzydki czarny łeb, potem ramiona. Gęba stworza wyszczerzyła się w okrutnym uśmiechu, ukazując zęby przypominające zastygłą lawę. Gnomy też go zobaczyły, bo ich magiczny wzrok w niczym nie ustępował mojemu. Zamarły. To musiał być ten cały Kohleherz, źródło złej energii. I choć nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego, od razu wiedziałem, że to kobold z najmroczniejszych kopalni lub innych podziemnych jaskiń.

Koboldy są dla gnomów tym, czym Sithowie dla Jedi, albo nawet czym jest yin dla yang. Obydwa te ludy to niewielkie, władające magią ziemi istoty

dwunożne, których twarze aż się proszą o rynoplastykę, ale koboldy splecione są z głębszymi siłami przemocy i wstrząsów, gdy tymczasem gnomy służą mocom rośnięcia i żywienia. Jeśli wierzyć legendom, koboldy wykazują się niesamowitą odpornością na ciśnienie i wysokie temperatury. Pokaż koboldowi jezioro lawy, a on zapakuje się do niego radośnie, jakby to było jacuzzi, być może od razu zamawiając sobie do tego drinka z papierową parasolką i owockiem zatkniętym na krawędzi szklanki. A potem, relaksując się w ten miły sposób, uknuje jakiś megakoszmar w stylu erupcji Krakatau.

Istota ta lewą ręką wyciągnęła teraz z otchłani wora złotą manierkę – nie taką jedynie pozłacaną, ale manierkę z najprawdziwszego złota, zdobioną pismem gnomów i lśniącymi klejnotami. Nalała z niej odrobinę srebrnego, gęstego, kleistego trunku do kieliszka i oddała naczynie faerycznemu współnikowi. Ten odstawił je na stół i podniósł drugi kieliszek, w którym nadal znajdowało się to, co nalał tam Goibhniu. Bóg z kolei uniósł kieliszek z dziełem życia klanu Rathskellerów. Normalnie jak dilerzy sprawdzający jakość narkotyku przed transakcją.

Kobold łyknął bursztynowe coś, odchrząknął i pokiwał głową z aprobatą. Goibhniu skosztował odrobinę napoju gnomów i widać było, że cieszy się tą rzadką w życiu chwilą błogostanu. W końcu skinął głową i odstawił kieliszek. W hałasie centrum handlowego nic nie słyszałem, ale łatwo mogłem sobie wyobrazić zadowolone pomruki, jakie pewnie wydawał kobold. Wychylił się z wora, by podać bogu manierkę. Goibhniu chwycił stalowy termos, którego nie mógł przecież podnieść faeryczny emo, i wstał z krzesła. Wziął manierkę od kobolda i ostrożnie, by nie dotknąć nią przypadkiem faerii, podał mu w zamian stalowy termos. Kobold błysnął koszmarnym uśmiechem i wraz ze swoim łupem zniknął w worze.

Nie uściśnięto sobie dłoni na pożegnanie i obyło się bez żadnych uprzejmości. Goibhniu jak gdyby nigdy nic podszedł do płotu i wyciągnął dłoń ze złotą manierką. To musiał być umówiony znak. Gnomy ryknęły nagle zupełnie nieelfimi głosami:

– Za Rathskellerów! – i przestały udawać pomocników Mikołaja, bo zbiegły po prostu ze sceny, fundując Świętemu niezły szok, a wszystkim grzecznym chłopczykom i dziewczynkom traumę do końca życia.

Ja cię kręcę! On od razu oddaje ten bimber gnomom! Postanowił zupełnie pieprzyć kobolda!

<To bogom tak wolno?>.

Bogowie mogą sobie pieprzyć, kogo chcą. Por.: Historia.

Faerii szczeka opadła na widok nadciągających gnomów o czerwonych nosach i wąsach drżących z uzasadnionej, jak by nie patrzeć, wściekłości. Z wora znów wyłoniła się na chwilę ciemna sylwetka kobolda, a jego krzyk rozpaczy poniósł się echem po placu. Nie ulegało wątpliwości, że ci dwaj byli równie jak ja zaskoczeni tym, że gnomy postanowiły przebywać wśród ludzi. Ci ostatni z kolei zamarli, zamilkli odruchowo i wbili wzrok w elfy świętego Mikołaja szarżujące na płotek San Felipe's. Kobold wrzasnął po staro-wysoko-niemiecku. Dawał znać swojej faerii, że czas salwować się ucieczką. Był to odgłos tak ochrypły i koszmarny, że dobry nastrój klientów galerii prysł w jednej chwili. Nikt jednak nie widział, co wydało ten straszny dźwięk, i głowę dając, że nikt nie chciałby widzieć. Dzieci zaczęły płakać, a dorośli poczuli na plecach pierwsze muśnięcie nieubłaganego palucha paniki. Faeryczny emo rzucił się w stronę wyjścia. Goibhniu szczyrzył się do klanu Rathskellerów. Gnom, który jeszcze przed chwilą pomagał Mikołajowi, chwycił Piwo Niekończącej się Siły i wszystkich pięcioro pokłoniło się bogu.

Goibhniu coś im na to odpowiedział – pewnie „nie ma za co” – i pomachał ręką na pożegnanie. Zgrabnie przeskoczył płotek i ruszył spokojnym truchtem w stronę księgarni, skąd chwilę temu przyszedł. Na stole został jego nietknięty kufel. Gnomy utworzyły łuk i zaczęły biec, żeby odciąć drogę ucieczki faerii i Kohleherzowi. Nie miały jednak dużych szans; faeryczny emo już był prawie przy drzwiach, a kiedy wybiegnie, będzie mógł popędzić na południe, w stronę parkingu. Niby jakim cudem krótkie nóżki gnomów miałyby nadążyć za długimi krokami smukłej faerii? Jeśli czegoś nie zrobię, kobold umknie.

Tylko że miałem swoje powody, żeby się nie wtrącać. Po pierwsze, to naprawdę nie była moja sprawa. Po drugie, dużo bym ryzykował – udało mi się siedzieć w jednym miejscu z górą dziesięć lat, interes mi tu nieźle szedł, nikt nie podejrzewał, że mogę być starszy niż trzy największe religie świata ani że władam czterdziestoma dwoma językami. Tymczasem jeśli wetknę nos w tę awanturę, a faerii albo koboldowi uda się uciec, nie uniknę kolejnej przeprowadzki.

Z drugiej strony, wiedziałem dobrze, że jeśli pozwolę teraz umknąć koboldowi, będą mnie latami męczyły wyrzuty sumienia. Z tego, co o nich słyszałem i czytałem, koboldy to istoty o zadziwiającym braku cech, które mogłyby je zbliżyć do wybawienia. Są trochę jak moskity – męczące, a do tego przenoszą ciężkie choroby, więc zabijanie ich jest zasługą dla społeczeństwa. W Pompejach na przykład wcale nie doszło do naturalnego wybuchu – była to robota trzech koboldów, które miały coś tam przeciwko jakiemuś czarnoksiężnikowi w mieście. Nasze szczęście, że rzadko w ogóle zaprzatają sobie głowę ludźmi.

Zostań tam, gdzie jesteś – poleciłem Oberonowi. – Muszę się upewnić, że czarny charakter nie umknie z pola walki.

<Niech ci będzie, ale jeśli komuś spadnie na ziemię jakiś smakołyk i zniknie, to nie moja wina!>.

Dobra, ale żebyś im tylko nie pomagał za bardzo w spadaniu.

Rozłożyłem skrzydła i poszybowałem cicho w stronę wejścia do San Felipe's, z którego właśnie wyskoczyli kobold i jego faeryczny współnik. Wpadli na dążącą w stronę sceny matkę z dwójką dzieci i przewrócili się wszyscy razem, przez co biednym dzieciakom do końca życia będzie się z pewnością święty Mikołaj kojarzył z bolesnymi upadkami. Faeryczny emo od razu jednak zerwał się na równe nogi, które wykorzystał pospiesznie do działania. Pewnie dodatkowo dopingowało go odległe, ale zbliżające się wycie policyjnych syren. Klan Rathskellerów wypadł z za rogu i zobaczył go, ale widać było, że w życiu go nie dogonią, jeśli ktoś im w tym nie pomoże.

Trudno było powiedzieć, jaki jest ich plan ewakuacyjny. Faeryczny typek pędził na południe, a kobold wyglądał z wora i nadzorował trasę czarnymi jak węgiel oczkami. I dlaczego właściwie w ogóle wybrali akurat Tempe na miejsce tej przedziwnej wymiany? Faerie nie potrafią przenosić się do Tír na nÓg, jeśli nie mają pod ręką dębu, jesionu i głogu, a tych drzew w okolicy Phoenix nie było za wiele. No tak, ale koboldy, szczególnie te czarne, bezsłoneczne, do jakich należał Kohleherz, potrafią poruszać się pod ziemią. A to, co odróżnia galerię Tempe Marketplace od tysięcy innych amerykańskich centrów handlowych, to jej bliskość do piaskowo-skalnego kamieniołomu przy rzeczce Salt. Pewnie kobold tam właśnie ich doprowadził i teraz też tam biegają, żeby się stąd zmyć.

I rzeczywiście zmierzali w tę stronę, bo gdy wypadli na parking, pędzili już dalej na wschód wzdłuż północnego przejazdu. Gnomy wciąż ich goniły, ale zostawały coraz bardziej w tyle. Jeśli odczekam, aż dotrą do nagiej ziemi kamieniołomu, będę miał dostęp do energii, ale oni też go będą wtedy mieli. Nie da się zaś powstrzymać kobolda przed wsiąknięciem w ziemię, jeśli się już do niej dorwie. Moje zdolności przesuwania ziemi można porównać do umiejętności dziecka bawiącego się plastikową łopatką, a gnomów i koboldów – do koparek hydraulicznych. Tymczasem na asfalcie będziemy wszyscy działali na ograniczonej mocy, ale ze mną będzie o tyle cienko, że przemiana w człowieka będzie mnie kosztować sporo zapasów magii. Muszę jednak coś wykombinować i ich jakoś zatrzymać, póki nie dogonią nas gnomy w tych swoich głupich butkach na koturnach.

Parking był akurat dość pustawy – i bogom dzięki. Gdybym tak mógł załatwić tę sprawę, nie psując już nikomu więcej miłego poniedziałku, to by było pięknie. Zleciałem spiralą tak, żeby zastąpić drogę faerii, i zrzuciłem kamuflaż. Nagłe pojawienie się sowy na parkingu nieco go zdziwiło, więc zwolnił, ale nie walnął po hamulcach, tylko odbił lekko w lewo, żeby mnie ominąć. Zamarł w panice, dopiero gdy przemieniłem się tuż przed nim w człowieka. Celowo ukazałem mu się od prawej strony, żeby zobaczył druidzkie tatuaże, które zakrywały całe moje ciało od pięty aż po prawe ramię. Jeśli

patrzy na mnie w magicznym spektrum, zobaczy, że się podświetlają, bo energia z przemiany przepływa przez sploty. Poza tym zobaczy jeszcze coś. I na to liczyłem.

Zaklął zdumiony i to samo uczynił kobold na jego plecach. Warknął na niego po staro-wysoko-niemiecku, chcąc wiedzieć, czemu jego wierzchowiec się zatrzymał.

Faerii tymczasem gały wyszły na wierzch, gdy dotarło do niego, że nie jestem jednym z Tuatha Dé Danann. Dla niego byłem bowiem ucieleśnieniem strasznych historii opowiadanych przy ognisku.

– To człowiek z żelaza! – pisnął.

Ten błąd wywołał mój mimowolny uśmiech. Choć z jego perspektywy może tak to właśnie wyglądało. Już dawno splotłem amulet z zimnego żelaza z moją aurą, więc dla faerii byłem niczym naga śmierć. Użyłem odrobiny kończącej się energii, żeby podkreślić prędkość ruchów i dodatkowo nastraszyć faerię. Typek zobaczy w magicznym spektrum biały blask magii i będzie zachodził w głowę, co takiego zrobiłem.

– Biegnij dalej! Musimy dotrzeć do kamieniołomu! – ryknął na niego kobold.

Pseudoemo usiłował wykonać jego rozkaz. Rzucił się najpierw na lewo, a potem na prawo, żeby mnie wyminąć, ale za każdym razem skoczyłem równie szybko, żeby mu zastąpić drogę, więc widział już, że nie da rady mnie minąć bez dotknięcia. Bawiliśmy się w grę o wdzięcznej nazwie „berek, nie żyjesz”, bo wystarczyło jedno dotknięcie, a moja aura rozpuści jego istotę. Skoczyłem w jego stronę z wyciągniętą ręką, a on odskoczył do tyłu w panice. A potem obrócił się i zupełnie bez sensu popędził na oślep w stronę gnomów.

Tylko że zapomniał przy tym, że znajdujemy się na parkingu jednej z najbardziej popularnych galerii handlowych w okolicy. Gdy tak mknął przed siebie z przeklinającym go koboldem na plecach, walnął prosto w jeden z tych olbrzymich supermęskich samochodów terenowych, co to mają stalową kratę z przodu i zderzak z chromowanej stali. I on, i samochód poruszali się z

prędkością nie większą niż osiem kilometrów na godzinę, co raczej nie powinno stanowić większego zagrożenia dla nikogo, ale kontakt ze stalą był dla faerii o wiele bardziej niebezpieczny niż samo zderzenie i dlatego runął z mocą w tył, stracił przytomność i wylądował na swoim mrocznym pasażerze. Kohleherz uznał, że już nic tu nie zyska na tajniaczeniu się i fortelach. Wykorzystując swoją nieludzką siłę ziemskiej istoty, skopał z siebie faerię i przedarł się przez materiał worka. Chwycił faerię obiema rękoma i cisnął nią w maskę samochodu, aż plasnęła nieprzyjemnie o szybę. Kierowca, który i tak już panikował na myśl o zwyczajach ubezpieczenia po wypadku, teraz mało nie dostał apopleksji. Wyskoczył zza kierownicy, klnąc na czym świat stoi i rozpaczliwie szukając kogoś, na kogo dałoby się zrzucić winę za to wszystko. Miał na sobie dzinsy i T-shirt z oddartymi rękawkami – należał najwyraźniej do tej intrygującej grupy ludzi, którym się zdaje, że ich bicepsy stanowią największą atrakcję okolicy. Zobaczył, że stoję tam nagi, ale zupełnie nie zauważył kobolda, który – jak by nie patrzeć – znajdował się o wiele niżej i kolorami wtapiał się idealnie w asfalt. I tak bicepsowy kierowca z miejsca uznał, że chudy chłopiec emo, który wpadł mu pod koła – a potem jakimś cudem odbił się od powierzchni parkingu i wskoczył na maskę – uciekał z pewnością przed moimi erotycznymi propozycjami.

– Co ty wyprawiasz, zboczeńcu? Mogłeś zabić biednego dzieciaka! Powinni cię zamknąć i obciąć ci jaja!

Nic na to nie powiedziałem, bo nadzy ludzie nigdy nie wygrywają utarczek słownych. Krzyczy się na nich, aresztuje ich i traktuje taserem, ale nikt ich nigdy nie słucha. Zresztą miałem na głowie coś o wiele mniejszego, ale bardziej niebezpiecznego. Nie mogłem pozwolić, by Kohleherz mi umknął. Chwycił stalowy termos i obejrzał się, żeby sprawdzić, jak daleko jest klan Rathskellerów. Gnomy truchtały, sapiąc ciężko, ale jednak były coraz bliżej. Widać było, że żałują, iż nie mają na stopach jakichś wygodnych adidasków zamiast tych elfiastych koturnów.

Faerię szlag trafił; mało która faeria byłaby zdolna przetrwać taki podwójny atak (kontakt ze stalą plus zwykła siła uderzenia). Obracała się właśnie w

popiół na masce samochodu, na co kierowca zaczął mamrotać różne wersje łotdefaków, żeby dać upust przemożnemu poczuciu niemocy.

Kohleherz po raz pierwszy odwrócił się w moją stronę.

– Z drogi! – warknął, ale nie odczekał, aż wykonam rozkaz.

Pewnie założył, że nie mówię po staro-wysoko-niemiecku. Słowa wypowiedział tylko po to, żeby móc rzucić na mnie zaklęcie. Termos trzymał pod lewą pachą, a prawą machnął dramatycznie w charakterystyczny sposób megalomanów, którym się chyba zdaje, że łapią świat za metaforyczne jaja. Jestem prawie pewien, że zaklęcie miało mnie unieść w powietrze, a tym samym odsunąć z trasy jego ucieczki, ale nic takiego się nie stało. Rzucone na mnie zaklęcia muszą zawsze najpierw pokonać moją aurę, a jako że jest ona spleciona z zimnym żelazem, zwykle po prostu spalają się natychmiast, a mnie nic się nie dzieje. Zadrżał mi amulet i nic poza tym się nie stało.

Zdumiony kobold postanowił ponowić próbę.

– Przesuń się! – syknął i tym razem machnął ręką, jakby rąbał powietrze przed sobą.

Mój amulet znów zadrżał, ale moje stopy pozostały na ziemi i nadal odcinałem mu drogę ucieczki. Klan Rathskellerów pędził w naszą stronę – jeśli tak można określić sunięcie w tak dziwacznych buciorach – a koboldowi zdecydowanie nie podobała się taka liczba przeciwników. Syknął sfrustrowany i chyba po raz pierwszy w ogóle spojrzął na mnie uważniej.

Uśmiechnąłem się do niego kpiąco i w jego języku powiedziałem:

– Jestem pewnie dużo starszy od ciebie, Kohleherz. Nawet nie próbuj mnie rozstawiać po kątach.

Kobold zbladł, ale niestety nie dał się wciągnąć w rozmowę. Przypomniawszy sobie, że jest tu pod ręką ktoś, kogo owszem, łatwo będzie rozstawić po kątach – klnący kierowca, który nawet nie raczył się zamknąć lub choćby zauważyć, że puszcza mimo uszu jego potok łaciny.

Atramentowe paluchy Kohleherza machnęły w stronę mężczyzny.

– Przesuń się! – ryknął znów kobold, ale tym razem wykonał już ten gest

bardzo starannie a nie tak od niechcienia jak przedtem.

Przesunął rękę nad głowę i biedny facet poszybował w górę, wrzeszcząc wniebogłosy, a potem palce kobolda wskazały na mnie. Miałem więc do wyboru: odsunąć się z drogi i pozwolić facetowi rąbnąć głową o asfalt albo go złapać. Nie było czasu na wypowiedzenie splotu, który by go uratował, a zresztą i tak kończyły mi się zapasy magii. Uznałem, że spróbuję go złapać.

Miałem cichą nadzieję, że podziękuje mi za uratowanie mu życia, ale gdzie tam. Tkwił w głębokim przekonaniu, że jestem zbrojcem, więc gdy nagle jakaś siła pchnęła go w moje ramiona i sprawiła, że potoczył się ze mną po płycie parkingu, wpadł w kompletną histerię. Zęby miał brązowe, oddech śmierdzący, a do tego wydawał całkiem dużo odgłosów, gdy walił mnie na oślep, żebym go puścił. Szlag mnie trafił i oddałem mu może trochę mocniej, niż by wystarczyło. Puścił mnie, bo stracił przytomność, a ja rozejrzałem się za Kohleherzem.

Pędził w stronę kamieniołomu, ale teraz już musiał jednocześnie walczyć z gnomami, które wreszcie były na tyle blisko, by móc odwołać się do swojej magii. W normalnym spektrum wyglądało to tak, jakby pięć elfów Świętego szło szybkim krokiem i nieco spazmatycznie wymachiwało rękoma. W magicznym jednak widziałem, że usiłują spleść kobolda, który odbija kolejne ich magiczne ataki. Nie odpowiadał jednak kontratakiem – nie miał czasu na nic, bo gnomy skutecznie zasypywały go swoimi zaklęciami. Ale w sumie nie musiał, wystarczyło, że zbliżał się do kamieniołomu.

Magicznie nic już tu nie mogłem działać. Ostatnie krople magii, jakie mi zostały, musiałem przeznaczyć na podtrzymywanie kamuflażu Oberona – nie mogłem przecież pozwolić, by ktoś nagle zobaczył go w galerii handlowej samego i bez smyczy. Niestety energii nie starczyło mi już na kamuflaż dla mnie, choć bardzo by się przydał, szczególnie że hałas naszej bójki przyciągnął uwagę innych klientów, którzy ujrzeli nagiego faceta leżącego obok ubranego, acz nieprzytomnego. Nietrudno było sobie wyobrazić, że ich to mocno zafrapowało. Wiedziałem, że muszę się stąd wydostać i odzyskać połączenie z

ziemią – a przy tym pomóc jakoś gnomom.

Z każdej strony parkingu słyszałem już wrzaski i zdumione:

– Hej! Co pan wyprawia?

Ignorując je, przetoczyłem typka na bok i obszukałem rozpaczliwie w nadziei, że znajdę cokolwiek, co by mi pomogło w walce. Liczyłem na scyzoryk, ale się przeliczyłem. Natomiast na jego tylnej kieszeni zobaczyłem okrągłe wybrzuszenie, które niechybnie świadczyło o tym, że jego brązowe zęby zyskały ten kolor w wyniku żucia tytoniu. Wyciągnąłem więc okrągłą puszczkę, która w dłoni okazała się obiecująco ciężka, i pomknąłem na wschód w stronę kamieniołomu – oby koboldołomu.

Za mną rozległy się jeszcze bardziej oburzone krzyki. Ludzie byli najwyraźniej pewni, że rąbnąłem facetowi portfel. Jeśli zaczną mnie gonić, wpakują się w moją walkę z koboldem i gnomami. Im szybciej to więc zakończymy, tym bezpieczniej dla wszystkich.

Biegłem północnym skrajem parkingu, dzięki czemu kiedy znajdę się na wysokości walczących, będę już jakiś metr od nich. Gdy zrównałem się z gnomami, cisnąłem puszką z tytoniem w stronę kobolda. Zobaczył mnie oraz błysk puszkę i rozpaczliwie puścił w jej kierunku jakieś zakłęcie, pewnie myśląc, że to shuriken albo inna groźna broń. I w ten sposób mała puszczyka skutecznie odwróciła jego uwagę.

Przez sekundę nie podtrzymał swoich zabezpieczeń przed gnomami i to wystarczyło, by jedno z zaklęć przebiło się i powaliło go na ziemię. Termos huknął o asfalt i stal potoczyła się w dal. Teraz, gdy już powstała wyrwa w zabezpieczeniach, zaklęcia waliły jedno za drugim. Kohleherz wydał pisk przypominający dźwięk, gdy trze się kredą o tablicę. Wiedział dobrze, że śmierć jest blisko i nic już się nie da zrobić. Biegłem dalej na wschód, bo wiedziałem, że gnomy już to teraz same załatwią – na pewno potrafiły skutecznie wyegzekwować osobiste, fizyczne zadośćuczynienie za szkody. Dał się słyszeć jakiś mokry plask, wrzaski Kohleherza urwały się raptownie i nagle zniknęło przemożne poczucie, że coś jest nie tak, które nie opuszczało mnie,

odkąd się pojawił.

Syreny były już bardzo blisko, gdy moje stopy dotknęły wreszcie piaszczystej ziemi kamieniołomu. Z ulgą poczułem, jak zalewa mnie przez tatuaże energia. Rzuciłem na siebie kamuflaż i załadowałem magiczny bak, a potem ruszyłem z powrotem sprawdzić, czy aby Kohleherz na pewno nie żyje.

Nie żył. Została po nim tylko mokra, tłusta plama na asfalcie. No i grupka dziko zadowolonych z siebie gnomów. Byłem spokojny, że zachowają w tajemnicy moją obecność w Arizonie, a i faeria już się raczej nie wygada (jej prochy rozwiewał właśnie wiatr). Goibhniu pojawił się i zniknął, nawet mnie nie zauważywszy, uznałem więc, że mogę bezpiecznie zostać jeszcze trochę w Tempe. Klan Rathskellerów zabrał też stalowy termos i tak było nawet lepiej, bo cokolwiek tam uwarzył Goibhniu, nie było to przeznaczone dla ludzi. Gnomy widziały, że znów podszedłem, bo ich nie mógł zmylić mój kamuflaż. Skinęły mi uprzejmie głowami. Odpowiedziałem im takim samym gestem, wiedząc, że wyświadczyłem im przysługę i pewnego dnia, jeśli zajdzie taka potrzeba, odwdzięczą mi się tym samym.

Amator tytoniu do zucia zaraz zostanie zabrany przez karetkę (wnioskując po syrenach i tłumku ludzi tłoczących się nad nim z komórkami w dłoniach), ruszyłem więc już spokojnym kroczkiem po psa i ubrania.

<No wreszcie> ucieszył się na mój widok Oberon. <Jestem wyposzczony!>.

Wyposzczony, powiadasz? Trudne słowo jak na psa.

<Celowo je sobie zachowałem na specjalną okazję i proszę bardzo. Oznacza ono, że przekroczyłem już normalny etap wygłodzenia. Wyobraź sobie, że przez cały ten czas, jak cię nie było, nikt nie upuścił niczego jadalnego!>.

To rzeczywiście tragedia.

<Ty mi mówisz?! Hej, Atticusie, a powiedziałaś Mikołajowi, że z okazji Przesilenia Zimowego chcę dostać kiełbasę?>.

Mikołaj daje prezenty na Boże Narodzenie, a nie z okazji druidzkich

uroczystości.

<No tak, ale tak na wszelki wypadek?>.

*Dobra, tak na wszelki wypadek powiem. Na pewno jesteś na jego liście
bardzo grzecznych piesków.*

Uwolnić Kaibaba

Gdybym umarł wtedy, kiedy powinienem, nie dożyłbym fajnych czasów. Nie miałbym okazji pobawić się iPadem, iPhone'm i iNiczym w ogóle. A wszelkie e-zabawy, takie jak e-maile, i eHarmony byłyby dla mnie zupełnie nie do pomyślenia – mniej więcej tak jak dla współczesnych nie do pomyślenia jest dłuższy pokój na Bliskim Wschodzie. Ominęłyby mnie też takie wiekopomne dzieła, jak *Opowieści kanterberyjskie* Chaucera, *Oda do radości* Beethovena czy *Monty Python i Święty Graal*. I papier toaletowy! Słowo daję, ludzie do znudzenia zachwycają się wynalezieniem elektryczności, ale moim zdaniem papier toaletowy był wynalazkiem równie genialnym jak koło! Możecie sobie o tym myśleć, co chcecie, ale pożyjcie dwa tysiące lat bez papieru toaletowego i wtedy pogadamy. Początki współczesnej cywilizacji to okres zimna, nędzy i smrodu, a najlepsze, co się da powiedzieć o tych czasach, to to, że minęły.

Gdy stuknęła mi setka, doszedłem do wniosku, że to właśnie małe rzeczy sprawiają, że warto tak długo żyć. To małe rzeczy pozwalają ci się skupić na terażniejszości i ją doceniać. Takie jak polowanie z moim psem Oberonem na przykład. Mamy zwyczaj polować, zupełnie się nie przejmując, czy coś upolujemy czy nie, bo wiemy, że tak naprawdę chodzi o to, żeby spędzić trochę czasu z przyjacielem na łonie przyrody.

Tego dnia wybraliśmy się wynajętym autkiem na wyżynę Kaibab. To zupełnie wyjątkowy ekosystem położony w północnej części Wielkiego Kanionu.

<Dobrze tak się wyrwać z miasta, Atticusie> stwierdził Oberon, a jego słowa docierały do mojego umysłu przez specjalne łącze.

Był to splot, którego nie stworzyłbym dla byle kogo. Wymaga dużo pracy, a nie wszystkie zwierzęta są tak mądre jak Oberon i rzadko mają ochotę na pogawędkę o czymkolwiek innym niż jedzenie i seks. Ale od czasu do czasu dobrze jest zwolnić, przystanąć i przyjrzeć się tym wszystkim niciom łączącym żywe stworzenia na ziemi; podjąć nić świadomości konia czy niedźwiedzia, spleść je ze swoim umysłem i spojrzeć na świat z ich perspektywy. Z Oberonem jednak łączył mnie o wiele silniejszy, długotrwały splot, dzięki czemu mój pies mógł stopniowo podłapać język i nie musiałem już komunikować się z nim za pomocą obrazów i emocji. Teraz wytknął łeb przez okno, a jezor wystawał mu wesoło z pyska.

<Tu, na północy, powietrze jest o wiele czystsze>.

Zgadzam się z tobą w stu procentach – odpowiedziałem.

<Dlaczego częściej nie robimy sobie takich wypadów?> spytał.

Nie bardzo wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć. Nie chciałem go niepokoić. Prawda była taka, że powinienem był umrzeć na długo przed tym, nim pojawił się Jezus, a pewien irlandzki bóg zwany Aenghusem Ógiem wciąż pragnął mojej śmierci za numer, który mu wywinąłem dwa tysiące lat temu. Co gorsza, miał na swoje skinienie najróżniejsze faerie, które przeczesywały ziemię w poszukiwaniu mnie właśnie, tak więc nie mogłem sobie pozwolić na to, by spędzać za dużo czasu w lesie, bo tam zostawiałem zbyt dużo śladów, takich jak na przykład zbyt radosne drzewa. Jestem generalnie ostatnim druidem na tym świecie, drzewa więc wariują na mój widok niczym fani, gdy zobaczą Jossa Whedona. A to oznacza, że muszę się ukrywać w miastach. Faerie nie przepadają za tymi pełnymi żelaza miejscami, Arizona zaś stanowi szczególnie dobrą kryjówkę, bo okolica Phoenix jest olbrzymia i starannie zurbanizowana. To nie tak, że zupełnie nie mogą wchodzić w miejską zabudowę, ale są leniwe, a do Phoenix nie potrafią się szybko dostać. Do podróżowania potrzebują dębu, jesionu i głogu, a w tym stanie można znaleźć tylko kilka miejsc, gdzie

te rośliny rosną razem, i są to miejsca położone z dala od miasta. Słowem, bezpieczniej jest dla mnie siedzieć w mieście. Ale Oberon nie wiedział jeszcze nic o moich kłopotach i nie było powodu, żeby go teraz nimi obciążać. Wymyśliłem więc jakąś prostą wymówkę.

Wiesz, muszę prowadzić sklep. Ludzie na mnie liczą. A raczej na moje herbatki.

Mam w Tempe księgarnię w stylu New Age, tuż przy uniwersytecie. W jednej części sklepu sprzedaję książki, w drugiej zioła i zaparzam też herbatki. Klienci zarzekają się, że są cudowne. Regularnie każdego dnia stawia się u mnie na przykład grupa staruszków na porcję herbatki Ruch to Zdrowie, ziołowej mieszanki, która łagodzi zapalenie stawów, dodaje energii i sprawia, że czują się dziesięć lat młodszy. Nie ma w tym żadnego cudu – tak zresztą jak w żadnej z moich herbatek. To tylko kwestia ponad dwóch tysięcy lat doświadczenia w zielarstwie. Po prostu troszkę się znam na tych substancjach.

<Mówiłeś przecież, że większość tych herbatek nie wymaga magii> przypomniał mi Oberon. <A to oznacza, że mógłbyś je przygotować na zaś, a potem po prostu mieć kogoś, kto by je sprzedawał, a my byśmy sobie w spokoju polowali>.

Mądry z ciebie piesek.

<No ba!>.

Ale na razie mam tylko jednego pracownika. To i tak miłe z jego strony, że zgodził się popracować za mnie te dwa dni, gdy nas nie będzie.

<To zatrudnij ich więcej! Atticusie, wszyscy chcą pracować, bo wszyscy mają miłe pieski, którym trzeba kupić steki. Z wyjątkiem kociarzy, ale oni też potrzebują kasy na żwirek do kuwety. Hej, czy te drzewa na prawo to sosny?>.

Tak.

Jechaliśmy na północ drogą numer 17, która prowadziła na tym odcinku przez Park Munds. Las Coconino zapominał już powoli o pomniejszych odmianach dębów i jałowców grubokorych, a zaczynał się chwalić wyższymi drzewami.

<Wyglądają super. Na pewno świetnie się wśród nich biega. O ile zakład, że zaraz za tym wzgórzem jest jakaś sarna?>.

Wilczarze irlandzkie hodowano kiedyś głównie do polowania na wilki i sarny. Były w tym jednak trochę za dobre i przez to w Irlandii nie ma już ani wilków, ani saren.

No, ale to prywatna posiadłość – stwierdziłem. – My musimy się trzymać parku narodowego. Tam też będą sosny. I może osiki.

<Jedziemy bez zatrzymywania się?>.

Nie, zrobimy sobie postój we Flagstaffie.

<No, nie. Znowu chcesz iść do tego miejsca tylko dla wegetarian, tak?>.

To kawiarnia, Oberonie. Nie możesz szufladkować wszystkich knajp, które nie sprzedają steków, jako „tylko dla wegetarian”.

<Owszem, mogę. Jesteśmy w Ameryce. Sam mówiłeś, że Amerykanie przedstawiają swoje opinie tak, jakby to były fakty, a niewygodne fakty ignorują, jakby to były tylko opinie>.

Czasami Oberon puszcza mimo uszu wszystko, co mówię, ale czasami zapamiętuje aż za dobrze.

Może i jesteśmy w Ameryce, ale ty nie jesteś Amerykaninem. Jesteś psem ostatniego druida. Nie pozwolę, żeby uchodziła ci na sucho taka amerykańska logika.

<To nie fair. Wymagasz ode mnie więcej niż od wszystkich ludzi w całym tym kraju?>.

Uważam, że to zupełnie fair. Karmię cię kiełbaskami i stekami, a nie suchą karmą, toteż należy mi się konwersacja na odpowiednim poziomie.

I tak spieraliśmy się wesoło aż do Flagstaffu, gdzie skierowałem się w stronę Beaver Street, zaraz na południe od torów. Znajduje się tam kawiarenka o wdzięcznej nazwie Macy's European Coffee House. To niewielka kafejka, w której na miejscu palą kawę i sami pieką ciasta. Mają tu zielone metalowe stoły piknikowe na dworze i wielki słup obklejony plakatami i ulotkami zapraszającymi na wykłady rozlicznych azjatyckich mędrców. Psy przywiązują

się zwyczajowo do owego słupa albo do jednego ze stołów, gdzie inni klienci głaszczą je po drodze do kawy. Przywiązałem Oberona do słupa i nakazałem mu wyglądać miło i nie straszyć ludzi. Musi się naprawdę postarać, bo jest olbrzymi, ale zwykle merdanie ogonem i wystawienie jęzora załatwia sprawę.

<Tylko pospiesz się, bardzo cię proszę> powiedział. <Zawsze czuję się tak głupio jakoś, jak cię nie ma. Ludzie albo wydają rozmaite dziwne odgłosy, albo gadają do mnie, jakbym był idiotą, a ja im nawet nie mogę powiedzieć, żeby spadali na drzewo>.

Obiecałem mu, że się będę streszczał, przekroczyłem próg kawiarni i już mogłem się napawać cudownym aromatem: kawa arabska i świeżo pieczony chleb. Tu zawsze tak smakowicie pachnie.

Stali klienci są mocno lewicowi i ubierają się stosownie do politycznych upodobań – bawełna, konopie, wełna, kaszkiety na grubych dredach i całe połacie zarostu. Ściany wypełnione są dziełami okolicznych artystów, a menu nabazgrane na szkolnej tablicy. Pracowników najwyraźniej obowiązuje tu ścisły *dress code* „cokolwiek”, a do tego szefostwo zachęca ich chyba do wyrażania swojej bohemistycznej wrażliwości poprzez jak największą liczbę kolczyków.

Uwielbiam tu obserwować ludzi. Połowa klienteli to inteligenci z Uniwersytetu Północnej Arizony, a reszta Udowadnia Coś. Od czasu do czasu zajdzie tu przypadkowo z ulicy ktoś, kto nie ma pojęcia, co to za miejsce. Dla takich ludzi to prawdziwy szok wejść do knajpy, która jest tak antykorporacyjna i niezależna. Ich dezorientacja jest ewidentna – tak zresztą jak ich przerażenie i narastające poczucie winy, że są tu jedynymi osobami noszącymi tkaniny syntetyczne. Aż mi się robi wesoło, jak widzę ich miny.

Lubię patrzeć na aury tych ludzi i widzieć błękity i zielenie, kolory zdrowia i nadziei na jeszcze więcej zdrowia. Ci ludzie są ze sobą ściśle spleceni, choć nawet o tym nie wiedzą i tak tego nie postrzegają, ale taka jest prawda. Brudny rudy odcień niezadowolenia należy tu do rzadkości. Tak zresztą jak szarości świadczące o depresji czy wściekła czerwień chciwości i materializmu.

I dlatego od razu, gdy wszedłem, zauważyłem, że młoda kobieta na samym przedzie kolejki emanuje niepokojem i przekonaniem, że nie otrzymuje tego, co jej się święcie należy. Była to smukła brunetka z włosami związanymi w koński ogon. Miała na sobie obcisłe, brązowe welurowe dresy z turkusowymi wszywkami, a jej aura kipiała czerwieniami i pomarańczami, od razu zdradzając jej żądzę władzy. Być może tylko miała jakiś słabszy dzień, ale muszę przyznać, że zniszczyła mi cały hipisowski wyluzowany nastrój i już się nie mogłem doczekać, aż sobie pójdzie i pozwoli mi w spokoju cieszyć się cudowną atmosferą panującą w tym pomieszczeniu pełnym kontestatorów.

Kiedy odebrała zamówienie – trzy kawy na wynos – i minęła mnie w drodze do drzwi, dojrzałem niepokojącą smugę wokół jej włosów. Białą smugę. Ta kobieta parała się magią. Mało nie odważyłem Kudłatego: „Kurcze! Uciekajmy, Scooby, to wiedźma!”. Biorąc pod uwagę resztę jej aury, jej ideałem zdecydowanie nie była Dobra Czarownica z Północy. Wyglądała mi raczej na typ makbetowy, a najgorsze w tym wszystkim były te trzy kawy. Wskazywałyby one bowiem, że mam tu do czynienia z jedną tylko z większego zestawu. To może być trio: Dziewica, Matka i Starowina.

Prawda jest taka, że nie dogaduję się najlepiej z wiedźmami. Druidzi z zasady nieustannie przyglądają się gobelinowi życia, by się upewnić, że wszystkie nici są silne, wzmacniają sploty między żywymi istotami i reperować brzegi, jeśli się strzępią. Czarownice natomiast nierzadko wyrywają całe wielkie dziury w owych gobelinach, by osiągać swoje egoistyczne cele i zawierać pakt z mrocznymi, nienaturalnymi siłami, które dążą do zniszczenia i wynaturzenia.

A jako że jestem już jedynym druidem, jaki się ostał, wiedźmom o wiele więcej uchodzi na sucho, niż powinno. I muszę od razu przyznać, że tak, z miejsca podejrzewam, że coś mają na sumieniu, póki nie udowodnią, że nie mają. I tak, mam świadomość, że to nieładnie z mojej strony.

Ta czarownica nie potrafiła dobrze czytać aur – jeśli w ogóle potrafiła – bo minęła mnie zupełnie obojętnie. Ci, którzy znają tę sztukę, zawsze patrzą na

mnie inaczej, bo moja aura zdecydowanie nie pasuje do rudego dwudziestoparolatka, na jakiego wyglądam.

Hej, Oberonie! – zawołałem do psa. – Z kawiarni wychodzi właśnie młoda kobieta z trzema kawami. Jest trochę dziwna. Zobaczylbyś, co się da wywęszyć na jej temat?

<A mogę obwąchać jej tyłek?>.

Mowy nie ma. Zdecydowanie ci tego zabraniam.

<No dobrze, ale wiesz, tyłek prawdę ci powie. Jest jak ten kamień z Rosetty, o którym mi opowiadałeś. A, to pewnie ona>. Nastąpiła chwila ciszy, a potem nawijał dalej: <Za dobrze nie mogłem niuchnąć, bo jestem tu uwiązany i kawa strasznie mocno pachnie, ale wyczułem płyn do płukania tkanin, mydło lawendowe i trochę tych wiesz, z twojego sklepu>.

Że co, słucham? Jakich „tych wiesz”?

<No, tych roślinek takich>.

Jakich?

<A skąd ja mam niby wiedzieć? Przecież nie uczyłeś mnie ich nazw, nie? Co ja, druid jestem? Weź pod uwagę, że jestem tylko jego psem>.

I to najlepszym psem, jakiego kiedykolwiek miał jakikolwiek druid. Dzięki za pomoc. Czy te rośliny były raczej kwiatami? Pachniały słodko czy raczej gorzko? Może ziemiście?

<Ziemiście. Zdecydowanie nie słodko. Ale nie żeby jakiś brzydki zapach>.

To oznaczało, że nie zajmuje się eliksirami miłości ani szczuciem demonów na ludzi czy ściąganiem plag. Czyli, że raczej nie jest superniebezpieczna i na razie mogę ją zignorować.

Dzięki, Oberonie. To bardzo cenne informacje. Zasłużyłeś na kiełbasę.

<Super! Proszę bratwurst, ale tym razem bez kiszonej kapusty i bez musztardy. I nic mnie nie obchodzi, czy mamy Oktoberfest czy nie, po prostu nie można niszczyć dobrego mięsa pakowaniem na nie kapusty>.

Załatwione. Zaraz wychodzę, kolejka idzie dość szybko.

Gdy w końcu dotarłem do lady, kupiłem niebieski kubek ręcznej roboty i poprosiłem ekstraekologiczną baristkę imieniem Xypop, żeby mi zrobiła w nim cappuccino. Jej imię tak świetnie się wymawiało, że nim się obejrzałem, już ją poprosiłem o jeszcze kilka drobiazgów („Xypop, macie jeszcze w sprzedaży ten przewodnik rowerowy Cosmica Raya?”) i oczywiście kupiłem przez to mnóstwo rzeczy, których wcale nie potrzebowałem. Sprzedała mi nawet pieczone wegańskie smakołyki dla psów, które kupiłem ochoczo, żeby spłatać Oberonowi figła. Odczekam, aż schrupie kilka, a potem mu powiem, że były beźmięsne i że wszystko to wina Xypop.

Na całe błogie dziesięć minut zapomniałem o trzykawej wiedźmie. Już wyjeżdżaliśmy sobie z miasta na wschód i droga skręcała łukiem na północ, gdy znów ją ujrzałem. Siedziała na miejscu pasażera w rdzawoczerwonej hondzie civic, która czekała na odpowiedni moment, żeby wyjechać ze stacji benzynowej. Moment ten pojawił się zaraz po mnie, wystarczyło więc spojrzeć we wsteczne lusterko i mogłem sprawdzić, kto jeszcze jedzie w tym samochodzie i czy miałem rację z moją hipotezą co do zestawu Dziewica, Matka i Starowina.

Nie miałem.

– Cholera, mam napad paranoi – mruknąłem.

<Ty masz stałą paranoję> stwierdził Oberon. <Poza tym gadasz do psa i wierzysz w czary. Według współczesnych norm powinni cię już dawno zamknąć, żebyś mógł sobie sączyć chloropromazynę z wysokiej szklanki z lodem i papierową parasolką>.

– Co? A ty skąd w ogóle wiesz, co to chloropromazyna?

<Miała ją brać Sarah Connor w drugiej części *Terminatora*, bo też miała paranoję. Zupełnie jak ty>.

– Muszę ci załatwić jakieś nowe filmy do oglądania, kiedy jestem w pracy – mruknąłem, nie spuszczać oka z wiedźmy, a może wiedźm, w moim lusterku. Pozostałe dwie były równie młode i atrakcyjne jak ta pierwsza, a ich aury były tak samo wściekle czerwone, tylko że w lusterku nie mogłem

dojrzeć, czy wokół głów mają też tę cieką białą poświatę. To budziło wiele pytań, ale Oberon skutecznie uniemożliwił mi zastanowienie się nad odpowiedziami.

<A mogę obejrzeć coś z ninja? Mam już dość tych twoich ulubionych romantycznych komedii i filmików o niepokoju, jaki targa nastolatkami>.

– Wcale ich nie lubię – broniłem się. – Muszę je oglądać w celach naukowych. Dzięki nim wiem, jak ci ludzie myślą i mówią. Jeśli tobie się zdaje, że łatwo mi przychodzi udawanie, że tu dorastałem, to się mylisz. Zresztą powinienem ci kazać pooglądać z tydzień ekranizacje powieści Jane Austen, a jeszcze byś mnie błagał, żebym ci znów puścił *Juno*.

<Nie mam przyjemności znać Jane Austen, ale głowę daję, że kobita jest dość rozważna, by zajmować się ważniejszymi sprawami niż paznokietki dzidziusiów i tic taki>.

– Rozważna, powiadasz? Sam się prosisz. Puszczę ci *Rozważną i romantyczną* i zobaczymy.

Skupiłem się na wstecznym lusterku. Te trzy młode kobiety coraz bardziej mnie niepokoiły, szczególnie że nie widziałem ich aur. Niewykluczone, a może wręcz prawdopodobne, że pozostałe dwie to tylko koleżanki ze studiów Kawowej Wiedźmy (jak zacząłem ją sobie w myślach nazywać) i że w ogóle nie są czarownicami. A jednak ich aury były niemal identyczne i do tego wszystkie trzy kobiety miały na sobie niepokojąco podobne welurowe dresiki, co sugerowałoby wspólny cel – rzecz typową dla sabatów czarownic. Ta za kierownicą była blondynką i miała różowy dres i okulary przeciwsłoneczne. Nazwałem ją sobie roboczo Różowa. Miała bardzo cienkie usta i prychała wciąż, jakby była bardzo poirytowana. Wyraźnie o coś się kłóciła. Z tyłu siedziała brunetka w niebieskim dresie. Była tak opalona, że nazwałem ją Solarium. Pochylała się, żeby lepiej słyszeć, co tam peroruje Różowa, i marszczyła czoło.

Miałem tylko nadzieję, że to nie jakiś sabat młodych czarownic. Z takimi aurami i poczuciem niezniszczalności typowym dla wszystkich młodych ludzi

mogły wpakować się w coś naprawdę niebezpiecznego. W sabatach opartych na tradycyjnej trójcy: Dziewica, Matka, Starowina, Matka ma zwyczaj uspokajać pozostałe dwie. Dziewica mówi: „Chrzanić to, zrobmy coś naprawdę odjechanego, bo jestem silna i i tak przeżyję, jeśli coś spieprzymy”, a Starowina mówi: „Czemu nie, zrobmy coś naprawdę odjechanego, bo i tak zaraz umrę”, ale wtedy Matka powinna powiedzieć: „Spokojnie, przemyślmy to i rozegramy wszystko jak najbezpieczniej”.

O cokolwiek się kłóciły, w końcu przestały ijechały za mną w milczeniu. Wjeżdżaliśmy już na wyżynę i zaczynałem się coraz bardziej niepokoić. Czy one mnie z jakiegoś powodu śledzą, czy to zwyczajny przypadek? Czy może jednak wyłapały moją aurę i teraz chciały wiedzieć, kim jest ten facet, który wygląda na dwadzieścia jeden lat, a ma aurę emanującą dojrzałością i magiczną mocą?

Nieliczne osoby z Tempe, które wiedzą, kim jestem, mają własne tajemnice, więc raczej nie podejrzewałem, żeby komukolwiek zdradziły, że jestem starszy niż Nowy Testament (a już na pewno nie tym małolatom). Ale nigdy nie wiadomo – czasami odnoszę wrażenie, że wszyscy by chcieli znać sekret wiecznej młodości i są gotowi zrobić wszystko, by go osiąść. Może ktoś zasugerował tym paniom, że coś na ten temat wiem. A może ich wycieczka była tylko tym, na co wyglądała – wycieczką trzech studentek na północny skraj Wielkiego Kanionu.

Skręciłem na południe, w drogę numer 67, a potem na zachód, w 461, w stronę jeziora Jacob. Dopiero wtedy je wreszcie zgubiłem. Ja skręciłem na południe w krętą leśną drogę numer 282, a Kawowa Wiedźma i spółka pojechały dalej 461, pewnie do gospody nad jeziorem. Uspokoilem się i wypchnąłem je z głowy. Z pewnością jadą tylko skosztować pysznego ciasta, jakie tam można dostać.

Gdy las zrobił się bardziej gęsty, zatrzymałem samochód na poboczu. Przez chwilę po prostu cieszyłem oczy widokiem drzew, a płuca jesiennym powietrzem. Przeważały tu stare sosny, a poza tym rosło trochę innych iglaków

i z rzadka grupki osik. Smukłe białe palce ich pni machały nam na wietrze na powitanie.

Wypuściłem Oberona, zrzuciłem sandały i przywitałem się z ziemią przez moje tatuaże, które stanowiły coś więcej niż zwykłe ozdoby – były wizualnym dowodem na to, że jestem magicznie spleciony z ziemią. Plecionka zaczynała się – o ile celtyckie plecionki w ogóle mogą się gdzieś zaczynać – na mojej prawej dłoni, a potem szła w górę po rękę, okalała ramię i w dół, po prawym boku, schodziła aż do mojej stopy. Kiedy dotykałem ziemi, miałem dostęp do nieskończonych zapasów energii, bo byłem spleciony z ziemią, a ona ze mną.

Rozmawianie z ziemią nie jest wcale takie łatwe, bo ma ona za nic składnię ludzkiego języka i funkcjonuje w czasie geologicznym. Jeśli chce się skomunikować bezpośrednio z tym, co ludzie nazywają Gają, trzeba wejść w głęboki trans i może po jakimś tygodniu w ogóle uda się powiedzieć „cześć”. Porozumiewam się więc z jej przedstawicielami – żywiołakami poszczególnych ekosystemów. To trochę tak, jakby się rozmawiało z pszczołą robotnicą zamiast z samą królową, bo królowa jest zawsze zajęta ważniejszymi sprawami, a za to pszczoła może rozmawiać w jej imieniu.

Choć w zasadzie nie ma to wiele wspólnego z rozmową. To raczej przesyłanie feromonów zawierających moje emocje, a upiętych w czasowniki i rzeczowniki – tylko że jak się to tak przedstawi, to zupełnie nie oddaje się tego, jaka to świetna zabawa. W sumie najprościej byłoby to nazwać druidyzmem – magią splatania świata przyrody. Trudno ująć ten rodzaj porozumiewania się w słowa, ale wiadomość, którą przesłałem żywiołakowi, brzmiała mniej więcej następująco:

//Druid pozdrawia Kaibaba / Zdrowie / Harmonia / Pytanie: polować?//

W moich tatuażach zawibrowała natychmiast odpowiedź.

//Kaibab pozdrawia druida / Witaj / Odpoczywaj / Poluj / Ciesz się przyrodą / Harmonia//

Nikt nie wie, co to naprawdę znaczy mieć radosne motylki w brzuchu, póki nie zostanie osobiście powitany w lesie przez jego awatara.

//Wdzięczność / Radość / Harmonia // odpowiedziałem.

<No, chodź, Atticusie>. Oberon już merdał ogonem i kręcił się w kółko z ekscytacji. <Biegnijmy przez las>.

Nie dałem się prosić. Zrzuciłem ciuchy, zapakowałem je do bagażnika i schowałem kluczyki w przednim nadkolu. Już nawet nie wstawałem z czworaka, tylko od razu włączyłem przemianę w wilczarza i kichnąłem, bo nie da się inaczej, gdy twoje psie nozdrza zaleje ponad pięćdziesiąt różnych zapachów. Mogę spleść się z czterema różnymi zwierzęcymi postaciami. Kiedy jestem wilczarzem, mam gęstą rudą sierść z ciemnymi łatami po prawej stronie, tam gdzie są moje tatuaże. Popędziliśmy radośnie w las – czarny pies, rudy pies, dwaj przyjaciele mknący po dywanie z igieł i spijający rześki zapach sosen.

Nie minęło pół godziny, a zwęszyliśmy stado kaibabskich jeleni, więc rozdzieliliśmy się: ja wypłoszyłem Oberonowi samca, a on wyskoczył na niego i skutecznie go powalił. Nie jestem fanem surowej dziczyzny, nawet gdy jestem psem, pozwoliłem więc Oberonowi skupić się na zdobyczy, a sam znalazłem sobie miły zakątek na łące, żeby kawałek dalej nacieszyć się słońcem.

Tarzałem się właśnie w trawie, rozkoszując się zapachem i gilgotaniem źdźbeł, gdy zalała mnie panika i nienawiść.

//Kaibab potrzebuje druida / Jezioro Jacob / Pomocy / Brak harmonii//

Straciłem nagle dech w płucach, wszystko zamilkło. Jakbym raptem znalazł się w próżni. Świergotanie ptaków, bzyczenie owadów, wiatr szumiący wśród drzew – wszystko zniknęło. Po kilku sekundach powoli zaczęły wracać niektóre dźwięki, ale pod nimi czała się głębsza cisza.

//Pytanie: Kaibab?//

Żadnej odpowiedzi. Mimo że spytałem jeszcze raz i jeszcze.

Trwoga chwyciła mnie za gardło. Czy coś odplotło mnie od ziemi? A od Oberona? Spróbowałem natychmiast:

Oberonie, słyszysz mnie?

<No jasne> odpowiedział. Odetchnąłem z ulgą. <Ale coś mi tak jakoś pyknęło w uszach. Też to poczułeś? Co to było?>.

Tak. Musisz natychmiast przybiec tu do mnie na łąkę, to na wschód od ciebie.

<Dobra, i tak się już najadłem. Co jest grane?>.

Jakieś kłopoty nad jeziorem. – I wtedy przypomniałem sobie o wiedźmie, ale pojęcia nie miałem, co by mogła zrobić, żeby tak zaniepokoić Kaibaba. – Dałbyś radę sam tam dotrzeć? Pobiegnij z powrotem do drogi i wzdłuż niej pędź na północ.

<Spoko, a ty nie biegniesz ze mną?>.

Pofrunę tam. – Poluzowałem zakłęcie wiążące moją postać z wilczarzem, a potem splotłem się z innym kształtem, tym razem z puchaczem wirginijskim. – Rozglądaj się za mną po drodze, ale jeśli mnie nie zobaczysz, czekaj nad jeziorem.

<Zamierzasz sprać komuś tyłek?>.

Jeszcze nie wiem. Może.

Oberon wbiegł na łąkę, gdy już wzbijałem się w powietrze, mocno machając skrzydłami, żeby zyskać wysokość.

<E, i tak się nie zamierzam o ciebie martwić. Milion razy widziałem, jak się bijesz z tą kukłą do sztuki walki, co ją masz w ogródku. I za każdym razem wygrywasz>.

Dzięki, stary. Do zobaczenia nad jeziorem.

Ruszyłem na północ, starając się nabrać prędkości. Sowy słyną raczej z cichego niż szybkiego lotu, ale uznałem, że to i tak najszybszy sposób, żeby dotrzeć nad jezioro. A jeśli coś się tam dzieje, to pewnie bezszelestne pojawienie się nie zaszkodzi.

Jeziro Jacob to tak naprawdę lej krasowy w wapiennej skale. Znajduje się tu od stuleci i stanowi główny wodopój dla dzikich zwierząt z okolicy. Otacza go spora łąka, a dalej sosny i osiki, które tworzą piękny, majestatyczny krajobraz. Kawalek dalej na północ położona jest wieś o tej samej nazwie i to

tam właśnie jest gospoda, nie wiedziałem więc, czy kłopotów mam szukać nad samym jeziorem czy we wsi.

Leciałem tuż nad wierzchołkami drzew, żeby nie musieć potem tracić czasu na żadne manewry, i mknąłem prosto nad jezioro. Gdy już znalazłem się prawie nad łąką z jeziorem pośrodku, nie zobaczyłem nic poza tuzinem dzikich koni pasących się na ostatniej w tym sezonie trawie. Uznałem, że na wszelki wypadek okrążę jezioro, ruszyłem więc odwrotnie do wskazówek zegara, starając się wciąż kryć odrobinę za drzewami, ale jednak mieć dobry widok na łąkę. Kiedy byłem już po zachodniej stronie jeziora – mniej więcej na godzinie dziewiątej – mignęło mi jakieś blade ciało pod drzewami, sfrunąłem więc niżej, żeby się temu przyjrzeć. Usłyszałem dziwne piski, a potem pełne napięcia głosy.

– Chyba lepiej jej nie zabijaj, bo to go wypuści.

– Nie ucieknie nam przecież z kręgu, nawet jeśli wymknie się z ciała zwierzaka. Nadal jest nam podporządkowany.

– No tak, ale jak mamy teraz przejąć tę moc?

– Pojęcia nie mam. W życiu nie przypuszczałam, że to badziewne zaklęcie zadziała!

– W ogóle nie przewidziałas takiej ewentualności?!

Głosy należały do trzech znajomych kobiet, tyle że teraz były one nagie. Już nie miałem wątpliwości, że wszystkie trzy są wiedźmami. Stały nad czymś na ziemi. Postanowiłem wylądować na sośnie za nimi, żeby rozeznać się w sytuacji, nie zdradzając swojej obecności. Nawet jeśli narobiłem trochę hałasu przy lądowaniu, zamaskował go skutecznie rozpaczliwy zwierzęcy pisk dobiegający zza pleców kobiet. Ich ciała zasłaniały mi to, co ten odgłos wydawało, a były to takie ciała, które mogą trochę odwracać uwagę.

Łatwo je było odróżnić od siebie, mimo że już nie miały na sobie dresików. Kawowa stała na lewo, blada z nielicznymi piegami i włosami związanymi w koński ogon; blondynka z wąskimi ustami, którą nazwałem Różową, była pośrodku, a Solarium (równie opalona na całym ciele) na prawo.

Było jasne, że żadna nie zapominała o regularnych wizytach w siłowni.

– Nie, nie przewidziałam – syknęła dość szorstko Różowa. – I wy też nie, więc nawet nie próbuj mi teraz wmawiać, że to moja wina.

– Dobra, ale coś musimy przecież spróbować zrobić – upierała się Kawowa.

– Myślisz, że nie wiem? – warknęła Różowa.

Mimo że chyba już wiedziałem, co jest grane, w głowie mi się nie mieściło, że im się to udało. Musiałem się najpierw upewnić, czy moje podejrzenie jest słuszne. Sfrunąłem bezgłośnie na ziemię, zrzuciłem postać sowy i przemieniłem się znowu w człowieka.

Po cichu włączyłem kamuflaż, co daje efekt bardzo zbliżony do niewidzialności. Jest to zakłęcie splatające mój pigment z otoczeniem, jeśli się więc nie ruszam, praktycznie mnie nie widać. Jeśli szybko zmieniam położenie, da się mnie zobaczyć, ale jeśli udaję Skałę Gibraltarską, to ktoś musiałby wiedzieć, że tam jestem, żeby mnie dojrzeć. Uznałem, że chwilowo to najlepsze rozwiązanie – wbrew temu, czego uczą nas filmy pornograficzne, nagie kobiety rzadko się cieszą na widok nieznanego golasa.

Na palcach przemknąłem na lewo od trzech gracji i znalazłem potwierdzenie moich najgorszych przypuszczeń: jakimś cudem te żółtodzioby zdołały pochwycić i podporządkować sobie żywiołaka. Na ziemi pod ich nogami podskakiwała mała metalowa klatka, w której wiła się z bólu oszalą ze strachu wiewiórka kaibabska. Nic dziwnego – w tym małym ciałku trudno było raczej pomieścić ducha całego lasu. Wiewiórki kaibabskie występują tylko na tej wyżynie. Mają białe puszyste ogonki i czarne uszka zakończone pędzelkami. Wyewoluowały tu w geograficznej izolacji i zajmują bardzo ważną pod względem ekologicznym niszę. Są w pewnym sensie uosobieniem tej wyżyny – ale na pewno nie mogą być dosłownie jej ucieleśnieniem. Nie są fizycznie zdolne do utrzymania w sobie żywiołaka. Wiewiórka żyła jeszcze chyba tylko dzięki temu, że sam żywiołak usiłował jej sobą nie zabić. Ale jej futerko całe falowało, oczka wychodziły na wierzch, a ciałko miało się w

upiornych spazmach. Było mi jej bardzo żal.

I mało nie wyszedłem z siebie ze złości.

Rozejrzałem się, żeby zobaczyć, czy uda mi się jakoś ustalić, jak one to zrobiły. Nie było widać jednak żadnego bulgoczącego i śmierdzącego sagana nad ogniskiem. Nie było też kamiennego ołtarza zalanego krwią świeżo złożonej ofiary. Ale musiały przecież użyć jakiegoś mechanizmu splatającego i podporządkowującego im Kaibaba – niemożliwe, żeby po prostu przyszły i poprosiły go, by sobie nagle zamieszkał w wiewiórcie.

W końcu znalazłem, czego szukałem – w korze sosny rosnącej za kamiennym kręgiem wyryta była starannie pieczęć Ariela, bardzo niebezpieczna pieczęć z Siódmej Księgi Mojżesza, która w założeniu służyć miała do przywołania jednego z siedmiu wielkich książąt piekła. Odkąd opublikowano to dzieło w dziewiętnastym wieku w Niemczech, czarownice różnego sortu używały jej do podporządkowywania sobie najrozmaitszych duchów. Wszystko wskazywało na to, że była to zadziwiająco bezpieczna pieczęć – albo działała i duch pojawiał się idealnie podporządkowany, albo nie działała i tyle. W tym drugim przypadku czarownice traciły tylko trochę czasu i może jakieś oko traszki czy coś. Te wiedźmy jednak pociągnęły jeszcze wyrzeźbiony znak rozgniecionym rdestem, którego często używa się w zaklęciach. W dodatku pod klatką wiewiórki leżał kawałek pergaminu z tym samym znakiem.

Westchnąłem.

– Wiecie chyba, że kiedy żywiołak wydostanie się stamtąd – powiedziałem – bardzo tego wszystkiego pożałujecie.

– Kto to powiedział? – Kawowa obróciła się w moim kierunku, ale nie zobaczyła mnie, bo celowo się nie poruszałem.

Różowa i Solarium rozglądały się wokół, nawet popatrzyły w górę, na drzewa, ale też nie miały szczęścia.

– Gdzie jesteś? – spytała Solarium.

– Kim jesteś? – spytała Różowa.

– Jestem druidem, a wy złamałyście druidzkie prawo, bo splotłyście żywiołaka wbrew jego woli.

Wybrały jednego z najsłabszych. Pewnie rozmyślnie. Wątpię, żeby podobny myk udał im się z taką Amazonką na przykład. Albo Appalachami. Zdecydowały się więc zaatakować najmniejszego żywiołaka na ziemi, być może łudząc się, że jest tak niewielki i wyizolowany, że nikt się nawet nie zorientuje. Ja jednak usłyszałbym wołanie Kaibaba, choćbym był na innej półkuli, i przybiegłbym natychmiast z pomocą. Choć miały pecha, że akurat byłem tuż obok.

Patrzyły teraz prosto na mnie, bo usłużnie wskazałem im swoje położenie przez to, że znów się odezwałem. Nadal jednak mnie nie widziały.

– Skąd on wie, co zrobiłyśmy? – szepnęła Solarium.

– Myślałam, że druidzi wyginęli jeszcze przed upadkiem Rzymu – dorzuciła Kawowa.

– Wszyscy z wyjątkiem jednego – wyjaśniłem uprzejmie. – Rzymianie nigdy mnie nie dorwali.

– Wciąż go nie widzę – poskarżyła się poirytowanym szeptem Różowa. – Nic nie mogę zrobić.

Z czego wynikało, że gdyby tylko miała mnie na linii wzroku, toby już dawno rzuciła na mnie jakieś wredne czary-mary.

– Pokaż się! – zażądała Solarium, robiąc kilka kroków w moją stronę.

Nie należały do wstydliwych. Nawet nie próbowały zakrywać swoich nagich ciał.

– Bardzo mi was żal, drogie panie – stwierdziłem, przekrzykując wrzaski wiewiórki. – Nie ulega wątpliwości, że macie jakiś tam magiczny talent i być może stałybyście się kiedyś wielkimi czarownicami. Ale nie mogę dopuścić do tego, żebyście zagarnęły moc Kaibaba. Żywiołak musi być wolny.

Nadal nie miałem pojęcia, z jakiego rodzaju czarownicami mam do czynienia. Pieczęć Ariela sugerowałaby powiązania z kabałą, ale z drugiej strony wykorzystywali ją także kapłani wudu i obeah, że już nie wspomnę o

nastolatkach, które od czasu do czasu znajdowały to dziadostwo po prostu w Internecie. W każdym razie te tu potrafiły przystosować pieczęć do własnego celu, a bynajmniej nie był to słuszny cel.

– Nie możemy pozwolić, by przerwał krąg – syknęła Różowa i ruszyła w moją stronę, na oślep wymachując rękami.

A potem przeszła na rosyjski, wychodząc pewnie z założenia, że jej dzięki temu nie zrozumieć. W sumie niegłupie założenie i sprawdziłoby się w wypadku większości młodych Amerykanów, tak się jednak składało, że ja byłem niezwykle starym Irlandczykiem, władającym czterdziestoma dwoma językami (w tym kilku martwymi).

– *Nam nužno ostanowit' jego* – powiedziała.

Musimy go powstrzymać.

Kawowa i Solarium natychmiast do niej dołączyły, rękoma szukając źródła mojego bezcielesnego głosu.

– Powinniśmy włączyć zakłęcie przyspieszenia – stwierdziła także po rosyjsku Solarium.

Bystra dziewczyna. Skoro nie potrafią rzucić na mnie żadnego zakłęcia, to najlepiej rzucić coś na siebie, żeby przyspieszyć poszukiwania.

Znów zmieniły język. Wydawało mi się, że go rozpoznaję, ale w każdym razie nie rozumiałem za wiele. Chyba był to romski. Mówiły już teraz razem i poruszały rękoma z idealną synchronizacją. Po chwili ich ruchy były tak szybkie, że widziałem tylko smugi w powietrzu.

Ja cię kręcę. A zatem są o wiele bardziej zaawansowanymi czarownicami, niż mi się dotąd zdawało. Podejrzywałem też, że są o wiele starsze, niż sugerowałyby ich wygląd. To pewnie więdźmy ze Starego Świata, które przybyły tu, by przejąć moc nowego.

Zbliżały się bardzo szybko, a jeśli mnie dorwą, raczej zrobią mi kuku. Woląłem nie sprawdzać drogą eksperymentów, ile potrafią – skoro udało im się pokonać Kaibabą, mnie także mogą nieźle zaszkodzić. Było kilka rzeczy, które mogłem zrobić, żeby z nimi wygrać, ale wszystkie wymagały więcej

czasu, niż miałem, tym bardziej że wymawianie jakichkolwiek słów tylko dodatkowo zdradziłoby moją pozycję. Jeśli spróbuję je teraz wyminąć biegiem, zauważą ruch i usłyszą kroki, i będę musiał się użerać z jakimiś romskimi klątwami. Jedyne, co mi pozostawało, to powalić je na ziemię i liczyć na to, że da mi to dość czasu, by wyrwać Kaibaba z zaklętego kręgu.

Pozwoliłem im więc podejść dość blisko, a potem rąbnąłem je bez żadnego ostrzeżenia i wcale się tego nie wstydzę. Ci, którzy usiłują grać fair w starciu z wiedźmami, zwykle bardzo szybko giną. Kawowa i Różowa zaliczyły fangę w nos każda, a gdy zatoczyły się do tyłu, Solarium sama zamachnęła się pięścią na moją bardzo, bardzo słabo widoczną dzięki kamuflażowi głowę. Była superszybka, wyraźnie jednak nie trenowała nigdy żadnej sztuki walki. Zdążyłem paść na ziemię i podciąć jej nogi, a gdy rąbnęła w leśną ściółkę, jeszcze walnąłem ją mocno w żebra, aż straciła dech. Chwyciła się rozpaczliwie za brzuch. Raczej nie będzie miała jak rzucić zaklęcia – ani mnie dogonić – póki nie zacznie znów oddychać.

Wyjaśniwszy im już w ten sposób, że mam pięści i nie zawaham się ich użyć, zmieniłem postać, żeby zabrać się za krąg. Przemieniłem się w wydrę morską – a jest to zwierzę, w które prawie nigdy nie przemieniam się na lądzie – i poczłapałem prosto na Kawową i Różową, które już usiłowały mnie namierzyć. Usłyszały mnie i zobaczyły jakiś ruch na ściółce, bo mój kamuflaż nie nadążał z dostosowywaniem się do zmieniającego się otoczenia, więc strzeliły klątwami w moim kierunku – czyli jakiś metr nad moją głowę, bo chciały trafić w moją pierś, która rzeczywiście byłaby gdzieś na tej wysokości, gdybym nadal był człowiekiem. Usłyszałem, jak tuż za mną pryska kora drzewa, i pogratiulowałem sobie w duchu tego sprytnie wydrzego manewru. Pomknąłem między nogami Różowej (z dumą zaznaczę, że nie spojrzałem w górę) i skoczyłem w stronę kamiennego kręgu, w którym uwięziony był Kaibab.

Aż ze mnie uszło powietrze, gdy rąbnąłem z całej siły w niewidzialną zasłonę – zupełnie jak te nieszczęsne ptaki, co rozplaszczają się na szybach. Przeklęte hekсы były o wiele lepsze, niż z początku myślałem. Gdy

rozglądałem się rozpaczliwie za jakimś miejscem, gdzie mógłbym się schować i przyczaić, Kawowa i Różowa zorientowały się, że jakoś je minąłem i zaatakowałem krąg. Ujrzały cień ruchu tuż przy ziemi i tym razem już nie kombinowały z żadną magią, tylko po prostu rzuciły się na mnie. Różowa nie trafiła, ale Kawowa miała więcej szczęścia i udało jej się chwycić mnie za ogon. Zwinąłem się odruchowo i ugryzłem ją ostrymi wydrzymi ząbkami. Puściła.

– Aua! Co do...? On już nie jest człowiekiem! – wrzasnęła, gdy uciekałem.

– To czym jest? – spytała Różowa, ale w jej głosie nie wyczułem niedowierzania. Po prostu usiłowała racjonalnie oszacować nowe zagrożenie.

– Nie wiem – przyznała Kawowa, gdy wstawały. Ja tymczasem skoczyłem za sosną rosnącą na południe od kręgu. – Czymś włochatym z ostrymi zębami. Chyba chwyciłam to coś za ogon.

– Dobra, to nie spuszcжайmy oczu z ziemi – zarządziła Różowa.

Fizyczny atak na krąg na nic się zdał, czas więc było wypróbować inny sposób. Przemieniłem się z powrotem w człowieka i wbiłem palce stóp w ściółkę. Skupiłem się na ziemi tuż pod kamiennym kręgiem i przez sploty łączące mnie z żywiołakiem wczułem się w jej istotę. Słyszałem, że wiedźmy są na mojej szóstej, i to coraz bliżej, ale teraz musiałem się skupić na zadaniu. Przemówiłem po irlandzku, bo był to język, w którym wiele wieków temu zostałem spleciony z ziemią, a zatem język, którym posługuję się w magii:

– *Tabhair uaidh* – szepnąłem, posyłając przez tatuaże polecenie, po którym ziemia się poruszyła, a kamienie z kręgu poprzesuwały na wszystkie strony.

Krąg został złamany.

Nastąpił głośny huk i poczułem falę uderzeniową. Kaibab wyrwał się na wolność. Wiedźmy zakłęły po rosyjsku i zaczęły się pytać nawzajem, co jest grane. Spojrzały znów na wiewiórkę i ujrzały zwykłego, przerażonego gryzonia.

– Nie! – ryknęła Kawowa. – Uciekł nam!

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniały o mnie, powolutku wychyliłem

się więc zza drzewa, żeby lepiej je widzieć. Solarium już doszła do siebie i stanęła nad rozrzuconymi kamieniami przy pozostałych dwóch heksach.

Różowa tupnęła nogą i zacisnęła pięści.

– Jak mu się udało przerwać krąg?

//Kaibab dziękuje druidowi / Wolność słodka / Niewola niesprawiedliwa / Wściekłość / Zemsta//

– Czas się pożegnać z tym światem – ostrzegłem czarownice, gdy wokół nich zaczęły wirować sosnowe igły. – Raczej nie liczylibym na to, że Kaibab zwoła przychylną wam ławę przysięgłych, nim wykona wyrok.

– Zaczekaj! – zawołała Kawowa w moją stronę, choć jej oczy nie odrywały się od unoszącej się ziemi wokół. – Nie wiedzieliśmy, że dojdzie do czegoś takiego! Nie spodziewaliśmy się, że nam się uda!

– Ale mieliście nadzieję, że może jednak się uda – zwróciłem im uwagę, ani przez chwilę nie kupując tej zgrywy na niewinność. – Usiłowaliście spętać siłę natury i zagarnąć jej moc.

Różowa odwróciła się w moją stronę.

– Oszczędź nas! – przekrzykiwała wirujące coraz wyżej igły. – Jeśli jesteś prawdziwym druidem, to sam przecież splatasz siły natury i wykorzystujesz jej moc.

– To tylko ułamek tego, co robię. Tak jak ziemia spleciona jest ze mną, tak ja jestem spleciony z ziemią, toteż zawsze muszę przybyć na jej wezwanie.

Różowa była tak skupiona na mnie, że jakby zupełnie nie zauważała tego, iż stoi w samym środku przedziwnego wiru. Na moje oko właśnie zamierzała cisnąć we mnie kilkoma złośliwymi klątwami i zobaczyć, czy wystarczy kierować się głosem przy obieraniu celu, ale w tej akurat chwili ziemia rozstała się pod nią i pochłonęła ją całą razem nawet z wirującymi igłami sosnowymi. Potem ziemia natychmiast się zamknęła; wrzask wiedźmy umilkł dość raptownie i skutecznie.

Pozostałe dwie czarownice wybałuszyły oczy na ten widok i uznały, że czas już popędzić z panicznym krzykiem przez las. Błagając o litość, pognały

w stronę łąki nad jeziorem, uznawszy widocznie, że to będzie bezpieczniejsze niż tkwienie pod drzewami.

Solarium nie udało się wybiec z lasu. Gałęzie sosen wokół zaczęły smagać ją ze wszystkich stron, rozrywając jej nagą skórę. Odpowiedziała na to kilkoma romskimi przekleństwami, od których wybuchło w drobne drzazgi parę konarów wokół. To tylko jeszcze bardziej rozeźliło Kaibaba, aż w końcu koniuszek dobrze wymierzonej gałązki wbił się jej w oko i przekleństwa Solarium ucichły raz na zawsze.

Kawowa natomiast zdołała wybiec z lasu – cała już zakrwawiona, ale wciąż w jednym kawałku. Szybko przekonała się jednak, że wcale nie jest bezpieczniejsza na otwartej przestrzeni. Kaibab poszczuł ją leśną zwierzyną, choć jeszcze próbowała usilnie nakreślić tuż przy jeziorze jakiś krąg ochrony.

W filmach animowanych dla dzieci piękna księżniczka zawsze śpiewa w lesie, a wtedy zbierają się wokół niej zwierzęta i śpiewają razem z nią, aż w końcu razem tworzą swoistą utopię opartą na mocy samych tych złotoustych pień. Tym razem jednak było raczej tak, jakby tą akurat sekwencją zajął się Edgar Allan Poe. Najpierw dorwały się do niej nadciągające ze wszystkich stron ptaki: drozdy, kowaliki, wrony, dzięcioły, a nawet kolibry i jeden orzeł przedni. Wszystkie zaczęły ją dziobać po głowie, skutecznie uniemożliwiając dokończenie kreślenia kręgu i dając potężniejszym zwierzętom więcej czasu na dotarcie na miejsce. Udało jej się nawet pokonać część ptaków, ale było ich zbyt wiele i nie dawały jej ani chwili wytchnienia. Od północy wybiegł na łąkę kojot, a ze wschodu przypędził ryś, czyli chyba jedyne większe drapieżniki w okolicy. Zaczęły ją kąsać po piętach i nogach, aż była już zupełnie zalana krwią, ale dała radę zabić obydwu. Żał mi się zrobiło tych zwierząt i nawet ruszyłem w ich stronę, żeby pomóc, ale wtedy zrozumiałem, że to już raczej nie będzie potrzebne. Ich atak w połączeniu z kakofonią ptaków zamaskował hałas, z jakim nadciągał z południa olbrzymi łoś. Rąbnął z rozpędu w jej plecy, aż przeleciała niemal dziesięć metrów dalej. A potem z tego samego kierunku nadbiegło stado dzikich koni, które widziałem wcześniej nad jeziorem. Wykończyły ją bez żadnej litości, traktując ją kopytami, aż została po niej tylko

kałuża krwi.

//Druid pomóc / Uwolnić maleństwo / Wdzięczność// powiedział Kaibab przez moje tatuaże, więc wróciłem do porozrzucanych kamieni i podniosłem metalową klatkę. Zniosłem wiewiórkę kaibabską do najbliższej niezniszczonej sosny i otworzyłem drzwiczki klatki. Stworzonko wyskoczyło ze środka i jak gdyby nigdy nic, pomknęło zwinnie po pniu, choć głowę daję, że będzie miało jednak koszmary, kiedy już zaśnie snem zimowym.

//Wdzięczność / Sprawiedliwość / Harmonia// powiedział Kaibab.

Leśne zwierzęta zebrały się na skraju łąki i patrzyły na mnie w milczeniu. Gdy odwróciłem się w ich stronę, kiwnęły mi raz jeden łebkami, a zaraz potem Kaibab uwolnił je, by poleciały czy pogalopowały, gdzie im się żywnie podoba.

//Ulga / Druid zawsze gotów pomóc// odpowiedziałem żywiołakowi.

Odstawiłem klatkę i splotłem się z postacią wilczarza, żeby jeszcze dobrze obwąchać miejsce, gdzie czarownice uwięziły przed chwilą Kaibaba. Znalazłem ich dresy – złożone na ziemi w nienaganną kosteczkę. Zakopałem je, ale nie jakoś bardzo starannie. Było też kilka torebek z ziołami i te zniosłem o wiele głębiej w las i zakopałem znacznie porządniej, tak zresztą jak i Pieczęć Ariela, która leżała podczas rytuału pod klatką z wiewiórką. Nim się stamtąd zmyłem, uniosłem jeszcze łapę i przycisnąłem tatuażem do pieczęci wyrytej w korze sosny, żeby zniwelować moc rdestu oraz wszelkie resztki magii, jakie mogły na niej zostać.

Kiedy zjawi się tu w końcu policja, będzie miała dużo zabawy z odtworzeniem sceny zbrodni.

Zakończywszy pracę, pognałem przez zakrwawioną łąkę – tymi pięknymi susami, z których słyną wilczarze – i skierowałem się na południe. Kilka minut później spotkałem truchtającego beztrosko Oberona.

<I o co chodziło?> spytał.

Musiałem pilnie pomóc jednej wiewiórcze – wyjaśniłem.

<Chyba sobie żartujesz! I to dlatego popędziłeś tam, jakbyś miał bronić

bazy przed atakiem AT-AT-ów?!>.

No tak, tak w skrócie to tak.

<Ty masz poważny problem z systemem wartości, Atticusie. W życiu bym nigdzie tak nie pognął na pomoc żadnej wiewiórcy. Żebym ja miał tak pędzić jak ty przed chwilą, to chyba musiałby na mnie czekać pyszny stek>.

Teraz dla odmiany możemy zupełnie na spokojnie pocłapać z powrotem do samochodu. Już wszystko dobrze.

<Może w wiewiórczym świecie. Bo wiesz, ja się tu jakoś dziwnie czuję. Wyobraź sobie, że przed chwilą znów mi pyknęło w uszach i słyszałem jakieś wrzaski, a potem całe mnóstwo ptaków i koni dostało nagle małpiego rozumu. Z tym lasem jest coś bardzo nie tak>.

Serio? Wcale tak tego nie odczuwam – zapewniłem go. – Jak dla mnie wszystko jest tu w zupełnym porządku.

Próba charakteru

Jestem już zupełnie inną osobą. Moje włosy mają zupełnie inny kolor i w ogóle wyglądam trochę jak bohaterka z komiksu, ale przede wszystkim nie jestem już barmanką ani absolwentką filozofii, tylko uczennicą druida i czuję się tak, jakbym wyłoniła się mokra i drżąca ze źle zbudowanego kokonu, w którym spałam trawiona gorączką. Imię i nazwisko Granuaile MacTiernan właściwie nie mają już znaczenia. Tak nazywają mnie tylko ludzie. Żywiołak Sonora mówi na mnie Druidziątko i nim właśnie jestem.

Topole pijące wodę z rzeki East Verde to prawdziwe poetki, nawet wtedy, gdy ich gałęzie są zupełnie bezlistne i nagie.

Opowiadają mi o milczeniu i śmierci, o obietnicy odrodzenia na wiosnę. Czas mierzy się tu porami roku, pękami, kwiatami, nasionami – nie mechanizmami skrytymi w zegarkach ani odwracaniem stron w kalendarzu.

Ich kora opowiada mi o wietrze, o deszczu, o chronieniu się przed krzywdą.

Ich korzenie to palce, które nigdy nie zaciskają się kurczowo, a zawsze przyjaźnie wrastają w ziemię, mówiąc jej: „Tu będziemy rosły i cieszyły się pokarmem, który nam dajesz, a gdy przyjdzie na nas pora, my nakarmimy ciebie. Wszystko, co podarowane, będzie oddane”.

Rozumiem już, że są jak druidzi, i łyżę płyną mi po policzkach na myśl o tym, że jestem teraz jak one. Już nie ma we mnie nic z tej pijawki, którą byłam kiedyś dla świata.

Dobrze, że mam tę syzyfową pracę, bo inaczej pewnie bym oszalała z niepokoju o Atticusa. A jeśli nie wróci? Choć to oczywiście tylko kolejna próba. To wszystko to jedynie próby, wszystko to piękne, bełkoczące szaleństwo. Zrzuciłam już płaszcz normalności i stoję naga wśród dziczy...

To tylko słowa, wirujące słowa. Szalone słowa...¹

//Tam// mówi w moim umyśle Sonora i skupiam się znowu na skale łagodnie wyrastającej z ciemnozielonych wód rzeki. W wijącym się nurcie biała piana zbiera się przy kamieniu niczym pianka na kawie. Z pomocą Sonory, której wsparcie dociera do mnie dzięki turkusowej kuleczce wiszącej tuż pod moją szyją, wczuwam się w odmęty rzeki i wyłapuję delikatne poruszenie pod skałą, gdzie zagnieździł się wielki rak. To rak słodkowodny ze Środkowego Zachodu, którego w ogóle nie powinno być w tej części kontynentu – gatunek inwazyjny, który wybija okoliczne ryby, zjadając ich jaja. Wrzuciły go tu dzieciaki z podstawówki, a ich nauczyciel, który naprawdę powinien był mieć świadomość, jakie to szkodliwe, pozwolił im na tę zbrodnię na ekosystemie.

Robię zamach i linka z przynętą przelatuje nad wodą, po czym ciężarek tonie tuż przy skale. Rybie kawałki na haczyku nawołują raka niczym syreny – wyłania się ze swojej kryjówki i chwytą przynętę szczypcami. Ostrożnie wyciągam go z wody i trzymam tak chwilę na lince nad białym wiadrzem, aż jego mały mózdzek orientuje się, że nie jest już w wodzie, a szczypce puszczają. W ten sposób dołącza do kilkudziesięciu pobratymców. Wyczuwam niewielki impuls radości ze strony Sonory.

Uśmiecham się tak szeroko, że aż mnie bolą policzki. Recykling daje poczucie satysfakcji, podobnie oszczędzanie elektryczności, ale to wszystko furda w porównaniu z osobistym podziękowaniem ziemi za to, że się jej pomogło.

Atticus zawsze mówi: „Niech harmonia będzie z tobą”, i ludzie patrzą na niego dziwnie, jakby chciał powiedzieć „Niech moc będzie z tobą”, tylko mu się coś pomyliło, ale teraz już rozumiem, co ma na myśli. To rozpierająca

radość, poczucie spełnienia, czystość myśli i uczynków, pełne wdzięczności zrozumienie i zaakceptowanie swojego miejsca na ziemi – to właśnie harmonia.

Nigdy dotąd się tak nie czułam. Oczy zachodzą mi łzami na myśl o ogromie mojego szczęścia, a rzeka zmienia się w płótno impresjonistów – miękkie, pieszczone słońcem plamy wody i ziemi.

Może to i lepiej, że nie ma przy mnie Atticusa i mam czas, żeby się przyzwyczaić do tych uczuć. Odkąd tu przyszłam, wciąż to się śmieję, to płaczę, więc Atticus z pewnością uznałby, że jednak nie nadaję się na druidkę – ani na nic w ogóle – gdyby zobaczył, jak bardzo te uczucia mną zawładnęły. Choć przecież i on kieruje się w swoich działaniach uczuciami. Właśnie wyskoczył przecież z kumplami walczyć z bogiem piorunów, i po co to wszystko?

Dla chimery, dla widma sławy w grób idą jak w łóżko². A przecież w Asgardzie Morrigan nie będzie mogła mu pomóc.

Teraz jednak patrzę przez to samo okno co on. Już wkrótce zobaczę to, co on. Wiem już, że nie obchodzi go polityka, bo trudno znaleźć harmonię w ludzkich utarczkach. Trzeba jej szukać w pieśni rzeki, w smaku pustynnego wiatru i w surowych wersach, które wyczytuję z zimowych gałązek topoli.

Jest w śmiechu i w whisky, i czasami w twoich własnych spodniach, gdy w kieszeni znajdziesz zapomniany banknot.

Podsakuję zaskoczona. Od brzegu rzeki dochodzi szczekanie Oberona. Atticus kazał mi go pilnować, ale podejrzewam, że kazał też wilczarzowi pilnować mnie. Wiem, że psisko doskonale rozumie, co do niego mówię, ale nie potrafię jeszcze słyszeć jego myśli. Tej sztuki nauczę się, dopiero gdy zostanę druidką.

– Pytasz, co tam u mnie? – domyślam się.

Oberon szczeka raz i kiwa łbem w bardzo ludzki sposób.

– Nie nudzi ci się, kiedy pracuję?

Tym razem szczeka dwa razy i kręci łbem, cały czas machając ogonem.

Czuję się jak w jakimś starym odcinku *Lassie*, kiedy zadają suczce pytania w stylu: „Co tam, psinko? Bob wpadł do studni i ma złożone złamanie lewej piszczeli?” czy coś równie skomplikowanego. Z tym wyjątkiem, że Oberon pewnie by po prostu obśmiał rzeczzonego Boba, gdyby był na tyle głupi, żeby wpaść do studni.

– Dobra, dzięki za troskę – mówię do niego. – Zaraz kończę już pracę na dzisiaj.

Oberon prycha, ale udaję, że tego nie zauważam. Atticus mówi, że kiedy Oberon prycha, jest to objaw niezwykłego ubawienia. A teraz raczej nie ma się z kogo śmiać poza mną, więc to ze mnie. Pewnie wyglądam dość głupawo i raczej jednak nie jak bohaterka komiksu. Szczeka raz jeszcze i wraca do swoich psich spraw, znikając w krzakach.

Dobrze, że jest tu ze mną. Mama zawsze mówiła, żebym nie chodziła sama nad rzekę w samej tylko piance. Albo w każdym razie mówiłaby tak, gdyby w ogóle przyszło jej do głowy, że mogłabym coś takiego zrobić. Bogom z wszystkich dwudziestu panteonów dzięki, nie jestem już jednak w Kansas.

W domu mojego ojczyma jest wiele pokoi. Żaden z nich nie jest mój.

Cała zeszywniała kładę się wieczorem między niewielkim ogniskiem a Oberonem. Udało mi się dotrzeć do połowy rzeki i z pomocą Sonory oczyścić tę część brzegu z raków. Jutro przejdę tyle samo, a potem zawrócę i pójdę w dół rzeki, żeby oczyścić drugi brzeg. Rano wszystko będzie mnie z pewnością bolało. I na pewno się poparzyłam. Oberon już się śmiał, że mam całą gębę czerwoną od słońca. Z taką cerą potrafię się nabawić oparzenia słonecznego nawet w zimie.

//Odpoczywaj, Druidziątko// mówi Sonora. //Żadne stworzenie nie zakłóci ci spokoju//

//Wdzięczność / Harmonia// odpowiadam, już w półśnie.

//Harmonia//

Budzi mnie ptaccato. Nie wiem, co to za gatunek ptaków. Słabo się na nich

znam, ale to po prostu dlatego że nigdy dotąd nie zwracałam na nie uwagi. Zwykle słyszę tylko gruchanie gołębi – te co bardziej melodyjne ptaki unikają miast. Teraz jednak będę się musiała nauczyć wszystkich ich nazw.

Wzdrygając się na myśl o bólu, przeciągam się ostrożnie. Jestem pewna, że nogi i plecy zaraz mi powiedzą bez ogródek, co o mnie myślą po tym, co im wczoraj uczyniłam. I jeszcze poczuję na pewno pieczenie spalonych na słońcu policzków.

Ale nic takiego nie następuje. Jestem pełna energii i nic a nic mnie nie boli. Tak mnie to zaskakuje, że przez chwilę zastanawiam się, czy wczorajszy dzień nie był tylko snem – zaraz jednak uświadamiam sobie, że gdyby tak było, nie obudziłabym się przecież w tym pięknym miejscu.

//Wstaje nowy dzień / Sonora wita Druidziątko / Pytanie: Dobrze spałeś?//

– Tak, dziękuję – odpowiadam na głos, a dopiero potem przypominam sobie, że przecież muszę skupić myśli i emocje i przesłać je żywiołakowi przez turkusową kulkę.

//Druidziątko pozdrawia Sonorę / Dobrze spałam / Czuję się dobrze / Pytanie: Sonora mnie uzdrowiła?//

//Tak//

Uśmiecham się i przesyłam jej uczucie wdzięczności.

//Zaraz zabieram się do pracy//

//Harmonia//

Oberon ziewa głośno i przeciąga się. Potem nagle zrywa się z ziemi i liże mnie soczyście po policzku.

– Fuu! Oberonie! – Próbuję go trzepnąć, ale już odskoczył i znów prycha na mnie kpiąco. Uśmiecham się do niego. – Szumięty z ciebie psiak.

Szczeka na to radośnie i znika w krzakach, pewnie żeby się załatwić. Ruszam w przeciwnym kierunku w tych samych celach. Na śniadanie jemy suszone mięso – Oberon z nieco żalną miną, marzy mu się kielbasa – a potem wciskam się z powrotem w piankę i rozpoczynam kolejny dzień rakobrania.

– Wybierasz się na polowanie na coś konkretniejszego? – pytam Oberona.

O, tak, Oberon dość jasno pokazuje mi, jakie są jego zamiary.

– Dobrze, to udanych łowów.

Znika natychmiast, a mnie jeszcze kilka minut schodzi na zwinięciu koca i spakowaniu małego plecaka, który wzięłam ze sobą.

W pierwszej chwili nie rejestruję hałasu w krzakach; potem uznaję, że to po prostu Oberon. Ale w końcu słyszę zdecydowanie świńskie chrumkanie i odrywam wzrok od linki do łowienia raków.

Niecałe piętnaście metrów ode mnie, skryte trochę za krzewem manzanity stoi dość spore pekari. Podobno jego prawidłowa nazwa brzmi: pekariowiec obroźny, jak poprawił mnie kiedyś pewien czepliwy zoolog, ale mnie się ona nie podoba, bo mój umysł potrafi wygenerować najbardziej nieprawdopodobne skojarzenia i ta nazwa na przykład brzmi mi zupełnie jak „kargowiec obrażony”, i zaraz myślę o tych wszystkich statkach napędzanych paliwem mojego wiecznie obrażonego na świat ojczyma, niech go diabli wezmą, więc chrzanić to, będę sobie te zwierzątka nazywać pekari i tyle. Mają słaby wzrok, ale doskonały słuch i węch. Na moich oczach do pierwszego pekari dołącza drugi. I trzeci. I czwarty. Ich ryjki poruszają się przejęte moim zapachem i nie wyglądają na zadowolone z mojej obecności nad rzeką. Przypomina mi się ta scena z Hitchcocka, kiedy ptaki po prostu siedzą w parku i gapią się na ludzi z, jak by to ujął Oberon, olbrzymią porcją złowróżbnego sosu. I słowo daję, że gdy zamiast ptaków podstawia się dzikie świnie, efekt jest jeszcze upiorniejszy. Tym bardziej gdy nagle z głośnym rykiem rzucają się w twoją stronę.

– Oberonie! – wołam, ciskając plecak na ziemię i pędząc w stronę rzeki. – Wracaj! Jest bekon!

Do rzeki mam może z siedem metrów, ale pekari są o wiele szybsze ode mnie. Jedno z nich rozdziera mi łydkę kłębem, nim nawet mam czas wskoczyć do rzeki. Hop i mam tylko nadzieję, że nie rąbnę głową w jakiś kamień. Od całej tej adrenaliny serce i tak już wali mi jak młotem, ale teraz to jeszcze

wrzeszczę niczym bohaterka filmów klasy B, bo zimno rzeki jest nie do zniesienia. Pianka powinna sprawić, że nie będę tak łatwo tracić ciepła, ale jakoś nijak nie łagodzi tego pierwszego szoku.

Podciągam nogi i lawirując między kamieniami, usiłuję dać się nieść prądowi w dół rzeki. Dopiero po chwili odważam się wyprostować nogi, żeby znaleźć dno. Ale go tam nie ma.

Żeby znów dotykać koryta rzeki, muszę podpłynąć z powrotem w stronę brzegu. Pekari wciąż trwają jednak na stanowisku, piszcząc, chrumkając i wydając rozliczne inne upiorne odgłosy. W takim razie próbuję jednak płynąć w dół rzeki, ale pekari podążają za mną wzdłuż brzegu, gotowe zaatakować, gdy tylko się zbliżę. Co za świnię.

Łydka mnie piecze, nie mam jednak pojęcia, jak poważna jest rana. Dopiero teraz dociera do mnie, że to przez nią nie działa pianka. Woda wcale nie utknęła między nią a moją skórą i się nie ociepla, tylko wciąż wpływa przez dziurę w nogawce, a ja zamarzam z zimna. Jeśli zostanę tu dłużej, hipotermię mam jak w banku.

Teraz, gdy jestem chwilowo bezpieczna, zaczynam się martwić o Oberona, próbuję go więc zawołać. I nie rozumiem, dlaczego w ogóle Sonora dopuściła do tego ataku. Czyż nie chroniła mnie całą noc przed wszelkimi zagrożeniami, od ugryzień komarów po przymilanie się skunksów? Zbieram myśli i pytam ją, co się dzieje.

//Druidziątko zaatakowane / Pytanie: Pomóc?//

Jej odpowiedź zupełnie zbija mnie z tropu.

//To nie Sonora odpowiedzialna / Nie może się wtrącać//

Z tego by wynikało, że ktoś inny jest za to odpowiedzialny.

//Pytanie: Kto jest odpowiedzialny?//

//Bardzo stara druidka / Flidais//

Flidais? Tu? Irlandzka bogini łowów poszczuła mnie pekari? Ale dlaczego?

Postanawiam przepłynąć rzekę, bo na ten sam brzeg raczej nie mam co wracać. Walczę z prądem, który na szczęście nie jest w tym miejscu aż taki

silny. Lecz po drugiej stronie rzeki odkrywam, że czeka już tu na mnie inne wściekłe zwierzę. To przyczajony kuguar. Uszy położył płasko, syczy na mnie dziko i próbuje dosięgnąć mnie łapą wyposażoną w niesprawiedliwie ostre pazury.

Ja. Sna. Cho. Le. Ra. Chyba jednak wolę pekari. Zaczynam płynąć z powrotem i próbuję przeanalizować problem.

Przecież Flidais nie chce mnie zabić – gdyby tego chciała, już bym nie żyła. Atticus mówi, że świetnie strzela z łuku i potrafi być naprawdę niewidzialna. Mogłaby strzelić do mnie w każdej chwili i nawet bym nie zauważyła, że zbliża się niebezpieczeństwo. Poza tym ma ponoć władzę absolutną nad zwierzętami, a to oznacza, że gdyby chciała, mogłaby im kazać wskoczyć za mną do wody. Skoro tego nie zrobiła, domyślam się, że albo chce, żebym utknęła w wodzie, albo ma ochotę zobaczyć, jak sobie poradzę z tym wyzwaniem. Może raczej to drugie. To pewnie tylko kolejna próba. Atticus robi mi takie co jakiś czas. Znaczą oczywiście nie szczuje mnie dzikimi zwierzętami, ale chodzi mi o to, że wystawia mnie bez żadnego ostrzeżenia na rozmaite próby.

Tylko dlaczego akurat teraz? Choć w zasadzie to pytanie nie pomaga mi rozwiązać problemu, więc spytam inaczej:

Co teraz?

To pilniejsza kwestia. Na widok drapieżnika czającego się po drugiej stronie rzeki pekari bynajmniej nie wycofują się tak, jak zdawałoby się, powinny. Nadal stoją na straży brzegu. A mnie jest coraz zimniej. Każdy oddech staje się bolesny.

Nie mogę zdać się na magię, ponieważ jeszcze nie jestem spleciona z ziemią – zresztą ziemia sama mi już jasno oświadczyła, że jestem zdana na siebie. Flidais dobrze o tym wie. Dała mi tym samym tylko dwie opcje: albo zostanę w wodzie, żeby uniknąć walki, i w końcu pokona mnie temperatura; albo będę walczyć o życie, nie mając żadnej broni. Wiem, że wołanie jej teraz i błaganie o litość w ogóle nie wchodzi w grę. To by było równoznaczne z oblaniem

egzaminu.

Nie mam raczej postury idealnego świńskiego torreadora, zwłaszcza że miałabym walczyć z ośmioma naraz, więc co robić?

Odpowiedź znajduję pod stopami, gdy już jestem bliżej brzegu. Kamienie. Ukamienuję te świnie. Wielkie gładkie kamulce spokojnie nadają się do rozwalenia im czaszek. A jeśli Flidais każe im wskoczyć za mną do wody, cóż, na pewno pływam lepiej niż byle wieprz.

Nurkuję i znajduję na błotnistym dnie kamień wielkości mojej głowy. Jest cięższy, niż myślałam, ale poza tym idealny do moich celów. Wyciągam go na powierzchnię i robię łapczywy wdech. Na mój widok pekari drą się jeszcze bardziej. Ruszam po dnie rzeki w kierunku brzegu i staję, gdy woda sięga mi do pasa. Unoszę kamień nad głowę, obieram cel i zamieram, bo opadają mnie wątpliwości.

Jakże mam zabić te biedne stworzenia? W życiu by mnie nie zaatakowały, gdyby ktoś im nie kazał. Nawet zranienie ich w sumie jest równoznaczne z zabiciem, tylko bardziej bolesne i okrutne.

Tyle że nie widzę innego wyjścia. Już szczękam zębami, kamień porusza się konwulsyjnie nad moją głową, bo tak okropnie drzę z zimna. Muszę wyjść z wody i naprawić piankę, jakoś ją załatać, a pekari nie odsuną się przecież, nawet jeśli je bardzo ładnie poproszę. A może jednak warto spróbować?

– Proszę, zostawcie mnie w spokoju. Nie chcę was skrzywdzić – mówię, ale one nie przestają ryczeć na mnie wściekle.

Posyłam więc wiadomość do Sonory:

//Przykro mi, ale muszę je zabić / To wina Flidais//

Żadnej odpowiedzi. A kamień bynajmniej nie stał się lżejszy. Skupiam się na złości, którą czuję z powodu tej żalosnej sytuacji, na desperacji, z jaką chciałabym się z niej wydostać, na niepokoju o Oberona, i mocą tych silnych emocji ciskam kamień w stronę przywódcy stada, który stoi najbliżej. Nie trafiam w niego, kamień przelatuje dalej i uderza w grzbiet osobnika za nim. Coś pęka, zwierzę osuwa się i kwiczy z bólu. Z rozpaczyny mała sama nie

osuwam się w wodę.

Cokolwiek zmuszało pekari do ataku, pryska i biedne zwierzaki rozpierzchają się, zostawiając rannego towarzysza za sobą. Kuguar po drugiej stronie rzeki przestaje się czaić i ryczy.

Odwracam się akurat w chwili, gdy skacze w wodę i zaczyna płynąć w moim kierunku. Pojęcia nie mam, czy zmusiła go do tego Flidais czy nie, ale duże koty raczej rzadko pływają, więc to zachowanie jest bardzo podejrzane. Być może jednak to żalodne wrzaski rannego pekari są dla niego niczym gong wzywający na kolację.

Nie pozwolę, by pekari cierpiało choć chwilę dłużej. Jeśli kuguar chce je zjeść, proszę bardzo, ale nie musi go zżerać żywcem. Moje nogi walczą z prądem i docieram do brzegu. Kamień, którym rzuciłam, leży tuż przy pekari. Dźwigam go i płacząc, walę nim z całej siły w łeb biednego stworzenia. Piski ustają. Odsuwam się od ciała, ale kamień wciąż trzymam w rękach. Kuguar wychodzi z rzeki, niemal szura brzuchem o ziemię, kły ma obnażone i syczy wściekle. Cofam się powoli. Najchętniej rzuciłabym się pędem do ucieczki, lecz to by było jednoznaczne z wydaniem na siebie wyroku. Jedyne wyjście to cisnąć w niego kamieniem, ale musiałabym mieć przy tym dużo szczęścia.

– Co o tym myślisz, Brighid? – odzywa się nagle czyjś głos na prawo ode mnie.

Spoglądam szybko w tym kierunku i widzę trzy postacie, których na pewno jeszcze przed chwilą tu nie było, żadna z nich jednak nie wygląda, jakby miała zaraz zaatakować, ani nie ma takich kłów jak kuguar, więc wracam wzrokiem do rozeźlonego kociaka. Na moich oczach kuguar rozwala się nagle leniwie na ziemi, podwija sobie przednie łapy i spokojnie kładzie na nich łeb. Co. Za. U. Pior. Ny. Kot.

Odzywa się inny głos, więc znów obracam głowę w stronę trzech postaci. Tym razem to kontralt, ale jakby warstwowy niczym jakiś wyszukany deser – warstwa o smaku karmelu, warstwa skórki pomarańczowej i warstwa zwycięstwa, jakkolwiek by ono smakowało.

– Gdy już minęło pierwsze zaskoczenie, zareagowała dość szybko i w lot pojęła zasady gry – mówi wysoka kobieta w pełnej zbroi, której jakimś cudem udaje się emanować jednocześnie siłą typową dla superbohaterów i wdziękiem hasającej beztrąsko sarenki. W lewej dłoni trzyma hełm, a prawą opiera lekko na rękojeści miecza schowanego w pochwie. Wygląda iście królewsko. To musi być Brighid, Pierwsza wśród Faerii. Szczęka mi opada i mało nie upuszczam kamienia. Przechyla głowę, patrzy na mnie krytycznie i spokojnie kontynuuje analizę mojego zachowania: – Najpierw strategiczne wycofanie, chłodna ocena pola walki, a następnie zdecydowane działanie. Ta dziewczyna nie jest tchórzem.

Nie wiem, czy mam jej za to podziękować czy jak. Zamykam tylko usta i przełykam z trudem. Przynajmniej nie będę wyglądać na idiotkę. Przesuwam wzrok na pozostałe dwie postacie. Pierwszą jest Oberon, który ma bardzo nieszczęśliwą i potulną minę. Pewnie Flidais przejęła nad nim kontrolę. Bo to ona jest trzecią osobą – szalona kobieta o kręconych rudych włosach odziana w skórę w kolorach ziemi. Bogini łowów w lewej ręce trzyma łuk, a na plecach ma kołczan pełen strzał. Na opinię Brighid odpowiada następująco:

– A jednak zatrzymała się i nim cisnęła kamień w pekari, jeszcze do niego przemówiła. – Nagle zwraca się bezpośrednio do mnie: – Granuaile MacTiernan, dlaczego się zawahałaś?

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, drżąc i szczękając zębami, pytam:

– Czy już mogę bezpiecznie odłożyć kamień?

Flidais kiwa głową wyraźnie zniecierpliwiona, a Brighid puszcza rękojeść miecza, wskazuje w moją stronę i mówi:

– *Téann tú.*

Natychmiast robi mi się cieplej. Spoglądam jeszcze kontrolnie na kuguara. Nadal dziwnie spokojny. Odkładam więc kamień i krzyżuję ręce na piersi, bo w obecności tych bogiń, które naprawdę wyglądają jak piękne bohaterki komiksów, ogarnia mnie nagła nieśmiałość.

– Powiedziałam wtedy prawdę. Nie chciałam go skrzywdzić – wyjaśniam.

– Próbowałam wymyślić jakieś rozwiązanie, które nie wymagałoby zabicia tego biedaka. Niestety nic mi nie przyszło do głowy.

Flidais kiwa głową wyraźnie zadowolona.

– Szanuje życie. To dobrze.

Mam ochotę spytać ją, czy aby i ona nie powinna go szanować i co sobie w ogóle myślała, traktując te zwierzęta jak marionetki, a mnie zmuszając do zabicia jednego z nich w ramach ich głupiej, chorej gry. Ale Atticus zawsze mówi, że lepiej nie pouczać żadnego spośród Tuatha Dé Danann, choćby nie wiem jak na to zasługiwali. A zresztą Brighid i tak odpowiada na część tych moich niewypowiedzianych zarzutów.

– Granuaile MacTiemán, właśnie przeszłaś *Baolach Cruatan*, Niebezpieczną Próbę. Wszyscy uczniowie muszą ją przejść, żeby móc kontynuować naukę. Zawsze przeprowadza ją druid, którego uczeń nie zna, w warunkach podobnych do tych. Wyjaśnij nam dlaczego.

Kolejny test.

– Mistrz ucznia mógłby mieć trudności z przeprowadzeniem naprawdę niebezpiecznej próby – mówię i od razu dociera do mnie, że taka jest prawda. – A żeby test miał w ogóle sens, uczeń powinien się podczas niego czuć zdany tylko na siebie i zagrożony.

Krótkie skinienie głowy ze strony Flidais.

– I jaki jest cel tego testu?

– Ma sprawdzić odwagę i pomysłowość w sytuacji, gdy nie można korzystać z magii ani broni. – Potem przypominam sobie, że Flidais spytała, dlaczego się zawahałam, więc pospiesznie dodaję: – Oraz, w mniejszym stopniu, moralność.

– Taki jest charakter tego testu, ale nie jego cel.

Aha. Mam teraz znaleźć usprawiedliwienie dla tego, co mi właśnie zrobiły. Nie mówiąc już o tym, co uczyniły Oberonowi, pekari i kuguarowi.

– Czy mogłybyście już uwolnić Oberona, a ja w tym czasie się nad tym zastanowię? – proszę.

Flidais patrzy pytająco na Brighid. Pierwsza wśród Faerii kiwa lekko głową, więc Flidais spogląda na Oberona, który natychmiast wstaje i pędzi do mnie. Głowę i ogon ma spuszczone, jakby się bardzo wstydził. Pochylam się, żeby się z nim przywitać, i szepczę mu:

– Hej, głowa do góry. Nie zrobiłeś nic złego.

Głaszczę go i w końcu zaczyna trochę merdać ogonem.

– Od jak dawna przeprowadzacie *Baolach Cruatan*? – pytam.

– Odkąd Tuatha Dé Danann pojawili się w Irlandii – odpowiada Brighid.

Kiwam głową w zamyśleniu. A zatem Atticus przeszedł podobną próbę i wiedział, że i mnie ona czeka. Być może nawet specjalnie tak to wszystko zaplanował, by nastąpiła podczas jego nieobecności.

– To próba hartu ducha w kryzysowej chwili – mówię. – Nie da się ocenić czyjś charakteru, póki się nie zobaczy, jak działa w obliczu zagrożenia.

– Tak. A dlaczego sprawdziliśmy cię w ten sposób? – ciśnie mnie Flidais.

– Pewnego dnia zostanę spleciona z ziemią – odpowiadam. – A nie możecie dopuścić do tego, by został z nią spleciony ktoś, kto jest tchórzem lub jest żądny krwi.

– Otóż to – chwali mnie Brighid. – Dobra odpowiedź. Czy jesteś ranna?

Dopiero teraz spoglądam na łydkę, która pulsuje boleśnie, gdy już nie jest mi tak zimno. Niska temperatura trochę wyciszała ból, a adrenalina pozwalała mi o nim zapomnieć. To płytka rana z boku łydki. Byłaby znacznie głębsza, gdyby nie pianka, która nieco mnie jednak ochroniła. Nadal krwawię i pewnie nie obejdzie się bez szwów.

– Trochę się tu zadrapałam.

– Zostawimy cię w spokoju, żebyś mogła się leczyć – mówi Flidais. – Gratulacje. Nie możemy się już doczekać, kiedy zostaniesz spleciona z ziemią.

– Niech harmonia będzie z tobą – dodaje Brighid.

– I z wami – udaje mi się odpowiedzieć szybko, nim dzięki sztuczce niewidzialności Flidais obie boginie znikają mi nagle z oczu.

Pewnie wcale sobie nie poszły, tylko jeszcze będą mnie przez chwilę

obserwować, ale nic mnie to już nie obchodzi. Bardziej się martwię tym kuguarem. Spoglądam na niego, a on raptem wstaje, na pożegnanie syczy jeszcze na Oberona, po czym wskakuje do rzeki i zostawia nas sam na sam z martwym pekari.

Przytulam Oberona za szyję.

– Jesteś wspaniałym psem. Przykro mi, że tak wyszło. Wiem, że chciałeś pomóc, a nie mogłeś. Już kiedyś Flidais przejęła kontrolę nad tobą, prawda?

Oberon odpowiada żalnym skomleniem, a ja mało do niego nie dołączam, bo nagle dociera do mnie, co by się stało, gdybym nie zdała *Baolach Cruatan*.

Moje ponure myśli przerywa Sonora i nie mogę się już dłużej martwić tym, co by było gdyby.

//Druidziątka żyje / Radość / Ulga//

//Tak / Żal / Nie mogę teraz pracować / Muszę najpierw naprawić piankę//

//Naprawić nogę / Sonora pomoże//

//Wdzięczność / Harmonia//

//Harmonia//

Oberon jest taki kochany. Nie odstępuję mnie teraz na krok. Patrzy cierpliwie, jak za pomocą żyłki wędkarskiej i haczyka próbuję jako tako zaszyć piankę. Jest to pewnie dla niego równie fascynujące jak patrzenie, jak rośnie trawa. A może tylko czeka, aż się zatnę tym haczykiem. Na pewno w każdym razie pianka będzie już teraz przeciekać, ale może przynajmniej uda mi się uniknąć ryzyka zamarznięcia na śmierć. Na razie jest mi ciepło i przyjemnie po tym czary-mary Brighid, ale podejrzewam, że czar pryśnie, gdy znów wejdę do wody, i wtedy następny raz ogrzeję się tak naprawdę, dopiero kiedy wrócę do przyczepy.

Zabiłam setki raków i nic, ale po tym pekari wciąż męczą mnie wyrzuty sumienia. Ten koszmar będzie mi się śnił po nocach.

Praca zajmuje mi jeszcze dwa dni i w końcu wracam do przyczepy.

– Wiesz, co myślę, Oberonie? Po czterech dniach o suszonym mięsie i wodzie zasłużyliśmy sobie chyba na stek. Co ty na to?

Szczeka na to z entuzjazmem, a jego ogon smaga powietrze z taką werwą, że nie mam wątpliwości, jakie jest jego zdanie.

– A jeśli chodzi o to, co się wydarzyło z Brighid i Flidais... Myślisz, że powinniśmy powiedzieć o tym Atticusowi, jak już wróci?

Oberon spuszcza ogon i szczeka dwa razy na nie.

– Masz rację. Może lepiej, żeby to pozostało między nami.

1 Tłum. Jerzy S. Sito.

2 Tłum. Józef Paszkowski.

Bogini na rozdrożu

W chronologii Kronik Żelaznego Druida opowiadanie to przypada na okres nauki Granuaile, po wydarzeniach z tomu Zbrodnia i Kojot, ale przed opowiadaniem Dwa kruki i jedna wrona.

Pod niebem Kraju Nawahów nie słycać szumu miast, a gwiazdy świecą jasno, zupełnie nagie i nieskryte pod miejską zasłoną zanieczyszczeń. W takiej ciszy naprawdę słyszy się tylko tę pieśń, którą śpiewa ziemia – no, może z wyjątkiem odgłosów, które się samemu wydaje. Trzaskanie ognia płonącego pod bulgoczącą leniwie potrawką to jedna z moich ulubionych melodii. I jeden z ulubionych widoków.

– Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!¹ – rzuciła lekko Granuaile, patrząc w pomarańczowe płomienie naszego ogniska. Cytowała oczywiście wiedźmy z Szekspira. Te kilka słów przywołało jednak wspomnienie, na które aż się wzdrygnąłem. Moja uczennica natychmiast to zauważyła i oderwała wzrok od ognia. – Co? Nie mów, że się boisz tych fikcyjnych czarownic?

– Nie, tych fikcyjnych to nie – powiedziałem, a Granuaile zamarła, wpatrując się we mnie ciekawie.

Mój wilczarz irlandzki Oberon, który leżał sobie tuż przy ognisku, od razu wyczuł napięcie. Uniósł łeb i odezwał się do mnie przez nasze mentalne łącze.

<Co jest grane, Atticusie?>.

Granuaile nie była jeszcze spleciona z ziemią i nie słyszała Oberona, ale nauczyła się już dawno odczytywać bez pudła pewne jego zachowania.

– Skoro Oberon pyta, co jest grane, to ja też chcę wiedzieć. Dlaczego tak się wzdrygnąłeś?

Przez chwilę wahałem się, czy nie powinienem uniknąć odpowiedzi na to pytanie, ale potem pomyślałem sobie, że przecież i tak już widziała mnóstwo takich rzeczy, których nie będzie potrafiła zapomnieć. Boginię Hel na przykład, która jest skandynawską władczynią umarłych. Ona sama wystarczy, by człowieka do końca życia męczyły koszmary. Granuaile jednak dość dzielnie zniosła tamto spotkanie.

– To długa opowieść, ale w sumie czasu nam nie brakuje.

– Tego na pewno nie – przyznała mi rację Granuaile. – A do tego mamy ognisko, solidną potrawkę, która gotowała się tu cały dzień, i jeszcze parę browarów chłodzących się elegancko w lodówce turystycznej. I żadnego ryzyka, że ktoś nam przerwie – dodała, kręcąc palcem. – A to podstawa.

– To prawda. A więc działo się to w Anglii zaraz po śmierci królowej Elżbiety, kiedy to Szekspir trafił pod skrzydła nowego mecenasa, czyli Szkockiego Kubusia...

– Szkockiego Kubusia?

– Tak nazywano po cichu króla Jakuba. To znaczy tak go nazywali ci, którzy mieli dla niego jeszcze resztki szacunku, bo nie brakowało też bardziej dosadnych przezwisk.

– Masz na myśli tego Jakuba od Biblii Króla Jakuba?

– Nie innego.

– Chwilunia. Wiem, że nauczyłeś się na pamięć wszystkich dzieł Szekspira, ale czy ty mi chcesz powiedzieć, że go osobiście poznałeś?

– Poznałem to mało. Uratowałem mu życie.

Granuaile aż jęknęła. Wiedziała już, że w moim długim życiu poznałem kilkoro historycznych celebrytów, ale wciąż udawało mi się ją jeszcze zaskoczyć.

– I nigdy mi o tym słowem nie wspomniałeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Nigdy nam się jeszcze nie zdarzyło, żeby nie było ryzyka, że ktoś nam przerwie, a jak sama zauważyłaś, to podstawa. Poza tym nie chciałem się chwalić.

– I opowieść o uratowaniu Szekspira jest jakoś powiązana z tym wspomnieniem, od którego tak się wzdrygnąłeś?

– O tak. Ściśle.

Granuaile aż klasnęła w dłonie i pisnęła z przejęcia, a Oberon zaczął walić ogonem w ziemię.

A ty co się tak podekscytowałeś? – spytałem.

<A nie wiem, Atticusie, ale Granuaile wydaje się taka przejęta, więc też się ucieszyłem. Powiedz mi lepiej, czy Angole mieli wtedy pudlice>.

To niewykluczone, ale żadnej akurat nie widziałem.

<Tak mi przykro, Atticusie. To musiało być dla ciebie bardzo trudne. Wiem, bo mnie na przykład bezduszny właściciel trzyma już całe wieki na pustkowiu bez żadnej szansy na obwąchanie jakiegoś tyłka...>.

Wiem, stary, wiem. Musimy skoczyć do miasta, żebyś znów miał jakieś życie towarzyskie.

<Będę o tym śnił całą noc! Ale dopiero po kolacji. Która, jak mam nadzieję, nastąpi już wkrótce>.

Spojrzałem ponad ogniskiem na Granuaile.

– Oberon cieszy się twoim szczęściem. Ale cieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby mógł coś zjeść, nim zacznę opowieść.

– Dobry pomysł. Jedzenie powinno być już chyba gotowe, jak myślisz?

Pokiwałem głową, wziąłem trzy miski i chochlę i nałożyłem każdemu porcję jagnięcej potrawy, ostrzegając przy tym Oberona, że jeszcze jest dość gorąca, więc lepiej będzie, jak chwilę odczeka, żeby mu wystygła.

– Byłeś więc w Anglii, gdy Szekspir pisał?

– Przez większość czasu nie. Przegapiłem całe panowanie królowej Elżbiety. Przyjechałem z Japonii tuż po jej śmierci.

– A co ty robiłeś w Japonii?

– To historia na inny wieczór, ale wierz mi, że się tam nie nudziłem. Widziałem początki siogunatu Tokugawów i pierwsze etapy budowy zamku Nijō w Kioto. Ale znalazł mnie w końcu Aenghus Óg i musiałem uciekać. Postanowiłem zamieszkać znacznie bliżej domu, bo pewien angielski żeglarz opowiedział mi o Szekspirze. To mnie zaintrygowało.

<A czy Anglia nie składała się wówczas przypadkiem w większości z pcheł?>.

– Tak, Oberonie. Z pcheł, ekskrementów na ulicach, ludzi umierających od przepicia oraz nienawidzących się nawzajem katolików i protestantów. Po Japonii to był prawdziwy szok kulturowy. Ale Szekspir sprawiał, że wszystko to dało się jakoś znieść.

– W sumie to jego dzieła są tym bardziej zadziwiające, jak się pomyśli o tym kontekście – mruknęła Granuaile. – Kiedy się czyta *Hamleta*, to jakoś się wcale nie myśli: „Ten facet każdego dnia wdeptywał na ulicach w nieuniknione gówno”.

– Innym nieuniknionym niebezpieczeństwem w tamtych czasach były wiedźmy.

– Naprawdę było ich wtedy aż tak wiele?

– Ano. Nad tym, czy istnieją czy nie, nikt się nawet nie zastanawiał; to, że są, i to blisko, było dla ludzi tak oczywiste jak to, że bolą ich zęby. Król Jakub miał się zresztą za mistrza polowań na czarownice. Nawet popełnił dzieło na ten temat.

– Nie wiedziałam o tym.

– Oczywiście spotykało się bardzo różne rodzaje czarownic... i czarnoksiężników, bo naiwnością byłoby sądzić, że tylko kobiety parały się wówczas czarną magią. Dla wielu był to sposób na zdobycie władzy, do której nie dawał im prawa średniowieczny system patriarchalny.

– Trudno im się dziwić. Jeśli nie da się ludziom normalnych sposobów na dążenie do władzy, już sobie znajdą jakieś nienormalne albo paranormalne.

– Powiedziała uczennica druida – zakpiłem.

– Tak jest. Wypinam się na Wielkiego Brata! – oświadczyła Granuaile i pokazała niebu środkowy palec.

<Ja też!> dołączył do niej Oberon i szczerknął raz, wymachując ogonem.

– Hm, te wiedźmy, które mała nie wykończyły Szekspira, z pewnością chciały się na niego wypiąć.

– To dlatego na *Makbecie* ciąży klątwa? No wiesz, mówi się, że nie wolno wypowiedzieć tego tytułu, bo to przynosi pecha, więc aktorzy zawsze go nazywają „szkocką sztuką” czy jakoś tak?

– Tak mniej więcej... Według legendy wiedźmy wkurzyły się, że Szekspir spisał ich zaklęcia, i próbowały walczyć z wystawianiem sztuki, stąd niby ta klątwa.

– Ale to przecież nie są prawdziwe zaklęcia? – upewniła się Granuaile, unosząc łyżkę potrawy do ust.

– Nie, choć Szekspirowi się zdawało, że tak. Tak naprawdę rozwścieczył czarownice sposób, w jaki mistrz sportretował Hekate.

Moja uczennica zamarła z łyżką w buzi i aż się zakrztusiła.

– Spotkaliście z Szekspirem Hekate?

– Można by to tak delikatnie ująć. Natknęliśmy się na nią i pewne trzy wiedźmy i to wydarzenie zainspirowało większą część sztuki, którą nazywa się dziś szkocką.

Moja uczennica uśmiechnęła się od ucha do ucha i znów pisnęła z przejęcia.

– Dobra, dobra, już się nie mogę doczekać, aż mi to wszystko opowiesz, ale muszę najpierw dokończyć potrawkę, bo za głośno siorbię, a Oberon to już w ogóle turbosiorbie.

Odgłosy, które wydawał nad miską Oberon, rzeczywiście zagłuszały wszystko wokół.

<Ma dziewczyna rację. Nikt mnie nie przebije w siorbaniu> pochwalił się wilczarz.

Kiedy skończyliśmy jeść, Oberon zwinął się u moich stóp, żebym mógł go

głaskać, otworzyliśmy sobie z Granuaile po piwku, a trzaskanie ognia pod garnkiem budowało idealną atmosferę dla mojej opowieści.

Przyjechałem do Londynu w 1604 roku. Zapłaciłem dwa pensy za wstęp do Globe Theatre i zobaczyłem *Otella*. W teatrze nieznośnie wprost cuchnęło – nie mieli tam żadnych toalet, więc ludzie sami znajdowali sobie odpowiednie kąty. W każdym razie sztuka była boska. To wtedy zrozumiałem, że plotka o tym, że Szekspir jest geniuszem, w ogóle nie jest przesadzona. Poezja, tragizm i to zło uosobione w Jagonie – byłem pod niesamowitym wrażeniem. Wiedziałem już, że facet ma talent godzien druidzkich bardów z mojej młodości, i byłem gotów zrobić wszystko, by go osobiście poznać.

W tamtych czasach, jeśli się chciało w Londynie zakumplować z kimś znanym, wystarczyło nosić drogie ubrania i udawać Francuza. Ubrania oznaczały pieniądze, a pieniądze otwierały wszystkie drzwi. A dzięki temu, że udawałem Francuza, nikt nie mógł mnie sprawdzić, a do tego mogłem udawać, że nie rozumiem pytań, jeśli by padły jakieś niewygodne. Pomalowałem sobie włosy na czarno, brodę strzeliłem sobie elegancką i sztywną i wybrałem się do siedziby cechu krawców, tak zwanego Merchant Taylors Hall mieszczącego się przy ulicy Threadneedle, gdzie zapytałem grzecznie, skąd by tu wziąć krawca, który by mnie odpowiednio odział. Dali mi nazwisko i adres, pod który stawilem się z sakiewką pełną monet i francuskim akcentem. Przedstawiłem się jako Jacques Lefebvre, Marquis de Crèvecoeur z Pikardii. W tamtych czasach to wystarczyło. Jeśli stać cię było na to, żeby wyglądać na bogatego i szlachetnie urodzonego, wszyscy uznawali, że taki widać jesteś. A jako przedstawiciel arystokracji mogłem sobie na dodatek bezkarnie paradować z Fragarachem i nigdy nie zdejmować rękawiczek. W innym razie triskelion wytatuowany na mojej prawej ręce zaraz zwróciłby uwagę. Za Jakuba I panowało przekonanie, że druid niczym się nie różni od wiedźmy – to magia i to magia, a zatem najlepiej toto spalić na stosie.

W dzisiejszych czasach wszyscy szekspirolodzy wiedzą, że w 1604 roku Szekspir wynajmował pokoje od pewnych Francuzów na Cripplegate, lecz mnie wtedy ustalenie tego faktu zajęło dobrą chwilę. Choć z kilku źródeł

wiedziałem już, że mieszka „gdzieś w okolicy Cripplegate”, nikt mi jakoś nie potrafił powiedzieć, gdzie dokładnie. To nie stanowiło jednak problemu – wystarczyło popytać o niego w kilku knajpach pod bramą, a Szekspir sam mnie znalazł. Z pewnością to ci sami sąsiedzi, którzy za żadne pieniądze nie mogli sobie przypomnieć, gdzie mieszka, popędzili do niego, żeby go ostrzec, że wypytuje o niego jakiś Francuz z pełną kieszą. Został mnie w tawernie nad kubkiem wina. Celowo zamówiłem coś lepszego, a nie najbardziej wtedy popularny sack czy jakieś równie wówczas popularne cieniutkie piwo. Wygląd był w tamtych czasach bardzo ważny i Szekspir doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Starannie się ubrał i nawet chyba uprał był te ubrania, nim pokłonił się przed moim stołem i zapytał uniżenie, czy nie jestem przypadkiem markizem de Crévecoeur.

Miał na sobie czarną, zdobioną srebrną nicią tunikę, a do tego duży kołnierz, ale jeszcze nie taki śmieszny wielgachny, który znamy z jego późniejszych portretów. Portrety te – ściśle mówiąc, miedzioryty – wykonano dopiero po jego śmierci, kiedy przygotowywano jego dzieła do wydania. W rzeczywistości wyglądał mniej więcej tak jak na portrecie należącym do rodziny Sandersów, tym znalezionym w Kanadzie, bo tę jego podobiznę wykonano zaledwie rok przed naszym spotkaniem. Brodę i wąsy miał miękkie i krótko przycięte zgodnie z ówczesną modą, choć widać było, że nie przykłada do nich szczególnej wagi. Jego włosy były brązowe i cienkie, niczym lekka chmura wokół jego czaszki. Na jego ustach niemal cały czas igrał złośliwy uśmiech. Nie był ani szczególnie przystojny, ani brzydki, ale bardzo mu bystrze patrzyło z oczu.

– *Oui?* – odparłem, starając się mówić z francuskim akcentem. Brzmiało to pewnie raczej na kogoś z południa Francji niż z Pikardii, ale miałem cichą nadzieję, że Anglik się nie połapie, podobnie jak przeciętny współczesny Amerykanin nie rozróżnia za dobrze regionalnych odmian angielskiego.

– Podobno mnie pan szukał, markizie – powiedział. – Mistrz William Szekspir z trupy King's Men, do usług.

– A, doskonale, monsieur, rzeczywiście pytałem o ciebie! Pragnąłem złożyć wyrazy szacunku. Właśnie widziałem *Otella* i jestem pod wrażeniem twojego talentu, mistrzu. Czy odpowiada ci ten lokal? – spytałem, bo była to dość obskurna knajpa i wybrałem ją tylko dlatego, że łatwo mnie było tam znaleźć. – Pozwolisz, że kupię ci, mistrzu, butelkę wina? Tutaj czy może wolałbyś jakiś... Jak to się mówi? *Exquisite cellar*?

– Znam jedno wysmienite miejsce, jeśli ma się pan ochotę przejść, markizie – odparł.

Zapłaciłem więc rachunek, ukazując mu przy tym zawartość sakwy, i dałem się poprowadzić przez zaszrane londyńskie ulice aż do White Hart Inn, gospody, przed którą trupa Szekspira miała zwyczaj grywać za panowania królowej Elżbiety, gdy jeszcze nazywali się Trupą Lorda Szambelana.

Choć był już kwiecień, nadal panował ziąb, miałem więc dobrą wymówkę, by nie zdejmować rękawiczek. Udawałem mecenasa sztuki i spędziłem miły wieczór w White Hart Inn, gdzie oczywiście wszyscy znali mistrza Szekspira. Zamówił butelkę dobrego wina na mój rachunek i nim się obejrzałem, już mi opowiadał o swoich najnowszych projektach. Jako że jego mecenasem był sam król, nie wchodziło w grę przerwanie prac dla niego, by stworzyć coś na moje wyłączone zamówienie, ale w każdym razie na pewno nikt mu nie mógł zabronić rozmawiania na temat swojej pracy, a gdybym sypnął hojnie groszem na rzecz jego trupy, przecież mógłby stworzyć coś przyjemnego także dla moich oczu i uszu.

– Już prawie kończę *Króla Leara* – wyznał. – I chodzi mi teraz po głowie coś, co spodobałoby się na dworze, taka szkocka intryga. Rzecz będzie się działa ze sto lat temu. Jeden ze szkockich tanów próbuje zdobyć tron. Na imię ma Makbet i jest mordercą. Ale czuję, że czegoś mi brakuje w tej opowieści o niepoohamowanej ambicji.

– Czego takiego? Niegodziwych uczynków? Skandali?

– Czegoś ponadnaturalnego – szepnął, zniżając głos, jak to się robi, gdy się mówi o czymś niepewnym i niepokojącym. – Król bardzo się interesuje takimi

sprawami, a dla mnie byłoby wielkim zaszczytem zachwycić jego królewską mość. Muszę się jednak przyznać, że nie znam się na okultyzmie. Mam wprawdzie astrologa oczywiście, ale ten człek mało wie o czarnej magii, a poza tym straszny z niego plotkarz.

– Czy aby na pewno potrzebujesz, mistrzu, wiedzy z pierwszej ręki? Może jako źródło inspiracji wystarczą ci doświadczenia innych?

Szekspir pokręcił głową, dopił wino i znów napełnił sobie szklanice.

– Ach, monsieur Lefebvre, wszystko, co czytałem, to muszą być bajki wyssane z palca. Nie wierzę w ani jedno słowo. Poza tym nie chcę wkraczać na teren tak doszczętnie już zdeptany przez innych. Potrzebuję czegoś nowego, spektaklu, który pochwyci uwagę moich widzów i nie puści. Nawet na tym, co zmyślane, musi złożyć swój złoty pocałunek prawda, inaczej nic nie będzie miało w teatrze sensu.

– Masz jakieś pomysły, gdzie szukać takich inspiracji?

Bard pochylił się w moją stronę i konspiracyjnym szeptem powiedział:

– Mam swoje podejrzenia. Dziś nów księżyc, a mówią, że w takie noce jak dziś na północ od miasta, na polach Finsbury, praktykuje się czarną magię.

Prychnąłem tylko.

– Czarną magię? Kto by miał niby donosić o czymś takim? Ci, którzy braliby w tym udział, milczeliby przecież jak grób, żeby uniknąć spalenia. A jeśli zdarzy się jakiś postronny świadek, ma raczej marne szanse na przeżycie.

– Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał, monsieur. Słyszałem tylko o podejrzanych ogniach, które ktoś widział w ciemności, i odległym chichocie wiedźm.

– E tam, bujdy – oświadczyłem i lekceważąco machnąłem ręką.

– Być może. Ale jeśli to nie bujdy, monsieur Lefebvre? Cóż za wspaniały materiał mógłbym tam znaleźć!

Gospodarz przyniósł nam deskę serów, chleb i kielbasę. Szekspir nadział widelcem szarą kielbasę, którą ktoś zdecydowanie zbyt długo gotował. Uniósł ją i popatrzył na nią z rozpaczą.

– Wydawałoby się, że można tu liczyć na lepsze jądło.

– Wybierasz się więc, mistrzu, na polowanie? – spytałem.

Szekspir walnął w stół dłonią i wskazał mnie podekscytowany nagłym olśnieniem.

– Jedźmy tam razem!

Mało się nie zadławiłem. Odchrząknąłem niepewnie i wybąkałem:

– Co takiego? Brak ci, mistrzu, piątej klepki?

– Pan, monsieur, ma miecz. Ja wezmę pochodnię. Nawet jeśli nic nie znajdziemy, będzie to zawsze miła wyprawa na wieś.

– Ale jeśli coś znajdziemy, możemy stracić dusze.

– Mój szanowny markizie, jestem głęboko przekonany, że będzie mnie pan bronił na tyle długo, że zdołam się salwować ucieczką.

Uśmiechał się przy tym tak szeroko, że wybuchnąłem śmiechem.

– Rozumiem, że wtedy przynajmniej opisałbyś, mistrzu, moją bohaterską śmierć w następnej swojej sztuce.

– Unieśmiertelnilibym pana, monsieur!

Kazałem mu chwilę poczekać, bo musiałem się poważnie zastanowić nad tą propozycją. Jeśli naprawdę natkniemy się na sabat gotujących coś w szczerym polu czarownic, ten wieczór może zmienić się w koszmar. Wiedzmy mają zwyczaj wrzucać do tych saganów najdziwniejsze rzeczy: od kocich dupków po kocie dupki. Tworzą w ten sposób sploty, które pozwalają im ujarzmić przyrodę, bo przecież wiedzmy nie są z nią splecione w sposób naturalny tak jak ja. Mimo to jednak ryzyko – choć realne – było dość niewielkie.

– Niech będzie. Pójdę z tobą. Myślę jednak, że lepiej będzie wybrać się konno, żebyśmy w razie czego mieli szansę na szybką ucieczkę. Umiesz jeździć konno, mistrzu?

– Tak.

Klamka zapadła. Dojedliśmy nasze rozgotowane mięso, wypiliśmy jeszcze trochę wina i nawet pozwoliłem sobie podpić całkiem zdrowo. Kiedy jednak czas było ruszyć w drogę, włączyłem charms uzdrawiający i rozbiłem

alkoholowe toksyny znajdujące się we krwi. Są tacy, którzy najchętniej wybierają się na polowanie na czarownice właśnie pod wpływem, lecz ja zdecydowanie do nich nie należę. Załatwiłem nam w stajni pożyczkę koni i późną bezksiężycową nocą ruszyłem z Williamem Szekspirem wpakować się w najgorsze tarapaty, jakie dało się wtedy wymyślić.

Gdy rozpoczynaliśmy naszą przygodę, policzki barda były wciąż mocno zaczerwienione i trudno by go było nazwać trzeźwym. Mimo to całkiem niezłe się trzymał w siodle. Pisarze i ich wątroby...

Wyjechaliśmy już niby z Londynu, ale dym, mgła i smród ścieków ciągnął się za nami aż na pola Finsbury, które teraz stanowią dość bliską dzielnicę miasta i stoi tam nawet kościół Świętego Łukasza, ale wtedy nawożone były szczodrze wszelkiego rodzaju odpadami, a niektóre nawet obsiano (choć z nikłą pewnie nadzieją na zbiory). Pole przecinały błotniste koleiny po wozach i Szekspir uparł się, że musimy znaleźć jakieś rozdroże, bo tam właśnie według plotek czają się wiedźmy.

– Ponoć jak się na kontynencie pójdzie na rozdroże po nocy nowiu, to można znaleźć ofiary złożone dla Hekate, zwanej też Hekate Trivia – perorował, a ja udałem, że nie wiem nic o tym obyczaju:

– Doprawdy? W życiu o tym nie słyszałem.

– O tak. Ale zawsze na skrzyżowaniu trzech dróg, nie czterech, bo Hekate ma trzy postacie.

– Aha, czyli szukamy wyznawców Hekate, tak?

– Rytuały w noc nowiu świadczyłyby o tym, że to jej kult. To trochę inne diabelstwo niż bezpośrednio czczenie piekła, ale i tak jest potępione.

Bardzo się starałem nie roześmiać. Kult Hekate niezwykle się zmieniał przez wieki. Wyobrażenia na jej temat były wyjątkowo płynne w porównaniu z tymi dotyczącymi innych bóstw. Nawet w dzisiejszych czasach jest boginią ważną dla, na przykład, wyznawców wicca, którzy widzą w niej ucieleśnienie tradycji Dziewicy, Matki, Starowiny, co jest jednak jej o wiele łagodniejszą wersją niż te krwiożercze i bezlitosne wyobrażenia, które przeważały we

wcześniejszych wiekach.

Szekspir natomiast na wszystkie czarownice spoglądał przez pryzmat chrześcijaństwa: zło, które pomaga piekłu zniszczyć chrześcijan. Perspektywa druida była i jest oczywiście o wiele inna: wiele czarownic w ogóle mi nie przeszkadza, póki nie próbują dobierać się do sił natury, by wykorzystywać je we własnych celach. Jeśli zamierzają tylko rzucić na kogoś klątwę czy poderżnąć jakiejś kozie gardło, żeby wezwać demona, to nic mi do tego. I naprawdę doceniam te, które próbują leczyć ludzi i tworzyć zabezpieczenia przed złośliwymi duchami. Problem jednak w tym, że magia księżycy z definicji jest niebezpieczna, a na próby splatania pogody lub opętywania ludzi czy zwierząt naprawdę nie mogę przymykać oka. Żywiołaki natychmiast dają mi w takich razach znać i pędzę z pomocą.

To dlatego właśnie niemal nie zauważam tych dobrych wiedźm – nie mam nawet okazji się z nimi stykać. Robią swoje w tajemnicy przed innymi i nikomu nie szkodzą. A ja siłą rzeczy wciąż mam do czynienia tylko z tymi czarnymi owcami i to sprawia, że jestem może trochę uprzedzony do czarownic w ogóle.

Drogi przecinające pola Finsbury nie były wprawdzie zupełnie suche, ale nie były to też jakieś bagna. Jeszcze dzień, może dwa i będą całkiem dobrze obsuszone. Teraz konie zostawiały tylko płytkie odciski w błocie, rozgniatając trochę boki kolein, ale bez trudu szły powoli przed siebie. Szelest naszych ubrań i cicha rozmowa robiły więcej hałasu niż kopyta naszych wierzchowców.

To jednak wystarczyło, by przyciągnąć uwagę czterech czających się w ciemnościach postaci. Na pewno pomogła im w tym też pochodnia Szekspira.

– Panie, zgubiłem się – odezwał się nagle jakiś głos.

Zatrzymaliśmy konie – okropny błąd – i z mroku wyłoniło się czterech nieogolonych i agresywnie brudnych mężczyzn o przerażającym stanie uzębienia. Otoczyli nas, błyskawicznie chwycili konie za uzdy i wycelowali w naszym kierunku sztylety. Prosta, sprawdzona taktyka. Nie mieliśmy się jak

ruszyć, bobyśmy się natychmiast nadziali na ostrza. Uśmiechnęli się do nas czarnymi, acz rzadkimi zębiskami, uradowani widokiem naszych zdumionych i zrozpaczonych min.

– Ale już odnalazłem to, czego szukałem – powiedział przywódca bandy, który stał po mojej prawej. – A tym czymś jest twoja sakwa. Podaj mi ją, chłopie, a zaraz was puścimy. No już.

Gdyby w sakwie znajdowały się tylko monety, pewnie bym mu ją oddał i tyle. Monety nie tak trudno zdobyć. Ale na jej dnie znajdowało się moje zimne żelazo, a jego nie chciałem stracić.

Szekspir, który był jeszcze na bani i raczej nie planował z niej zejść, zaczął wyzywać przywódcę od najgorszych, ale zbój wyglądał na jedynie ubawionego tymi obelgami i uśmiechał się wesoło do zapitego artysty, nie spuszczać czujnych oczu ze mnie.

– Ty obdarty i zaropiał cycku nosorożca! – grzmiał Szekspir. – Ty cebulowa krostko na cipie wściekłej borsuczycy! Jak śmiesz zaczepiać markiza de Crèvecoeur!

Bandyta roześmiał się i chuchnął mi halitozą. Sięgnąłem po zapasy w niedźwiedzim charmsie i zacząłem mamrotać po staroirlandzku sploty zwiększające moją siłę i prędkość, co oni pewnie uznali za nerwowy francuski bełkot.

– Przybył markiz do nas aż z kontynentu, co? I dobrze, bo moje zaropiałe cycki i wściekła cipa równie się ucieszą z francuskich monet co z angielskich.

Jego towarzysze ryknęli śmiechem z tej riposty. Wyraźnie bardzo byli zadowoleni z łatwego łupu, a ten, który stał po mojej lewej i miał złamany nos oraz czyrak na policzku, machnął w moją stronę sztyletem.

– Zacznijmy od tego, że cię zdejmujemy z konia, markizie.

Szekspir zaraz odpowiedział na to głośnym komentarzem, wciąż koncentrując się na typie po mojej prawej.

– To istny rozbój, ty draniu! Idźcie sobie natychmiast! Masz tyle godności co fiut zawszonego kundla! Ty zaschnięty odbycie purytańskiego kaznodziei!

Na to ich szczerbate gęby zamknęły się natychmiast, a wściekłe oczy skoncentrowały na biednym bardzie.

– Co takiego? – ryknął herszt bandy. – Czy ty mnie właśnie nazwałeś cholemych purytaninem?!

– W sumie – wtrącił się Czyrak – to nazwał cię purytańską dupą.

Nie puszczając uzdy mojego konia, przywódca rzezimieszków odsunął sztylet od mojego uda, by wycelować go teraz w stronę Willa.

– Słuchaj, gnojku, może i jestem dupkiem – warknął, opluwając wszystko wokół brązową flegmą. – Ale na pewno nie jestem jakimś cholemych purytaninem, tylko porządnym bogobojnym chrześcijaninem!

Gdy wszyscy byli skupieni na Willu, włączyłem charms odpowiedzialny za kamuflaż i zniknąłem w słabym świetle pochodni, bo mój pigment upodobił się do pigmentu otoczenia. Wykorzystując podkręconą siłę i prędkość, błyskawicznie wysunąłem lewą nogę ze strzemienia i kopnąłem Czyraka w pierś, a potem zeskoczyłem z konia na prawo i wymierzyłem staranne ciosy po obu stronach obojczyków przywódcy bandy. Oba ładnie się złamały, a on puścił zarówno sztylet, jak i mojego konia. Strzeliłem mu jeszcze z główki, żeby mieć pewność, że poleci do tyłu i już przez jakiś czas nie wstanie.

Mój atak zwrócił uwagę mężczyzny pilnującego barda i Szekspir od razu wykorzystał tę okazję. Jako że pozostali dwaj napastnicy patrzyli teraz na mnie, lewą ręką rąbnął pochodnią prosto w twarz złoczyńcy po jego lewej. Facet ryknął z bólu i upuścił broń, cofając się w panice i zakrywając rękoma oczy. To z kolei wystraszyło konia Szekspira. Zaczął parskać i stanął dęba, wrywając się rozbójnikowi po prawej od barda.

– Hej! Hej! – wrzasnął zbir, ale zaraz się połapał, że wszyscy jego kamraci są już ranni, a on jeden jeszcze nie, wymamrotał więc tylko: – Do diabła z tym! – i pognał, skąd przyszedł, czyli w błotnistą ciemność Finsbury.

Do herszta bandy właśnie docierało, jak okropnie trudno wstać, gdy się ma złamane oba obojczyki, toteż zaczął wzywać pomocy. Czyrak, który nie był

wcale poważnie ranny, zdołał się pozbierać i ruszył mu na pomoc, mnie zupełnie przy tym nie zauważając.

Ognista Twarz tymczasem awansował z podłego rabusia do prawdziwego mordercy, w zamiarach w każdym razie. Teraz chodziło mu już tylko o jedno – by wbić Szekspirowi nóż w bebechy. Gdy on, rycząc dziko, szukał po omacku swojego sztyletu, rzuciłem się przed konia Willa, rozplotłem kamuflaż i obnażyłem Fragaracha tak, że zagradzał on teraz Ognistej Twarzy dostęp do barda. Rabuś właśnie znalazł miecz i wydał triumfalny okrzyk.

– Lepiej dobrze to sobie przemyśl, Angliku – powiedziałem, starając się bardzo wypaść na Francuza, a nie na przykład Irlandczyka.

Ognista Twarz nie należał jednak do myślicieli. Był rudy tak jak ja i może przez to skłonny do pochopnych działań. Wrzasnął, żeby mnie przestraszyć, i skoczył w moim kierunku. Być może miał w planie odczekać, aż się zamachnę, zrobić unik, podejść bliżej i wtedy wbić mi ostrze w brzuch. I być może nawet by to zadziało w walce z kimś o normalnych odruchach. Ja jednak przeciąłem mu pierś, zostawiając na niej czerwoną smugę; upadł na ziemię i zaczął zawodzić, zupełnie zresztą nieadekwatnie do nie tak znowu poważnej rany:

– O! O! Już jestem martwy!

– Oj, zamknij się – syknąłem. – Wcale nie jesteś martwy. Jesteś tylko głupi i tyle. – A do Willa powiedziałem: – Mistrzu, jedź prosto przed siebie i zatrzymaj się kawałek dalej. Zaraz cię dogonię.

Klepnąłem jego konia po zadzie, zwierzę ruszyło więc wbrew protestom jeźdźca. Z Fragarachem w dłoni obszedłem swojego wierzchowca, żeby sprawdzić, co tam u Czyraka i przywódcy. Ten pierwszy usiłował pomóc drugiemu wstać, ale nie było to wcale łatwe, bo herszt nie mógł mu nawet podać ręki. Po uciekinierze o wnętrznościach gołębia zostało już natomiast tylko wspomnienie.

– Daruję wam życie, *monsieurs* – oświadczyłem, chowając miecz do pochwy i wskakując na konia. – Okazuję wam łaskę, której wy pewnie byście mi nie okazali. Myślcie odtąd lepiej o Francuzach, *qui?*

Za mną polał się siarczysty strumień łaciny i histeryczny ryk Ognistej Twarzy, ale już pędziłem w stronę Willa. Ulżyło mi, że zdołaliśmy się wymknąć, nie odbierając życia żadnemu z rabusiów. William Szekspir na pewno i tak ubarwi to wydarzenie po swojemu, ale naprawdę lepiej by było, żebym nie zyskał sławy jako bohater pojedynku czy innej walki na śmierć i życie.

Gdy do niego dotarłem, bard był w świetnym nastroju.

– Potrafi pan walczyć, markizie! I tak się pan szybko poruszał, że dosłownie straciłem pana na chwilę z oczu!

Puszczając mimo uszu tę uwagę na temat mojego kamuflażu, zrewanżowałem mu się podobnym komplementem:

– A ty, mistrzu, doskonale władasz pochodnią.

Szekspir wyszczerzył zęby w uśmiechu i pomachał trochę pochodnią, żeby dodatkowo się popisać.

– I nadal płonie! To najlepsza pochodnia, jaką w życiu widziałem.

– Wracamy do Londynu?

– Co? Już? Wykluczone! Taka drobnostka nie odwiedzie nas przecież od celu. Przyjechaliśmy tu znaleźć wiedźmy.

– Naprawdę nie wydaje mi się, żebyśmy dali radę znaleźć tu cokolwiek poza rozbójnikami i smętnymi warzywami, a następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

– Ciii! Niech pan nawet nie myśli o powrocie! Poradzi pan sobie przecież z każdym bandytą, monsieur Lefebvre.

– Obawiam się, że nie z łuczniakiem na przykład.

– Jeśli jakiegoś zbira stać na łuk, to będzie przecież rabował na bardziej dochodowych drogach, a nie jakiejś tam błotnistej drożynce na tych bagnach, monsieur.

Miał rację, niech go licho. Co miałem robić? Włączyłem tylko mój – świeżo wtedy ukończony – charms noktowizji i starałem się nie patrzeć w stronę pochodni. Jeśli znów zaczną się na nas jacyś bandyci, przynajmniej nie

dam się im zaskoczyć. Tak się skupiłem na wpatrywaniu w ciemność po mojej prawej, że aż podskoczyłem, gdy Szekspir powiedział nagle:

– Tam.

Wskazywał coś na lewo i musiałem się niezle wygiąć na koniu, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Na horyzoncie majaczyła biała poświata, pasmo słabego światła w ciemności tuż nad ziemią. Zamrugalo, jakby coś je na chwilę zasłoniło.

– Co to może być? – spytał Szekspir. – Ognisko nie miałooby przecież takiego koloru?

Mruknąłem coś wymijająco, ale nie przychodziła mi do głowy żadna dobra wymówka, by to zignorować. Ruszyłem za koniem Szekspira i weszliśmy na drogę, która zdawała się prowadzić prosto w stronę światła.

Byliśmy już na tyle blisko, że słyszeliśmy jakieś śpiewy niosące się po polu, i uzmysłowiłem sobie, że to chyba jednak mogą być niestety te wiedźmy, na które liczył Szekspir. Teraz nie ma szans, żebym go namówił do powrotu do miasta i sam zbadał sprawę – a przecież muszę ją zbadać, żeby się upewnić, czy ich rytuały nie stanowią zagrożenia dla magii ziemi. Nie mogłem przy tym zdradzić się przed nim, że jestem druidem, bo w jego oczach każdy o pogańskich korzeniach był przecież równie potępiony jak wiedźmy.

Zeskoczyliśmy z koni i ruszyliśmy dalej piechotą, żeby się mniej rzucać w oczy. Obawiałem się, że kiedy wrócimy, koni już tu raczej nie będzie, ale ze sobą też nie mogliśmy ich przecież wziąć. Mimo że stąpając po miękkiej ziemi, były dość ciche, raczej nie potrafiły się zakradać. Wystarczyło jedno zniecierpliwione prychnięcie, a już wiedźmy by wiedziały, że ktoś się zaczął w ciemności.

– Schowaj pochodnię za moimi plecami, mistrzu – szepnąłem najciszej jak się dało, a potem widząc, jak na dal dość pijany brnie niepewnie w błocie, dodałem: – I spróbuj mnie przy tym nie podpalić. W ten sposób powinniśmy dać radę coś zobaczyć, zanim nas dostrzegą.

– Dobry plan – przyznał, bardzo się starając nie bełkotać.

Ruszyliśmy dalej przez błoto. Makabryczne odgłosy zawodzonych pieśni były coraz bliżej nas, a nasze serca – pełne trwogi. Z każdym krokiem utwierdzałem się w przekonaniu, że natknęliśmy się w rzeczy samej na niewielki sabat czarownic. Tajemniczy blask okazał się mimo wszystko światłem ogniska – a jednak płomienie nie były ani pomarańczowe, ani żółte, tylko srebrzyste niczym światło księżyca. Być może heksy wykorzystywały fosfor. Albo coś bardziej tajemnego.

Zaczynałem się martwić o bezpieczeństwo Szekspira. Ja miałem amulet z zimnego żelaza pod tuniką, nic mi więc raczej nie groziło, ale z bardem gorzej. Chciałem mu jakoś powiedzieć, że mnie coś chroni, ale oczywiście nie mogłem mu wyjaśnić, że splotłem swoją aurę z zimnym żelazem. Musiałem wymyślić jakieś kłamstwo, które by mu to wyjaśniło.

– Mistrzu, jeśli, nie daj Bóg, nas zobaczą, pozwól, że pójde przodem. Mam pobłogosławiony talizman, który ochroni mnie przed ich diabelskimi sztuczkami. – Pojęcia nie miałem, jaki jest jego stosunek do Kościoła katolickiego, i dlatego właśnie użyłem takiego jak najogólniejszego epitetu „pobłogosławiony”, nie precyzując, czy go polizał papież, czy pocałował kardynał czy co tam. Obnażyłem Fragaracha. – No i mam to, gdyby doszło do walki.

Szekspir oddychał coraz szybciej i coraz bardziej wybałuszał oczy.

– Pana plany są zawsze bardzo dobrze pomyślane, markizie.

Skradaliśmy się dalej, głosy stawały się coraz wyraźniejsze i słychać już też było jakieś bulgotanie i syczenie, być może czegoś w saganie nad ogniem. A był to wielgachny sagan, czarny, żeliwny – z tych, które spokojnie mogą służyć do wykarmienia armii i które trzeba transportować wozem. Wolałem nie wiedzieć, jak im się to udało tu przytargać ani co się gotuje w środku. Może zresztą po prostu w ciemności nie widać było zwykłego muła i wozu. W każdym razie białe płomienie pod saganem nie wyglądały na naturalne, choć spalały chyba zupełnie normalne drewno.

Gdy byliśmy już na tyle blisko, by można było rozróżnić słowa,

rozpoznałem, że śpiewają po grecku. Szekspir nie mógł znać tego języka, ale ja owszem, władałem nim dość płynnie. Uznałem więc, że będę markizem, który może się pochwalić wykształceniem klasycznym, i gdy bard spytał, czy rozumiem ten bełkot, szeptem przetłumaczyłem mu po łebkach tekst pieśni.

– To inwokacja do Hekate, prośba o jej opiekę... Nie. O to, by osobiście im pomogła. Tutaj! Oj, one ją tu próbują wezwać.

– Wezwać Hekate! Ale po co?

– Nie wiem.

Byliśmy już tak blisko, że dzięki noktowizji potrafiłem dojrzeć postacie w mroku, ale Szekspir raczej za wiele jeszcze nie widział, poza tym że coś się porusza na tle ognia.

Wokół sagana krążyły trzy wiedźmy. Były nagie, ale umazane czymś... może krwią albo tłuszczem zwierzęcym. Wiek trudno było określić. Tak na oko: ta przyjemniejsza połowa wieku średniego, ale wiedziałem dobrze, że w rzeczywistości mogą być o wiele starsze. Nie tylko robiły kółka wokół ogniska, ale jeszcze wirowały, unosząc dłonie ku niebu i zawodząc. Że też im się nie zakręciło od tego w głowie.

W prawej ręce każda miała krótki sztylet – bez żadnego specjalnie zakrzywionego ostrza lub połączonych ozdóbek, które by go mogły kwalifikować jako athame – tylko taki ostry, skuteczny nóż.

– Mistrzu – szepnąłem. – Są uzbrojone i z pewnością zaatakują, jeśli tylko je czymkolwiek sprowokujemy. Powinniśmy się trzymać z dala od nich.

– Jakim cudem pan cokolwiek widzi, markizie? Ja ledwo potrafię dojrzeć jakieś cienie w ciemności. Muszę je lepiej zobaczyć. To może być niesamowity materiał do mojej sztuki.

Nie miałem jak rzucić na niego zaklęcia noktowizji, bo jak bym mu to wyjaśnił, westchnąłem więc tylko i powiedziałem:

– Jeśli mamy podkraść się jeszcze bliżej, to musisz zgasić pochodnię, mistrzu.

Myślałem, że będzie się o to ze mną kłócił, ale posłuchał od razu i wbił

poходnię w błoto tuż za mną. Chciał się im przyjrzeć za wszelką cenę, a na razie pewnie naprawdę niewiele zobaczył.

Podeszliśmy ciut bliżej, brnąc w błocie zafascynowani światłami i odprawianym na naszych oczach obrzędem. Byłem już prawie pewien, że w tym wypadku nie będę raczej musiał odgrywać roli obrońcy ziemi, ale jeśli wiedźmy nas dojrzą, to o wiele niebezpieczniejsza może się okazać rola obrońcy Szekspira.

Sagan rzeczywiście stał na rozdrożu, i to takim złożonym z trzech dróg, tak jak to sobie wyobrażał Szekspir. Trudno mi było zgadnąć, w czym właściwie miałyby tym wiedźmom pomóc Hekate. Włosy miały związane na plecach, a na twarzach maski wprost ze starożytnej Grecji. Podobizny brodatych mężczyzn prezentowały się dość dziwnie na ewidentnie kobiecych ciałach. Rytuał w maskach mógłby świadczyć o tym, że to Traczniki, ale jeśli tak, to tym bardziej niezrozumiałe by było, skąd się wzięły w Anglii.

Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to że być może odprawiają ten rytuał tak blisko Londynu, bo zamierzają zaszkodzić jakoś królowi Jakubowi, albo może nawet go zdetronizować, ale dlaczego jakieś greckie okultystki miałyby się nim w ogóle przejmować? Może zresztą wcale ich nie obchodził angielski król, tylko realizowały czyjeś zlecenie. Ostatecznie słyszałem, że w całym kraju aż się roi od intryg, w szczególności katolicy nie mogli znieść obecnego króla. Weźcie pod uwagę, że za niecałe dwadzieścia miesięcy miało dojść do spisku prochowego Guya Fawkesa. To da wam pojęcie o nastrojach w kraju. Tylko że jeśli te czarownice były katoliczkami, to ja byłem synem kozy.

– Cóż to za diabelskie sztuczki? – szepnął Szekspir, nie odrywając przerażonego wzroku od obrzędu. Przycupnęliśmy w kucki, jak najniżej się dało. – Tańczące kobiety z brodami i... – brakło mu słów. To się może zdarzyć nawet Szekspirowi.

– Nie podchodź ani kroku dalej, mistrzu – ostrzegłem go, wciąż uważnie słuchając zawodzenia. – Słowa pieśni już się zmieniły. Czarownice zakończyły

inwokację do bogini, teraz już tylko czekają.

– Co właściwie śpiewają?

– Konkretnie, to że czekają. *Perimenoume* znaczy „czekamy”. Powtarzają to w kółko i wirują.

– Na co czekają?

– Domyślam się, że na ofiarę do złożenia. Może wiedzą już, że tu jesteśmy, i tylko czekają, aż się zbliżymy, żeby nas złożyć w ofierze swojej bogini.

Szekspir nie dał się niestety nabrać na moją taktykę odstraszenia.

– Myślałem, że już złożyły ofiarę. Przecież coś tam mają w tym saganie.

– Ano, ale kurczak czy inna traszka nie wystarczy, by ściągnąć boginię na angielską ziemię. To najwyżej pozwoli przyciągnąć jej uwagę, a i to na chwilę. Potrzebują czegoś większego.

– Skąd pan to wie?

– Muszę przyznać, że sam param się polowaniem na czarownice – powiedziałem. – Choć po prawdzie nie spodziewałem się tu dziś żadnych znaleźć.

– Nie wierzył mi pan, monsieur?

– Tobie tak, mistrzu, ale nie opowieściom, które słyszałeś. – Teraz jednak, gdy usłyszałem, że czarownice „czekają”, zacząłem się zastanawiać, od jak dawna wychodzą tak, gdy księżyc jest w nowiu, i czekają. Te opowieści o światłach i chichotach czarownic mogły jednak mieć w sobie więcej prawdy, niżbym chciał.

– Dlaczego po prostu nie przyprowadziły ze sobą wystarczającej ofiary? – chciał wiedzieć Szekspir.

– To kwestia mocy – wyjaśniłem. – Jeśli uda im się poświęcić coś, co z własnej woli wyjdzie na rozstaje dróg, będzie to o wiele skuteczniejsze.

Za nami rozległo się rzenie konia – pewnie jednego z naszych. Wiedźmy natychmiast je posłyszały. Nie przerwały nucenia ani rytualnego okrążania sagana, ale ich maski odwróciły się w kierunku rzenia, czyli na nasze nieszczęście w naszą stronę. Nie musiałem mówić Szekspirowi, żeby zamilkł.

Zamarł w ciemnościach niczym kamienny rzygacz i wpatrywał się oniemiały w sabat.

Po chwili usłyszeliśmy też ciche mlaskanie kopyt stąpających po błocie, a potem wściekły głos:

– To na pewno oni. Albo ktoś, kto widział, gdzie poleźli!

Był to chyba głos Ognistej Twarzy. Najwyraźniej już doszedł do siebie, połapał się, że jednak żyje, i teraz postanowił nas dorwać. Pokazałem Willowi na migi, że powinniśmy zmyć się z drogi, więc przetoczyliśmy się w błocie w pole kapusty, zyskując przy tym naturalny (w odróżnieniu od magicznego) kamuflaż.

Był to w rzeczy samej Ognista Twarz, i to na moim koniu, a obok, na koniu Willa, siedział Czyrak i razem z nim Wnętrznosci Gołębia. Tego bym się po nim nie spodziewał. Widocznie wrócił jednak do gangu i obiecał nadrobić jakoś swoje tchórzostwo. Ognista Twarz musiał być naprawdę niezłe rozsierdzony, skoro tak za nami poleciał w ciemne pole, zostawiając swojego przywódcę na pastwę losu. Nie ulegało wątpliwości, że to on przejął teraz dowodzenie bandą oraz że zupełnie się nie spodziewa trzech nagich, zamaskowanych, tańczących na rozdrożu czarownic. Ich herszt, który leżał tam gdzieś daleko z połamanymi obojczykami, powinien dziękować swojemu niepurytańskiemu bogu, że nie dotarł na rozstaje.

Czarownice przestały śpiewać „czekamy”, i każda po kolei powiedziała:

– Nadszedł czas – po czym już zgodnym chórkim dodały: – Hekate, przybywaj!

Bandyci zatrzymali konie tuż przy ognisku, a Czyrak zaklął zdumiony:

– Niech to krew zaleje!

I zaraz potem zalała.

Usiadłem, żeby szybko ściągnąć prawy but, nie miałem bowiem wątpliwości, że teraz już tatuaże na mojej stopie naprawdę powinny dotykać ziemi i dawać mi dostęp do jej mocy. Czarownice przerwały krąg i rzuciły się w stronę koni – z wysoko uniesionymi nożami i znacznie szybciej, niż

powinny się poruszać normalne kobiety. Będę musiał mocno podkreślić prędkość, żeby im dorównać.

– Co to znowu za gołe dziwki? – ryknął Ognista Twarz.

W tej samej chwili jedna z nich przeskoczyła łeb konia i wypchnęła jeźdźca z siodła. Czyrak i Wnętrznosci Gołębia też wylądowali na ziemi, a konie stanęły dęba, bo przecież nie były to zwierzęta wojenne i nawykłe do walki. Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, czy wiedźmy są silniejsze niż zwykli ludzie, powinien był zobaczyć, jak każda podniosła z ziemi po jednym chłopie i sprawnym ruchem poderżnęła mu gardło. Krew trysnęła na błoto, a bandyci próbowali jeszcze tamować krwotok rękoma, gdy wiedźmy ciągnęły ich przez rozdroże w stronę sagana. Ustawiły ich sobie w trójkąt, który tworzył się z ich pleców, tak że każdy z nich patrzył w inną stronę.

– Przybądź, Hekate, Królowo Księżycy! – inkantowały. – Twoje nowe ciało już czeka!

– O nie – wymsknęło mi się, gdy zrywałem się na równe nogi i obnażałem Fragaracha.

One naprawdę ją przywoływały.

Szekspir z pewnością ruszyłby ze mną, gdyby nie to, że właśnie wymiotował sobie cichutko w kapustę. Alkohol na pewno podrażnił mu żołądek, a widok tak przerażającego morderstwa przeważał szalę.

Nie miałem szans dobiec do wiedźm na czas i przerwać wzywanie, a do tego musiałem mieć też na uwadze bezpieczeństwo Szekspira, pozostawało mi więc obserwować sytuację. Zmyjemy się stąd, gdy tylko skończy swojego pawia, obiecałem sobie. Tymczasem bandyci zaczęli drzeć, i to coraz mocniej, aż miotali się na wszystkie strony i w miejscu trzymały ich tylko silne ręce czarownic, które nie puszczały ich mostków. Przewracali oczami, wywalili języki, a krew wciąż sikała im z tętnic szyjnych. Potem na sekundę wszystko zamarło, powietrze zadrżało i każdy włos mój stanął dęba jako na jeżu kolce, bo oto Hekate opuściła, jakiegokolwiek podziemia zamieszkiwała, i wślizgnęła się w trupy trzech bandytów, którzy posłużyli zarazem jako ofiary jej złożone, jak

i jej nowe ciała. Uszło już z nich życie, dusze pognały lichu wie gdzie, a teraz Potrójna Hekate z dalekiej Tracji miała wreszcie do swojej dyspozycji potrójne ciało.

Tylko że nie bardzo jej się ono podobało. Choćby dlatego, że było męskie. Zaczęła więc je sobie odpowiednio dopasowywać i właśnie wtedy Szekspir wyprostował się wreszcie, zwróciwszy już wszystko, co się dało, i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kolejnych przerażających rzeczy.

Wiedźmy odsunęły się od ciał, jako że teraz zajmowała je sama Hekate, nie trzeba już więc ich było podtrzymywać w pozycji pionowej. Skóra na twarzach mężczyzn pękła i rozpuściła się, zmieniając kształt, a ciche trzaski świadczyły o tym, że pękają im też kości, które widocznie także powinny mieć, zdaniem bogini, inny kształt. W tym momencie bard był uprzejmy zemdleć prosto w kapustę, wydawszy tylko cichy, przerażony pisk. To oznaczało, że nie będę musiał dłużej udawać francuskiego arystokraty i ukrywać magicznych zdolności.

Niestety jego pisk nie przeszedł niezauważony. Jedna z czarownic obróciła się w naszą stronę, dostrzegła mnie w ciemności i rzuciła:

– Kto tam? – po angielsku, ale z akcentem.

Pozostałe dwie natychmiast też spojrzały w moją stronę, a ta, która zabiła Czyraka, powiedziała po grecku:

– Sprawdzę to. Nie możemy dopuścić, by coś przeszkodziło teraz Hekate w przemianie.

Rzuciła się w moją stronę z zakrwawionym nożem, a ja pomyślałem, że może jednak coś i owszem, powinno przeszkodzić Hekate w przemianie. Ktoś wezwany w taki sposób nie podpadał mi pod kategorię istot życzliwych i kierujących się dobrą wolą. Jeśli, żeby ściągnąć jakieś bóstwo na ziemię, trzeba mu złożyć ofiarę ze zwierząt i ludzi, to raczej nie należy się po nim potem spodziewać działalności filantropijnej.

Wiedźma namierzyła mnie i zaatakowała, z pewnością przekonana, że jestem równie powolny jak tamte rzezimieszki. Ale byłem nie tylko szybki jak

ona, lecz o wiele lepiej uzbrojony i wyszkolony. Jej zupełnie beztroski atak, który miał mnie załatwić od ręki, załatwił, ale jej rękę. I poleciała twarzą w błoto. Chrupnęła jej maska, a ona ryknęła dziko, łapiąc się zdrową ręką za tę już mocno skróconą. Znajdowała się teraz – jak na mój gust – o wiele za blisko Szekspira, ale na szczęście jeszcze go nie zauważyła. Najbezpieczniej dla mnie byłoby wrzucić teraz kamuflaż i zniknąć, ale wtedy z kolei zaczęły mnie wszędzie szukać i mogą trafić na Williama, pozostałem więc widzialny i przesunąłem się jak najdalej od niego, na drugą stronę drogi, gdzie dla odmiany rosły chyba rzepy. Teraz już pędziły za mną wszystkie wiedźmy, a ta, której odrąbałem rękę, drugą kończyną wskazała na mnie i ryknęła po grecku:

– To nie człowiek! Porusza się jak my!

– Jestem druidem Gai – przedstawiłem się w tym samym języku. Jeśli Szekspir się przypadkiem ocknie i usłyszy naszą rozmowę, i tak nic nie zrozumie i nie wypadnę z roli. – Nie wyrządę wam żadnej krzywdy, jeśli wy nie skrzywdzicie ziemi.

– Żadnej krzywdy! – wrzasnęła ranna wiedźma. – Odrąbałeś mi rękę!

– Próbowalaś mi nią odebrać życie – przypomniałem jej. – Zraniłem cię jedynie, choć mogłem zabić. Biorąc pod uwagę to, co uczyniłyście przed chwilą tym ludziom, raczej nie macie prawa czepiać się mnie o jedną kończynę. – Gęby byłych bandytów przetopiły się już niczym gorący wosk i teraz zastygały w postaci nowych, kobiecych twarzy. Ich włosy rosły w zastraszającym tempie i były już długie i ciemne. Ich ciała skurczyły się i nabrały kobiecych kształtów. – Czy nie przyjemniej byłoby to przegadać? – zaproponowałem. – Porozmawiajmy. Po co wezwałyście Hekate?

– Druidzi wymarli już dawno temu – zaczęła się upierać ta najbliższa ogniska, zupełnie olewając moje grzeczne pytania.

– Zabawne, że o tym wspomnialaś. To samo chciałem właśnie powiedzieć o trackich wiedźmach w Anglii.

Usłyszeliśmy jeszcze ostatnie chrupnięcie kości i coś jakby siorbnięcie kurczących się trupów, po czym Hekate zakończyła swój remont ciała – teraz

stały przy ognisku trzy kobiety, które równie dobrze mogły tu zstąpić prosto z jakiejś greckiej wazy: długie nosy, cienkie usta, idealna cera i uczernione powieki. Wzięły głęboki wdech i na trzy, cztery wypuściły powietrze. Nie była to wcale trójca Dziewica, Matka, Starowina, bo były w tym samym wieku – trio nastolatek – i w sumie miało to sens, bo przecież była to właściwie jedna bogini. Szkoda, że nie zapytałem jej wtedy, czy bardzo ją cieszy to, że każdy, kto o niej opowiada, ma dylemat, czy posługiwać się liczbą mnogą czy pojedynczą. Ja w każdym razie chwilowo będę się trzymał mnogiej, bo po tym zsynchronizowanym westchnieniu, które my z wiedźmami tylko obserwowaliśmy ze zdumieniem, boginie zamrugały i przemówiły upiornym chórem:

– Krwi!

To już samo w sobie nie wróżyło nic dobrego, ale miało być jeszcze gorzej. Głowy potrójnej Hekate obróciły się w moim kierunku i uśmiechnęły szeroko.

– On może być. Dajcie mi jego serce. – Machnęły na mnie rękoma i syknęły: – *Petra osta!*

Oznaczało to: „kamienne kości”. Hekate najwyraźniej chciała, żebym zamarł z przerażenia, a wtedy wiedźmy mogłyby mnie z łatwością wypatroszyć, ale jej zaklęcie odbiło się od mojego zimnego żelaza i tyle tylko działo, że amulet uderzył mnie w pierś. Udałem jednak, że skutecznie mnie zaczarowała, i znieruchomiałem z wybałuszonymi oczami. Te dwie wiedźmy, którym jeszcze nic nie dolegało, popędziły w moją stronę spełnić zachciankę Hekate. Gdyby były choć odrobinę ostrożne – a zdawałoby się, że powinny po tym, co spotkało przed chwilą ich siostrę – być może nie poradziłbym sobie z dwiema naraz. Ale ruszyły na mnie bez żadnej czujności, bo chyba do głowy im po prostu nie przyszło, że moc ich bogini ma jakieś ograniczenia.

Nie zabiłem ich jednak. Były zbyt chaotyczne, żeby stanowić poważne zagrożenie, ale oczywiście nie mogłem pozwolić, by mnie tu męczyły, więc każda dostała mieczem w brzuch, żeby musiała usiąść grzecznie na ziemi i

skupić się na leczeniu. Jeśli choć trochę znały się na czarach – a wszystko wskazywało, że i owszem – to w końcu się wylizają z tych ran, ale chwilę powinno im to zająć. I na tym skończyła się ta łatwiejsza część zadania.

W przeciwieństwie do swoich wiedźm Potrójna Hekate była bardzo zdyscyplinowana i doskonale wiedziała, jak koordynować swoje ciała w walce. Potrafiła przy tym dać im taką siłę, że moja się nie umywała, choć w pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, skąd czerpie potrzebną do tego energię. Jedno było dla mnie jasne: jeśli działa na krew, to będzie jej zaraz potrzebowała w większych ilościach, a Szekspir leżał tuż obok. Rzuciła się na mnie z sykiem, rozdzielając się sprawnie: dwa z jej ciał rozbiegły się, żeby zaatakować mnie z dwóch różnych boków, i zwinnie uniknęły mojego pierwszego machnięcia mieczem. To rzucały się w moją stronę w skoordynowanym ataku, to tanecznym krokiem wycofywały się spod mojego ostrza. Zaliczyłem kopniaka w nerkę, cios w żebra (jedno pękło) oraz w przeponę, nim przypomniałem sobie o włączeniu kamuflażu. Trochę było im teraz trudniej mnie namierzyć, z kolei jednak ja nie widziałem też własnego miecza, a w dodatku runąłem na ziemię i narobiłem przy tym hałasu, więc udało im się mnie kopnąć kilka razy. Ale i mnie udało się zadać kilka ciosów. Miały już kilka ran od Fragaracha, żadnej szczególnie głębokiej, lecz po każdej znacząco zwalniały. Naprawdę potrzebowały już tej krwi, żeby dodawać sobie siły i zwiększać prędkość; nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że bogini nie czerpie z żadnego stałego źródła magii, tak jak ja z ziemi, tylko ze składanych jej ofiar.

– Królowo! – krzyknęła nagle bezręka kobieta, o której zdążyłem zupełnie zapomnieć. – Tu leży jakiś człowiek i śpi! Jego krew da ci siłę!

Potrójna Hekate straciła zainteresowanie mną i rzuciła się w inną stronę. Też się oczywiście obróciłem i zobaczyłem, że swoją jedyną ręką wiedźma wskazuje niestety zemdłonego Szekspira. Nie miałem się co łudzić, że dobiegnę do niego szybciej niż Hekate.

Zamachnąłem się z całych sił na nogi najbliższego z ciał Hekate; udało mi się odrąbać jej jedną stopę i zadać poważną ranę w drugą, ale pozostałe dwie

Hekate popędziły nakarmić się krwią barda. Ta, którą dorwałem, upadła, a ja, dysząc dziko, zerwałem się z ziemi i już byłem na kolanach. Pozostałe dwie wiedźmy rozpaczliwie zaczęły szukać noża, żeby nim ładnie podciąć Szekspirowi gardło.

– Mój sztylet przepadł gdzieś w błocie – panikowała jedna z nich i widać było, że za nic nie chce rozzłościć Hekate.

– Może masz coś za pasem, królowo! – zaryzykowała druga, delikatnie przypominając Hekate, że jej ciała miały przecież jakieś ubrania i pewnie jakąś broń.

Wszystkie ciała bogini, powalonego przeze mnie nie wykluczając, spojrzały w dół, ujrzały sztylety i je wyciągnęły. Te, które wciąż były mobilne, znów ruszyły w stronę Szekspira i wiedziałem, że będą przy nim już za kilka sekund. Na żadne subtelne rozwiązania nie było czasu – trzeba się było zdać na te desperackie. Na czworaka rzuciłem się w stronę powalonego ciała i wbiłem jej miecz pod brodę tak, że wszedł głęboko w czaszkę i wbił się w mózg. To z trzech ciał już się bogini na nic nie zda. Zdążyło jednak dźgnąć mnie swoim dopiero co odkrytym sztyletem w lewy bok tuż pod pachą i przebić nim płuco. Runąłem na ciało, nim jeszcze wyzionęło ducha (lub jego jedną trzecią) i zaraz potem usłyszałem jego wrzask w stereo – pozostałe dwa ciała zamarły, zwinęły się z bólu, po czym wybuchnęły mięsem i kośćmi.

Udało mi się – choć na pewno nie była to czysta robota. W każdym razie okazało się, że Potrójna Hekate nie może zajmować tylko dwóch ciał. Zabicie jednego z nich było równoznaczne z unicestwieniem wszystkich trzech.

Choć pewnie raczej było to tylko zresetowanie. Nie było się co łudzić, że naprawdę zabiłem samą Hekate. Co najwyżej wygnałem ją z powrotem na Olimp, z którego znów będzie ją można wezwać, choć miałem nadzieję, że może już nie będzie taka skora do złażenia na ziemię.

Na polu zapadła cisza ciężka od zdumienia, a potem wściekłe siostry zaczęły ryczeć – i to nie z bólu, choć były ranne. Z jakiegoś powodu od dawna pracowały i czekały na tę chwilę. Były też pewnie przekonane, że Hekate jest

naprawdę niezwyciężona. Kiedy na ich oczach ktoś pokonał ją w parę minut, doznały czegoś, czego chyba nie dałoby się już zakwalifikować jako lekki wstrząs psychiczny.

Wzdrygając się z bólu, wyrwałem sobie nóż z boku i włączyłem charms uzdrawiający, łączywie pobierając moc ziemi. Trochę to potrwa, nim ta rana się zagoi, ale wiedziałem już, że będę żył. Nie miałem natomiast tej pewności co do Szekspira. Wciąż stała nad nim jedna z wiedźm, pewnie gotowa zabić go z czystej złośliwości. Nie udało mi się wstać zbyt cicho i wszystkie wiedźmy odwróciły się w moją stronę. Nadal mnie nie widziały, ale ten dźwięk zdradził im moje położenie.

– Przeklniemy cię za to, druidzie – poprzysięgła jedna z nich, siedząc w błocie i trzymając się za bebechy.

– Możecie zawsze spróbować, ale to raczej strata czasu – odparłem. – Skoro nie działały na mnie zaklęcia Hekate, to dlaczego by miało zadziałać wasze?

Nie znalazły na to żadnej odpowiedzi, więc każda tylko zasugerowała po parę rozmaitych pozycji erotycznych, jakie powinienem przyjąć z rozmaitymi zwierzętami. Pozwoliłem im wyzywać mnie do woli. Im dłużej będą skupione na mnie i tym, co mówię, tym bliżej podczłapię do Szekspira. Powyzywałem je też w odpowiedzi, żeby podtrzymać tę miłą konwersację, a gdy już byłem dość blisko, trąciłem wiedźmę stojącą nad Szekspirem końcówką Fragaracha – leciutko, ale wystarczyło, by wrzasnęła i odskoczyła odruchowo. Wciąż trzymała się za resztki ręki, które podejrzenie już nawet nie krwawiły. Zrobiłem jeszcze jeden krok w jej stronę, stając między nią a bardem, i dopiero wtedy zrzuciłem kamuflaż.

– Cześć! Odsuń się i podejdź bliżej do sióstr, to może to przeżyjesz. Może nawet uda ci się kiedyś znów we zwać Hekate. Albo, jeśli wolisz, od razu cię zabiję. To jak będzie?

Nic na to nie odpowiedziała, ale się wycofała, nie spuszczając jednak ze mnie wzroku. Patrzyłem, jak się odsuwa, i miałem się cały czas na baczności.

Z pomocą żywiołaka namierzyłem konie – nie uciekły wcale tak daleko – i udało mi się je przekonać, że najbezpieczniej będzie wrócić i zawieźć nas z powrotem do miasta, gdzie dostaną w stajni owsa i jabłek.

Czekając na nie, przykleknąłem przy Szekspirze. Nic mu nie było, poza tym że wciąż był pijany. Albo może już miał potwornego kaca. Nie groziło mu teraz bezpośrednio fizyczne niebezpieczeństwo, ale nadal przydałaby się ochrona magiczna. Wiedźmy raczej nie zdołają mnie przekląć, jego za to mogą z całą pewnością, jeśli tylko im to przyjdzie do głowy, nim znikniemy z tego pola. Przypomniałem sobie o tym kawałku zimnego żelaza, o który tak bardzo się martwiłem, gdy rabusie próbowali mi zabrać sakwę. Wyciągnąłem go teraz, a że nie miałem przy sobie żadnego sznurka ani łańcuszka, spłotłem go po prostu ze skórą barda, tuż pod szyją, żeby stanowił talizman przeciwko heksom. To go nie uratuje przed bardziej wyszukanymi klątwami wykorzystującymi jego krew czy włosy, ale temu też zaradzę.

Wiedźmy zbiły się w zwartą grupkę i patrzyły na mnie podejrzliwie zza tych swoich brodatych masek. Ja tymczasem zapakowałem Szekspira na konia, co wcale nie było łatwe, ze względu na moje rany. Starłem się przy tym tak manewrować, żeby w ogóle nie zobaczyły jego twarzy, i upewniłem się, że nie zostało po nim nic, czego mogłyby potem użyć przeciwko niemu. Namierzyłem wymiociny Szekspira oraz moją krew i postarałem się, żeby z pomocą żywiołaka wszystko to zniknęło głęboko pod ziemią.

Wygasiłem też ognisko, splatając drewno z ziemią wokół, co skutecznie zdusiło nienaturalne srebrne płomienie. Dzięki temu nie tylko zrobiło się na rozdrożu przyjemnie ciemno, ale i wiedźmy nie będą mogły już nic tu dziś zdziałać, na co zaraz zaczęły narzekać, bo też rzeczywiście utrudniłem im w ten sposób leczenie ran.

– Nawet nie próbujcie znowu wzywać Hekate w Anglii – ostrzegłem je, przekrzykując ich zawodzenie i mentalnie prosząc konia, by ruszył. – Anglia i Irlandia znajdują się pod moją ochroną, a następnym razem nie okażę wam żadnej litości.

Mój amulet z zimnego żelaza znów zadrżał, wiedziałem więc, że co najmniej jedna jędra znów spróbowała rzucić na mnie klątwę. Jako że Szekspir nie stanął w płomieniach ani nie zginął inną tego typu miłą śmiercią, uznałem, że jego talizman też działa.

– Życzę paniom dobrej nocy! – zawołałem wesoło, by nie miały wątpliwości, że im się nie udało, po czym zostawiłem je, żeby mogły w spokoju przemyśleć niezliczone minusy rytuałów wzywania. Ryzyko związane z takimi obrzędami prawie zawsze bowiem znacznie przewyższa ewentualne plusy.

Gdy już znajdowaliśmy się poza zasięgiem wzroku i słuchu, przystanąłem, by schować talizman z powrotem do sakwy. Szekspir był na tyle uprzejmy, że ocknął się, dopiero gdy dotarliśmy do stajni i jego stopy dotknęły ziemi. Był w kiepskim stanie i zaczął od tego, że znów zwymiotował, co niezmiernie oburzyło chłopca stajennego, ale powoli dochodził do siebie, zaskoczyły mu synapsy i wróciła pamięć.

– Markizie! Pan żyje! Ja żyję! – krzyknął, gdy prowadziłem go do gospody White Hart, gdzie najchętniej od razu zapakowałbym się do łóżka w swoim pokoju. Spuścił wzrok na swoje dłonie, a potem zamachał palcami, jakby chciał sprawdzić, czy w ogóle jeszcze są sprawne. – Co się stało?

– A jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz, mistrzu?

– Czarownice...

– Ciii... nie tak głośno!

– Czarownice – powtórzył już ciszej. – Zamordowały tamtych mężczyzn!

– Tak. To wszystko, co pamiętasz?

Patrzył przez chwilę rozbieganym wzrokiem, jakby usiłował sobie przypomnieć coś więcej, ale potem znów skupił wzrok na mnie i pokiwał głową.

– Tak, to ostatnie, co pamiętam.

Fantastycznie! W takim razie mogłem mu wcisnąć jakiś kit.

– Potem oczywiście wpakowały ich ciała do sagana, a ja przerzuciłem cię

przez ramię i uciekałem, aż się za mną kurzyło.

– Co takiego? Ale co się tam stało? Zjadły tych ludzi?

– E, nie, chodziło o wróżbę, to najczarniejszy sposób na wróżenie, oparty na krwi. Prosiły Hekate, by ukazała im przyszłość.

– Krucafiks, to Bóg ocalił mnie przed potępieniem. I pana, markizie! Dziękuję panu za uratowanie mi życia. Ale co one powiedziały?

– Słucham?

– Czego dokładnie chciały się dowiedzieć? Poznać przyszłość Anglii?

– Nie dosłyszałem za wiele, tyle tylko że prosiły, by Hekate uchyliła zasłonę czasu i takie tam. Nim zaczęły to precyzować, byliśmy już daleko.

– Ale te ich śpiewy, te przedtem... Przecież te pan słyszał. Część mi pan przetłumaczył. Co dokładnie wtedy śpiewały... Potrzebuję atramentu i pióra! – I niepomny na późną porę rzucił się szukać w gospodzie czegoś do pisania.

I w ten właśnie sposób znalazłem się w bardzo niewygodnej sytuacji – musiałem wymyślić coś, co brzmiałoby jak zaklęcie, ale nim nie było. Nie mogłem przecież podać Szekspirowi słów, które rzeczywiście służą do wzywania Potrójnej Hekate, bo wiedziałem aż za dobrze, że wszystko, co powiem, zachowa skrzętnie dla potomności.

Toteż gdy już w końcu znalazł jakąś kartkę i zażądał, bym mu podyktował wszystko, co zapamiętałem ze śpiewów czarownic, paplałem, co mi tam akurat przyszło do głowy, a on zapisał: „Dalej! żwawo! hasa! Hej!...”².

I teraz już wiesz, Granuaile, dlaczego wzdrygnąłem się tak, gdy powiedziałaś: „Buchaj, ogniu! Kotle, wrzej!”.

– To ty napisałeś kwestie czarownic? – krzyknęła Granuaile. – Nie gadaj!

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się półgębkiem.

– No, dobra – przyznałem. – Szekspir nie użył tego, co mu podyktowałem, tak zupełnie bez zmian. Podrasował moją wersję i oczywiście dopasował ją do swojego ulubionego metrum. Naturalnie efekt był o wiele lepszy niż moja improwizacja. A co najważniejsze, świat nie dowiedział się, jak

się wzywa Hekate.

– Przecież same słowa i tak nie wystarczyłyby do jej wezwania, prawda?

– Z początku nie, ale bałem się, że może dojść do magicznej kumulacji. Często wzywana bogini mogłaby urosnąć w siłę, aż w końcu mogłaby się ukazywać ludziom, kiedy by się jej żywnie podobało, nawet i bez złożenia ofiary, a nikt by chyba nie był szczęśliwy, gdyby ta akurat wersja Hekate pojawiała się ni z tego, ni z owego w teatrze na spektaklu.

Granuaile pokręciła głową.

– No raczej. Ale w takim razie dlaczego wiedźmy rzuciły klątwę na tę sztukę?

– Szekspir przegapił pojawienie się Hekate, ale zrozumiał, że czarownice jakoś na niej polegają, więc ją też wpakował do *Makbeta*. Hekate w jego sztuce jest pojedynczą osobą, ani specjalnie straszną, ani potężną. Czarownice uważały, że to uwłaczające dla ich bogini, i to je zainspirowało do rzucenia klątwy.

– Zostały więc jednak w Anglii?

– W każdym razie na tyle długo, by zobaczyć sztukę. Ale wydaje mi się, że się nie połapały, iż spotkały kiedyś jej autora. Po prostu obraziły się jak jakieś dumne nastolatki i rzuciły klątwę, wszystkie trzy naraz, i to przy ludziach. Zaraz je złapano i spalono na stosie.

<Wcale nie żałuję, że nie żyłem w tamtych czasach, Atticusie> wyznał Oberon. <Rozgotowane kiełbaski są takie rozczarowujące. Suche i bez smaku. Zupełnie jak sucha karma dla psów>.

Tylko tyle zapamiętałeś z całej opowieści? Że w gospodzie White Hart podawali słabą kiełbasę?

<A to nie był punkt kulminacyjny tej tragedii? Chyba że była to ta chwila na końcu, gdy Szekspir się zorientował, że nie zdołał nawet skosztować potrawki, która się gotowała w saganie, tak?>.

To w ogóle nie była tragedia, Oberonie. Nikt nie umarł, z wyjątkiem tych trzech oprychów, a i to tylko dlatego że byli głupi i nie chcieli nas

zostawić w spokoju.

<Tak, ale nikt też niczego dobrego nie zjadł, a jak na mój gust to już zakrawa na tragedię. Chłopie, przecież sam powiedziałeś, że te baby były umazane krwią i tłuszczem, z czego wynika, że w saganie musiało być jakieś mięsko>.

To rzeczywiście były ciężkie czasy. Na szczęście ty żyjesz w o wiele przyjemniejszej epoce. Możesz do woli wcinać to, co się gotuje nad ogniem.

Oberon przeturlał się na plecy i nastawił brzuch do pieszczot.

<No, objadłem się całkiem, całkiem. Ale czy ty przypadkiem o czymś nie zapomniałeś, Atticusie? Ten brzuch sam się nie podrapie, wiesz o tym chyba? >.

Posłusznie wykonałem polecenie mojego psa i jeszcze nawet spytałem Granuaile, czy nie pomoże. Skinęła głową, że owszem, i rzuciła mi kolejny browarek z lodówki, bo akurat brała sobie jeden. Syk otwieranego piwa wydał mi się w tych ciemnościach niezwykle głośny, ale potem słyszeliśmy już tylko, jak trzaska ogień i jak pod niebem pełnym gwiazd śpiewa dla nas Gaja.

¹ Tłum. Józef Paszkowski.

² Tłum. Józef Paszkowski.

Dwa kruki i (jedna) wrona

Jak by to było, gdyby ludzie mogli się ślinić tak jak psy? Nie ma przecież żadnego piętnowania psów za ich ślinienie się, a tak patrząc na nie, wnoszę, że to musi być okropnie przyjemne, więc zazdroszczę im tej wolności. Nieraz mnie nachodziła chętka poślinić się – po prostu są takie chwile w życiu, gdy żadna inna reakcja nie ma sensu – ale choć przeżyłem 2100 lat, i to w wielu krajach na całym świecie, nie spotkałem jeszcze kultury, w której takie zachowanie byłoby akceptowane albo chociaż nie spotykało się z potępieniem.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Mimo tej upartej odmowy ze strony wszechświata, który nijak nie chce zmieniać odwiecznych reguł wedle mojego upodobania, marzy mi się ostatnio, żeby jednak dało się wytrenować druida w pięciominutowym montażu rodem z filmów karate, zamiast męczyć się tak w pocie czoła przez dwanaście lat. Po pierwszych dziesięciu sekundach bezowocnego wysiłku uczennica nagle załapywałaby, o co chodzi, i uczyła się jak z płatka, a jej twarz rozpromieniałaby się cudownie, a wtedy nagradzałbym wyżej wymienioną uczennicę ciasteczkiem albo powściągliwym skinieniem głowy. Uczennica rozkoszowałaby się chwilę chwałą swojego osiągnięcia, po czym przechodziła na kolejne dziesięć sekund do następnego zadania i tak dalej, aż triumfalna muzyka i przybite piąteczki ogłosiłyby światu nasze zwycięstwo i zakończenie jej edukacji. Rozpromienilibyśmy się potem znów w radosnych uśmiechach aktorów reklamujących fast foody, którzy mają zwyczaj beztrosko chichotać,

gdy pochłaniają dość tłuszczu, by ich serca eksplodowały jak mięsne granaty.

Ale treningi z moją uczennicą Granuaile zupełnie tak nie wyglądały. Ukształtowanie jej umysłu i przygotowanie jej do druidyzmu było monotonne i trudne dla nas obojga, lecz z największym niebezpieczeństwem wiązała się praca nad jej ciałem. Było ono mniej więcej tego rodzaju, z jakim musiał się zmierzyć sir Galahad w zamku Czyrak. Czytaj: oszalamiające napięcie erotyczne.

Co roku z okazji przesilenia zimowego dawałem mojej uczennicy w prezencie całą szafę luźnych bezkształtnych swetrów, a ona co roku kupowała sobie obcisłe, dopasowane do sylwetki ubrania na lato. Wytresowałem nawet mojego wilczarza irlandzkiego Oberona, żeby pomagał mi jakoś przez to przebrnąć i był moim Lancelotem za każdym razem, gdy szczeka mi opadała przy Granuaile, a zdarzało się to znacznie częściej, niżbym chciał. Ona ćwiczyła wykopy, pchnięcia i rozmaite pozycje, a gdy tylko zaczynała się od tego pocić, zaraz mi przychodziły do głowy różne inne sposoby na spocenie się i już musiałem wołać go na ratunek.

Stawię czoło niebezpieczeństwu... – zaczynałem się łamać.

<To zbyt niebezpieczne> uświadamiał mi Oberon, a wtedy musiałem mu dać smakołyk, co z kolei zmuszało mnie do oderwania oczu od Granuaile i skierowania myśli na bardziej przyzwoite tory. Może i nie brzmi to zbyt rozsądnie, ale to była kwestia przetrwania. Niestety po jakimś czasie Granuaile wyłapała podejrzaną zasadę w moim zachowaniu.

– Sensei? – spytała.

– Tak?

– Dlaczego zawsze wychodzisz w połowie treningu i dajesz Oberonowi przysmak?

<By ukoić swoją SZALONĄ NAMIĘTNOŚĆ...>

– Co? No, wiesz, taki z niego grzeczny piesek.

<By ugasić PAŁAJĄCĄ ŻĄDZĘ...>

– To prawda, ale jest grzeczny cały czas, a ty przerywasz tylko nasze

treningi, nic innego, i tylko wtedy dajesz mu te przysmaki.

<By ukryć górującą nad wszystkim WIEŻĘ POŻĄDANIA...>

– Czasami go nagradzam za używanie dużych słów. A kiedy indziej za to, że się zamknie na czas.

<By utulić PRZEMOŻNĄ TĘSKNOTE...>

Teraz na przykład mógłbyś się zamknąć.

<Jeśli dostanę za to przysmak, to czemu nie>.

Zgoda.

– I co takiego właśnie powiedział? – spytała Granuaile.

– Przykro mi, ale to informacja niejawna.

Oberon zaczął ciężko dyszeć, a Granuaile zmrużyła oczy. Wiedziała dobrze, że mój pies się śmieje, niech go piorun trzaśnie. Teraz będzie drażyła sprawę, póki się nie dowie, co go tak rozbawiło.

Nieoczekiwanie uratowało mnie pojawienie się wyjątkowo wielkiej wrony. Jej „Krrra!” osiągało poziom głośności przeciętnego klaksonu. Wylądowała na dachu przyczepy i przestraszyła nas wszystkich, w tym Oberona, który zaczął na nią szczekać. Oczy ptaka błysnęły czerwienią i wilczarz przestał natychmiast, spuszczać łeb i podwijając ogon.

– Morrigan? – upewniłem się.

Czerwony blask zniknął z oczu wrony, gdy przechyliła główkę i przemówiła zachrypłym tonem:

– Niespodzianka, Siodhachanie. – Celtycka Szafarka Śmierci nigdy nie nazywała mnie Atticusem. Jej łebek obejrzał się w stronę mojej uczennicy. – Witaj, Granuaile.

– Co się stało? – spytałem od razu, bo Morrigan nie miała zwyczaju składać wizyt w celach towarzyskich.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że powinienem był przecież zaoferować jej najpierw coś do picia albo w jakikolwiek inny sposób odwołać się do zwyczajów gościnności, ale Morrigan była na szczęście zbyt skupiona na zadaniu, żeby zauważyć moje złe maniere. Załopotana skrzydłami i

oświadczyła:

– Mamy sprawy do załatwienia. Nie będzie cię co najmniej tydzień, może dwa. Nie weźmiesz z sobą niczego, nawet broni. Przemień się w ptaka i lećmy.

– Czekaj, czekaj, przydałoby mi się nieco dłuższe wyjaśnienie sytuacji. Czy mogę zabrać ze sobą uczennicę albo psa?

– Nie. Zdecydowanie nie. Nasze sprawy ich nie dotyczą.

<Mnie to nie przeszkadza. Naprawdę mogę zostać> pospieszył z zapewnieniami Oberon.

Spojrzałem niepewnie na Granuaile, ale wzruszyła ramionami.

– Mówisz, że nie będzie nas dwa tygodnie?

– Nie dłużej. Lecz musimy wyruszyć natychmiast. Pospiesz się.

Nie byłoby mądrze się z nią spierać. Ale spędzać z nią tydzień – może dwa – też nie było mądrze.

Mój koniec bliski, nie?

<Ano. Miło było być twoim psem>.

Twój koniec nie jest aż tak bliski – raczyła mnie pocieszyć Morrigan i dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież potrafi czytać mi w myślach, a w każdym razie na pewno odbiera te, które nadają do Oberona. – *Ale będzie bardzo bliski, jeśli się nie pośpieszysz.*

– Zrób sobie kilka dni wolnego, jeśli chcesz – zwróciłem się do Granuaile.

– Zasłużyłaś na odpoczynek. Ale nie przestawaj ćwiczyć języków i trenować każdego dnia.

– Dobrze, sensei. Może skoczmy z Oberonem do Durango. – Mieszkaliśmy w Many Farms, jakieś sto mil na południowy zachód stąd. Granuaile wskazała mi swoje włosy. Były przefarbowane na tak ciemny brąz, że właściwie czerni. – Zajmę się tym syfem. Już najwyższy czas.

Pokazały już się u niej odrosty, a to znaczyło, że u mnie pewnie też. Nasze żalosne fałszywe tożsamości sprawdzały się bardzo dobrze w oddalonych zakątkach. Trzymaliśmy się z dala od ludzi i wszyscy mieli nas gdzieś. Poza naszymi raczej żenującymi nazwiskami – Kojot oczywiście musiał nas zrobić,

jak to on, i przez niego nazywaliśmy się Sterling Silver i Betty Baker – podobało nam się to spokojne życie w Many Farms. W sumie Kojot wyświadczył nam wielką przysługę, a sam też był niezwykle zadowolony z rozwoju swojego projektu opartego na odnawialnej energii, przy którym trochę mu pomagałem. Przez te sześć lat jego plemię naprawdę zaczęło się lepiej mieć. Kopalnie węgla zupełnie zamknięto, a przedsięwzięcie Kojota tworzyło mnóstwo nowych miejsc pracy.

– Dobra. Wiesz, co masz robić, w razie gdybym nie wrócił, tak?

– Tak, tak, mam zadzwonić do Hala Hauka – potwierdziła Granuaile. – Ma twój testament. Ale przecież nie będę musiała nigdzie dzwonić.

– Mam nadzieję, że nie. To do zobaczenia.

Wskoczyłem do przyczepy, żeby się rozebrać przed przemianą, a Morrigan zakrakała niecierpliwie.

<Hej, Atticusie, bądź tak dobry i przywieź ze sobą jakieś gnu, dobrze?>

Tobie się wydaje, że gdzie ja się niby wybieram? – prychnąłem, wrzucając koszulę do kosza na brudy.

<A skąd mam wiedzieć. Po prostu zawsze chciałem tak powiedzieć. Czuję się jak prawdziwy boss, gdy tak żądam sobie gnu na kolację. Albo trochę jak doktor Seuss, który pewnie by powiedział: „Na kolację pędzę do utraty tchu. Ach, tchu! Dziś bowiem zjemy sobie pyszne gnu”>.

Jeśli miałeś chęć zapolować na gnu, trzeba było mi powiedzieć. Słuchaj, Oberonie, miej oko na Granuaile, dobrze?

<Zawsze mam>.

Gdy już pozbyłem się ubrań, włączyłem charms z naszyjnika, który splatał moją formę z puchaczem, i wyskoczyłem na próg.

Dzięki, chłopie. Wiszę ci jeszcze jeden przysmak. Choć Granuaile z pewnością będzie cię rozpieszczać pod moją nieobecność.

<Zawsze mnie rozpieszcza>.

Wyskoczyłem z przyczepy i zahuczałem do Granuaile na pożegnanie. Morrigan hałaśliwie zamachała skrzydłami i pofrunęła na południowy wschód.

Pospiesz się, Siodhachanie – powiedział jej głos w mojej głowie. Wzdrygnąłem się i poleciałem za nią. Nie lubiłem, gdy wchodziła mi do głowy, choć musiałem przyznać, że czasami było to bardzo wygodne. W przeciwieństwie do Morrigan nie potrafiłem na przykład mówić ludzkim głosem, gdy funkcjonowałem jako ptak.

<Dlaczego tak się spieszymy?> spytałem. Lecieliśmy w stronę kanionu de Chelly, gdzie znajdowało się drzewo splecione z Tír na nÓg, dzięki któremu mogliśmy się stąd przenieść gdzieś dalej.

Musisz nareperować tatuaż – odparła Morrigan.

<Ten na wierzchu ręki? Ale przecież jest zepsuty już od dobrych sześciu lat>.

Przeżyła mi go wielgachna szarańcza, dzięki Kojotowej próbie ratowania świata. Skutek był taki, że miałem teraz zaburzoną zdolność leczenia się. Kolorado (mam tu na myśli żywiolaka, nie stan) pomagał mi, kiedy było trzeba, ale zawsze wiedziałem, że w końcu Morrigan będzie musiała się zabawić w doktora. Problem polegał jednak na tym, że w przeciwieństwie do większości lekarzy Morrigan nie wyznawała zasady „po pierwsze nie szkodzić”. Pozostali członkowie Tuatha Dé Danann myśleli, że nie żyję – przynajmniej taką miałem nadzieję – więc pozostawała mi tylko Morrigan jako jedyna osoba władająca dostatecznie dobrze atramentem.

Już dość z tym zwlekałeś.

Zamarłem, skrzydeł nie wykluczając, przez co z jakąś sekundę spadałem jak kamień, nim się otrząsnąłem z szoku. Morrigan naprawdę trudno byłoby zaliczyć do osób o wzorze osobowości A, które mają zwyczaj zamartwiać się z powodu zwlekania – z czymkolwiek i u kogokolwiek.

<Co się tak naprawdę dzieje? Przewidziałaś jakieś niebezpieczeństwo? Z jakiegoś powodu muszę się natychmiast leczyć?>

Wszystko po kolei, Siodhachanie.

<Dobra. To co się tak naprawdę dzieje? Nie martwisz się przecież o to, że zwlekałem z tatuażem>.

Nie odpowiedziała. Leciała dalej, jakbym w ogóle nic nie powiedział, i dała mi dużo czasu na uświadomienie sobie, że nie odpowie już na żadne moje pytania, czy zadam je wszystkie naraz, czy po kolei. Było to jak na Morrigan bardzo dziwne zachowanie. Zwykle bardzo chętnie mówiła mi o wszystkich okropnych gównach, w jakie miałem wdepnąć. Lubowała się wręcz w przepowiadaniu mi niechybnych nieszczęść. Nie mogłem więc pojąć, skąd nagle u niej taka małomówność. Byłem bardzo zaintrygowany.

Z kanionu de Chelly przenieśliśmy się w opuszczony rejon Tír na nÓg, gdzie nie groziły nam żadne ciekawskie faerie, a stamtąd na wilgotne, otoczone cisami szare torfowisko w Irlandii. Morrigan uważała je za swoje domostwo. Zaprowadziła mnie do tumulusa, który powinienem nazwać pewnie jej „domem” albo „posiadłością”, albo może oględniej „siedzibą”, ale żadne z tych słów zupełnie jakoś nie pasowało do tego miejsca tak dobrze jak wyraz „nora”. Morrigan była zbyt dzika na mieszkanie w domu, ale za to norę miała jak się patrzy. Rzucano się w oczy, że dominującym elementem dekoracyjnym były tu kości. I czaszki. Mało który dom jest tak barokowo strojny w kości – szczególnie w takie, które jego właścicielka z pewnością podgryzała.

Wlecieliśmy prosto przez otwartą bramę w podłużny tunel oświetlony pochodniami, który poprowadził nas do dużej komnaty ze stołem i jednym krzesłem. Stał na nim dzban i wysoki puchar z rzeźbionego i polerowanego drewna. Było oczywiste, że Morrigan nie ma w zwyczaju przyjmować gości.

Bogini przemieniła się jeszcze w powietrzu, a jej stopy opadły lekko i z wdziękiem na podłogę przy stole. Próbowałem zrobić to samo, ale odkryłem poniewczasie, że ten wdzięk to się jednak osiąga przez długotrwałe ćwiczenia. Byłem widać rozpędzony o wiele bardziej, niż mi się zdawało, bo wpadłem na stół z dość dużym impetem. Spanikowałem, gdy uświadomiłem sobie, że bardzo czułe części mojego ciała mogą zaraz ulec wgnieceniu w krawędź stołu, więc skręciłem się jak najmocniej i... rąbnąłem w stół biodrem. Czy wspomniałem, że stół był kamienny? Straciłem czucie w nodze i z głośnym jękiem runąłem na ziemię u stóp Morrigan.

Wybuchnęła histerycznym śmiechem. Słyszałem już nieraz jej śmiech, ale zawsze był to śmiech geniusza zła, a nie szczerze rozbawienie.

Leżałem na prawdziwej ziemi, nie na kafelkach, marmurze czy czymś takim. Nic nie powstrzymywało tu naszego kontaktu z ziemią. Strzeliłem buraka, bo Morrigan śmiała się tak bardzo, że niemal straciła dech w piersiach. Łzy płynęły jej strumieniami z kąsików oczu. Wyglądała wręcz jak rozchichotana dziewczynka, ale oczywiście nie powiedziałem tego na głos, a nawet postarałem się pospiesznie przegnać z głowy tę myśl.

Widząc, że tak szybko się raczej nie uspokoi, postanowiłem wykorzystać tę chwilę na rozejrzenie się wokół. To odwróci moją uwagę od bólu w biodrze, nim mi przejdzie (gdybym pobrał z ziemi trochę mocy, żeby go wyciszyć, Morrigan poczułaby to i dostała z pewnością jeszcze większej głupawki).

Poza wejściem, którym wlecieliśmy do komnaty, znajdowały się tu jeszcze dwa inne. Były podobnie oświetlone i także usiane kośćmi pod ścianami. Nad głowami zwiślał nam żyrandol z kutego żelaza ze świecami. Uzmysłowiłem sobie też, że komnata jest okrągła, jakby stanowiła sam środek kopca z trzema wejściami. Odnosiłem w ogóle wrażenie, że w zbudowanie tak skromnego pomieszczenia ktoś włożył zadziwiająco dużo wysiłku. Nawet nie było paleniska, na którym mogłoby wrzeć coś podejrzanego w jakimś saganie.

– Co to za miejsce?

Morrigan nie odpowiedziała od razu. Gdy już się uspokoiła, wyjaśniła mi to w następujących słowach:

– To miejsce rytuałów. Dla śmiertelników to miejsce tajemnic i strachu. Teraz, dzięki tobie, to także miejsce śmiechu.

Postanowiłem puścić ten przytyk mimo uszu.

– Nie widzę tu żadnego cierniowego krzaka.

Tatuaże, które splatały nas z ziemią, musiały być wykonane za pomocą żywej rośliny. Podczas tatuowania nad wszystkim czuwała poprzez nasze umysły sama Gaja.

– Przestrzenie rytualne są oczywiście ukryte. Chodź.

Wstała z ziemi i otrzepała się z kurzu. Też wstałem i lekko utykając, poczłapałem za nią w korytarz na lewo. Po jakichś dziesięciu metrach przystanąła i spojrzała na kościstą ścianę na prawo.

– Drzwi łatwo zobaczyć magicznym wzrokiem. Śmiertelnicy w ogóle ich nie widzą.

Nim jednak zdążyłem przełączyć się na magiczne widzenie, dotknęła niewinnie wyglądającej gałki z kości i pchnęła ją jak przycisk. Kawał ściany przesunął się z sykiem do tyłu, a potem na lewo. Pneumatyka. Morrigan zarejestrowała zdziwienie malujące się na mojej twarzy.

– Wiem, że masz mnie za osobę staroświecką i oporną na zmiany – rzekła. – I pewnie nie bez powodu. Dalej przedkładałam miecz nad broń palną. Ale chyba jednak czegoś się od ciebie nauczyłam. Całkiem nawet wiele. Chodź.

Przeszła do wilgotnego wewnętrznego ogrodu, pełnego tlenu i zapachów kwiatowych, które aż drażniły nos. Szklany sufit przemieniał tę komnatę w oranżerię. Wzdłuż ścian pod sufitem wyryte były w ścianie sploty obfitości, płodności i harmonii. A pod nimi kolejne, które sprawiały, że sploty powyżej dotyczyły wszystkich żywych istot przebywających w pomieszczeniu. Należały one do tego rodzaju ogólnych splotów bez określonego celu, przed którymi nie bardzo mnie chroniła moja aura z zimnym żelazem. Musiałbym się zabezpieczyć konkretnie przed tym określonym splotem, jeśli nie chciałem paść jego ofiarą, ale szczerze mówiąc, nie widziałem takiej potrzeby.

Chwila. „Trzeba się nad tym zastanowić”, jak powiedział Hamlet. Harmonia z Morrigan?

I co nawet bardziej niepokojące: obfitość i płodność... z Morrigan?

Muszę jak najszybciej zmienić temat, choć znajduje się on tylko w mojej głowie. Morrigan może go przecież tam zauważyć.

– Wiesz, Morrigan, już od dłuższego czasu chciałem pogadać z tobą o tym, jak odniosłem tę ranę – powiedziałem, wskazując na moje blizny na prawej ręce. – Byłaś przecież wtedy tuż obok. Mogłaś pojawić się wcześniej i temu zapobiec. A jednak tego nie zrobiłaś. Mogłem umrzeć, a ty zламаłaś wtedy

swoje słowo.

Morrigan prychnęła przez nos, zupełnie bagatelizując mój zarzut, a jeden z kącików jej ust uniósł się lekko.

– Po co w ogóle zawracać sobie głowę tym, co mogło się wydarzyć. Ze mną mów o tym, co się rzeczywiście wydarzyło.

– Cierpiałem zupełnie niepotrzebnie.

Na słowo „cierpienie” Morrigan przymknęła oczy z wyraźną przyjemnością i wydała z siebie łakome odgłosy.

– Czy potrzebnie, czy nie, to kwestia dyskusyjna. Ale przeżyłeś. Nie zламаłam więc słowa.

– Ale było naprawdę blisko, Morrigan. Tamten skórokształtny już mi rozdarł gardło...

– Przecież się zagoiło – weszła mi w słowo. – Nie zламаłam danej ci przysięgi. Nigdy przecież nie obiecywałam, że twoje życie będzie wolne od bólu i cierpienia. Choćby dlatego, że to by przecież źle wpłynęło na moje życie erotyczne.

Drgnąłem i odruchowo zrobiłem krok w tył. Morrigan zauważyła to i roześmiała się.

– A skoro już o tym mowa, to jak wygląda twoje? Masz w ogóle jakieś życie erotyczne?

– Tak, oczywiście – odparłem, starając się bardzo, żeby wypadło to rzeczowo, a nie żałośnie. Ale sztuka ta okazała się trudniejsza, niż przypuszczałem.

Nawet nie ukrywała niedowierzania.

– W tak małym miasteczku udaje ci się mieć kochankę?

– Nie. W weekendy jeździmy do Farmington albo Durango, czasami do Gallup czy Flagstaff. Obydwoje mamy tam rozmaitych partnerów, którzy są chętni do... spędzania z nami czasu.

– Twój talent do eufemizmów jest imponujący. Chyba nawet coś słyszałam o takim współczesnym modelu związku. To się nazywa *boogie call*.

– *Boogie?* A, blisko byłaś. Masz na myśli *booty calls*.

– To przecież powiedziałam. *Booty calls*.

– Powiedziałaś „boogie”... – Oczy Morrigan błysnęły na bardzo, bardzo krótko, ale to wystarczyło, żebym się zreflektował i odchrząknął. – Przepraszam. Coś się przesłyszałem. Rzeczywiście.

– Zatem twoja uczennica też ma te *booty calls*?

Wzruszyłem ramionami.

– Z tego, co wiem, to tak. To nie moja sprawa. Miała chłopaka na stałe, właściwie to chyba pięciu. Któryś jej się nawet oświadczył, ale go odrzuciła.

– I nie jesteś zazdrosny?

– Nie mam prawa być zazdrosny, bo postawiłem sprawę jasno. Nie może nas łączyć nic poza relacją mistrz–uczenica.

– Nie pytam cię o żadne zagadnienia prawne. Pytam o twoje uczucia. Jesteś zazdrosny o jej romanse?

Zawahałem się. Gdybym się upierał, że jest mi to zupełnie obojętne, skłamałbym. I był taki okres w naszych stosunkach, kiedy Granuaile może nieco nadgorliwie zwierzała mi się ze swoich wszystkich podbojów. Po tym, jak poznała swojego chłopaka w Durango, oświadczyła mi, że „był tak gorący, że mało mi przez niego jajniki nie eksplodowały”. Ale tak właśnie powinno być. Nie było żadnego powodu, dla którego Granuaile miałyby się zadowalać czymś innym niż najseksowniejszym facetem w okolicy. Tak jak nie powinna się zadowalać niczym poza radością życia. Miałem nadzieję, że znajdzie kogoś, kto jej to zapewni, skoro ja nie mogłem. Jeśli zaś o mnie chodzi, to jakoś tak ostatnio mi się wszystkiego odechciało i mimo że nie skłamałem Morrigan, to w duchu musiałem przyznać, że dawno już nie wykonałem żadnego *booty callu*. W okolicy było naprawdę mnóstwo pięknych, uroczych, inteligentnych kobiet – szczególnie w miastach uniwersyteckich – ale przy Granuaile wszystkie one wypadały jakoś blado. Coraz bardziej skłaniałem się więc do życia bez żadnej, zamiast zadowalać się jakimiś namiastkami. To nie celibat, mówiłem sobie. To tylko wysokie standardy.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Jest moją uczennicą, ale poza tym nie jest moja w żadnym innym sensie. Może troszeczkę zazdrościć jej partnerom, ale nic poza tym. Cieszę się jej szczęściem.

– Szczęściem?! – prychnęła drwiąco Morrigan. – Żadne z was nie jest szczęśliwe. Wasze aury wprost wyją od stłumienia.

– To nie szkodzi – bąknąłem.

– Owszem, szkodzi. Tłumienie popędów seksualnych to dla Celta zachowanie niedopuszczalne.

Wzruszyłem ramionami.

– Lepsze już to niż męczenie się potem z sumieniofretkami.

– Co to są sumieniofretki?

– Takie dranie, co wbijają ci się w kark i łaskoczą, gryzą i ogólnie zamieniają życie w koszmar, co jest naprawdę niezłym osiągnięciem jak na zwykłą metaforę.

Poza tym sumieniofretki miały to do siebie, że były zupełnie odporne na logikę, co stanowiło pewnie ich najbardziej diabelską moc. Nie było żadnego powodu, dla którego miałbym czuć wyrzuty sumienia z powodu jakichkolwiek związków z innymi kobietami, bo przecież nie byliśmy z Granuaile razem, nie przysięgaliśmy sobie monogamii ani nic z tych rzeczy, a tymczasem i tak za każdym razem obskakiwały mnie sumieniofretki.

– Nie lubię wyrzutów sumienia – rzekła na to Morrigan. – To pomieszanie żalu, samooskarżania się i rozpaczania nad tym, czego już się nie da zmienić. To jak jedzenie popiołu na śniadanie. To bicz kleru, który ma utrzymać w ryzach świeckich; zapędzić owce do realizowania kodeksu moralnego, jaki się akurat spodobał ich pasterzowi. To katalizator samobójstwa i mnóstwa innych samolubnych aktów głupoty. Nie znam chyba bardziej niszczącego uczucia.

– Też za nimi nie przepadam – przyznałem.

– Po co więc zaprzątasz sobie nimi głowę? – spytała Morrigan.

– Bo niezdolność do odczuwania wyrzutów sumienia świadczy o tendencjach socjopatycznych.

Morrigan wydała z siebie pomruk, a jej dłonie uniosły się do jej sutków.

– Och, Siodhachanie, sugerujesz, że jestem socjopatką? Ty to potrafisz prawić słodkie komplementy.

Cofnąłem się o krok i uniosłem dłonie w obronnym geście.

– Nie. Nie chciałem ci prawić komplementu ani flirtować, ani nic.

– W czym problem, Siodhachanie?

– W niczym. Po prostu nie jestem słodki.

Morrigan spuściła wzrok.

– Dobrze. Tak czy siak, wygląda na to, że jesteś sztywny ze strachu.

Też spojrziałem w dół i stwierdziłem, że te cholerne sploty obfitości i płodności bynajmniej nie traciły czasu.

– Zignoruj tego faceta – powiedziałem, machając ręką na swoje doły. – Zawsze się wtrąca w nie swoje sprawy i podnosi łeb, gdy go nikt nie chce.

– A jeśli ja go chcę?

Uśmiezek na twarzy Morrigan był niemal zalotny. Uczłowieczał ją i na chwilę zapomniałem zupełnie, że jest krwiożerczą zwiastunką śmierci, a uświadomiłem sobie, jak niesamowicie jest atrakcyjna. Przypominała trochę ilustracje Patricka Nagela, tylko że była oczywiście trójwymiarowa i o wiele seksowniejsza. Nie przychodziła mi jakoś do głowy żadna rozsądna odpowiedź, być może dlatego, że większość krwi, która miała podtrzymywać funkcje mojego mózgu, odpłynęła w inne rejony.

– Yyy... tego... Udawajmy, że powiedziałem coś inteligentnego. I nnn...

– Ale nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa „nie”. Chciałem, ale było to fizyczną niemożliwością. Próbowałem. – Nnn...

Morrigan roześmiała się i zbliżyła do mnie. Wzięła mnie za rękę. Zamarłem w oczekiwaniu na ból. Zachichotała jeszcze raz i pochyliła się, żeby szepnąć mi do ucha:

– Uspokój się, Siodhachanie. Nie masz się czego obawiać. Widziałeś sploty harmonii. Na mnie też działają. Ale jaka by to była harmonia, jeśli będziesz cały czas taki przerażony? Więc zrobimy to po twojemu. Ten jeden raz.

Harmonia – jak odkryłem – może być naprawdę przerażająca. To ona powstrzymywała mnie od powiedzenia nie. W obecności tych splotów nie można było otwarcie się z kimś nie zgodzić. W połączeniu ze splotami płodności i obfitości magia nakazywała mi dokładnie to, czego chciała Morrigan. To ja zaburzałem harmonię, więc na na mnie skupiała się siła splotów. Przyszło mi do głowy, że powinienem po prostu wyjść z tego pomieszczenia, i udało mi się zrobić krok w kierunku wyjścia, póki moje nogi nie odmówiły przesuwania się w tę stronę.

– Czy musimy to robić? – spytałem w akcie desperacji.

– Ty tego potrzebujesz. I ja też. Ale potrafię być bardzo miła, gdy zechcę.

Jej słowa pieściły moje ucho miękkim, ciepłym oddechem. Pogłaskała mnie delikatnie, żeby udowodnić mi prawdziwość swoich słów. Moje oczy same się zamknęły, ale otworzyłem je raptownie, gdy zrozumiałem, co się dzieje.

– Ale...

– Cii.

– Czy my się gdzieś nie spieszyliśmy?

– Dobrze będzie, jak poprzesuujemy kilka rzeczy w naszych najbliższych planach.

Pocałowała mnie, uciszając moje protesty, i rzeczywiście była bardzo miła. Ale fizyczna przyjemność nie przyniosła emocjonalnego spełnienia. Za to opadło mnie całe zoo sumieniofretek.

Druidzkie tatuaże nie należą do tych, które robi się w salonie u nadmiernie obwieszanej kolczykami osoby. Igła musi być żywa – innymi słowy: musi to być kolec żyjącej rośliny – a podczas tatuowania musi być obecna Gaja. To ona decyduje, gdzie idzie atrament, i to ona tworzy sploty, które pozwalają nam docierać do jej magii. Gdy kontaktowałem się z Gają sam, zajmowało mi to około tygodnia, ale z Morrigan osiągnęliśmy transopodobny stan fugi i złączyliśmy nasze umysły w ciągu zaledwie pięciu dni. Poprawienie tatuażu na wierzchu mojej dłoni zajęło nam kolejne dwa, a w tym czasie mieliśmy okazję

porozmawiać między innymi o postępach Morrigan w jej pracy nad amuletem z zimnego żelaza. Człowiek chwyta się, czego może, żeby odwrócić myśli od tego, że go się ciągle kłuje czymś ostrym. Gaja nie pozwala wyłączyć w tym czasie bólu. Dary i talenty otrzymane bez bólu zbyt często bywają niedoceniane.

– Minęło już więc sześć lat – powiedziałem. – Jesteś pewnie gotowa, żeby spleść amulet z aurą?

Miałem wrażenie, że oczy Morrigan jakby nieco poczerwieniały i nie odpowiedziała od razu, więc postanowiłem nie pytać więcej i przemilczeć sprawę. Ku mojemu zdziwieniu sama wróciła do tematu po kilku minutach właśnie, gdy miałem poruszyć temat szydełkowanych przytulaneek w kształcie superbohaterów i ich niezwyklej urokliwości.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę gotowa, Siodhachanie – powiedziała. – Sęk w tym, że trzeba do tego wzbudzić sympatię u żywiołaka. Nie jestem najlepsza we wzbudzaniu sympatii. Jeśli już coś budzę, to raczej strach. Ale żywiołaków nie da się zastraszyć, żeby mi splotły zimne żelazo z aurą. A ja potrafię je tylko odstraszać.

– Ale przecież z jednym ci już całkiem nieźle szło. Mówiłaś, że karmisz go mnóstwem faerii i że chyba cię polubił.

– Tak. Tylko że zaraz potem straciłam do niego cierpliwość i uciekł. I to samo się stało z dwoma następnymi. Jak się nazywa ta amerykańska gra, którą tak lubisz? Ta, w której gracz ma trzy szanse?

– A. Może masz na myśli baseball.

– Tak. Baseball. Zaliczyłam *strike out*, Siodhachanie... tak się mówi?

– Tak.

– Obserwowałam kilka z tych gier we wroniej postaci, bo tak cię fascynują.

– Naprawdę? Kogo widziałaś?

– Nie pamiętam. Trudno mi się było skupić, ale wydaje mi się, że jedna z drużyn była zadziwiająco dumna z koloru swoich skarpetek.

– A, tak! Boston czy Chicago?

– Boston. Chyba tak. Iluż tam jest wspaniałych młodych Irlandczyków. Przysiadłam na wierzchołku wielkiej zielonej ściany i rozumiem już, co cię pociąga w tej grze. Gracze cierpią wielce, a jednak zachowują stoicką minę.

– Podobało ci się ich cierpienie? Szczerze, to nie dlatego akurat podoba mi się ta gra.

– Jak może ci się nie podobać ich wewnętrzna walka? Bez względu na to, czy zrobią ten cały *strike out*, czy oddadzą punkt przeciwnej drużynie, czy popełnią jakieś inne drobne błędy, zawsze przepełnieni są wątpliwościami, obwiniają się za wszystko i nieustannie się boją, że ich kariera zaraz się skończy, że stracili talent czy umiejętność, która pozwoliła im na zawodowe granie, i drżą na myśl o tym, że publicznie się skompromitują. To wspaniały dramat. Nic dziwnego, że ludzie płacą, żeby to oglądać, i jeszcze wmuszają w siebie to źle uwarzone piwo, opychając się niskiej jakości mięsem w tubkach polanym keczupem i musztardą. Jakże tam się to nazywa?

– Hot dogi.

– Dlaczego? Zawierają psie mięso?

– Mam wielką nadzieję, że nie. To taki idiom.

– Amerykanie to dziwny lud.

– Słuszna uwaga.

– Ale ta rozpacz, Siodhachanie! Jakże jest soczysta. Robią ten *strike out* i wracają na ławkę... zapomniałam jej nazwy...?

– Ławka rezerwowych. *Dugout*.

– Właśnie, *dugout*. Siedzą na tej ławce, przeklinają swój los i głośno oskarżają przeciwną drużynę o utrzymywanie stosunków edypowych z ich matkami.

– Że co? A, przepraszam, nie załapałem tak od razu. Na szczęście, Morigan, motherfucking nie jest w Ameryce aż tak rozpowszechnionym problemem, jak to przedstawiają gracze baseballu.

– To mi ulżyło. W każdym razie potem żują gumę albo nasiona słonecznika, albo puszczają nowotworowe porcje tytoniu i usiłują zapomnieć o

porażce, mimo że ich to bezlitośnie męczy. Opowiadają sobie sprośne dowcipy albo spekulują na temat orientacji seksualnej sędziów. A wszystko po to, by podnieść się na duchu na tyle, by przy następnej okazji mieć w ogóle jakąkolwiek szansę na sukces. Prawdziwe piękno tej gry kryje się w dugoucie, Siodhachanie. – Urwała i przełknęła, nim dokończyła znacznie ciszej. – I ja właśnie w nim siedzę, jeśli chodzi o splatanie amuletu. Nie udało mi się i muszę sobie teraz jakoś wmówić, że następnym razem jednak mi się uda.

– To nie ulega żadnej wątpliwości, Morrigan. Na pewno ci się uda.

– Obawiam się, że nie widzisz mojego problemu. Dla ludzi oznaczam tylko seks albo gwałtowną śmierć. Albo obie rzeczy naraz. Z rzadka jestem też uzdrowicielką ran. Ale nie jestem niczyją przyjaciółką.

– Ale, Morrigan...

– Cii, Siodhachanie. Nic, co powiesz, nie może przecież zmienić faktów. Jesteś dla mnie miłszy niż ktokolwiek, kogo spotkałam w swoim długim życiu, ale nawet ty się mnie boisz. Jesteś wspaniałym kochankiem, ale biorę sobie ciebie tak, jak każdego innego. Wiem, że nie otrzymuję przyjaźni, bo jej nie daję. Taka jest prawda i muszę stawić jej czoło w swoim dugoucie.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Być może to ta pojedyncza łza, która spłynęła po jej policzku, zupełnie odebrała mi mowę. Być może nie da się nic powiedzieć, gdy ktoś powie samą prawdę. Morrigan pociągnęła nosem i otarła łzę z policzka.

– Nie zdradziłabym się z tymi uczuciami, gdybyśmy nie byli spleceni z Gają w komnacie harmonii. Widzisz? Bez pomocy magii nie mogę obdarzyć nikogo zaufaniem ani w ogóle czymkolwiek. Potrafię tylko brać.

– Jeśli chodzi o branie, to powinnaś zabierać mnie czasem na mecze. Ja będę podziwiał grację pod presją, a ty rozpacz na ławce rezerwowych. Będziemy się obydwójce świetnie bawili. Będziemy sobie pogryzać cracker jacka i może kupimy ci jakąś fajną bluzę. Co ty na to?

– Chcesz tak po prostu... spędzić ze mną czas?

– Jasne. To właśnie robią przyjaciele. Co o tym myślisz?

Morrigan uśmiechnęła się, a oczy jej rozbłysły.

– To prawdziwy dar. Będę ci bardzo wdzięczna.

– Jedziemy teraz do Norwegii – obwieściła Morrigan, gdy tylko opuściliśmy komnatę harmonii, obfitości i płodności i znów znaleźliśmy się w korytarzu pełnym piszczeli.

Jej ton natychmiast wrócił do zwykłego: chłodnej, rzeczowej chrypki, którą znałem aż za dobrze.

Czas znowu mieć się na baczności.

– Po co?

– Żeby zjeść wysmienity posiłek. I spotkać się z pewnymi bogami, którzy zwrócili się do mnie z uprzejmą prośbą o możliwość zamienienia z tobą kilku słów.

– Z którymi bogami?

– Sami chcą ci się przedstawić.

– Ale to nie są bogowie nordyccy, co?

– Są.

– Nie mogę się z nimi spotkać!

– Musisz. Dałam im słowo.

– To nie mój problem.

Jej oczy wbiły się w moje i błysnęły czerwienią.

– Doprawdy? Chyba jednak jest to także twój problem, Siodhachanie.

Po naszej serdecznej rozmowie w komnacie harmonii ten powrót do starej, nieprzejednanej wersji był nieco przygnębiający.

– A nie moglibyśmy wrócić do komnaty harmonii i tam tego przedyskutować?

– Nie.

– Morrigan, ale ja miałem być martwy, pamiętasz? Przecież jeśli bogowie nordyccy dowiedzą się, że żyję, od nowa będą mnie chcieli zabić.

– Niektórzy i tak już przejrzeni twoją szaradę.

- Skoro niektórzy, to znaczy, że wszyscy.
- Bynajmniej. Chodź. Będziesz bezpieczny.

To zapewnienie, które miało mnie chyba uspokoić, zupełnie mnie nie pocieszyło. Nie dało się zapomnieć, że Morriganowa definicja bezpieczeństwa drastycznie różni się od mojej. Zakładała nieznośny ból i poważne obrażenia o krok od śmierci. Moja – piwo i wygodny fotel. A to, że uznała za niezbędne przed tą wycieczką odtworzyć moje zdolności leczenia się, oznaczać mogło tylko jedno: wiedziała, że będzie niebezpiecznie.

Ręka w rękę posłużyliśmy się jednym z cisów rosnących na jej torfowisku, żeby się przenieść z Irlandii do Tír na nÓg, a stamtąd do zimozielonego lasu na północ od Oslo. Przybraliśmy nasze ptasie postacie i poleciliśmy do miasta, gdzie w końcu sfrunęliśmy w jakiś wąski zaułek. Morrigan przemieniła się z powrotem w człowieka, w chwili gdy ostatnie promienie słońca zniknęły na zachodzie i pozostawiły nas w ciemności. Też się przemieniłem i poczułem się nieznośnie nagi bez miecza na ramieniu na terytorium wroga. Nie było na szczęście żadnych świadków naszej metamorfozy ani naszej nagości w miejscu publicznym. Morrigan rozplotła zamknięte na klucz drzwi i weszliśmy na tyły jakiegoś warsztatu krawieckiego.

- Padraig! – zawołała. – Jesteśmy.

Rzuciłem jej pytające spojrzenie. Nie było to norweskie imię.

- Jest wielu ludzi poza granicami Irlandii, którzy mnie czczą, Siodhachanie – powiedziała. – Nie rób takiej zdziwionej miny.

- Oczywiście.

Zza czarnej zasłony wyskoczył niski jegomość o rumianej twarzy. Wytrzeszczył oczy na nasz widok i zaczął się kłaniać Morrigan, ale go powstrzymała.

- Nie mamy na to czasu – warknęła. – Po prostu daj nam ubrania.
- Już! – krzyknął z twarzą lśniąca radością i zniknął za kurtyną, za którą znajdował się pewnie warsztat.
- Jak miło – powiedziałem. – Masz fanboya.

– Sługę.

– Niuanse terminologiczne. Ale dlaczego nie odziejesz się po prostu w ciemność, jak to robiłaś przy mnie już tak wiele razy?

– Mamy się stawić bez żadnych splotów i zabezpieczeń. Mamy zakaz posługiwania się magią.

– Co takiego? To jakieś szaleństwo! Najpierw żadnych mieczy, teraz żadnej magii?

– Ich obowiązują te same zakazy. Postaraj się więc tego przestrzegać.

– Wybacz, że zwrócę ci uwagę, ale ci nordyccy bogowie, którzykolwiek to są, mogą nie czuć się tak zobowiązani do przestrzegania ustalonych zasad jak ty.

– To oficjalne zebranie bogów. Nie považą się złamać żadnych reguł. Ja także nie.

Padraig wrócił, nim zdołałem wyartykułować więcej zastrzeżeń. W lewej ręce trzymał czarną suknię wieczorową z jedwabiu i koronki, a w prawej smoking, który cisnął w moją stronę. Suknię zaprezentował Morrigan oczywiście w znacznie wytworniejszy sposób. Jego oczy spijały jej ciało i dyszał coraz ciężiej. Morrigan nie mogła tego nie zauważyć, ale w żaden sposób tego nie skomentowała.

Jako że byłem zupełnie pewny, że Morrigan nie ma przy sobie żadnej gotówki, naprawdę nie chciałem zobaczyć, jak zamierza zapłacić Padraigowi za te dość drogie ubrania. Zacząłem się pospiesznie ubierać, licząc na to, że uda mi się zmyć, zanim będę musiał być świadkiem jakiejś tragedii.

Niestety o wiele łatwiej było wdziać suknię niż smoking. Włożyła ją przez głowę, poprawiła tu i tam, zaciągnęła zamek i już była gotowa. Suknia była olśniewająca – czarny jedwab w niektórych miejscach był matowy, a w innych lśniący. Koronkowy wzór piał się i wił po jedwabiu, podkreślając jej sylwetkę i ukazując nieco jej porcelanowej skóry. Koronka wiła się między piersiami, poczynając od lewej, a potem pod nimi, owijała się w jej talii, po czym znów się pojawiała na prawym biodrze, skąd opadała serpentyną na przedzie uda.

Sukienka kończyła się tuż nad kolanem.

– Nie zapomniałeś chyba o butach, Padraigu? – spytała Morrigan.

Na twarzy Padraiga widać było panikę, gdy uświadomił sobie, że mógł popełnić tak niewybaczalny błąd.

– Nie! Nie! – jęknął, unosząc błagalnie dłonie. – Po prostu nie zdołałem ich tu przynieść razem z suknią i smokingiem. Już po nie biegnę.

I popędził za kurtynę.

Uniosłem pytająco brew.

– A ja też dostanę buty?

– Być może o tym zapomniał – odparła. – Jak go za to ukarzymy?

– Może nie karzmy, ale udawajmy, że ukaraliśmy – zaproponowałem. – Zostawmy biednego człowieka w spokoju.

– To by było nieludzkie, Siodhachanie – oburzyła się. – Tak się żarliwie modlił o moją przychylność. Wie dobrze, że musi za nią zapłacić.

– A jeśli nie ma jak zapłacić?

– Och, oni zawsze mają jak zapłacić. Czy to nie szekspirowski Szajlok tak się palił do wykrajania funta ciała? Lubię go. Też jestem gotowa wykroić funt. Albo dwa. Nigdy jakoś nie mam pod ręką wagi, gdy nadchodzi czas wziąć, co mi się należy.

Padraig wrócił z parą czarnych butów dla mnie i sandałami dla Morrigan – z tych, co mają mnóstwo pasków wijących się wokół łydek. Odsunąłem sobie krzesło, które stało przy biurku zasypianym stosem rachunków, usiadłem i zacząłem wciskać stopy w buty. Naprawdę bym wolał zostać boso, bo wszystko, co włożę na stopy, będzie mnie odcinało od ziemi, ale wyglądało na to, że Morrigan uparła się tak to wszystko zaplanować, żebym miał przekichane podczas spotkania z tym tajemniczym kimś. Mój niedźwiedzi charms był jednak prawie pełny, ponieważ podładowałem go jeszcze w lesie, nim odlecieliśmy, a wykorzystałem z niego tylko odrobinę, żeby przybrać z powrotem ludzką postać, gdy już dotarliśmy do miasta. Trochę mi było lepiej na myśl o tym, że jednak mam jakąś tajną broń, mimo że Morrigan upierała

się, że nie będzie nam ona potrzebna. Była zbyt ufna – bardzo dziwne zachowanie jak na nią.

Zupełnie nie rozumiałem, co się z nią dzieje. Najpierw mało się nie popłakała ze wzruszenia, gdy jej zaproponowałem, żebyśmy skoczyli kiedyś razem na mecz, a teraz gada o wycinaniu funtów ciała człowiekowi, który się do niej modli. Tak jakby przez to, że przez chwilę zachowywała się miło i normalnie, musiała teraz nadrabiać i starać się zachowywać ekstradziko. Naprawdę się bałem o tego Padraiga. Chciałem mu powiedzieć, żeby uciekał, póki mu życie miłe, bo przecież to jest Morrigan, przez którą Irlandczykom snią się koszmary po nocach. Paski sandałów owinęły się wokół jej łydek, a ona sama zwróciła się do krawca tonem iście jedwabistym (gdyby był to jedwab czule otulający ostrze noża):

– Wszystko jest chyba w porządku, Padraigu. Dobrze się spisałeś. Jesteś gotowy na zapłatę?

– O, tak! Jestem gotowy, bardzo gotowy – zapewnił ją gorliwie.

Kąciki ust Morrigan drgnęły, jakby była tym szczerze ubawiona.

– Zdejmij koszulę, Padraigu – wyszeptała bogini.

Poczułem, że robi mi się nagle gorąco, gdy włączyła swoje moce uwodzicielki. Zawsze uważałem, że są jeszcze potężniejsze niż te, którymi władają sukuby, ale w swojej komnacie nie musiała posługiwać się wobec mnie żadnymi, bo tam tę funkcję spełniały sploty płodności. Do pewnego stopnia chronił mnie przed jej zwykłymi mocami mój amulet, a tym razem to nawet przecież nie były one wymierzone w moją stronę, ale biedny Padraig nie miał żadnych szans. Dosłownie sapał, gdy rozrywał sobie koszulę i odrzucał na bok jej strzępy.

– Tak, Morrigan! – krzyczał. – Och, bogini!

Przód jego spodni poruszył się i napiął, jakby chciało się stamtąd wydostać jedno z obcych dzieci Ridleya Scotta. Morrigan położyła mu dłoń na piersi, tuż pod prawym obojczykiem, a on zadrżał od jej dotyku. Nagle jej paznokcie wydłużyły się i szerniały niczym szpony i wbiła się nimi mocno w jego pierś,

po czym zaczęła ciągnąć je powoli na lewo w dół, przez całą jego klatkę piersiową. Padraig zawył i obydwie dłonie zacisnął na nadgarstku Morrigan – nie, żeby ją odepchnąć, ale żeby przycisnąć do siebie. Krew zaczęła się zbierać pod jej paznokciami i ciec strumieniami po jego żebrach i brzuchu. Padraig jęczał i zawodził, a jego biodra zaczęły poruszać się niekontrolowanie, gdy ona dalej rozrywała mu pierś.

Miałem tylko nadzieję, że tam, za zasłoną, nie czekali klienci. Zakłady krawieckie nie drżą zwykle od ryku bólu i ekstazy.

Padraig zawył, gdy paznokcie Morrigan wyrwały mu lewy sutek. Wypuściła go ze szponów, a on puścił jej nadgarstek i opadł na ziemię, drżąc i miotając się.

– Możemy już iść – powiedziała, przechodząc nad podrygującym ciałem krawca, i zniknęła za czarną zasłoną.

Zostałem sam na sam z facetem, który właśnie miał na podłodze krwawy, szaleńczy orgazm.

Odruchowo chciałem się pochylić i uleczyć mu rany, ale bałem się, że Morrigan mogłoby się to co najmniej nie spodobać. Nie wiedziałem zupełnie, jak się zachować.

– Yyy... Dzięki! To miłego dnia! – wybąkałem w końcu i poszedłem za boginią.

Za zasłoną, jak się okazało, było na szczęście pusto. Morrigan już szła w kierunku drzwi.

– Nie pomożesz mi? – spytałem, przekrzykując wycie Padraiga.

Przystanęła i spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Przecież właśnie mi pomogłam, Siodhachanie.

– Traci mnóstwo krwi i po wydawanych przez niego dźwiękach wnioskowałbym, że cierpi.

– Tak, ale to również okrzyki rozkoszy. Będzie żył. A poza tym sam się o to prosił.

– Prosił, żeby go okaleczyć i... cokolwiek mu tam zrobiłaś?

– Będzie miał wytrysk jeszcze pięć kolejnych minut, a potem straci przytomność.

Zbladłem.

– To jest w ogóle możliwe?

– Tak. Kiedy się obudzi, doświadczy najintensywniejszego okresu twórczego w swoim życiu. Jego projekty sprawią, że będzie jednym z najbardziej rozchwytywanych krawców w całej Europie.

– O. I to o to cię prosił?

– Tak. Nie jestem boginią rzemiosła taką jak Brighid, ale robię, co mogę.

– Ale nie prosił o amputację sutka i blizny do końca życia, co?

– Ludzie, którzy zabiegają o moje względy, dobrze wiedzą, jaką jestem boginią – odparła. – Wciąż nie brakuje na świecie osób gotowych na faustowskie pakt. Zwykle koncentrują się one na wynikach raczej niż na kosztach ich osiągnięcia.

Odwróciła się, dając mi jasno do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Westchnąłem z rezygnacją. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Padraig uzna, że było warto.

Wyszliśmy z zakładu, pozostawiając za sobą uniesienie pokaleczonego krawca, i zawołaliśmy taksówkę. Morrigan nakazała kierowcy podwieźć nas na róg Kirkegata i Rådhusgata.

Znajduje się tam siedemnastowieczny budynek, w którym mieści się obecnie jedna z najwyśmienitszych restauracji. Jest to jedno z tych miejsc, w których musisz się przebrać, żeby w ogóle cię wpuścili, i nawet wykałaczką są eleganckie. Kolacje składają się z czterech lub nawet sześciu dań, a profesjonalny kelner to nic – masz tu jeszcze przy swoim boku równie kompetentnego sommeliera.

Ktoś kiedyś wpadł na pomysł, żeby przemaalować gmach na dość beczelny fiołkowy – i to taki wałący po oczach. Budynek miał dwa wysokie piętra i całkiem sporo okien w białych ramach, które bogom dzięki zmniejszyły ilość fioletu w tym Wielkim Murze Fioletu. Nad szarym gzymsem rozciągał się

czarny dach gontowy, który miał własną architekturę, bo też mieściło się tam pewnie nie jedno poddasze, ale dwa albo nawet trzy, a każde zaopatrzone we własne okna. Moją uwagę przykuł ruch na samym szczycie dachu. Na okapie siedziały dwa wielgachne kruki. Spoglądały wprost na mnie, ponuro i poważnie. Każdy z nich miał jedno oko lśniące na biał.

– Chyba przedawkowaliśmy na dziś Poego, co? – mruknąłem.

Morrigan zarechotała krótko na widok ptaków.

– Poego w to nie mieszaj. Rusz głową, Siodhachanie.

Niby wiedziałem, że mamy się spotkać z kimś z nordyckiego panteonu, ale...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że on tu jest...

– Rusz głową – warknęła i trzepnęła mnie po głbie. – Nie jęzorem.

– Ale jak on...

I znów zaboląo.

– Racja. Przepraszam.

Morrigan głęboko odetchnęła i przymknęła oczy. Zaciśnięte pięści trzymała tuż przy boku. Po raz pierwszy zauważyłem u niej jakiegokolwiek objawy zdenerwowania tym spotkaniem.

– Jak wyglądam? – spytała, po raz kolejny mnie zaskakując. Jak to możliwe, że można być tak bezwzględny i zarazem niepewny siebie?

– Przerażająco. Zabójczo. Odrobinę ponętnie.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Chodźmy. I pamiętaj, żadnej magii.

W środku powitał nas z szerokim uśmiechem *maître d'hotel* – nienagannie wyszorowany i wystrzyżony mężczyzna w czarnej liberii. Zaprosił nas do stolika pod oknem w Cleopatra Salen, gdzie czekała już na nas ta sama bogini, od której wzięło się angielskie słowo na piątek. Wstała, żeby nas powitać.

Frigg lśniła blaskiem podobnym do tego wytwarzanego przez witraże. Jej uroda była niezwykle barwna i błoga, a jednak jakaś taka płaska i zwiewna, że z miejsca budziła podejrzenie, iż głębia być może nie należy do jej nielicznych

grzechów. Pytanie brzmiało, czy ta głębia jest celowo ukryta, czy nie ma czego ukrywać.

Zachowywała się serdecznie, ale nieco sztucznie, jak chłopiec, któremu matka kazała być miłym dla cioci Ethel, „bo inaczej...”, ale ciocia Ethel należy do tych z włochatymi wąsami, więc bardzo trudno jest się powstrzymać od panicznej ucieczki, gdy się pojawia i koniecznie chce buziaka. Uprzejma mina Frigg i wręcz jakby uśmiech na ustach nie znajdowały żadnego potwierdzenia w jej oczach, chłodnych i nieprzyjaznych. Miała na sobie dopasowaną sukienkę do kolan w królewskim odcieniu błękitu i przepasaną szeroką czarną szarfą tuż pd żebrami. Jej szyję otaczała jakaś błyskotka, w której było tyle diamentów, że akurat by starczyło, by przez rok utrzymywać kilka rodzin i stajnię pełną koni. Już miałem zobaczyć, jak to wygląda w magicznym wymiarze, gdy Morrigan chwyciła mnie za szczękę i szarpnęła nią w swoją stronę.

– Pamiętasz, co powiedziałam o magii? – warknęła po staroirlandzku, żeby Frigg nie zrozumiała.

– Żadnej nie używać – wystękałem z trudem, bo nie poluzowała swojego żelaznego uścisku.

– Otóż to. Żadnej magii. A ty właśnie chciałeś mi tu rzucić magiczny wzrok, tak? Spójrz mi w oczy. Są brązowe, a nie czerwone. Bo nie używam magii. Ale wyobraź sobie, że są czerwone, Siodhachanie. Nie spuszczam z ciebie oka.

– Kumam.

Puściła i wtedy to ja poczułem się jak mały chłopiec. Tylko że nie udało mi się powitać cioci Ethel tak, jak powinienem był, więc natarto mi uszu. Spłonilem się i wymamrotałem szybkie przeprosiny po staronordycku, żeby Frigg wybaczyła mi moje maniery.

– Mów mi Atticus, proszę – dodałem.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedziała i wskazała nam dłonią krzesła naprzeciwko. – Siadajcie, proszę.

Odsunąłem Morrigan krzesło, a gdy już usiadła, zająłem miejsce najbliżej okna. Nim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, pojawił się sommelier, żeby powitać nas w Statholdergaarden i omówić nasze winne preferencje. Frigg zamówiła butelkę australijskiego shirazu, czym mnie nieco zaskoczyła. Musiało to być po mnie widać, bo zaraz się wytłumaczyła z tego wyboru.

– Każdemu się może znudzić miód z cycków magicznej kozy. Nie żebym narzekała na jakość tego trunku. Niechby mi ktoś pokazał lepszy napój wypływający z wymion jakiegokolwiek kozy. Ale trzeba dbać o urozmaicenie od czasu do czasu. Serwowane tu potrawy i napoje będą stanowiły miłą odmianę.

Jakoś zupełnie nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Nie tylko w życiu nie piłem co wieczór tego samego przez całe wieki, ale i zupełnie nie miałem wprawy w prowadzeniu niezobowiązującej pogawędki o kozich cyckach. To, że opadła mi szczęka, uświadomiłem sobie dopiero, gdy Morrigan wyciągnęła rękę i mi ją zamknęła. Zęby huknęły mi niepokojąco głośno, a Frigg spłonęła się po uszy, zrozumiawszy, że poruszyła dość nietypowy temat rozmowy. Morrigan była na dobrej drodze, by kompletnie wszystkich zawstydzić.

Nie wiedząc, co powiedzieć, milczałem i czekałem. Naprawdę nie przychodził mi do głowy żaden bezpieczny temat. Nie mogliśmy nawet porozmawiać o pogodzie, bo to by mogło zostać odczytane jako aluzja do Thora. Naprawdę nie chciałem już wywoływać więcej zażenowania – ani swojego, ani niczyjego innego, a już tym bardziej nie chciałem znów ściągać na siebie gniewu Morrigan za jakieś nietaktowne zachowanie – na przykład gdybym zapytał, kto ma zasiąść na pustym krześle stojącym przy Frigg. Nakrycia były cztery i Frigg poprosiła sommeliera o cztery kieliszki, ale czwartego uczestnika naszej kolacji nie było nigdzie widać. Chyba że liczyć kruki na dachu.

Istniało pewnie prawdopodobieństwo niezerowe, że to czysty przypadek – że dwa zupełnie normalne kruki tak sobie tylko siadły akurat na dachu restauracji w Oslo, gdzie mam się spotkać z jakimiś tajemniczymi bogami

nordyckimi. A jednak czułem, że jest to mało prawdopodobne. Byłem niemal pewien, że mam przed sobą niezwykle stresującą oficjalną kolację z dwoma bogami, którzy mieli bardzo długą listę powodów, by życzyć sobie mojej śmierci.

Granuaile spytała mnie kiedyś, jak to możliwe, że po ziemi chodzi tylu bogów i nikt tego jakoś nie zauważa. Odpowiedź była (i jest) prosta: *cosplay*. Większość bogów przebiera się za ludzi, gdy schodzi na ziemię. Starają się przy tym usilnie, żeby nie wypaść z roli. Czasem odwałą jakiś cud, ale zawsze trzymają się rzeczy małych, których nie zauważa nikt poza okolicznymi mieszkańcami. Lecz przede wszystkim nie ukazują się nam, bo ludzkość twardo wierzy, że bogowie tego nie robią. Wyobrażamy ich sobie zawsze chilloutujących się w niebiosach, nirwanach lub krainach wiecznej kary, i raczej panuje przekonanie, że się stamtąd nie ruszają. A jeśli już mają działać na ziemi albo wałęsać gdzieś nagle *deus ex machina*, to zawsze poprzez swoich zastępców lub na odległość. Można wręcz powiedzieć, że bogowie nie są zdolni nam się ukazywać, bo większość ludzi nie wierzy, że spotka swoich bogów przed śmiercią. Jestem tu pewnie chwalebny wyjątkiem. No i jeszcze byli starożytni Grecy i Rzymianie, którzy wierzyli, że w każdej chwili mogą się natknąć na Olimpijczyków, co z kolei sprawiało, że w starych czasach Zeus i spółka mogli wyprawiać te wszystkie dyrdymały.

Cisza stawała się nieznośna. W głowie mi się nie mieściło, że cały repertuar Frigg wyczerpał się po tych kozich cyckach i miodzie, ale wyglądało na to, że utknęła zupełnie. Wzięłem głęboki oddech i zdecydowałem się na manewr architektoniczno-historyczny.

– Dlaczego to pomieszczenie nazwano salonem Kleopatry? – spytałem.

Morrigan wskazała mi coś na górze.

– Sufit – powiedziała.

Zadarłem głowę i spojrzałem na misterny stiuk na suficie. W Arizonie ludzie zwykli rozpryskiwać stiuk na ściany zewnętrzne i nazywać to elewacją. Ale dawno temu, gdy wzniesiono ten budynek, artyści używali stiuku jako

materiału do tworzenia płaskorzeźb. Ta – niewątpliwie zresztą jedna z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziałem – przedstawiała samobójstwo Kleopatry, która słynie z tego, że opuściła ten świat ugryziona przez węża. Na ten widok natychmiast zateśkniłem za Oberonem, bo wiedziałem, że nie oparłby się pokusie sparodiowania tego, a już na pewno powiedziałaby głosem Samuela L. Jacksona: <Tego już za wiele! Mam dosyć tych pieprzonych węży na tym pieprzonym suficie!>.

– Piękne – powiedziałem i miałem wielką nadzieję, że mój uśmiech zostanie zinterpretowany jako przejaw zachwyty sztuką, a nie ubawienie słabością mojego psa do filmów.

– Tak – zgodziła się Morrigan.

Tę błyskotliwą konwersację przerwał nam szczęśliwie sommelier, który wrócił z butelką shirazu. Nalał nieco wina w kieliszek naszego nadal podejrzanie nieobecnego towarzysza, po czym zostawił nas, byśmy w spokoju wypełnili ciszę. Nie bardzo mieliśmy czym, więc upiliśmy po łyku, by podzielić się z resztą obecnych naszymi przemyśleniami na temat różnorodnych odcieni smakowych sfermentowanych winogron. Morrigan wyraziła opinię, że trunek ma zawieszony smak, pełny, ale z posmakiem bujnej lukrecji. Frigg wyczuła nutkę przyprawy, cokolwiek miało to oznaczać. Podejrzewam jednak, że nie była to aluzja do planety Arrakis. Nie znam się za bardzo na języku win, więc miałem właśnie powiedzieć, że ja to wyczuwam lekką nutkę mangowego czatneja, gdy Frigg spojrzała za moje ramię i jej twarz złagodniała. Wstała, a my z Morrigan poszliśmy jej śladem. Powędrowałem spojrzeniem za jej wzrokiem i zobaczyłem, że do naszego stolika podchodzi wysoki mężczyzna w smokingu. Siwe włosy opadały mu na ramiona, ale bynajmniej nie łysiał. Biła od niego siła, potęga i skurczybyczość. Prosta, czarna opaska na lewym oku nie nadawała mu wcale wyglądu pirata, ale wskazywała na jego wielką mądrość – bo też i za nią oddał przecież swoje oko. Świadczyła o jego cierpieniu, gotowości do poświęceń – bez żadnych granic – by za wszelką cenę pozostać najmądrzejszym z mądrych. Jego nader bujna broda była lekko przerażająca. Chyba spodziewałem się włosów spływających mu niesfornie po

piersi na dywan, ale było to mocno upakowane i starannie przycięte arcydzieło (niemal jak te piękne żywopłoty), które nadawało jego rysom wygląd pieczołowicie wyrzeźbionego pomnika. Naprawdę niewielu mężczyzn potrafi tak nosić brodę. U większości cały komunikat zarostowy sprowadza się do: „Tak to się kończy, jak się, człowieku, nie golisz”. Tymczasem broda Odyna mówiła, że nie jest on ani hipisem, ani barbarzyńcą, ani pisarzem fantastyki, ale bogiem, który może zmienić chaos w porządek.

Ujął dłoń swojej żony i złożył na niej pocałunek. Potem odwrócił się w stronę Morrigan i skinął jej głową.

– Morrigan.

Odpowiedziała mu równie dostojnym ruchem głowy.

Potem jego wzrok przesunął się w moją stronę i poczułem chłód jego nienawiści. Z wysiłkiem zdusiłem drżenie.

– A więc to ty – powiedział. – Zabójca Nom, Frejra i tylu innych.

Jego głos przywodził na myśli whisky – i nie mówię tego tylko dlatego, że jestem Irlandczykiem. Jego głos był naprawdę bogaty, pachnący dymem i w ogóle z całą pewnością spędził całe lata w jakiejś dębowej beczce, nim Odyn postanowił przepłukać nim gardło.

– Odkąd wydobrzałem, obserwowałem cię z Hlidskjálfu i wierzyć mi się nie chciało, co widzę. Pomimo dostatecznych dowodów na coś wręcz przeciwnego nie widziałem w tobie nic, co mogłoby choć sugerować, że byłbyś zdolny nas pokonać. Lecz teraz, gdy już spotkałem cię osobiście, rozgryzłem twój charakter. Jesteś zwodniczy.

– Często – przyznałem. – Tak w ogóle, to cześć. To prawdziwy honor móc cię poznać.

Odyn zacisnął dłonie w pięści.

– Honor?! – warknął. – Jak śmiesz mówić mi o honorze, gdy sam nie masz go ni krztyny!

Frigg delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Usiądźmy może?

Napięcie zniknęło z ramion Odyna, a jego pięści się rozluźniły. Usiedliśmy i wtedy dopiero dotarło do mnie, że łączy nas z Odynem jedna rzecz – jesteśmy zupełnie pod kontrolą siedzących obok nas kobiet. Podziwiałem rozsądek Frigg. W tej pozycji będzie Odynowi o wiele trudniej rzucić się na mnie, żeby mi złamać kark. A boginię zmarłych posadziła naprzeciw niego, żeby jej widok przypominał mu, kto tu szafuje śmiercią.

Pojawił się kelner – bardzo miły człowiek skupiony na zadaniu uraczenia nas swoimi specjałami, których w takim pocie czoła uczył się na pamięć – ale Odyn powstrzymał go i posługując się zupełnie współczesnym norweskim, oświadczył:

– Weźmiemy sześć pełnych dań. Jeśli trzeba podejmować jakieś decyzje, zdajemy się na szefa kuchni. I proszę poinformować sommeliera, że jemu pozostawiamy wybór win na resztę wieczoru. Mamy dużo spraw do omówienia i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano. – W jego dłoni pojawiła się karta kredytowa. – To zagwarantuje państwu, że zapłacimy za wszystko, co nam podacie.

Kelner pokłonił się i wzięwszy kartę, powiedział:

– Rozumiem. Zaraz wrócę z pierwszym daniem, na które zaproponujemy państwu raki z fiordu i...

Odyn uciszył go gestem dłoni.

– Domyślił się, jak już ich skosztujemy, dobry człowieku. Wybacz moją obcesowość. Zapewniam cię, że dostaniesz suty napiwek.

– Rozumiem – powtórzył kelner i poszedł zająć się planowaniem czegoś, co z pewnością skończy się bardzo dużym rachunkiem.

Odyn wrócił wzrokiem do mnie, a językiem na staronordycki. Nim jednak zaczął wyliczać rozliczne powody, dla których zasłużyłem sobie na śmierć, wszedłem mu w słowo. Miałem całkiem sporo za uszami, ale nie zamierzałem potulnie znosić jego oskarżeń, szczególnie jeśli dotyczyły mojego braku honoru. Śmiem twierdzić, że miałem go jednak... choć odrobinę.

– Odynie, w swojej mądrości z pewnością zauważyłeś już, że dwa razy

trzymałem w dłoniach Gungnira i dwa razy nie celowałem nim w ciebie osobiście, choć mogłem to zrobić. W obu wypadkach zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo, i nic ponadto. Siedzisz tu przede mną, bo powstrzymałem swoją dłoń. Dwukrotnie.

– I wydaje ci się może, że skoro oszczędziłeś mi dwukrotnie życie, jesteś człowiekiem honoru?

– Trafiłem do Asgardu właśnie z powodu honoru. Chciałem dotrzymać danego słowa. Zabiłem tylko tych, którzy starali się mnie zabić. Najpierw były to Norny, ale zamiast mnie zabiły Ratatoska. Nie mając wyboru, pokonałem je i udałem się do domostwa Idunn i Bragięgo. Mogłem ich zabić, ale przecież tego nie zrobiłem.

– Ale ukradłeś jedno ze złotych jabłek Idunn! Twój honor jest honorem złodzieja!

– Złodzieja, który dotrzymuje słowa. Próbowaleś zabić mnie za to zaraz potem. Mogłem odebrać ci życie. Wcale tego nie pragnąc, odebrałem życie Sleipnirowi.

– Bynajmniej nie była to honorowa decyzja. Była to po prostu strategicznie najlepsza opcja, bo zajęła uwagę Walkirii. Gdybyś mnie od razu zabił, pognałyby za tobą, żeby mnie pomścić.

– Tak czy siak, nie przeczy to najważniejszemu: na przemoc decyduję się tylko w odpowiedzi na czyjąś przemoc.

– Ha! Jakaż to przemoc ze strony Thora kazała ci najechać na Asgard z całym zastępem ludzi i go zabić?

– To osobna kwestia. Ale znów dotrzymywałem tylko słowa.

– Obiecałeś komuś zabić Thora?

– Nie. Obiecałem jedynie zapewnić transport do Asgardu.

– Zdaje ci się więc może, że nie uczyniłeś nam żadnej krzywdy?

– Tego nie powiedziałem, Odynie.

Urwaliśmy, bo kelner wniósł nasze pierwsze danie.

Był tam rzeczywiście rak, ale i roladki z pstrąga. Skosztowałem i odkryłem,

że szef kuchni wie, co robi. Jeśli to ma być mój ostatni posiłek, to nie mogłem sobie wymarzyć lepszego. Żaden z bogów nie tknął jedzenia. Patrzyli tylko, jak jem, i czekali.

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem. – Jestem głęboko przekonany, że podczas tej drugiej wyprawy zachowałem się haniebnie, i szczerze żałuję tego, co się stało. Przepraszam za nią was oboje, choć wiem dobrze, że słowa to za mało.

– Słowa to mniej niż za mało – prychnął Odyn. – Jak śmiesz nawet próbować zapłacić za swoje czyny nic nieznaczącym frazesem?!

– A jak inaczej mam zapłacić? Płacenie własnym życiem nie wchodzi w grę.

Oczekiwałem tu jakiejś kłótni, ale Odyn mnie zupełnie zaskoczył.

– Nie, to rzeczywiście nie wchodzi w grę – przyznał. – Nie masz dość krwi, by zapłacić za tę, którą przelałeś.

– Mam zapłacić krwią?

– To chyba dość oczywiste rozwiązanie.

Znow pojawił się kelner i zabrał nam pierwsze danie, nim postawił przed nami drugie – zupę z owoców morza zdobioną awokado i innymi smakołykami. Gdy tylko wyszedł, Odyn zmienił temat.

– O krwi porozmawiamy później. Chciałbym się teraz dowiedzieć, dlaczego jeszcze żyjesz.

– Znaczą się dlaczego nie zginąłem jeszcze przed naszą erą? Jak to się stało, że pożyłem na tyle długo, żeby cię zirytować?

– Otóż to.

– Od czasu do czasu piję herbatę ziołową, która odmładza moje komórki i odwraca proces starzenia.

– Interesujące.

Odyn spojrzał na swoją zupę i uznawszy nagle, że wygląda na zdatną do jedzenia, uniósł łyżkę. Frigg, Morrigan i ja poszliśmy jego śladem i zdążyliśmy wysiorbać łyżkę lub dwie, nim zadał kolejne pytanie.

– Ta herbata, którą pijesz, czy jest do nabycia w tych tam supermarketach? Czy jest to raczej coś, co sam wymyśliłeś?

– Nie, nie da się jej kupić. Przepis na nią dostałem od Airmid, jednej z Tuatha Dé Danann. Ona sama już od dawna nie żyje. Spotkała ją wielka tragedia.

– Tragedia? Wybacz, że zwrócę ci uwagę, ale tragedie chyba ciebie prześladują.

– Wybaczam ci. Czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

Jego łyżka zawisła nad miską w oczekiwaniu na moje pytanie.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

Mój amulet z zimnego żelaza powinien mnie ochronić przed wywróceniem. Przecież nawet nordyccy bogowie nie przewidzieli mojego najazdu na Asgard.

– Hugin i Munin znaleźli cię kilka miesięcy temu, gdy pracowałeś na pustyni ze swoją uczennicą.

Nie całkiem przypadkowo wspomniał o Granuaile. Była to subtelna pogroźka, ale udałem, że jej nie zauważyłem.

– A, właśnie te kruki... Którego z nich...?

– Zabiłeś? Hugin. Na całe lata utknąłem w snach o przeszłości, zupełnie niezdolny do funkcjonowania w teraźniejszości, pielęgnowany przez Frigg. W końcu jednak Munin przypomniał sobie o Huginie i złożył jajo. Nowy kruk, gdy dorósł, stał się znów Huginem. Obudziłem się i wysłałem kruki w poszukiwaniu ciebie, a gdy już cię odnalazły, obserwowałem cię z Hlidskjálfu.

– Rozumiem. I jak wielu nordyckich bogów wie, że nadal żyję?

– Tylko my z Frigg.

– Dlaczego nie powiedzieliście im wszystkim?

– Związane jest to z ceną krwi, o której jeszcze porozmawiamy. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się dowiedzieć, jak właściwie poznałeś ten przepis na zioła wiecznej młodości.

Wzruszyłem ramionami.

– Mówiłem ci już przecież. Airmid mnie tego nauczyła.

– Tak, ale dlaczego? Dlaczego ciebie, a nie kogoś innego?

Odłożyłem łyżkę i spojrzałem nerwowo na Morrigan. Znała odpowiedź na to pytanie. I nikt poza nią.

– Hmm. To cała opowieść.

Odyn wskazał mi ręką stół.

– Mamy jeszcze cztery dania.

– Nie jest aż taka długa, ale nigdy jej jeszcze nikomu nie opowiadałem, a i teraz nie mam wielkiej chęci na to. Jest dla mnie cenna.

Odyn zmiażdżył mnie wzrokiem.

– Rozumiem. Potraktuj to jako początek spłacania długu wobec nas.

– Dobrze. – Zobaczyłem, że zbliża się kelner i sommelier. – Opowiem ją, gdy tylko dostaniemy trzecie danie.

Na trzecie danie był smażony szczupak z białymi szparagami i kilkoma innymi warzywami pięknie rozłożonymi na białym talerzu i polanymi *beurre blanc*. Sommelier, starszy, łysiejący dżentelmen o żwawych ruchach i wprawnej dłoni, nalał nam po kieliszku chardonnay. I wtedy już musiałem zdradzić sekret, o którym nigdy nie zamierzałem mówić.

W czasach, gdy Tuatha Dé Danann byli jeszcze w Irlandii potęgą, najslawniejszym lekarzem – jeśli mogę tu użyć tego współczesnego słowa – był Dian Cecht. Podczas Pierwszej Bitwy pod Mag Tuireadh król Nuada stracił w walce prawą rękę i poprosił Diana Cechta, żeby coś na to zaradził. Mimo zwycięstwa nad Firbolgami nie mógł przecież rządzić, skoro był niepełnosprawny.

Wraz z rzemieślnikiem Creidhne Dian Cecht sporządził więc magiczną srebrną rękę dla Nuady. Gdy tylko się ją doczepiło, działała zupełnie jak normalna ręka. Dian Cecht stał się jeszcze sławniejszy w całej Irlandii. Ludzie zaczęli zwać króla Nuada Srebrnoręki, był to bowiem niezwykle widok i

wszyscy, którym było dane go zobaczyć, byli pod wrażeniem. Przy ludziach Nuada był niezwykle zadowolony ze swojej nowej ręki i cieszył się ze sławy, którą mu ona przyniosła. W domu jednak były z nią pewne problemy. Jego żona nie chciała jej za nic dotknąć. I czy Nuada ją nosił, czy nie, zawsze czuł się niepełny i niepewny. Mimo cudownej srebrnej ręki był tak naprawdę osłabiony.

Miach, syn Diana Cechta, wyczuwał rozpacz Nuady i odważył się mu pomóc. Był wyjątkowo utalentowanym i pełnym współczucia uzdrowicielem, który unikał jak mógł konfliktu z ojcem. Ale w wypadku Nuady nie potrafił się powstrzymać od zaoferowania pomocy, bo wiedział, że tylko on jeden może jej królowi udzielić.

Przez dziewięć dni i nocy śpiewania i rytuałów odtwarzał rękę z krwi i kości. Król znów był cały i mógł powrócić na tron. Miach przewyższył jednak w swym fachu ojca, a Dian Cecht nie należał do osób, które zniosą coś takiego w milczeniu. Zamiast być dumnym z syna i chwalić się jego talentem, z zazdrości rzucił się z mieczem na własne dziecko.

Miach powiedział ojcu wprost, że nie chce walczyć i że żywi do niego jedynie miłość i dobrą wolę, ale Dian Cecht był głuchy na słowa rozsądku. Rozciął skórę syna, ale Miach natychmiast się uleczył. Taki pokaz jego mocy jeszcze bardziej rozsierdził Diana Cechta. Mimo że Miach próbował zrobić unik, drugi cios ojca trafił w jego jelita. Miach uleczył się i z tego. Wtedy Dian Cecht wpadł w zwierzęcy szał. Trzeci cios rozłupał Miachowi mózg, co uniemożliwiło mu wszelkie leczenie się. Zmarł, a Dian Cecht rzucił miecz przerażony swoim uczynkiem.

Jego przerażenie było jednak niczym w porównaniu do tego, które odczuła Airmid. Siostra Miacha sama była świetną uzdrowicielką i potężną druidką. Była tak rozwścieczona, że nie poszła nawet na pogrzeb brata, bojąc się, że zabije na nim ojca. Odczekała, aż pogrzeb się skończy i wszyscy pójdą do domu, i dopiero wtedy odwiedziła nagrobek brata. Płakała i śpiewała na jego grobie przez trzy dni i trzy noce. Płakała z miłości. Opłakiwała stratę i

wspomnienia, którymi już nie będzie się mogła dzielić, a których będzie musiała strzec już sama za nich oboje. Opłakiwała wspomnienia, które już nie nastąpią, skoro brat nie żyje. Wycieńczona opadła w końcu na grób i usnęła.

Gdy się obudziła, ujrzała cud. Na nagrobku Miacha wyrosło 365 ziół o leczniczych właściwościach. Podlane jej łzami i krwią brata miały potężną moc. Zrozumiawszy, że to dar, Airmid rozłożyła swój płaszcz i zaczęła analizować i katalogować zioła, przyglądając się ich właściwościom i zapamiętując ich wyjątkowe cechy. Nim jednak skończyła, na grobie pojawił się targany wyrzutami sumienia i rozpaczą Dian Cecht.

Ujrzał rozłożony na ziemi płaszcz Airmid i uporządkowane na nim wspaniałe zioła. Zobaczył, że zioła te wyrastają na nagrobku w kształcie ciała Miacha, i znów zatrzęsło nim z zazdrości.

– Nawet po śmierci kpi ze mnie i czyni moje życie marnym! – ryknął Dian Cecht.

Wyrwał zioła z ziemi i szarpnął płaszczem Airmid, tak że zioła porwał wiatr i rozsypał na niebie. To przez ten jego uczynek nikt nie zna dziś liczby ziół na ziemi.

Wtedy Airmid straciła cierpliwość do ojca. Chwyciwszy kij, zaatakowała Diana Cechta, obila mu twarz i ciało z całą mocą, jaką może mieć druid, aż jej ojciec opadł na ziemię. Odrzuciła wtedy kij i chwyciła jakiś głaz. Uniosła go wysoko, chcąc zmiażdżyć nim głowę ojca. Wtedy jednak powstrzymał ją głos z Tír na nÓg.

– Nie, Airmid! – zawołał, a ona zamarła. Był to głos Miacha, który wołał do niej zza zasłony. – W imię miłości, jaką do mnie czujesz, nie zabijaj naszego ojca!

Głaz wymsknął jej się z rąk i zostawiła krwawiącego Diana Cechta, żeby sam się wyleczył. Chwyciwszy płaszcz, odeszła od grobu, nie mówiąc ani słowa. Milczała przez dziewięć dni, a pierwszą osobą, do której się w końcu odezwała, byłam ja.

Moje normalne życie już zbliżało się nieuchronnie do zmierzchu, a ja

rozmyślałem właśnie nad zbliżającą się śmiercią. Nie byłem zgrzybiały ani artretyczny, bo Gaja zachowywała nas w dobrym stanie, ale mój okres świetności minął już dobre czterdzieści lat temu, a wizja ostrego zjazdu w ramiona śmierci uczyniła mnie nieco zgorzkniałym. Piłem sam w jakiejś gospodzie, gdy weszła Airmid, rozejrzała się i podeszła do mnie. Widziała pewnie w mojej aurze chorobę. Widziała też tatuaże na moim ramieniu, wiedziała więc, że jestem druidem. Usiadła naprzeciwko mnie, odłożyła torbę i powiedziała:

– Staruszkule, zabaw młodą dziewczynę. Powiedz, co byś dał, by odzyskać młodość. By czuć przy każdym kroku radość życia? By twój ptak znów był twardy jak drewno? I by nigdy już nie tracić tego uczucia, nie ulegać starości, póki sam nie zechcesz tego zrobić?

Nie wiedziałem, kim jest ta kobieta. Jej ciało skrywała szata i rękawiczki, więc nawet nie wiedziałem, czy jest druidką, a co dopiero, że jest jedną z Tuatha Dé Danann.

– Kpisz sobie ze mnie czy pytasz poważnie? – spytałem.

– Pytam szczerze – odparła. – Chciałabym naprawdę wiedzieć, co byłbyś gotów zrobić za taki dar.

– Zabiłbym za to – powiedziałem. Ludzie zabijają przecież i za znacznie mniej.

– W takim razie mam dla ciebie propozycję – oświadczyła i wyciągnęła z torby skórzane sakiewki, które zawierały zioła, jakie zdołała spamiętać, nim Dian Cecht rozrzucił jej pracę na wiatr. – Jestem druidką i odkryłam mieszankę ziół, która, gdy się ją lekko ulepszy prostym splotem i zaparzy jak herbatę, daje błogosławieństwo młodości temu, kto ją wypije. Tajemnica tej mikstury i wiele innych znajduje się na tych kartach. Będą twoje, jeśli zabijesz dla mnie pewnego człowieka – powiedziała i wyciągnęła z torby stertę skór, które kryły tajemnice wszystkich tych ziół.

Rzuciłem okiem na kilka skór i zrozumiałem od razu, że to zielnik, którego zawartość stokrotnie wykracza poza moją wiedzę. Przyjrzałem się jej aurze i nie

zobaczyłem w niej oznak oszustwa. To nie gwarantowało jeszcze jej uczciwości, bo wszystkich nas daje się oszukiwać znacznie prościej, niżby nam się zdawało, ale wyglądało na to, że składa mi uczciwą ofertę, a byłem wystarczająco zdesperowany, by chcieć ją przyjąć. Musiałem jednak spytać o jedną rzecz.

– Dlaczego sama go nie zabijesz? Widzę przecież, że jesteś potężną druidką.

– Nie mogę go zabić, bo to mój ojciec.

– Mam zabić twojego ojca w zamian za zielnik?

– Tak. Co na to powiesz?

– Kim jest twój ojciec?

– To Dian Cecht z Tuatha Dé Danann.

Opowiedziała mi historię śmierci swojego brata i o tym, jak zdołała skatalogować 327 z 365 ziół, nim ojciec zniszczył jej pracę.

– Druid nie zapomina – powiedziała. – Spędziłam dziewięć dni na spisywaniu tego zielnika i eksperymentowaniu. Herbata dająca młodość jest moim najlepszym odkryciem, ale jest ich więcej.

– Zrobię to – przyrzekłam jej. – Powiedz, gdzie go znajdę.

Według legend Dian Cecht padł ofiarą strasznej zarazy. Bardom, którzy tak to opowiadali, wydawało się okrutną ironią losu, że tak skończył ten podły lekarz. Prawda była jednak taka, że ważną rolę odegrał tu pewien przerażony kurczak.

Airmid pokierowała mnie do domu Diana Cechta. Kiedy dotarłem na miejsce, akurat go nie było. Podkradłem się w kamuflażu, rozplotłem kilka prostych zabezpieczeń, wszedłem do środka, a potem splotłem je z powrotem. Miałem już ponad sześćdziesiąt lat, nie czułem się więc na siłach stanąć z nim do uczciwej walki. W ogóle zresztą nie lubiłem uczciwych walk. Potrzebowałem jakiejś przewagi nad nim, więc najpierw natłuściłem podłogę przy drzwiach. Wyobraziłem sobie, że gdy je zamknie, wyskoczę z ukrycia, a wtedy śliski grunt zniweluje jego główną przewagę nade mną – prędkość.

Do jego domu wchodziło się przez kuchnię i jadalnię. Potem korytarz prowadził do pozostałych pokoi. Gdy skończyłem przygotowania, schowałem się za rogiem i czekałem w korytarzu.

Mijały godziny, miałem więc aż za dużo czasu, żeby się zastanowić nad planowanym czynem, ale przekonywałem się, że w rzeczywistości to konflikt typu albo on, albo ja. Jeśli go nie zabiję, sam umrę – kiedyś. A jeśli go zabiję, nie umrę, kropka. Zabijałem już nieraz na wojnie, nigdy jednak nie planowałem skrytobójstwa. Nie czułem się z tym dobrze, ale jeszcze gorzej czułem się na myśl o tym, że mam wkrótce wydać ostatnie tchnienie.

Gdy Dian Cecht w końcu wrócił do domu, przyniósł kurczaka na obiad. Przyciskał go mocno do piersi prawicą.

Gdy wyskoczyłem z mojej kryjówki z obnażonym mieczem i krzyknąłem: „Ha!” – zabiłem go.

A raczej to kurczak go zabił.

Dian Cecht puścił kurczaka i sięgnął po miecz, a ptak wyrwał się z jego objęć i zaczął okładać go skrzydłami i dziobać. Próbując opędzić się od kurczaka i wyciągnąć broń, poślizgnął się na natłuszczonej podłodze i rozplątał sobie czaszkę o krawędź stołu stojącego przy drzwiach. Był martwy, jeszcze nim upadł na podłogę. I tak właśnie po raz pierwszy ujrzałem Morrigan. Choć nie starliśmy się mieczami z Dianem Cechtem, taka była moja intencja, nasza walka więc należała do jej sfery wpływów. Wybrała Diana Cechta, a nie mnie, i powiedziała mi o tym. Nie mogła wybrać go w jego starciu z Miachem, bo Miach nawet nie próbował walczyć. Potem Miach znów związał jej ręce, gdy wymusił na Airmid obietnicę, że nie zabije swojego ojca. Ja jednak byłem akceptowalnym sposobem na obejście tej obietnicy. Morrigan od razu zapowiedziała mi, że jeszcze się spotkamy. Byłem pewien, że to taka zapowiedź mojej rychłej śmierci w walce. Nie miałem pojęcia, że nasza znajomość będzie trwała tak długo.

Zabrałem kurczaka z powrotem do gospody, w której spotkałem Airmid, i nakazałem im go ugotować. Przyszła, gdy właśnie go kończyłem.

Zameldowałem jej, że zadanie zostało wykonane.

– Gdzie go dźgnąłeś? – spytała.

– Nie posłużyłem się mieczem – powiedziałem, wskazując na kości na talerzu. – Posłużyłem się tym oto kurczakiem.

Opowiedziałem jej, co się wydarzyło. Wyglądała na zadowoloną. Spełniła swoją obietnicę i dała mi wszystkie swoje notatki oraz pokazała splot, który był potrzebny do sporządzenia herbaty Młodości Czar, oraz kilka innych do rozmaitych naporów. I tak właśnie nie tylko poznałem tajemnicę wiecznej młodości, ale i stałem się posiadaczem zielnika największej zielarki, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie. Że już o pysznym kurczaku nie wspomnę.

Odyn odłożył widelec i otarł usta serwetką. Spojrzał na Frigg i powiedział:

– Mam tylko nadzieję, że na czwarte danie nie zaserwują nam tu kurczaka.

– Raczej pewnie nie.

– I dobrze – mruknął. – Rozumiem teraz, dlaczego zachowałeś tę historię dla siebie. Cóż to za marny koniec zostać tak zadziobanym.

Na czwarte danie była cielęca polędwiczka nadziewana smardzami i otoczona kolejną uroczą układanką z warzyw. Zabrałem się do jedzenia, bo naprawdę nie miałem nawet jak spróbować trzeciego dania przez tę całą opowieść. Bogowie skupili się na winie, a jedzenia nawet nie tknęli. Może nie lubią cielęciny czy coś. A może jednak woleliby kurczaka.

– Miałem dużo czasu, żeby się zastanowić nad konsekwencjami twoich działań w Asgardzie – powiedział Odyn, gdy jadłem. – Dużo czasu, by przemyśleć odpowiedź na nie. Dawniej nie byłoby w ogóle tematu: zabiłbym ciebie i wszystkich twoich towarzyszy. Ale czasy się zmieniły. Prosta zemsta, której tak pragniemy, nie wyszłaby nam na dobre. Wolelibyśmy, żebyś nam posłużył do innych celów.

Przestałem żuć.

– Słucham? Proponujesz jakiś rodzaj umowy?

– Nie. Mówię o cenie krwi. Ragnarök już blisko, a ty zabiłeś lub pomogłeś

zabić wielu z tych bogów, którzy mieli walczyć po naszej stronie, chcemy więc, byś zajął ich miejsce.

Zakrztusiłem się i musiałem się napić, żeby jakoś przepłukać gardło, nim zdołałem wydukać:

– Chcecie, żebym zastąpił bogów?

– Nie sam. Najlepiej by było, żebyś zwerbował jeszcze kogoś. Nie ulega wątpliwości, że masz moce typowe dla klasycznych bohaterów, a twoja pomoc byłaby bezcenna. Najważniejsze, by pokonać siły Helu i Muspellheimu. W porównaniu z tym nasza chęć zemsty to błahostka. Walcz z nami, a przelaną dla nas krwią spłacisz swój dług. I jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– Byłbym wdzięczny, gdybyś oddał mi Gungnira.

– A obiecasz nie ciskać we mnie nim więcej?

Jego twarz drgnęła poirytowaniem.

– Tak.

– Okej, jasne. Oddam ci go. I tak na nic mi się nie przydaje. Wyślij Hugina i Munina do mnie, do Arizony, za trzy dni. Powiem im, gdzie go mają odebrać.

– Dziękuję. A Ragnarök?

Pomyślałem o Hel i jej próbie zabicia mnie pod Kayentą. Pomyślałem o świecie zalanym draugami. Nawet ci, którzy już szykują się na apokalipsę zombi, mogą mieć problemy z odnalezieniem się w tej sytuacji.

– Jeśli gównem wybiję, Odyne, będę po waszej stronie.

– Doskonale. A ty, Morrigan? Będziesz z nim walczyć?

Morrigan, tak zresztą jak i Frigg, milczała przez większość czasu. Teraz uśmiechnęła się lekko.

– Obawiam się, że tę akurat bitwę przegapię. Będą wam musiały wystarczyć Walkirie.

Odyn spochmurniał. Kiedy najechaliśmy na Asgard, zabiliśmy dwanaście spośród Walkirii. Nie wiedziałem, ile mu ich zostało, jeśli w ogóle jakieś. Żeby

zmienić temat, powiedziałem więc szybko:

– Czy mogę zapytać, co się stało z młotem Thora?

– A co? – syknęła Frigg. – Obiecałeś komuś, że go dla niego ukradniesz?

Złośliwość tego pytania trochę mnie zaskoczyła. A tak nam dobrze szło. Najgorzej, że mam zwyczaj szybko reagować na prowokację.

– Nie – powiedziałem. – Gdyby tak było, już bym go miał.

Frigg syknęła wściekle, ale Odyn zachichotał.

– Miałaś przecież pilnować, żebym to ja nie uniósł się złością – wypomniął żonie.

Czwarte danie zniknęło nam sprzed nosów – przy czym kelner musiał się oczywiście upewnić, czy wszystko było w porządku, jako że bogowie nawet nie tknęli cielęciny. Postawiono przed nami piąte. Na białym kwadratowym półmisku podano nam pięć różnych dojrziałych serów, a do nich krakersy i kompot. Niektóre były pokrojone w trójkąty, inne w cienkie, półprzezroczyste kawałeczki. Sommelier nalał nam coś włoskiego; nie chwyciłem nazwy.

– Mjöllnir znajduje się w Gładsheimie – powiedział Odyn, gdy kelnerzy zniknęli.

– Nikt nim nie walczy?

Nordyccy bogowie zmarszczyli brwi, jakby moje pytanie było zupełnie nedorzeczne.

– Kto miałby nim walczyć? – spytał Odyn.

– Myślałem o jakimś innym, późniejszym aspekcie Thora. Taką popularnością cieszy się ostatnio ta wersja komiksowa.

Odyn tylko prychnął.

– Popularnością, może. Ale nie jest czczonym bogiem, a wiesz, co to oznacza. Nie ma dość magii nawet, by się ukazać! W jego własnych filmach musi go grać ludzki aktor. To tylko tania rozrywka, nic ponadto. Przecież chyba masz tego świadomość.

Miałem, ale nigdy nie zaszkodzi dać potencjalnemu przeciwnikowi do zrozumienia, że jest mądrzejszy niż ty.

– No dobrze, ale jeśli nie on, to na pewno jakiś inny aspekt Thora, nie?

– Wszyscy inni Thorowie są zadowoleni z tego, co mają, a żaden nie dorasta do zadania, jakiemu miał sprostać oryginał. Nie chciałbym mieć na głowie żadnego z nich. Nie. Obowiązki Thora spoczywają teraz na tobie.

– Na mnie? Chcesz, żebym to ja zmierzył się z wężem świata?

– Lub znalazł kogoś innego do tej roboty. Tak.

Taki zwrot w naszej rozmowie przypomniał mi aż za bardzo o Kleopatrze na suficie. Zadarłem głowę i znów się przyjrzałem ukrytej za żyrandolami postaci. Tymczasem bogowie skupili się na serach.

Najwyraźniej *licentia poetica* nie była dla tego artysty terminem zupełnie obcym. Kleopatra leżała oparta na prawym ramieniu, a po lewej ręce piął jej się wąż i już był blisko piersi, którą wyraźnie postanowił sobie ukąsić. Zdawałoby się, że powinien raczej wbić kły od razu w rękę, skoro już do niej dotarł, ale to i tak nie była najdziwniejsza decyzja tego artysty. Z jakiegoś powodu postanowił obdarzyć Kleopatę europejskimi rysami i rubensową figurą. Mój archdruoid określiłby ją jako „przyjemnie pulchniutką”. A na dodatek odziana była raczej w greckim niż egipskim stylu. Choć było to imponujące dzieło sztuki, te przedziwne nieścisłości podkreślały to, co moim zdaniem stanowiło prawdziwą tragedię Kleopatry – nikt nie rozumiał ani jej, ani jej decyzji. Może choć niektórzy mogli zrozumieć jej poczucie osaczenia. Ja w każdym razie na pewno mogłem.

– Nie mogę zgodzić się tak konkretnie na *cage match* z Jörmungandrem – zastrzegłem się. – Ale będę walczył po waszej stronie przeciw Hel, zobaczę, czy uda mi się zdobyć jeszcze kogoś do pomocy, i oddam Gungnira, żeby pomóc naprawić wyrządzone wam krzywdy.

Odyn otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknął je z powrotem, bo pojawił się sommelier z winem deserowym do naszego ostatniego dania. Miał być to makaronik z bawarską wanilią i truskawkami, podawany z galaretką z szampana. Kelner zapewnił nas, że wszystkie te wspaniałości zaraz się przed nami pojawią.

Nie było mi jednak dane skosztować makaronika. Ani usłyszeć odpowiedzi Odyna.

Gdy sommelier przesunął się za mnie, by przez moje prawe ramię postawić kieliszek na stół, w ułamku sekundy wydarzyło się kilka rzeczy. Lewa ręka Morrigan śmignęła mi przed oczami i zepchnęła mnie z siłą z krzesła tak, że głową walnąłem w podłogę, choć mój tyłek tkwił jeszcze na krześle. Brzdęknęło szkło. Sommelier wrzasnął i poleciał do tyłu. Wino diabli wzięli. Powietrze zadrżało od strzałów. Odyn i Frigg zerwali się na równe nogi.

Po jakiejś sekundzie usłyszałem słowa Morrigan. Usiłowałem właśnie się nie podnosić, ale zarazem zająć pozycję obronną.

– Proszę bardzo, Siodhachanie – powiedziała niezwykle ubawiona. – Właśnie uratowałam ci życie. Może przestaniesz wreszcie jójczyć na tę naszą umowę.

Ktoś gdzieś za oknem celował w moją głowę, ale zamiast mnie trafił sommeliera. Dostał w biodro, a stał za moim prawym ramieniem, z czego wynikało, że strzelający znajdował się gdzieś na dachu po drugiej stronie ulicy i celował mniej więcej w lewą, górną część mojej twarzy.

Sommelier chwycił się za biodro i głośno poinformował wszystkich – na wypadek gdyby ktoś to przeoczył – że go trafiono. Piski w wysokich rejestrach i nawoływania personelu ratowniczego wypełniły restaurację straszonym hałasem, ale zablokowałem to i skupiłem się na obserwacji Frigg i Odyna. Nie mieściło mi się w głowie, że mogli przejść przez całą tę kolacyjną szaradę tylko po to, żeby mnie zabić – zwłaszcza że przecież nie zdążyłem im nawet oddać Gungnira, a pojęcia nie mieli, gdzie go schowałem. Musiałem jednak roboczo założyć, że to oni są za to odpowiedzialni, ponieważ mieli bardzo dobre powody, żeby życzyć mi śmierci, no i tylko oni wiedzieli, że tu jestem – nie licząc Morrigan, a jej nie liczyłem, bo ona mogła mnie zabić w każdej chwili przez ostatnie dwa milenia, gdyby tylko miała taką ochotę, i to znacznie prościej i bez żadnych świadków. No chyba że chciała zrzucić winę na bogów nordyckich – ale dlaczego miałyby tego chcieć?

Choć z drugiej strony najwyraźniej wiedziała, że nadciąga strzał, bo inaczej nie miałyby pojęcia, kiedy mnie zepchnąć z krzesła. Musiała więc to wywróżyć, a skoro tak, to być może zobaczyła w tej wróżbie i inne rzeczy.

– Kto pociągnął za spust, Morrigan? – spytałem, nie spuszczać oka z nordyckiej pary i plecami opierając się o ścianę.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Przewidziałam próbę zamachu na twoje życie, ale sam zabójca zdołał się ukryć przed moim wzrokiem. Namierzenie go lub jej dostarczy nam nieco rozrywki po tej obfitej kolacji. Ruch pobudza trawienie. – Spokojnie wstała od stołu i rzuciła serwetkę. – Zaczynamy?

– Nie, zaczekaj! – krzyknąłem. – A skąd wiemy, że to nie oni wydali rozkaz? – Wskazałem Odyna i Frigg.

Odyn wzrok miał utkwiony w suficie. Bardzo dziwny moment na delektowanie się dziełem sztuki.

– Oczywiście, że to nie my wydaliśmy rozkaz – przemówiła Frigg. – Odyn już posłał kruki, żeby namierzyły strzelca.

– Aha, to z tego by wynikało, że Odyn jednak posługuje się magią, tak? To ja bym też się chciał nią posłużyć, żeby wyleczyć tego biedaka, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Nad sommelierem pochylali się właśnie nasz kelner i *maître d'hotel*, a on wykladał im, że jeśli umrze, chce, żeby jego dobra doczesne zostały przekazane jego chomikowi. Obawiałem się, że to już nie jest testament do obronienia, bo facet nie jest na pewno zdrowy na ciele, a i chyba nie na umyśle.

– Nie. Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedziała Frigg i podeszła do sommeliera. Jej naszyjnik zalśnił w świetle żyrandola. – To jeden z naszych. Wy biegnijcie znaleźć zabójcę.

– Mam biec szukać kogoś, kto chce mnie zabić, w towarzystwie boga, który chce mnie zabić? – upewniłem się.

Odyn oderwał wreszcie wzrok od sufitu.

– Nie chcę cię zabić – oznajmił. – Chcę, żebyś zginął okrutną śmiercią

podczas Ragnaröku. Ale zanim to nastąpi, masz przechylić szalę na naszą korzyść.

– Tak będzie – odezwała się Morrigan, ale nie raczyła uściślić, czy ma na myśli przechylenie szali, czy raczej okrutną śmierć. A może obie rzeczy naraz.

Frigg przyklękła przy sommelierze i położyła mu dłoń na czole. Przewrócił oczami, po czym skupił wzrok na jej twarzy i się uspokoił. *Maître d'hotel* poszedł zając się ważniejszymi sprawami. Trzeba było przecież uspokoić gości i powitać służby ratunkowe. Przy sommelierze został nasz kelner.

Nawet jeśli Frigg i Odyn nie byli bezpośrednio zamieszani w tę strzelaninę, to musiał to być ktoś, kogo znali. Szczerze wątpiłem, że Odyn beztrąsko zdradził informację o tym spotkaniu przy osobach trzecich, ale przecież musiał nastąpić przeciek. Nim Morrigan zdołała mnie powstrzymać, włączyłem charms odpowiadający za magiczne widzenia. Przez faeryczny filtr zobaczyłem biały nimb magii wokół siwej głowy Odyna. Dwie grube liny tej magii wylały się w górę i zniknęły w suficie, więc pewnie były to połączenia z Huginem i Muninem. Reszta ciała wyglądała zupełnie ludzko. Nie robił nic magicznego, poza porozumiewaniem się z krukami.

Z Frigg była jednak zupełnie inna historia. Całe jej ciało jaśniało delikatną białą poświatą, choć teraz skupiała się ona w dwóch miejscach – w jej prawej ręce, którą położyła sommelierowi na czole, oraz wokół naszyjnika. Magia w jej ręce służyła oczywiście do uspokojenia spanikowanej ofiary strzelaniny, ale co robił naszyjnik?

Odsunąłem się od ściany, bo uznałem, że już jest bezpiecznie, a poza tym Morrigan zepchnie mnie z toru kuli, gdyby nastąpiło więcej strzałów. Przykucnąłem przy Frigg i sommelierze, co natychmiast wywołało u niej poirytowanie.

– Mówiłam ci, że się tym zajmę – syknęła.

– I doskonale się nim zajmujesz – zgodziłem się. – W życiu bym się lepiej nie zajął. Jestem tylko ciekaw twojego naszyjnika.

Lewą ręką dotknęła go odruchowo.

– Naszyjnika?

– Tak. Do czego on służy?

– To osobista ozdoba – wycedziła wyraźnie już znieczepioną. – Czy to jakiś twój kolejny trik, czy tylko próba zrobienia ze mnie idiotki?

– Wybacz. Chciałem tylko spytać, do czego on służy pod względem magicznym.

– Do niczego. Moja magia pochodzi z wnętrza.

– W takim razie dlaczego buzuje magiczną energią?

– Co takiego?

– Sami sprawdźcie. Morrigan, Odyne, spójrzcie, proszę, na naszyjnik Frigg. Przecież to nie jest zwykła biżuteria, prawda?

Morrigan przechyliła głowę, a Odyn skupił wzrok na naszyjniku. Pierwsza odezwała się Morrigan.

– Znajduje się na nim magia jakiegoś rodzaju, ale nie jest to ani splot Tuatha Dé Danann, ani faeryczny.

– Nie – potwierdził Odyn. – To magia nordycka.

To przeraziło Frigg tak bardzo, że puściła czoło sommeliera, który natychmiast przypomniał sobie, że nie skończył jeszcze porządnie panikować.

– Auuuu! – zawył, a Frigg znów przyłożyła mu rękę do czoła, żeby się zamknął.

– Odyne, zdejmij to ze mnie – poprosiła, lewą ręką odgarniając sobie włosy z pleców, żeby pokazać mu zapięcie. – Muszę się temu przyjrzeć.

W oddali słychać już było wycie syren. Policja i karetki były coraz bliżej.

Odyn obszedł stół i rozpiął naszyjnik żony. Gdy tylko to uczynił, magiczny blask zniknął.

– Interesujące. Magia zniknęła – powiedziałem. – Odyne, czy mógłbyś na chwilę zapiąć naszyjnik z powrotem?

Zapiął i magiczny blask wrócił.

– Istotnie, ciekawe – zgodziła się Morrigan.

Odyn odpiął go znowu, a blask zbladł. Bóg położył naszyjnik na stole.

– Czy magia wraca za każdym razem, gdy zapiąć naszyjnik? – zastanawiałem się na głos.

Odyn połączył znów oba końce, ale nic się nie stało.

– Nie. Tylko gdy jest noszony – stwierdził. – Sprytna robota.

– Wiesz, do czego służy? – spytałem.

– To zaklęcie tropiące. Lokalizator.

– Kto mógłby aż tak bardzo chcieć poznać lokalizację Frigg, żeby zaczarować jej biżuterię?

– Nie wiem – odparł. – Ale bardzo chciałbym się dowiedzieć.

Na co kelner, który dotąd skupiał się na koledze i siedział cicho, przez co zupełnie go ignorowaliśmy, podjął błędną decyzję, żeby się jednak odezwać.

– Gadacie o tej całej magii i zwracacie się do siebie imionami bogów. Co wy jesteście? Szurnięci jacyś?

– Frigg, gdybyś mogła... – mruknął Odyn.

Jego żona westchnęła i na chwilę położyła lewą dłoń na czole kelnera. Runął na ziemię obok kolegi. Frigg spojrzała na mnie kątem oka.

– Nie martw się o niego – uspokoiła mnie. – To tylko niepamięć. Przydatne w uzdrawianiu, ale i zadziwiająco skuteczne w takich sytuacjach.

Syreny stały się jeszcze głośniejsze. Trzaskały rozliczne drzwi. Mnóstwo ludzi zaczęło wykrzykiwać różne rzeczy.

– Powinniśmy już opuścić ten lokal – zauważyłem.

– Pozwólcie, że was zakamufluję – zaproponowała Morrigan.

– Nie mnie – powiedział Odyn. – Mam swoje metody.

Było mi naprawdę żal tego starzejącego się sommeliera, który tak bardzo kochał swojego chomika. Dlaczego Frigg poskapiła mu daru niepamięci? Zgadła widać moje myśli, bo powiedziała:

– Idź już. Nic mu nie będzie.

– Widzimy się na zewnątrz – rzuciła Morrigan.

Poczułem delikatne gilgotanie kamuflażu na skórze i zacząłem przedzierać się przez tłum gości restauracyjnych, obsługi, policji i ratowników, aż wreszcie dotarłem do wolnego skrawka chodnika na Kirkegata. Do głowy wdarł mi się łagodny niczym papier ścierny głos Morrigan.

Po drugiej stronie ulicy, Siodhachanie – syknęła.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Morrigan i Odyn zrzucili swoje kamuflaże i gapią się na mnie z chodnika po drugiej stronie. Łaskotanie kamuflażu zniknęło i znów byłem widoczny. Przeczekałem kilka samochodów i przebiegłem przez ulicę.

– Ten zabójca jest dość sprawny fizycznie – poinformował mnie Odyn. – Przeskakuje z dachu na dach, co jest nie byle jakim osiągnięciem, jeśli wziąć pod uwagę, że są one nierzadko różnych wysokości. Moje kruki właśnie widziały, jak przeskoczył przez całą ulicę.

– Czyli to nie człowiek.

Odyn wzruszył ramionami.

– Nie jest to mroczny elf. Widywałem nieraz takie sztuki u berserków. Niektórzy einherjarowie też potrafią coś takiego zrobić. Ktoś może temu wojownikowi dawać przecież moc. Ale kto? Musimy dorwać go jak najszybciej, nim skryje się gdzieś, gdzie nie będą go mogły śledzić moje kruki.

– Jak to zrobimy?

– Wejdziemy na dach tego budynku – odparł Odyn, jakby to wszystko wyjaśniało.

Weszliśmy za nim z Morrigan do czteropiętrowego ceglanego budynku i wspinaliśmy się po schodach, aż weszliśmy na fantastycznie płaski dach.

– Pobiegł w tę stronę – powiedział Odyn, wskazując Kirkegata.

Przede mną rozciągało się bardzo niewiele płaskich dachów. Nawet jeśli jakimś cudem dam radę przeskoczyć nad ulicą, to strome gontowe płaszczyzny nie wyglądały na takie, na których by się dało bezpiecznie wylądować.

– Rozepnij mnie, Siodhachanie – poleciała Morrigan. – Polecę jako wrona i dołączę do kruków Odyna.

Chcę zobaczyć na własne oczy, co się dzieje – dodała telepatycznie, gdy zabrałem się do rozpinania jej zamka w sukience. – *Nie lubię sytuacji, w których muszę polegać na cudzych informacjach.*

Gdy przemieniła się we wronę i odleciała w mrok nocy, zostałem sam na sam z Odynem, który wykorzystał tę okazję, żeby z dala od Frigg i Morrigan wyznać mi swoje prawdziwe uczucia.

– Patrzę na ciebie z równą chęcią jak na wielgachną otchłań w dupsku Jötunna – zaczął.

– Aha.

– Wolałbym nadziać cię na rożen jak wieprza, upiec z tymiankiem i nakarmić tobą wilki, niż gonić tego zabójcę. Ale nie mogę sobie pozwolić na to, żeby Morrigan pomyślała, że nie dotrzymuję danego jej słowa. Obiecałem jej pokojowe spotkanie i co? Szlag je trafił.

– Zupełnie to rozumiem.

– Nie podoba mi się też to, że ktoś wykorzystał Frigg, żeby nas namierzyć. Trzeba rozwiązać tę zagadkę. To co, odwalamy Johnny'ego Casha? Znaczy się, słyszałeś o nim, mam nadzieję? Taki amerykański piosenkarz.

– No, tak, słyszałem. *Man in Black* i tak dalej.

– Dobrze.

Odwrócił się na północ, włożył dwa palce między zęby i wygwizdał całą serię dość przerażających nut. Nocne niebo odpowiedziało rzeniem koni.

– O, nie – jęknąłem.

– Co jest grane, druidzie, boisz się koni?

– Hmm, te są dość wyjątkowe, prawda? Tak wyjątkowe, że nie mają nawet żadnej fizyczności.

– To tylko ich zaleta. Gładsza jazda.

Smoking Odyna przeszedł na moich oczach stylową transformację. Marynarka wydłużyła się i zmieniła w długi prochowiec, szarzejąc odpowiednio. Koszula zmieniła się w tunikę, spodnie w bryczesy, a buty urosły, żeby zakryć łydki porządną skórą. Wszystko to było równie szare.

Twarz stała się bardziej pomarszczona i nieco się wydłużyła – wyglądała teraz na bardziej wymizerowaną i twardszą. Architektura brody poszła w strzępy, a sama broda zmieniła się w nieokiełznaną grzywę. Zęby błysnęły bielą w ciemnościach.

– Nie robiłem tego od bardzo dawna. Powinno być fajnie, nawet z takim głównym łasicy jak ty.

– Bardzo to uprzejme słowa z twojej strony.

Z północnej strony nadciągały niebieskozielone światła i wystarczyło kilka sekund, a już dawało się rozróżnić zarysy widmowych koni i psów. Zatrzymały się mniej więcej na dachu.

– Wsiadaj więc – rozkazał mi Odyn i sam wskoczył na jednego z wierzchowców. Niby było widać zarys, ale przy tym dało się spokojnie spojrzeć na wylot tego cholerstwa – wyraźnie widziałem dyndającą po drugiej stronie konia nogę Odyna. Mimo to zdawało się, jakby nordycki bóg siedział na czymś zupełnie stałym.

Podszedłem do jednego z koni i wsiadłem na niego wbrew wszelkim wizualnym dowodom na to, że nie będzie to możliwe. Poczułem jednocześnie ulgę i lekką panikę, gdy stwierdziłem, że mój ciężar jest utrzymywany przez coś bardzo końskiego.

– Rusza Dzikie Łów! – krzyknął Odyn, a jego twarz zajaśniała zwierzęcą radością. Spiął swojego widmowego ogiera i cała drużyna popędziła do przodu, unosząc się nad dachami. Wyglądało to, jakbyśmy ślizgali się po nocnym niebie nad Oslo, a wtedy bóg otworzył usta i zawył stary refren Johnny'ego Casha o widmach jeźdźców. Kilka dodatkowych koni rżało tuż przy naszych, a część psów wyła do gwiazd.

Jazda na widmowym rumaku przypominała nieco wskakiwanie na ruchome chodniki na lotniskach. Nie mogłem narzekać – jazda była tak gładka, jak zapowiedział Odyn. Ale muszę przyznać, że nieco jednak panikowałem. Byłem przyzwyczajony do latania w postaci sowy, ale nie do unoszenia się nad światem jako człowiek. A dodatkowe konie i cała sfera

niebieskozielonych psów tylko jakby podkreślały, że cała ta drużyna powinna pędzić po ziemi, a nie w powietrzu.

Bez trudu dogoniliśmy dwa kruki i wronę, które podążały za strzelcem. Do mojej głowy znów się wślizgnął głos Morrigan.

Widzę go. Ubrany jest jak współczesny najemnik. Czarne opancerzenie bojowe i buty. Karabin zostawił na dachu, naprzeciwko restauracji.

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na Odyna, żeby zobaczyć, jak zareaguje, gdy kruki przekażą mu te same wieści. Jego mina, taka jeszcze przed chwilą podekscytowana, zupełnie się jednak skwasiała.

– Co się dzieje, Odyne?

Spiorunował mnie spojrzeniem.

– Nie mam swojej włóczni, niechbyś szczęł w Helu – warknął.

– Ano właśnie, dobrze, że poruszyłeś ten temat – odpowiedziałem. – Co niby zrobimy z tym gościem, jak już go dogonimy, skoro nie mamy przecież żadnej broni?

– Psy się nim zajmą – zapewnił mnie Odyn.

Nie trać czujności – ostrzegła Morrigan. – Nie zauważył jeszcze ani mnie, ani kruków, ale usłyszał Łów i wie, że jesteście za nim.

Nie bardzo rozumiałem, co niby jej zdaniem miałbym zrobić z tą informacją. Mój nierzeczywisty konik nie miał nawet lejców. Nie mogłem go zawrócić, zwolnić czy przyspieszyć. Z praktycznego punktu widzenia byłem właśnie na przejażdżce w wesołym miasteczku zwanym Dziki Łów – wpięty bezwolnie w siodło. Tak mniej więcej.

Naszym oczom ukazał się zabójca, bo głowę i ramiona oświetlał mu teraz księżyc, ale poza tym było go mniej więcej tak łatwo dojrzeć jak Dziki Łów. Wylądował na płaskim dachu przed nami, obrócił się i trzymając pistolet w prawej ręce, a stabilizując lewą, wykonał kilka metodycznych rundek ostrzałów, póki trzecia nie wypchnęła Odyna z siodła. Bóg poleciał do tyłu i zobaczyłem, jak ląduje w dziwnej pozycji na dachu poniżej. Dziki Łów pędził jednak dalej, a ja obróciłem się i zdążyłem jeszcze zobaczyć, że wymachuje

rozpaczliwie rękoma, więc żyje. I wtedy właśnie też mnie coś pchnęło do tyłu, a że zostałem postrzelony, zrozumiałem dopiero, gdy spadałem już na ulicę, nie na wygodny dach.

W takich właśnie sytuacjach w pełni doceniam moje charmsy, dzięki którym wystarczy jedno mentalne polecenie, a nie całe wypowiedziane splotu na głos. Włączyłem charms pozwalający na przemienienie się w wydrę, po czym przekręciłem się nogami w dół, przez co wpadłem w mój nagle dużo za duży smoking. Zadziałał jak prowizoryczny spadochron, uderzenie więc było jedynie bolesne, nie śmiertelne. Pisk opon świadczył o tym, że zaraz może mnie i tak spotkać śmiertelny wypadek, ale, bogom dzięki, Norwegowie nie mają w zwyczaju przejeżdżać eleganckich ubrań, które spadają na nich z nieba. Gdy wydawałem ciche popiskiwanie wydry i usiłowałem ocenić, w jak złym stanie się znalazłem, usłyszałem, że drzwi się otwierają, zamykają, a potem zbliżają się do mnie czyjeś kroki. Ktoś chciał sprawdzić, czy smoking ma jakąś zawartość. Próbowałem przepchać się przez kołnierzyk, ale dopiero wystawiałem z niego głowę, bo moje ciało nie bardzo chciało się poruszać. Kula trafiła między dziewiątym a dziesiątym zębem po mojej lewej stronie, co oznaczało, że właściwie zgruchotała mi śledzionę. Uruchomiłem charms uzdrawiający i licząc na to, że Morrigan mnie usłyszy, nadałem mentalny komunikat:

Sukinkot mnie trafił. Odyna też.

Przecież cię ostrzegałam – padła odpowiedź. – Teraz już wiesz, dlaczego musieliśmy ci naprawić tatuaż. Już lecę.

Nad sobą usłyszałem szybką sekwencję strzałów. Kobieta – bo była to kobieta – która mało mnie nie przejechała, drgnęła, pisnęła cicho i zadarła głowę. Potem obejrzała się, bo za nią już zaczęło się trąbienie. Mnie jak dotąd nie zauważyła.

A co z zabójcą? – spytałem Morrigan.

Psy z Dzikiego Łowu właśnie go rozszarpują. Odkrył na drodze eksperymentu, że kule nie działają na bezcielesne widma.

Ale w ten sposób nigdy się nie dowiemy, kto go nastął – zdenerwowałem się.

Myślę, że już wkrótce poznamy odpowiedź.

Miła pani, która mnie nie przejechała, w końcu jednak spojrzała na tyle nisko, że mnie zauważyła. Na swetrze miała wielki żółty znaczek, na którym napisane było *Linda*. Zmrużyła skryte za wielkimi okularami oczy i pochyliła się niepewna, czy nie ma halucynacji.

– O! To wydra! Śliczna, mała wyderka! A ty co tu robisz? Chwila. A co ja tu robię? Aaa! Przestańcie trąbić! No już, wyderko. Uciekaj stąd. Uciekaj z ulicy. – Zaczęła mnie zganiać ręką z ulicy, jakby ludzkie gesty były uniwersalnie zrozumiałe dla wszystkich zwierząt. Odwróciłem się na plecy i starałem się wyglądać rozpaczliwie, co nie było jakimś wielkim wyzwaniem dla moich talentów aktorskich. Linda natychmiast zauważyła, że coś mi dolega. – Hej, co tobie? Nie wyglądasz najlepiej. Biedactwo.

Wydałem zawodzący jęk, żeby jeszcze bardziej przycisnąć guzik zwany współczuciem. Magia nie magia, zostałem przecież postrzelony i za wszelką cenę chciałem się stąd wydostać. Zadziałało.

– Oj! Ty chyba jesteś chora. Zabiorę cię do weterynarza, jeśli obiecasz, że mnie nie ugryziesz.

Pojęcia nie miałem, jakiej obietnicy spodziewała się po wydrze. Zaczynałem podejrzewać, że Linda cierpi na jakieś poważne zaburzenia. Mimo to jednak była to dobra dusza i uznałem, że jest większa szansa, że to ona mi pomoże, niż że zrobi to ktokolwiek inny. Powtórzyłem więc zawodzący jęk i przymknąłem oczy. To przeważyło szalę.

Podniosła mnie, owinęła w koszulę i zabrała do samochodu. Był to jeden z tych europejskich drobiazgów, co wyglądają jak pudełka od zapalek na kólkach. Płaszcz i spodnie zostawiła na ulicy. Mało mnie nie upuściła, gdy się zorientowała, że krwawię.

– Och, nie! Boże! Proszę cię, nie umieraj!

Teraz to już zupełnie ignorowała trąbienie za plecami. Już jej to zupełnie

nie obchodziło. Miała misję. Otworzyła drzwi pasażera i ostrożnie położyła mnie na siedzeniu, a potem obiegnęła samochód i siadła za kierownicą. Zaszyłem się w koszuli, która zupełnie zasłoniła mi przednią szybę, i dlatego w ogóle nie zauważyłem ataku. Linda też nie, bo gdy nastąpił, patrzyła akurat na mnie.

Postać w czerni zleciała na nas prosto z nieba i rąbnęła pięścią w maskę samochodu w chwili, gdy Linda naciskała pedał gazu. Przednia część została na miejscu, ale tylna skoczyła do góry, a ja zleciałem z siedzenia. To nie wpłynęło najlepiej na stan mojej śledziony.

Linda wrzasnęła, lecąc do przodu. Poduszka powietrzna po stronie kierowcy zadziałała zgodnie z obietnicą producenta. Trąbienie za nami ustało, bo ludzie połapali się, że jednak dzieje się coś poważnego i korek nie zrobił się z winy czyjegoś kaprysu.

– Wychodź! – wrzasnął wściekły głos. To mógł być głos kobiety. Mówiła po norwesku. Linda albo była zbyt zdezorientowana, albo zbyt rozsądna, żeby wykonać ten rozkaz.

Zaatakowała nas – zameldowałem Morrigan.

Widziałam. Jeśli zapomnę powiedzieć potem, to dziękuję za wspaniały wieczór zupełnego chaosu.

Hmm. Nie ma za co?

Wzdrygając się z wysiłku, zdołałem wyplątać się w końcu z koszuli od smokingu i wczołgać z powrotem na siedzenie pasażera, gdy drzwi kierowcy otworzyły się raptownie, a Linda została siłą wyciągnięta z samochodu. Powinna była zapiąć pasy.

Przemieniłem się z powrotem w człowieka i jęknąłem głucho, gdy moje wnętrzności znów uległy przetasowaniu. Nie poprawiało to jakoś znacząco mojej sytuacji, tyle że teraz lepiej widziałem, co jest grane. Spod maski wydobywały się kłęby pary. Samochód był już raczej na straty. Postać w czerni, którą zobaczyłem, nie zamierzała wcale wyciągać mnie też z samochodu. Chciała unieść autko i cisnąć nim ze mną w środku – boska wariacja na temat zabójstwa drogowego. Nie mogłem jeszcze wywnioskować

wiele na temat atakującego, bo nie tylko ubrany był na czarno jak typowy najemny zabójca, ale jeszcze miał do tego kominiarkę. Ani jedna część jego ubrania nie była zrobiona z naturalnych materiałów, więc nie miałem czego splatać. Szukałem palcami klamki, a tymczasem Czerniak uniósł samochód od przodu, chwytając lewą ręką za koło, a prawą chyba za przedni zderzak. Znajdowanie się w samochodzie, który właśnie odrywa się od ziemi, jest dość przerażające. Ma się to przemożne wrażenie, że coś tu jest nie tak, gdy wisi się w powietrzu w aucie, które nie znajduje się na planie filmowym i nie bierze wcale udziału w jakimś kaskaderskim wyczynie.

Morrigan sfrunęła z nieba, przemieniła się w locie i kopnęła tajemniczą osobę w szczękę. Samochód runął na ziemię, ja rąbnąłem się w głowę, a potem miałem okazję zobaczyć, jak Morrigan ciska agresorem o asfalt. Naga. Bez żadnej broni. Na oczach rosnącego tłumu świadków.

Obydwie postacie zaczęły się poruszać szybciej, niż nadążało za nimi oko, przez co zlewały się nieco przy zadawaniu ciosów i kopaniu. A to oznaczało, że zabójcą jest jakiś bóg; żaden człowiek nie dałby rady tak walczyć z Morrigan. To przywodziło z kolei na myśl wampiry. Wyobrażam sobie, że wystarczająco stary wampir dałby może radę z nią walczyć. Morrigan tymczasem przerwała na chwilę walkę, by otrzeć krew z ust. Uśmiechnęła się, a czerwone były już i jej zęby, i oczy.

– Jesteś uroczą osobą, kimkolwiek jesteś.

Żałowałem, że nikt nie kręci tego dobrą kamerą, żebym mógł potem spokojnie podziwiać sobie sztukę walki. Te kilka osób, które usiłowały nagrać nocną walkę na komórkach, raczej spotka rozczarowanie. Morrigan i anonimowa postać znów rzuciły się na siebie, wymieniając głośne uderzenia, a jednak wyraźnie nie dając rady uczynić sobie nawzajem żadnej większej krzywdy.

Otworzyłem drzwi do samochodu i wymknąłem się na ulicę bez kamuflażu, bo starałem się oszczędzać resztki magii. Zacisnąłem ręce na otwartej ranie, której nie miałem na razie jak zamknąć, bo kula nadal tkwiła w

środku i trzeba by było najpierw ją wyciągnąć. Moje pojawienie się wywołało komentarze społeczeństwa. Głównie były to rozmaite wersje zdania: „Ten mężczyzna jest nagi i krwawi!”, ale nie byłem oczywiście aż tak zajmujący jak kobieta, która była nie tylko naga, ale i bardzo wojownicza. Jedyna Linda – która na szczęście wyglądała na całą i zdrową, może jedynie nieco obita – uznała moje pojawienie się za fascynujące i przerażające.

– A to kto? Skąd on się wziął w moim samochodzie? Nie znam tego człowieka! Przysięgam, że to nie mój facet! Nie jechałam przecież z nagim facetem! A w sumie szkoda, jak się tak nad tym zastanowić. Niezły widok. Hmm!

Niewiele mogłem pomóc w walce. Nie byłem w stanie dorównać im prędkością czy siłą i miałem teraz kilka dość obolałych kawałków. Mimo że moje wyniki w starciach z pogańskimi bogami i wampirami prezentowały się niezłe na papierze, wcale się nie paliłem do walki z kimś, kto dorównywał siłą Morrigan. Poza tym miałem się przecież ukrywać, więc rosnąca liczba kamer z komórek wpędzała mnie w lekkie podenerwowanie. Wycofałem się, dziwacznie kuśtykając, i zmierzałem w stronę mrocznego zaułka między budynkami. Nikt mnie nie próbował powstrzymać, póki nie wszedłem między kamienice.

W ciemności zamajaczyła mi szara postać. Księżycowa poświata oświetlała skroń i nos. Krew zalała tunikę i sączyła się przez płaszcz z prawej części jego torsu.

– Dokąd to? – spytał Odyn.

– Och! Jak najdalej. Chyba. Jeszcze tego nie zdążyłem przemyśleć. Ktokolwiek to jest, gdyby potrafił mnie namierzyć, nie musiałby rzucać czarą na naszyjnik Frigg, a poza tym nie czuję się chwilowo na siłach walczyć.

– Ja też nie – warknął Odyn. – Załatwiliśmy, co mieliśmy załatwić. Możesz iść. Ale nie chciałbyś się dowiedzieć, kto chce cię zabić? Bo ja bym chciał.

– Uznałem, że ktoś mi potem da znać, co odkryliście. A gdzie się podział Dziki Łów?

– Odesłałem go już. Świetnie się sprawdza nad dachami, ale na poziomie ulicy, wśród cywilów, już mniej.

– Słuszne rozumowanie. À propos, gdybyś chciał przesunąć tę walkę w zaułek, żeby łatwiej ci ją było obserwować, chyba dałbym radę to załatwić. Nie byłoby tu też tych cywilów, chyba że któryś by przylazł z ciekawości.

– Zrób to.

Odyn zaczął z powrotem zmieniać swój image z Szarego Wędrowca na imponujący autorytet w smokingu.

Przesuńcie się do zaułka za wami. Jestem tu z Odysem – nadałem w umyśle do Morrigan. Nie dostałem odpowiedzi, ale charakter walki się zmienił.

Morrigan zmieniła taktykę i udało jej się chwycić przeciwnika czy też przeciwniczkę i cisnąć nim (nią?) przez całą ulicę, aż do zaułka, w którym czekaliśmy. Zgromadzony tłum wydał zbiorowy okrzyk zdumienia. Napastnik wylądował z hukiem u naszych stóp. Odyn pochylił się i lewą ręką zerwał mu maskę. Okazało się, że była to jednak kobieta.

W pierwszej chwili jej nie poznałem, bo włosy miała potargane, a nos i usta zalane krwią. Poza tym patrzyłem na nią do góry nogami. Ona jednak rozpoznała mnie i natychmiast, jeszcze leżąc, zamachnęła się nogami tak, żeby podciąć moje. Przeskoczyłem nad nimi, jakby to była skakanka, ale nie podkręciłem sobie prędkości, a ona było o wiele szybsza. Zerwała się z ziemi, nim się zorientowałem, co zamierza, i rąbnęła mnie w splot słoneczny, aż poleciałem tyłem w głąb zaułka. Rzuciłaby się z pewnością za mną, gdy Odyn nie chwycił jej lewą ręką za gardło. Zawyla, usiłując mu się wyrwać, ale on nie puszczał, a jego uścisk był gorzej niż żelazny. Jak na faceta, który nie czuł się na siłach, by walczyć, całkiem niezle sobie radził.

– Poddaj się, Freju! W tej chwili!

Freja, nordycka bogini wojny i piękna, miała nieco ponadprzeciętną liczbę powodów, by mnie nienawidzić. Nie musieliśmy jej wcale wypytywać. Zabiłem jej brata i podjąłem bardzo nierozsądną decyzję, by sprzedać ją za pomoc ze strony olbrzymów mrozu. Ragnarök nie Ragnarök, ona będzie

nienawidziła mnie po wsze czasy i za wszelką cenę szukała mojej śmierci. Odyn przycisnął ją do muru, tak że jej stopy wisały nad ziemią. Po chwili przestała się wrywać i osunęła bezwładnie. Wtedy pozwolił jej dotknąć ziemi i poluzował uścisk, ale jej nie puścił.

– Omówimy twoją zdradę, gdy wrócimy do Asgardu – warknął.

– Kto tu kogo zdradził, Odynie? – syknęła, plując krwią. – Zawierasz porozumienie z mordercą własnych ludzi i...

– W Asgardzie! – ryknął Odyn.

Zamilkła, zacisnęła usta i oczy. Widać nie chciała nawet na mnie patrzeć, jeśli nie mogła mnie zabić. Wstałem, ale język trzymałem za zębami. Nie było słów, którymi zdołałbym ją przeprosić za moje przewiny.

Nadeszła zakrwawiona i posiniaczona Morrigan.

– Bardzo miło było mi cię poznać, Freju. Szczególnie od tej strony. – Uśmiechnęła się krwawo. – Mam nadzieję, że wkrótce znów będziemy miały okazję się spotkać.

Freja nie odpowiedziała.

Odyn odwrócił głowę w moją stronę.

– Nie wiem, jak wyrazić moje ubolewanie...

– Nie ma o czym mówić – zapewniłem go. – Nasza umowa nie ulega zmianie. Daj mi kilka dodatkowych dni na wygojenie ran i załatwienie dostarczenia Gungnira. Powiem twoim krukom, gdzie mają go odebrać. I stawię się do pomocy na koniec świata, jeśli świat mnie przedtem nie zabije.

Skinął mi dostojnie głową.

– Gdybyś mógł nas zostawić teraz na osobności.

Uczyniłem to z wielką przyjemnością.

Morrigan, musimy pozabierać komórki świadkom. Nie możemy pozwolić, żeby internet zalały filmiki z waszą walką albo ze mną w tle.

Ja to zrobię. Ty idź i się lecz, Siodhachanie. – Podeszła bliżej i złożyła mi na ustach krwawy pocałunek. – *Odezwij się. Chętnie skoczę na mecz baseballu.*

Rzuciła na siebie kamuflaż i zniknęła mi z oczu. Zaraz potem dało się słyszeć na ulicy okrzyki rozpacz, gdy kolejne telefony wyskakiwały z rąk, torebek i plecaków, by ulec tajemniczej autodestrukcji na chodniku. Nikt nikomu nie udowodni, że na ulicach Oslo walczyli bogowie. Pozostawała tylko niczym niepotwierdzona plotka.

Zostawiłem Odyna i Freję w ciemnym zaułku, po czym puszczając mimo uszu zaintrygowane okrzyki gapiów, podniosłem spodnie i marynarkę z ulicy. Gdy już byłem ubrany, mogłem wreszcie kilka przecznic dalej złapać taksówkę, która wywiozła mnie w las, i tam w końcu udało mi się wynieść w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Podleczyłem się, powędrowałem trochę po południowo-zachodnim Kolorado, aż znalazłem miejsce w lesie, które można było uznać za bezpieczną kryjówkę. Domek nadawał się do gruntownego remontu. Była to stara górnicza chatka w górach pod niewielką miejscowością o nazwie Ouray, charakteryzowała się więc idealną odludną lokalizacją. Jedynymi osobami, które w ogóle zapuszczały się tak daleko, byli miłośnicy jeepów z napędem na cztery koła, a oni nigdy nie zatrzymywali się przy chatce. Czasami zajeżdżali do kopalni Camp Bird Mine, która znajdowała się nieco niżej, ale głównie pędzili cieszyć się dzikimi kwiatami w Yankee Boy Basin. Zresztą nawet oni pojawiali się tylko latem, bo droga była nieprzejezdna, gdy tylko spadł śnieg, a ten nie zamierzał przecież stopnieć aż do późnej wiosny. Mogłem bez trudu się tam przenieść, bo okolica obfitowała w sosny i świerki, a gdy już splotłem je z Tír na nÓg, mogłem pojawiać się w zasięgu skoku kung fu od drzwi.

Przez Hala Hauka załatwiłem kupno chatki i postanowiłem, że użyję jej jako skrzynki pocztowej do przekazania Gungnira. Załatwianie papierków trwało dłużej, niżbym chciał, ale gdy wreszcie dostałem klucze i zapewniono mnie, że nikt nie będzie mi się kręcił po terenie, przeniosłem się do kanionu de Chelly, a stamtąd podjechałem autostopem do naszej przyczepy na Many Farms. Moja uczennica i mój pies byli dość zadowoleni z mojego powrotu i zadawali mi mnóstwo pytań.

Uniosłem dłoń i pokazałem im jej wierzch.

– Morrigan połatała mi tatuaże. I wiele innych rzeczy – powiedziałem. – A u was wszystko w porządku?

– Było. Póki kilka dni temu coś nam tu w okolicy nie zdechło czy coś – odparła Granuaile. – Bo cały czas krążą nad nami te okropne kruki. Ale nie udało nam się namierzyć tej padliny i cholerstwa za nic nie chcą odlecieć.

Wskazała na niebo, gdzie unosiły się nad nami dwa czarne cienie. Gdy tylko na nie spojrzałem, kruki sfrunęły i usiadły na naszej przyczepie zupełnie tak, jak zwykła to robić Morrigan.

– Dobra, to jest naprawdę dziwne. Szkoda, że nie masz popiersia Pallas – mruknęła Granuaile.

<Albo krakersów. Ponoć ptaki uwielbiają krakersy>.

– Wiem, kim są te ptaki – powiedziałem.

– Kim są? To zmiennokształtni? – spytała Granuaile.

– Nie. To Hugin i Munin. Kruki Odyna. – Wyciągnąłem mapę mojej nowej nieruchomości i pokazałem ją ptakom. – Odynie – powiedziałem, zwracając się do kruków – zostawię Gungnira w Midgardzie, w chacie, której położenie jest zaznaczone na tej mapie. – Pokazałem mu zakreślony obszar. – Będę tam jeszcze dziś wieczór. Chata jest niezamieszкана i otwarta. Zostawię Gungnira w szafie w głównej sypialni. Bezpiecznej podróży.

Złożyłem mapę i cisnąłem ją na dach przyczepy. Kruki zakrakały i jeden skoczył, żeby porwać mapę w swoje szpony. Odleciały, wrzeszcząc przy tym niemiłosiernie, a ja znów miałem spokój i mogłem się skupić na szkoleniu uczennicy.

<Hmm. Czyli że jednak nie chciały krakersa. Kolejny mit obalony>.

– To byli Hugin i Munin?

– Ano. Granuaile, gdybym podczas następnych lat twojej nauki nagle zaczął się nudzić i pragnąć akcji, przypomnij mi o tym epizodzie, dobrze?

– Nie wiem właściwie, co to był za epizod, ale jasne, sensei.

<A właśnie, Atticusie, miałem ci przypomnieć, że musimy jechać na to

barbecue w Atlancie!>

Barbecue w Atlancie?

<No gdzieś na południu. Mówiłeś, że dostanę tam rwaną wieprzowinę i mostek wołowy>.

Naprawdę jakoś nie pamiętam.

<Widzisz, właśnie dlatego musiałem ci przypomnieć>.

Uśmiechnąłem się.

Jesteś bardzo sprytnym psem.

<A ty jesteś doskonałym dostarczycielem pożywienia>.

Nie podlizuj się.

– To kiedy dowiem się, o co chodziło w tym całym epizodzie? – spytała Granuaile. – Wygląda na to, że Odyn wrócił.

– Ano wrócił. Opowiem ci wszystko wieczorem. Muszę jeszcze coś załatwić. Kontynuuj trening i udawaj, że mnie nie ma.

– Tak jest, sensei.

Gungnir był zakopany w ziemi tuż obok przyczepy i skryty w żelazie, żeby nie dało się go wywróżyć. Z pomocą żywiołka Kolorado i żywiołka żelaza Ferrisa wyciągnąłem go bez większych problemów. Przyjrzałem mu się, żeby się upewnić, że jest w dobrym stanie, ale starałem się nie dotknąć ozdobionego runami grotu, żeby moja aura nie zniszczyła magii.

Ta włócznia już przelała mnóstwo krwi, a teraz zwrócę ją Odynowi i przeleje jeszcze więcej. Ale ludzie, którzy są żądni rozlewu krwi, zawsze znajdą sposób, żeby ją przelewać, zupełnie tak, jak ludzie dobrej woli zawsze znajdą sposób, by być błogosławieństwem dla bliźnich.

Budować i hodować jest o wiele trudniej niż ścinać. Spędziłem kiedyś dwanaście lat na pokazywaniu uczniowi, jak przyjmować magię ziemi, a potem w jednej chwili odrąbał mu głowę jakiś wojownik Al-Mansura w Galicji. Wraz z Cíbranem straciłem zapał do tego żmudnego procesu szkolenia – i to straciłem go na o wiele zbyt długo. Miałem sporo wątpliwości, nim zabrałem się do uczenia Granuaile, a i potem kilka razy zastanawiałem się, czy podjąłem

słuszną decyzję.

Ale spotkanie z Odyнем dało mi nową nadzieję. Teraz, gdy walczyliśmy tak jakby po tej samej stronie, a on utrzyma moją udawaną śmierć w sekrecie, z lżejszym sercem myślałem o pozostałej nauce i zaczynałem nawet wierzyć, że może przez te lata nikt nas nie namierzy i nie zniszczy.

Nie bardzo wierzyłem natomiast w moją zdolność skupiania się przy Granuaile. Po całych tygodniach z Morrigan i jej huśtawkach nastrojów niczego tak nie pragnąłem, jak porozmawiać z Granuaile, nacieszyć się jej żywym umysłem, poczuciem humoru i zrównoważoną osobowością. Nie żeby Granuaile była zupełnie spokojna czy pogodzona z sobą, ale przynajmniej była na dobrej drodze i wspaniale było to czuć i doceniać. Morrigan natomiast była zagubiona na zawsze w kompletnej dziczy psychologicznej. Ale przez to wszystko obawiałem się, że się zagapię i uśmiechnę do Granuaile w sposób, który pokaże jej, jak bardzo mi na niej zależy.

Pogoda też mi raczej nie sprzyjała, jeśli chodzi o fizyczną stronę tej całej sytuacji. Nadal było upalnie, a Granuaile wkładała bardzo obcisłe ciuchy na treningi. Gdy miałem właśnie wyciągnąć Gungnira z ziemi, ćwiczyła zaawansowane ruchy tai chi.

<Atticusie, powinienem cię ostrzec, że znajdujesz się w strasznym niebezpieczeństwie>.

Bez przesady. Ledwie zaczęła.

<No tak, to prawda. Zresztą i tak nam się skończyły przekąski, więc brak mi zachęty do ratowania cię przed twoimi zwierzęcymi żądzami>.

Co? Jak to skończyły się nam przekąski?!

<Bardzo słuszne pytanie! Granuaile zauważyła ten brak już kilka dni temu. Powiedziała: „Skończyły nam się przekąski”. Słyszałem ją dobrze. A potem nie zrobiła nic, by temu zaradzić. Mogę tylko wyprowadzać z tego wniosek, że ona chciała, żeby te przekąski się skończyły. A z tego z kolei wnioskuje, że nie chce, żebym cię więcej ratował. Strzeż się, druidzie! Rozpracowała nas!>

Nie chciałem mu wierzyć, ale jestem z natury podejrzliwy. Obróciłem więc

głowę i zobaczyłem, że ruchy Granuaile są idealne. Była absolutnie urzekająca. No i oczywiście zaraz mnie przyłapała na gapieniu się.

Bogowie niejedyni, chyba masz rację! Szybko! Do Geekomobilu!

<Pędem!>

Niedawno sprzedaliśmy hybrydowego SUV-a Granuaile i kupiliśmy nowego o jasnozielonym lakierze, który to kolor producent postanowił ochrzcić mianem „Lime Squeeze”. Odcień miało toto zupełnie jak Mountain Dew, ulubiony napój wszystkich nerdów, geeków i dorków, w pełni więc zasługiwało na miano Geekomobilu.

Wrzuciłem Gungnira do bagażnika i otworzyłem drzwi Oberonowi, żeby wskoczył do środka.

– Hej, a wy dokąd? – spytała Granuaile.

– Musimy uzupełnić zapasy – powiedziałem. – Skoczmy do Chinle.

A potem do kanionu de Chelly, skąd mogłem już z łatwością przenieść się do chaty pod Ouray i podrzucić tam włócznię Odyne. Moglibyśmy też wybrać się tam z Oberonem na polowanie.

– Chcę jechać z wami!

– Nie, ty musisz trenować. Poćwicz rzucanie nożami do celu i nie zapominaj o ćwiczeniach z kijem. Jutro zajmiemy się nowymi sztukami walki, obiecuję. I chcę się jutro dowiedzieć, jak ci idzie ze staroirlandzkim.

Zatrzasnąłem drzwi i włączyłem silnik, nim zdołała mnie przekonać, żebym ją zabrał. Uciekaliśmy tak szybko, że aż się za nami kurzyło.

<To ile jeszcze lat musisz ją szkolić? Pięćset czy coś?>

Tylko sześć.

<To nie ma znaczenia. Będziesz musiał wymyślić jakiś inny plan. Nie żebym miał coś przeciwko przekąskom>.

Wiem, ale kończą mi się już pomysły.

<Możesz, jak będzie spała, domalować jej wąsy niezmywalnym markerem>.

Ma przecież lustro, Oberonie.

<No dobra. To zabierz ją do fryzjera i zapłać mu ukradkiem, żeby ją ściął z tyłu długo, z przodu krótko, skoro nie ma mieć wąsów na przedzie>.

To by pewnie zadziało. Tylko że zabiłaby mi tego fryzjera.

To by w życiu nie zadziało. Tej dziewczyny nie zepsuje jakaś tam fryzura.

<No to już nie wiem. Wyczerpały mi się pomysły. W końcu odwalicie razem Discovery Channel, a potem z wyrzutów sumienia sprawisz sobie włosienicę i będziesz spać w żelaznej dziewicy. Twój koniec już bliski>.

Te słowa przypomniały mi o mojej obietnicy, że będę walczył po nordyckiej stronie podczas Ragnaröku, kiedy i jeśli nadejdzie.

Nasz koniec jest bliski tak czy siak – stwierdziłem. – A tymczasem jednak zamierzam doceniać to, co mam.

<O, w tym to zawsze mogę ci pomóc! Przede wszystkim masz mnie!>

Wetknął łeb między siedzenia i oblizał mi ucho. Był to klasyczny Wet Willy. Odsunąłem się w panice i roześmiałem.

I bogom dzięki, chłopie – powiedziałem.

Naganiacz dusz

Opowiadanie to opisuje wydarzenia rozgrywające się sześć lat po tych z tomu Zbrodnia i Kojot, a dokładniej dwa tygodnie po przygodach z opowiadania Dwa kruki i jedna wrona.

Kansas napawa mnie strachem.

Nie jest to panika, od której człowiek kurczy się cały z palcami u stóp włącznie, a ramiona spinają mu się w oczekiwaniu na najgorsze. To raczej mętny niepokój, a nawet pewność, że to, co się może nie udać, na pewno się nie uda i przysporzy mi wielu kłopotów. Trochę jak przerażenie, które się odczuwa, gdy się ma poznać ojca dziewczyny. Niby wiesz, że jakoś to będzie, ale zarazem masz bolesną świadomość, że w głębi duszy ten facet wolałby, żebyś stał się eunuchem, i chętnie sam przeprowadziłby odpowiedni zabieg. Ja mam podobnie z Kansas. Ale podobno tam jest całkiem miło. Tak mówią.

Cały ten mój strach wziął się z jednego głupiego błędu – błędu popełnionego dawno, dawno temu. Zwykle jestem bardzo ostrożny i zasłaniam swoje myśli, starannie dobierając te, które trafiają do łacińskiej przestrzeni myślowej, bo tą właśnie posługuję się w rozmowach z żywiołakami, które użyczają mi moich druidzkich mocy. Ale raz – raz jedyny! – wymsknęła mi się myśl, że środkowe równiny w Ameryce są nieco nudne. Usłyszał mnie żywiołak, którego nazywam Bursztynową, bo mi się kojarzy z „bursztynową falą zboża” z wiadomej pieśni patriotycznej¹. I od tamtej chwili słono płacę za tę jedną chwilę nieuwagi. W tych rejonach magia nie przychodzi mi już tak

lekką. Bywa, że sploty pryskają bez żadnego sensownego powodu i wiem wtedy, że to Bursztynowa znów mi robi na złość. I dlatego zawsze jestem dość spięty, gdy tam wyląduję, a ludzie się zastanawiają, czy cierpię na niestrawność, czy co mi jest. A może tylko tak się na mnie dziwnie gapią, bo nie wyglądam na autochtona. Z moją głową surfera bez trudu wtopiłbym się w tłum na kalifornijskiej plaży, ale w gawiedź na Festiwalu Pszenicy w Kansas to już raczej nie.

Festiwal odbywał się w Wellington, mieście rodzinnym mojej uczennicy Granuaile MacTiernan. Wpadliśmy tam w przebraniach, bo chciała sprawdzić, jak sobie radzi jej matka. Kilka lat wcześniej upozorowaliśmy śmierć Granuaile (naprawdę nie mieliśmy wyjścia), ale teraz martwiła się, jak jej matka to znosi. Dotąd wystarczały jej informacje od prywatnych detektywów, którzy podejmowali się dla nas śledzenia rodzicielki przez dłuższy czas, ale w końcu zwyciężyła przemożna potrzeba zobaczenia matki na własne oczy. Nie udało mi się przekonać mojej podopiecznej, że odwiedzanie ludzi, którzy myślą, że już nie żyjesz, to nie jest najlepszy pomysł, więc przynajmniej postanowiłem jej towarzyszyć, na wypadek gdyby udało jej się wpakować w jakieś tarapaty. Granuaile uparła się, że tak ciężko trenujemy, że należą nam się wakacje, a że akurat wróciłem z Oslo, gdzie o mały włos uniknąłem śmierci, nie musiała mnie długo przekonywać, że już nawet dla zdrowia psychicznego należy mi się chwila wytchnienia. Zabraliśmy ze sobą mojego wilczarza irlandzkiego Oberona i obiecaliśmy mu, że wybierzemy się na polowanie.

<Pozwólcie mi dorwać w końcu te pieski preriowe, to im wytłumaczę, co to jest prawdziwy pies> powiedział. <Albo zapolujmy na antylopę. Możemy na antylopę, proszę?!>.

Jasne, stary – odpowiedziałem przez nasze mentalne łącze. Ale to się będziesz musiał nieźle nabiegać. Zwłaszcza że na takim płaskim terenie trudno się zakrada.

<Wystarczy, że gdy już będziemy biec, zanucisz mi początek z Rydwanów ognia, a wtedy antylopa przejdzie na zwolnione tempo jak na tym filmie, i już

będzie moja>.

To jednak chyba tak nie działa.

Granuaile miała teraz włosy przefarbowane na czarno, a do tego mocno naciągniętą na oczy czapeczkę Colorado Rockies, zniknęła więc jej główna cecha rozpoznawcza. Do tego założyła też tak wielkie okulary przeciwsłoneczne, że zasłaniały nie tylko jej zielone oczy, ale i większość piegów. Koszulka browaru Dry Dock Brewing z Aurory, szorty khaki i sandały nadawały jej wygląd ekohipiski z okolic Denver. Ja ubrany byłem bardzo podobnie, tylko że czapeczkę założyłem tył na przód, bo Granuaile powiedziała, że wtedy wyglądam na kompletnie zagubionego we wszechświecie, a o to mi właśnie chodziło. Skoro byłem zagubionym ekohipisem, to nie mogłem przecież być prastarym druidem, który sześć lat temu powinien był zginąć na pustyni w Arizonie.

W Wellington wszyscy znali mamę Granuaile, bo wszyscy znali jej ojczyma. Beau Thatcher był prawdziwym baronem nafowym i zatrudniał spory odsetek tych, którzy nie parali się uprawą pszenicy. Wystarczyło kilka pytań i dobra plotka – przedstawialiśmy się jako przyjaciele zmarłej córki – a resztę załatwiła za nas małomiasteczkowa wścibskość. Dowiedzieliśmy się w ten sposób, że matka Granuaile jest pogrążona w żałobie jak się patrzy (z takim wyjątkiem, że nie zamknęła się na szczęście w domu z tabletkami i czymś mocniejszym). Wyglądało w każdym razie na to, że znosiła to mniej więcej tak, jak się tego należało spodziewać, choć gdy wyraziliśmy nieśmiałą (i nieszczerą) chęć złożenia jej wizyty, jedna z jej „najlepszych przyjaciółek” poinformowała nas, że teraz to akurat jej nie zastaniemy, bo wybrała się na rejs po Karaibach, w przeciwnym bowiem razie z pewnością wybrałaby się na festiwal.

Miałem cichą nadzieję, że nie widać po mnie, jak bardzo mi ulżyło. Mimo że już wcześniej kazałem Granuaile przysiąc, że nie będzie się pchała do domu matki, to przecież istniało ryzyko, że wpadniemy na nią choćby na ulicy. Teraz mogłem już zupełnie wyluzować, bo Granuaile będzie musiała się zadowolić spokojnym i bezpiecznym śledzeniem pośrednim, jakie zalecał przecież sam

Poloniusz: „Tak to rozumni, zręczni ludzie, boczkim, kołując z dala, zachodząc, umieją trafić do celu...”².

Zaspokoiwszy więc potrzebę dowiedzenia się, co u matki (choć nie potrzebę jej zobaczenia), postanowiliśmy zajść na festiwal, na którym można było między innymi pociskać sobie krowimi plackami do celu. Oberon jakoś nie chwycił, co w tym zabawnego.

<Nie kumam. Niby twierdzicie, że stoicie wyżej od szympansów, bo one rzucają swoimi kupami, a wy nie, ale już ciskać cudzymi odchodami to można? No powaga, macie przeciwstawne kciuki i taki z nich robicie użytek?>.

Na festiwal zjechało też tradycyjne wesołe miasteczko, które miało chyba uatrakcyjnić zwykłe, nieco może nudnawe pszeniczne zabawy. Były karuzele i kolejki i wyglądały nam na takie, od których odpowiednio skacze adrenalina, toteż o zachodzie słońca przeszliśmy przez bramę zobaczyć, czy uda nam się trochę rozerwać. Okulary głupio by wyglądały o tej porze, więc Granuaile tylko jeszcze mocniej naciągnęła czapkę na oczy.

Choć wszystko wskazywało na to, że przepisy BHP nie są tu sprawą priorytetową, na wszelki wypadek zakamuflowałem Oberona, żeby nas jednak nie wyproszono. Jego pigment splótł się z tym z otoczenia, dzięki czemu jeśli mój pies się nie ruszał, był właściwie niewidoczny, a w nocy to już w ogóle nie dało się go zauważyć.

To zadziwiające, że chodzący sobie spokojnie czworonóg stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa i higieny, ale serwowanie smażonej śmierci na patyku to już nie. Wyglądało na to, że sprzedawcy bynajmniej nie postawili sobie za punkt honoru używać do wyrobu swoich specjałów pożywnej pszenicy – choć zdawałoby się przecież, że na to wskazuje nazwa festiwalu. Głównie raczono gości solą, tłuszczem i cukrem z odrobiną rozmaitych kawałków zwierzęcych i wysoko przetworzonej skrobi.

Ostre światło i krzykliwe kolory farby, którymi pomalowano budki i wagoniki, najwyraźniej miały odwracać uwagę klientów od pokrywającej wszystko grubej warstwy brudu. Metalowe części karuzel piszczwały i

trzeszczały, narzekając na zbyt wiele lat ciężkiej pracy oraz ciągłe rozkręcanie i skręcanie z powrotem, za każdym razem wykonywane bez większej staranności, a już na pewno bez porządnej ilości smaru.

Obsługa była cierpiąca – powszechnie panoszyły się tu próchnica zębów oraz zapalenie dziąseł, co w zasadzie dawało niezłe pojęcie o tym, co się dzieje, jeśli się je serwowane tutaj jedzenie, a nie ma pod ręką szczoteczki do zębów. Pracownicy wesołego miasteczka nawet nie starali się zachowywać pozorów uprzejmości i stać ich było jedynie na złośliwe uśmiechy. Widać było, że skutecznie nauczono ich, by traktować ludzi jak żetony, które im przynoszą, i nic poza tym. Granuaile zapragnęła spróbować szczęścia w rzucie piłeczką do stalowych kanek na mleko.

– Jeśli masz ochotę, to się nie krępuj, ale ja nie mogę – powiedziałem.

– Dlaczego nie?

– Bo jeśli nie dam rady zbić kanek, ten typek na pewno zacznie sobie ze mnie kpić, a wtedy pójdzie mi na ambicję, zdecyduję się na oszustwo i rozplotę te jego umocowania. Wszystkie kanki pospadają i dostanę jakąś wielgachną przytulankę.

– Jeśli rzeczywiście jakoś podstępnie umocował te kanki, to przecież nie będzie żadne oszustwo. Tylko wyrównasz szanse. A gdybyś do tego mógł podarować swojej uczennicy jakąś wielgachną przytulankę za całą tę jej ciężką pracę, to naprawdę nie widzę minusów takiego rozwiązania.

<Hej, Atticusie! Przecież ja jestem wielgachny! A gdybyś mi załatwił jakąś pudlicę, to ona byłaby idealna do przytulania. W ten sposób uszczęśliwiłbyś i mnie, i Granuaile!>.

– Minus jest taki, że nie mam najlepszych układów z tutejszym żywiołakiem, Bursztynową. Wykorzystywanie energii ziemi do takich zabaw raczej nie wpłynęłoby najlepiej na nasze napięte stosunki. I tak już na pewno jej podpadłem, bo zakamuflowałem Oberona, żeby mógł tu się z nami poszwendać.

<Bardzo chętnie poszwendam się bez kamuflażu, Atticusie>.

Jeszcze byś wystraszył jakieś dzieci.

<Ja? Skąd! Przecież jestem taki przytulaśny! „Samotny wilczarz irlandzki lubi długie spacery po plaży i jak się go drapie po brzuchu”>.

Granuaile zafundowała sobie kilka rundek rzutów, a facet z obsługi uparł się oczywiście namawiać mnie, żebym ją „uratował”. Moja uczennica mało go za to nie zbiła na kwaśne jabłko, ale w sumie uroczo się opanowała.

– Co jest, koleś? Masz cęła jak baba z wesela? – kpił pracownik miasteczka.

– Co jest, koleś? Masz takie zęby, bo nie trafiasz szczoteczką do gęby? – odgryzłem się.

Potem już wolał nie otwierać ust. Granuaile skończyła rzuty i zmarszczyła brwi.

– Trochę to dziwne – powiedziała, gdy ruszyliśmy dalej. – Ludzie przychodzą tu, żeby się rozerwać, ale idę o zakład, że tylko psują sobie tu humor. Dzieci chcą za wszelką cenę dostać pluszaka, jeździć na karuzeli i objadać się cukrem, a rodzice kombinują, jak się stąd wydostać i nie stracić przy tym z oczu ani dzieci, ani pieniędzy. A wszyscy modlą się, żeby wyjść bez problemów żołądkowych, tylko że na to akurat nie mają raczej co liczyć.

– Masz rację.

– To dlaczego w ogóle tu przychodzą?

Wzruszyłem ramionami.

– Bo gonimy za szczęściem nawet wtedy, gdy nam ono umyka.

Minęliśmy kilka stoisk, ignorując kolejnych pracowników o niepokojącym stanie uzębienia, i patrzyliśmy sobie na ludzi wokół. Żadnych uśmiechów, tylko stres, złość i frustracja.

– Zobacz, tu na pewno nikt nie znajdzie szczęścia – mruknęła Granuaile.

Od strony kolejki górskiej docierały już do nas piski przerażenia.

– Może sprawi ci przyjemność kilka doświadczeń z siłą odśrodkową – zaproponowałem, machając ręką w stronę błyskających świateł karuzel i kolejek.

– Hm. – Uśmiechnęła się do mnie wesoło. – Skoro tak to ująłeś...

– Wchodźcie! Wchodźcie! – przerwał jej jakiś głos. – Bezcenna rozrywka za jedyne trzy dolce! Zobaczcie Niesamowicie Wąsatą Kobietę i Trzyrękiego Mężczyznę! Dajcie się zaskoczyć Nierozdzielonym Pięcioraczkom! Za mamę trzy dolce porywająca rozrywka dla ciała i duszy!

Naganiaczem wymyślającym te wszystkie niedorzeczności był karzeł na szczudłach. Ciemne portki w prążki i za duże buciory klauna maskowały jego drewniane nogi, które zupełnie się nie ruszały, podczas gdy jego maleńkie, lekko tłuste łapki w białych rękawach wymachiwały jak szalone. Czerwona kamizelka w paisley błyskała upiornie w światłach bijących od karuzel, tak że zdawało się, że ciało mikrusa stoi w ogniu. Oczy zasłaniał mu melonik, ale usta nie zamykały się ani na chwilę. I, trzeba przyznać, działał bardzo skutecznie. Przed żółtym namiotem stała już pokaźna kolejka. Może zresztą ludzi przyciągały nie tyle wrzaski naganiacza, co zdumione miny tych, którzy wychodzili z namiotu z drugiej strony.

– Niesamowite – wymamrotał jakiś mężczyzna i ledwo dał radę mnie wyminąć. Miał błędny wzrok i niepokojąco jak dla mnie rozdziawione usta. Nie mówił chyba do nikogo konkretnego. – We łbie się nie mieści. Szok. No po prostu szok – bełkotał.

Może to świadczy o moim cynizmie, ale pierwsze, co mi przyszło do głowy, to że to człowiek podstawiony przez kierownictwo lunaparku. Potem jednak zorientowałem się, że z namiotu wychodzi więcej takich zupełnie oszołomionych biedaków. Aż tylu nie daliby rady zorganizować, gdyby to rzeczywiście miała być tylko reklamowa manipulacja. Naganiacz tymczasem wciąż zachwalał cuda skryte w namiocie i udawało mu się skusić coraz więcej gapiów.

– Chodź tu, brachu, a zobaczysz Dom Strachu! Wejdiesz bez kłopotu do Upiornego Namiotu! Nigdzie nigdy nikt się tak jeszcze nie bał! Przeżyjcie przejmująco przerażającą przygodę waszego życia. Tylko trzy dolce, żeby zebrać, coście posiali!

Ostatnie zdanie wydało mi się mocno podejrzanе, ale gdy się rozejrzałem, zobaczyłem, że nikogo ono nie niepokoi. Był to bardzo dziwny sposób na zachwalanie rozrywki, ale ludzie i tak się pchali, żeby móc się pozbyć pieniędzy przy wejściu do namiotu, gdzie stał Hulkopodobny paker. Wchodziło ich do środka coraz więcej, a naganiacz produkował się jak mógł, nie szczędząc naszym uszom rymów, aliteracji i innych stylistycznych efektów specjalnych.

– Dwa niestworzone nowotwory po obu stronach nosa! Rak twarzy nie jest dla trwożliwych! Mamy strachy nawet i na Lachy! Niezapomniane przeżycia za jedyne trzy dolary!

– Hm – zainteresowała się Granuaile. – Brzmi intrygująco. Jak myślisz, co oni tam mogą mieć? Kobiетę, która dała sobie pomazać markerem po twarzy?

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

<Mogę iść z wami?>.

Jasne, ale pod warunkiem że będziesz się trzymał blisko mnie i uda ci się przemknąć pod nosem ochroniarza.

Stanęliśmy w kolejce i przez chwilę podziwialiśmy przejmujący brak entuzjazmu u pozostałych kolejkowiczów. Panował nastrój pasywnej rezygnacji i pełnego zubożenia na zdzierstwo wokół, choć dawało się wyczuć słabą nutkę nadziei – coś jakby do śmierdzącego piwka wrzucić cieniutki plasterek pomarańczy.

Zapłaciliśmy górze wołowiny, która stała w drzwiach, a Oberon bez trudu wślizgnął się do środka. Natychmiast stanęliśmy przed trudnym wyborem – na sklepcie, która robiła tu za ścianę, wisiał krzykliwy znak: OSTATATNIA SZANSA: WYBIERZ NIEBO (skręć w lewo) albo PIEKŁO (skręć w prawo).

– Czy po obu stronach jest tak samo? – zaczęła się zastanawiać Granuaile.

– Pojęcia nie mam – przyznałem, ale że do piekła trzeba by czekać w kolejce, pomyślałem, że lepiej będzie pójść na lewo.

– A jeśli jednak jest inaczej po każdej stronie? To może na wszelki wypadek pójde do piekła – postanowiła Granuaile. – Rozdzielmy się i potem

porównamy doświadczenia.

Wzruszyłem ramionami.

– Dobra. To na razie! – I jeszcze spytałem Oberona: *A ty dokąd wolisz iść?*

<Chyba jednak pójdę z Granuaile. Niby ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale jakoś nigdy dotąd nie udało mi się do niego zajrzeć>.

Okej, możemy się komunikować na bieżąco. Mów mi, co widzisz.

<Widzę pudlicę moich marzeń i snów. To oczami wyobraźni>.

Rozumiem – powiedziałem, skręcając w lewo i podążając krętym korytarzem.

<To czarna pudlica duża. Ma na imię Noche. To po hiszpańsku „noc”>.

Tak, wiem.

<Rano latamy za wiewiórkami, a potem odpoczywamy na łożu z kiełbasy>.

Nie do końca o to mi chodziło, Oberonie. Czy mógłbyś dla odmiany opisać mi, co widzisz zwykłymi oczami? Nie tymi wyobraźni?

<A, tymi. Tymi nie widzę żadnych pudlic. Ani kiełbasek>.

Westchnąłem i swoimi z kolei oczyma spojrzałem na ziemię pod stopami. Resztki trawy były w namiocie już bardzo wydeptane i zmasakrowane. Pewnie się zastanawiały, dlaczego one akurat muszą cierpieć te niekończące się męki zadawane im przez stado dwunożnych. Minąłem jeszcze jedną ściankę i stanąłem twarzą w twarz z kobietą z przyczepioną brodą, taką w stylu pana Adamsa, tego od niedźwiedzia. Gumka, na której trzymała się broda, widoczna była gołym okiem. Obok kobiety stał mężczyzna z tanią, starodawną protezą przywiązaną do piersi za pomocą sprytniej płataniny szelek i elastycznych linek. Facet chwycił protezę lewą ręką, uniósł ją i pomachał mi nią na powitanie. Pokręciłem głową zde gustowany i ruszyłem dalej, mając nadzieję, że jednak zobaczę tu jeszcze coś ciekawszego.

<Hej, Atticusie, czy to normalne, że w namiocie są schody?>.

Co? Nie.

<Schodzimy po stopniach. Takich jakby drewnianych klepkach wbitych w ziemię. Zresztą w sumie to cały czas szliśmy po jakichś takich dechach>.

Obejrzałem się wokół w poszukiwaniu kłapy czy czegoś, co świadczyłoby o tym, że i mnie czeka wycieczka piętro niżej. Nic takiego nie widziałem. Po mojej stronie nie było nawet drewnianej podłogi. Trzyręczny idiota znów pomachał mi protezą, uznawszy widocznie, że potrzebuję więcej dowodów na jego niezwykłą zręczność.

A widzieliście jakieś bzdety udające coś niezwykle ekscytującego?

<Nie. Skręciliśmy za róg i od razu bach! Schody w dół>.

Dziwne. Po tej stronie jest zupełnie inaczej. Wasza część wydaje się jakaś bardziej dopracowana.

Może wynikało to z wybranego tematu – ostatecznie po ich stronie ma być piekło, więc schody w dół są jak najbardziej na miejscu. Tylko że w takim razie gdzie jest moja winda do nieba? Popędziłem za następną ściankę i zobaczyłem kobietę z dwoma „guzami” – przyczepiła sobie taśmą klejącą dwa czerwone żelki. Były i nierozdzielone pięcioraczki – to znaczy facet z dwiema plastikowymi głowami przyczepionymi do ramion. Jak ktokolwiek mógł się zachwycać tą żalostną farsą? Zupełnie tego nie rozumiałem. Pojedynczy klienci, którzy wraz ze mną wybrali tę stronę, wyglądali na mocno poirytowanych tak ewidentnym naciągactwem. Już naprawdę nie wie działałem, czego się spodziewać za kolejną ścianą – pewnie po prostu wyjścia z namiotu – więc zupełnie zaskoczyła mnie mała jasnowłosa dziewczynka w uroczej różowej sukieneczce i czarnych lakierkach. Mogła mieć z osiem lat i byłaby czarująca, gdyby jej oczy nie lśniły upiornym pomarańczowym blaskiem. Uśmiechnęła się uśmiechem, który był bardzo, ale to bardzo niedziewczęcy – a wręcz nieludzki – i odezwała tak niskim basem, że aż zadrzałem.

– Przyszedłeś tu sam i nigdy w życiu nie widziałeś tak niesamowitych rzeczy – zagrzmiała, a fala jej mocy uderzyła w moją głowę.

Dzięki temu, że moja aura spleciona jest z zimnym żelazem, czar spalił na panewce i poczułem tylko, jak amulet uderza w moją pierś – trochę tak, jakby

ktoś mi w niego strzelił pstryczka. Dziewczynka stała na kawałku sklejki. Zamrugalem. W jednej chwili dotarło do mnie, że tym oszustom chodzi o coś o wiele poważniejszego niż wyciągnięcie od ludzi trzech dolców.

Zrzuciłem sandały i przestałem się ukrywać przed żywiołakiem. Dotąd zasilałem kamuflaż Oberona z zapasów znajdujących się w moim magicznym charmsie, ale już mi się one kończyły, a pomarańczowooka dziewczynka wymagała z pewnością o wiele większej ilości energii, skoro z taką łatwością miotała zaklęciami i przemawiała głosem, którego nie powstydziliby się chłop jak dąb. Pobrałem więcej energii przez tatuaże, którymi jestem spleciony z ziemią, i patrzyłem, jak dziewczynka powtarza słowa zaklęcia na widok kolejnej osoby. Był to młody mężczyzna w białym kowbojskim kapeluszu i aż się zatoczył rażony siłą magicznego powitania, po czym rozejrzał się błędnym wzrokiem i rozdziawił gębę.

<Atticusie, coś tu jest bardzo nie tak>.

Żartujesz.

Włączyłem charms dający mi magiczny wzrok i zobaczyłem, że ta urocza panienczka to tak naprawdę diabelec wciśnięty w człowieczą skórę. Sprytnie posunięcie z jego strony, właściwie równoznaczne z wzięciem zakładnika – jeśli zaatakuję diabelca, żeby nie rzucał czarów na ludzi, ludzie będą przekonani, że rzuciłem się na niewinne dziecko.

<Przeszliśmy właśnie przez przedziwne drzwi zrobione jakby z galarety. Właściwie to nie tyle drzwi, co raczej taka jakby dziura... Musieliśmy się przez nią przeciskać i to było obrzydliwe. Strasznie tu śmierdzi. Krwią i starym mięsem, i tą kupą, którą tak lubicie rzucać. Smród wydobywa się skądś przed nami>.

Zmarszczyłem brwi.

Zatrzymajcie się. Nie idźcie ani kroku dalej. Zaraz do was przybiegnę. Albo najlepiej w ogóle się wycofajcie.

<Kiedy Granuaile prze naprzód>.

Nie potrafiła rozmawiać z nim mentalnie, bo do splecenia z ziemią zostało

jej jeszcze dobre sześć lat.

Chwyć ją za koszulkę albo coś. Zaciągnij z powrotem do wejścia. Nie pozwól jej iść dalej.

Parę sekund zeszło mi na głowieniu się, jak tu pokonać diabelca bez wywoływania zamieszania, ale skapnąłem się, że dziewczynka nawet nie próbuje mnie przecież zatrzymać. Wystarczy, że będę udawał lekko oszołomionego, a wyjdę sobie z namiotu jakby nigdy nic. Podniosłem jeszcze tylko sandały i wymknąłem się, obiecując sobie w duchu wrócić tu później, żeby się z nią rozprawić. Gdy tylko wydostałem się z namiotu, okrążyłem go pędem, żeby znów dotrzeć do wejścia.

<Wściekła się na mnie, Atticusie. Krzyczy, żebym się odczepił. I wszyscy się na nas pchają z tyłu>.

Nie puszczaj jej! Już do was biegnę.

<Nie puszczam, ale ona się naprawdę wyrywa>.

Kolejka przed namiotem nie była ani trochę krótsza niż przedtem, a może nawet dłuższa. Naganiacz okazał się w magicznym spektrum pełnym demonem. Bydlę zbierające kasę przy wejściu było tylko diabelcem, czyli szefem był tu ten naganiacz. Teraz jego słowa nabrały zupełnie innego znaczenia: Porywająca rozrywka dla duszy? Zbierzcie, coście posiali? A potem jeszcze czarno na białym wybór między niebem a piekłem. Mowy nie było, żebym marnował teraz czas w kolejce.

<Atticusie? Trochę jednak idziemy do przodu. Przed nami kolejne dziwne drzwi, takie obrotowe. I one działają chyba tylko w jedną stronę. Na Wielką Niedźwiedzicę! Smród jest nie do zniesienia, a ci, co już przeszli na drugą stronę drą się wniebogłosy i próbują wrócić, ale się nie da. A ludzie po tej stronie, Granuaile też, pchają się, żeby za wszelką cenę przeleźć przez drzwi. To wcale nie jest zabawne i uważam, że powinieneś zażądać zwrotu pieniędzy za bilet>.

Nie dasz rady jej powstrzymać?

<Próbowałem! Ale ona mnie uderzyła! W nosek!>.

To był bardzo zły znak. Granuaile kochała Oberona tak jak ja. Takie zachowanie można było wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

Oberonie, ktoś rzucił na nią zaklęcie. Za tym wszystkim stoją demony. Musisz ją zatrzymać. Jeśli nie będzie innego wyjścia, powal ją na ziemię i nie daj jej wstać.

Waży więcej niż ona. Powinien dać radę ją unieruchomić.

<Demony? To dlaczego ich nie zwęszyłem?>.

Normalnie demony śmierdzą tak okropnie, że trzeba się naprawdę postarać, żeby nie zwrócić obiadu. Obejrzałem się znów na naganiacza, ale nikt wokół niego nie miał mdłości. Typek stojący w drzwiach i dziewczynka też nie drażnili mojego powonienia.

Wszyli się szczelnie w ludzkie ciała. Masz ją?

<Jeszcze nie. To nie jest taka sobie zwykła dziewczyna, wiesz? Trenujesz ją od sześciu lat. Dość skutecznie>.

Zdejmę ci kamuflaż. Może pomoże, jak cię zobaczy. Musisz ją powstrzymać.

Rozplotłem jego kamuflaż, włączyłem zaś swój, żeby przemknąć się pod nosem diabelcowi stojącemu w drzwiach.

Tylko że nie zadziało.

– O, nie. Nie teraz, Bursztynowa! – jęknąłem, a potem spróbowałem przeprowadzić przez tatuaże poważną rozmowę z obrażonym żywiołakiem Wielkich Równin.

„Rozmowę” to może za dużo powiedziane. Żywiołaki nie mówią w żadnym ludzkim języku. Komunikują się za pomocą emocji i obrazów. Dlatego, gdy próbuję potem przytoczyć takie rozmowy, mogę je zrelacjonować jedynie w przybliżeniu.

//Demony na ziemi / Druid potrzebuje pomocy//

Bursztynowa odpowiedziała natychmiast. Na szczęście tym razem nawet nie próbowała udawać, że nic nie wie o mojej wizycie na jej terenie.

//Pytanie: Położenie demonów? / Nic nie wyczute//

//Tutaj// odpowiedziałem. //Moje położenie / Demony zasłaniające się drewnem//

Ten cholerny naganiacz miał szczudła nie dlatego, że cierpiał na kompleks niższości, tylko żeby ziemia nie wyczuła jego obecności.

Co do zasady: niszczenie demonów należy do obowiązków ich anielskich przeciwników, ale i mnie zdarza się z nimi rozprawiać, i to o wiele częściej, niżbym sobie tego życzył. Z druidzkiego punktu widzenia problem polega na tym, że demony kradną moc ziemi, żeby dzięki niej otwierać i potem trzymać rozwarte wrota piekieł. W procesie tym wysysają życie ze sporych połaci terenu i stanowią przez to poważne zagrożenie dla żywiołaków. Olbrzymie wrota do piątego kręgu, które otworzył Aenghus Óg w Arizonie, zniszczyły na przykład dwanaście tysięcy hektarów. Jednym słowem: jeśli gdzieś tu są jakieś otwarte wrota, to Bursztynowa raczej by je poczuła.

//Pytanie: Wyciek energii gdzieś w okolicy?// spytałem więc.

//Tak / Przerywany//

//To demony// wyjaśniłem.

Nie namyślała się długo. Właściwie to wyrok zapadł w jednej chwili. Poczułem, jak zalewa mnie jej wściekłość.

//Zabij / Udzielam pełnej mocy//

//Wdzięczność / Harmonia//

//Harmonia//

Gdybym miał chwilę, to pewnie bym uronił łzę, albo może strzelił sobie z tej okazji kieliszeczek whisky. Upłynęło zdecydowanie za dużo czasu, odkąd życzyliśmy sobie z Bursztynową harmonii, a nie były to przecież puste słowa, tylko prawdziwe uczucia – emocjami nie da się kłamać. Moja uczennica i mój pies byli jednak w niebezpieczeństwie i groziło im przejście przez jakieś diabelskie drzwi. Należało też rozwiązać jeszcze jeden sekret: jakim cudem demony w ogóle zdołały ukryć tu gdzieś wrota do piekieł?

<Dobra, Atticusie, powaliłem ją, ale wyrywa się i mnie bije. I to boli>.

Dzielny piesek. Za takie poświęcenie należą ci się jakieś przepyszne

kielbaski. Ale trzymaj ją, choćby nie wiem co. Potem cię na pewno przeprosi.

Tym razem udało mi się już skutecznie zarzucić kamuflaż i zniknąłem ludziom z oczu. Nie żebym był wtedy zupełnie niewidzialny, szczególnie jeśli się ruszam, ale dobre i to. Nikt nie zarejestruje mnie na tyle szybko, żeby zareagować na czas.

Nikt poza naganiającym demonem.

– Panie! A pan co wyprawia? – Patrzył prosto na mnie, mimo że byłem zakamuflowany i się nie ruszałem. A niech go diabli. I nawet nie miałem przy sobie żadnej broni. Przemknęcie się niezauważonym nie przejdzie, więc nie miałem wyjścia. Pozostawało zdać się na szybkość i sztukę przepychania. Rzuciłem się w stronę wejścia, a naganiacz zaczął wrzeszczeć: – Gobnob! Znaczy się, George! Zatrzymaj tego faceta!

Diabelec miał na imię Gobnob?

– Jakiego faceta? – wybąkał paker, a ja śmignąłem mu przed nosem.

Z czego należało wnioskować, że tylko demon potrafił przejrzeć mój kamuflaż, a diabelec już nie. Punkt dla druida.

Żeby w środku przepchać się przez tłum na schodach, musiałem się nieźle napracować łokciami. Nasłuchiwałem się sporo hejów i łotdefaków.

– Przepraszam! – odpowiadałem. – Jestem pilnie potrzebny tam na dole.

<Aaaa! Atticusie, ona mi zwiąła! I pędzi do tych drugich drzwi!>.

Chwyć ją zębami za spodnie i ciągnij z całych sił. Nie daj jej przejść na tamtą stronę!

<Za późno! Już przeszła!>.

Biegnij za nią i ją ochraniaj!

Już byłem przy pierwszym, rzeczywiście przedziwnym przejściu. Stał przy nim diabelec w ludzkiej skórze i rzucał czar na klientów mniej więcej w ten sam sposób jak tamta mała dziewczynka po stronie z niebem, tylko że ten typek mówił każdej kolejnej osobie:

– Już się nie możesz doczekać, kiedy przejdiesz przez następne drzwi.

To dlatego Granuaile i pozostali pchali się dalej, mimo że już było czuć i słyszeć, że dzieje się tam coś złego. Najpierw powinienem więc zlikwidować diabelca.

Nie było tu żadnego dylematu. Bursztynowa kazała mi pozabijać demony, to więc zamierzałem zrobić. Nim przeszedłem przez drzwi, położyłem jedną rękę na łbie diabelca, a drugą chwyciłem go za brodę i szarpnąłem mocno. Skręciłem mu kark, a on osunął się na ziemię.

– Ludzie! Uciekajcie! – ryknąłem. – Tu mordują!

To wywołało jeszcze więcej łotdefaków; miałem nadzieję, że instynkt samozachowawczy zwycięży i większość się jednak wycofa. Ludzie wokół byli dość zdezorientowani, bo nie widzieli, jak zabijałem diabelca, ale wiedzieli już, że stało się coś bardzo niedobrego i ktoś jest co najmniej ranny. Część powyciągała komórki i zaczęła dzwonić na numer alarmowy, a co najmniej kilkoro wyraziło chęć opuszczenia lokalu i ruszyło w stronę schodów.

Bramka była mokra i śmierdziała rybą. Musiałem się przez nią dosłownie przecisnąć, bo była to zaledwie szpara wycięta w drżącej ścianie protoplazmy. Czuję się, jakby mnie jakiś cukiernik przepchnął przez szprycę do lukru. Ze względu na smród ochrzciłem to przejście mianem Bramy Anchois, ale postanowiłem dla zdrowia psychicznego nie zastanawiać się, czy ta substancja została wydzielona czy wydalona, ani w ogóle jak ją uzyskano i z czego. Był to rodzaj żelatynopodobnego, przezroczystego szlamu o lawendowym odcieniu. Wypełniał całe pomieszczenie od podłogi aż po sufit, coś jak zwieracz oddzielający jedno miejsce od drugiego. Jego funkcja była dla mnie jasna – izolował wchodzących ludzi od smrodu i hałasu po drugiej stronie. Gdyby go tu nie było, nikt by już nie chciał się dalej pchać, bo fetor po drugiej stronie od razu przyprawił mnie o mdłości, a ryki mordowanych ludzi przepełniły mnie panicznym strachem o Granuaile i Oberona.

Co się tam dzieje? – spytałem psa.

<Atticusie, my już chyba nie jesteśmy w Kansas>.

Bzdura. Przecież nadal cię słyszę.

<Tu mordują ludzi. Granuaile tak jakby się obudziła i dotarło do niej, że mamy poważne kłopoty. Reszta biedaków też już oprzytomniała>.

Zaraz będę z wami.

<Pospiesz się!>.

Wszyscy przede mną byli pod wpływem czaru. Marzyli tylko o jednym – by przejść przez następną bramkę. Jeśli pierwsza zasługiwała z nawiązką na miano Bramy Anchois, to druga była prawdziwą Bramą Igieł. Działała mniej więcej tak jak te kolczatki parkingowe – w jedną stronę można było spokojnie przejść, ale jeśli się próbowało wycofać, nadziewało się na stalowe kolce.

A jednak to, co działo się po drugiej stronie, sprawiało, że ludzie i tak woleli się nadziać i pchali się na oślep na ostre igły. Przeciskając się między zaczarowanymi nieszczęśnikami, dotarłem wreszcie do bramki. Pobrałem też sporo energii ziemi, żeby zwiększyć sobie prędkość i siłę za pomocą splotów poprawiających wydajność mojego układu nerwowo-mięśniowego i zapobiegających zmęczeniu.

Brama Igieł złożona była z mnóstwa zbryzganych teraz krwią stalowych szpikulców. Pewnie zbudowano ją z wcześniej przygotowanych kawałków na tej samej zasadzie co wszystkie inne urządzenia w tym niewesołym miasteczku. Metal nie parzył; był chłodny, jak to metal pod ziemią. Jednym słowem, nie panowały tu te legendarnie wysokie temperatury piekła. A jednak było to istne piekło.

Przecisnąłem się przez igły i od razu rzuciłem nisko na podłogę, żeby zejść z drogi zdesperowanemu facetowi w średnim wieku, którego twarz cała była we łzach, smarkach i krwi. Próbował wsadzić rękę w dziurę, z której właśnie wyszedłem, i poranił ją sobie po obu stronach. Szpikulce miały najwyraźniej jakieś dodatkowe malutkie kolce, które były zagięte pod takim kątem, że można było spokojnie przejść w jedną stronę, ale jeśli człowiek się próbował przepchać z powrotem, nie tylko kłuły, lecz też łapały jak haczyki. Po tej stronie bramy tłoczyło się kilkanaścioro ludzi, którzy próbowali się wydostać, ale ich ręce pozaczepiały się o szpikulce, więc teraz mogli tylko albo wyszarpać

je na siłę, albo tkwić tak przy kolcach, bez względu na wybór skazani na cierpienie i strach. Dwoje z nich wpadło głębiej między igły – czy to przypadkiem, czy celowo – i teraz wyli z bólu, nie mogąc się już wyrwać na wolność. Wyglądało na to, że pozostali są tak przerażeni, że będą próbować wyciągnąć ich na siłę albo wręcz wykorzystać ich ciała, by jakoś rozerwać bramę. Na szczęście Granuaile wśród nich nie było.

Oberonie? Już jestem.

<Skreć na prawo i pomóż nam z tym czymś!>.

Przecisnąłem się przez jeszcze kilka szeregów spanikowanych obywateli i wylądowałem w prawdziwej rzeźni. Podłoga pokryta tu była tanimi deskami. Sufit znajdował się zaskakująco wysoko. Zeszliśmy o wiele głębiej, niż mi się zdawało. Ten wysoki sufit był tu zresztą celowo. Spojrzałem w najdalszy kąt pomieszczenia (a było ono wielkości przeciętnej szkolnej stołówki) i zobaczyłem, że ghule ułożyły tu sobie całe stosy trupów i dokładały właśnie kolejne zwłoki dopiero co zabitych nieszczęśników. Pewnie robiły zapasy. Świeże mięso dostarczał im demon z kosą i on właśnie gonił teraz Granuaile.

Nie była to prawdziwa kostucha, a jedynie demon, który przyjął taką postać. Tak wielu ludziom piekło kojarzy się z kościotrupem z kosą w dłoni, że widać uznał, iż tak najzgrabniej to wypadnie. W każdym razie z psychologicznego punktu widzenia było to całkiem sprytne posunięcie.

Kostucha nawet miała na sobie ikoniczny czarny płaszcz, ale zsunęła sobie kaptur, przez co widać było jej rozdziawioną w bezlitosnym uśmiechu szczękę i białą czaszkę. W oczodołach migotały małe ognie i nie ulegało wątpliwości, że jest zaawansowaną użytkowniczką kosi, którą trzymała za krótką rączkę. Granuaile to przeskakiwała nad ostrzem, to kryła się pod nim, ale widziałem, że już opada z sił. Na pewno dawno byłoby po niej, gdyby nie sześć lat treningu w sztukach walki.

Oberon bardzo słusznie uznał, że za wiele w tej walce nie pomoże, trzymał się więc poza zasięgiem rażenia kosi i tylko oszcze kiwał demona, żeby odwrócić jego uwagę.

Jak to często bywa z długą bronią, kosa jest bardzo niebezpieczna, jeśli się człowiek znajduje na linii jej ciosu. Ale jeśli atakowanemu uda się przekroczyć ten łuk i podejść bliżej, wymachy kosą są zbyt powolne, by obronić się nią przed szybkim dźgnięciem z bliska.

Obstawiaj tyły, stary.

Rzuciłem się w stronę demona takim wślizgiem, jakiego nie powstydziliby się nawet w Manchester United. Jednocześnie rozplotłem kamuflaż, żeby Oberon mnie widział, ale niestety demon też mnie zauważył kątem oka. Jeśli miał moce podobne do tych, którymi dysponował naganiacz, to pewnie i tak potrafił mnie zobaczyć, ale jednak to moje nagłe pojawienie się wywołało u niego reakcję odruchową. Wskoczył na mnie okrakiem, nim zdążyłem wstać z wślizgu, i uniósł kosę wysoko nad głowę, wyraźnie celując w mój tyłek. Jego ognisty wzrok skupiony był na mnie, nie zauważył więc Oberona. Dzięki temu mój pies – ponad sześćdziesiąt kilo mięśnia – walnął demona prosto w pierś i powalił go na ziemię. Uderzył z taką siłą, że przygniótł przeciwnika i poleciał dalej. I bogom dzięki, bo kościotrup przetoczył się i zamiast normalnie wstać, zrobił salto do tyłu, by z wdziękiem wylądować znów na nogach. Ani na chwilę nie puścił przy tym kosi i oto znów stał teraz twarzą w moją stronę.

Dobra robota, Oberonie. Trzymaj się za nim, ale nie atakuj. Wie już, że tam jesteś. Tylko warcz i go denerwuj.

Demon ruszył ku mnie, wymachując kosą tak szybko, że musiałem się wycofać. Kiedy jednak zorientowałem się, jaki jest rytm jego machnięć, udało mi się wślizgnąć między jednym machnięciem a drugim, gdy miał kosę u góry, i prawą ręką zablokować mu rączkę kosi, obracając się przy tym w lewo, tak że lewym łokciem trafiłem go prosto w zęby. To go na chwilę zatrzymało, więc zdołałem jeszcze rąbnąć go z całych sił „piętą” prawej dłoni w brodę. Czaszka pozbawiona dość jednak przydatnych mięśni i ścięgien, które by trzymały głowę na karku, odpadła z hukiem, a ognie w oczodołach zgasły.

<Brawo, Atticusie! Nie bój się kostuchy!>.

To jeszcze nie koniec.

Obejrzałem się na Granuaile. Dyszała ciężko i wyglądała na wycieńczoną, ale chyba nie odniosła żadnych poważnych ran.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

Pokręciła głową uspokajająco i w tej samej chwili w drugim kącie rzeźni rozległ się upiorny ryk. Ghule połapały się, że właśnie im zabiłem kostuchę, i strasznie się wściekły. To z kolei wywołało nową falę wrzasków przerażonych konsumentów. Kilku pechowo zaszło do rzeźni podczas naszej walki i to, co ujrzeli – niestety już zupełnie przytomnym wzrokiem – podkreśliło ich panikę na maksa.

Ghule z zasady nie są zbyt higienicznymi stworzeniami. Wynika to z tego, że żerują na trupach (lub ich kawałkach), stale więc mają kontakt z brudem i chorobami. Z tego też powodu wykształciły sobie pełną odporność na infekcje i trucizny. Dodatkowo takie dzikie ghule jak te raczej nie przejmują się tym, że mogłyby przyczynić się do rozprzestrzeniania zarazków. Ich paznokcie – które należało pewnie już raczej zaklasyfikować jako pazury – pokryte były wszelkiego rodzaju zakaźnym gównem. Na moje oko wystarczyłoby jedno draśnięcie, by wydać na kogoś wyrok śmierci. Chyba że ofiara miałaby akurat pod ręką jakieś supersilne antybiotyki. Inna sprawa, że kiedy ghul rozrywa ci właśnie brzuch pazurami, prawdopodobieństwo, że pożyjesz na tyle długo, by umrzeć w wyniku infekcji, jest raczej małe.

W Arizonie funkcjonowała mała grupka ghuli... Ścisłej rzecz biorąc, fachowe określenie na grupę ghuli to całun. Istniał więc tam pewien całun ghuli, które całkiem się nawet odnajdywały w okolicznej populacji. Bardzo były zresztą przydatne, bo likwidowały każdego trupa, który komuś przeszkadzał, tym samym oszczędzając policji głowienia się nad co dziwniejszymi zgonami. Większość społeczności paranormalnych korzysta z usług takich właśnie całunów. Pełnią one istotną rolę w utrzymywaniu ludzi w błogiej nieświadomości i przekonaniu, że jedynymi poważnymi drapieżnikami na ziemi są inni ludzie. Antoine i jego chłopcy mieli nawet ciężarówkę z chłodziarką. W ogóle udawało im się udawać porządnych obywateli, chyba że

akurat zgłodnieli. Byli to faceci z zasadami i starali się czekać, aż ludzie sami umrą, nim zabierali się do pałaszowania ich ciał.

Te ghule tutaj zdecydowanie nie były jednak tej klasy co Antoine i spółka. W sumie klasa Antoine'a mogłaby równie dobrze studiować na Harvardzie, a ten całun tu to się składał z samych analfabetów. Dzikie, szaroskóre, czarnożębne i pokryte wnętrznościami aż się rwały do tego, by samemu zająć się ubojem mięsa, skoro kostucha już tego za nich nie robiła.

– Łap za kosę – syknąłem do Granuaile. – Będę ci ich podrzucał, a ty ich wykańczaj albo odskakuj.

– Się robi – sapnęła i skinęła mi głową na znak, że jest gotowa.

Raczej „się rzyga”, pomyślałem, bo była kompletnie zielona na twarzy. Smród śmierci i siarki był rzeczywiście nie do zniesienia. Mimo to wzięła się w garść i dała radę chwycić kosę. Od dłuższego już czasu ćwiczyła walkę kijem, mogła więc wykorzystać teraz te techniki do wymachiwania kosą.

Ruszyłem w stronę całunu, kombinując tak sobie, że skoro trupy rzadko walczą, powinienem mieć tu raczej do czynienia z dość niewykwalifikowanymi bojownikami, którzy na co dzień polegają głównie na sile i pazurach. Było ich ośmiu i tak coś czułem, że nie ustawią mi się ładnie w kolejce, żebym mógł się rozprawić z każdym po kolei. Drewniana podłoga, która ukrywała demony przed Bursztynową, odcinała mnie jednocześnie od źródła mocy. Teraz byłem już tylko zdany na paliwo w niedźwiedzim charmsie. Czas najwyższy na gambit.

Prawo druidzkie nie pochwała splatania żywych istot. Fizycznie niemożliwe jest splatanie tworzyw syntetycznych i bardzo trudno jest cokolwiek zrobić z żelazem. Ale poza tym wszystkie sploty dozwolone. Podłoga w rzeźni nie była nawet przybita gwoździami – arkusze sklejki po prostu leżały sobie na ziemi. Stworzyłem splot łączący środek jednego z arkuszy z dżinsem spodni trupa ułożonego na stosie gdzieś w połowie wysokości między podłogą a sufitem. W normalnych okolicznościach dżinsy i sklejka poleciałyby ku sobie, ale trup odziany w te spodnie znajdował się pod

tyloma ciałami, że ani drgnął. Gdy tylko włączyłem splot, sklejka poleciała w górę i rąbnęła w stos ciał niczym gigantyczna podpórka do książek. A po drodze pięknie skosiła kilku ghuli. Nie uczyniła im niestety wielkiej krzywdy, ale, co najważniejsze, odsłoniła mi kawałek ziemi, żebym mógł pobierać energię.

Skoczyłem na ten skrawek, poczułem moc ziemi i ustawiłem się w pozycji aikido. Całun ghuli rzucił się w moją stronę.

Nie po raz pierwszy w życiu przemknęło mi przez myśl, że cudnie by było, gdyby tak ghule podpadały pod kategorię „prawdziwe umarlaki”, tak jak dzieje się w wypadku zombi czy wampirów. Wtedy mógłbym je po prostu rozplatać na ich elementy składowe. Ghule są jednak niestety istotami żywymi, odmianą ludzi, która przemutowała w coś, co... utknęło w martwym punkcie, hłe, hłe. Kiedy byłem młody – gdzieś chyba w drugim wieku naszej ery – jakiś dumny czarnoksiężnik z Arabii stworzył pierwszego ghula poprzez wezwanie demona, który opętał pewnego biednego młodzieńca. Posmakowawszy martwego ciała, demon zaczął rosnąć w siłę, zmuszając swojego gospodarza do pożerania kolejnych dostarczanych przez czarnoksiężnika zwłok. W końcu mag połapał się, że to był jednak błąd – a może po prostu miał dość zdobywania wciąż nowych trupów – i wyegzorcyzmował demona z ciała chłopaka. Nie rozumiał jednak, że młody mężczyzna zmienił się już raz na zawsze i wygnanie demona nie rozwiąże sprawy. Gdy czarnoksiężnik chciał go zabić – w myśl zasady, że umarli nie zdradzają tajemnic – łudził się, że będzie miał do czynienia ze słabą ludzką istotą, ale przeżył bolesne rozczarowanie. A raczej go nie przeżył, bo młodzieniec go zabił i uciekł. Wciąż łaknął więcej martwego ciała. Zauważył też, że jego skóra szarzeje, ale jeśli zaspokaja głód i regularnie karmi się trupami, łąpczywie opróżniając groby, może utrzymywać normalny ludzki wygląd, a do tego cieszyć się nadludzką siłą. Jego zdolności – wraz z klątwą – przenosiły się z pokolenia na pokolenie. Rodziły się kolejne zupełnie normalne dzieci i dopiero w okresie dojrzewania zaczynały szarzeć i marnieć. Wtedy tatuś zabierał je na cmentarz i mówił: „Hej, dzieciaki, czas na małą martwą przekąskę. Zimne nóżki! Mniam, mniam!”.

Wszystkie ghule pochodzą więc od tego jednego wspólnego przodka, te jednak najwyraźniej postanowiły wrócić do źródeł i zbratać się z demonami. Nawet nie próbowały wyglądać na ludzi. Ani potraktować mnie poważnie, choćby dlatego że przecież dopiero co poradziłem sobie z ich kostuchą. Ich taktyka sprowadzała się do tego, że podbiegały z rykiem i rzucały się ofierze do gardła.

Aikido idealnie się nadaje do przekierowywania energii i wykorzystywania pędu przeciwnika na swoją korzyść, a do tego w ramach aikido ćwiczy się także *taninzudori*, czyli obronę przed wieloma atakującymi naraz. Zawsze mi się zdawało, że to naprawdę interesująca dwudziestowieczna adaptacja starych chwytów. W każdym razie dzięki temu zdumione ghule leciały teraz jeden za drugim w stronę Granuaile, która już na nie czekała z kosą. Nie jest to może najbardziej poręczna broń świata, ale za to zadane nią ciosy są raczej śmiertelne, a Granuaile szło to dość sprawnie. Zobaczywszy, co się stało z większością całunu, ostatnie trzy ghule przemyślały swoje szanse i zwolniły, a potem rozdzieliły się, próbując zaatakować mnie z trzech stron jednocześnie.

Tymczasem za nami spanikowany tłum nieszczęsnych klientów niewesołego miasteczka uspokoił się na tyle, by zacząć nas zalewać potokiem pytań. Ludzie uznali widać, że skoro zabijamy te paskudy, to już mamy odpowiedź na wszystko.

– Co jest grane? Możecie nas stąd zabrać? Co to za potwory? Czemu ich po prostu nie zastrzelicie?

Naprawdę nie wiedziałem, jak to wszystko wyjaśnić tym biedakom, którzy przeżyli. Czuję, że nie uda im się raczej wcisnąć, że do tej tragedii doszło w wyniku natknięcia się na gaz błotny czy coś w tym stylu. Ale najpierw musiałem się upewnić, że ktokolwiek przetrwa, żeby mógł mi potem w ogóle zadawać te pytania.

A poza tym muszę koniecznie znaleźć bramę, którą nawłaziło tu tyle tych demonów i diabelców. Jeszcze jej nie namierzyłem, ale też nie miałem za wiele czasu, żeby się spokojnie rozejrzeć.

Nie chciałem pierwszy zaatakować ostatnich trzech ghuli, bo to by mi odsłoniło tyły, odchrząknąłem więc soczyście i tym, co się udało wypluć, cisnąłem w ghula po mojej prawej. Trafiłem go w czoło i to wystarczyło, by zupełnie wyprowadzić go z ghułowej równowagi. Nie żeby poczuł obrzydzenie, bo przecież ghule żerują na substancjach znacznie obrzydliwszych niż odrobina śliny. Po prostu dobrze wiedział, że to obelga. Rzucił się na mnie z wściekłością, a ja cisnąłem nim w tego na lewo i obaj potoczyli się po ziemi. W ten sposób typek w środku został na chwilę sam. Skoczyłem na niego i wbiłem mu palce w oczy. Podrapał mnie okropnie po żebrach – piekło nieznośnie i pewnie będzie się nieźle babrać – ale wycofał się i nie zobaczył nawet nadciągającego już śmiertelnego ciosu: chwyciłem go za rękę i obróciłem nim tak, żeby stanąć przy okazji plecami do sterty trupów, a potem kopnąłem go w pierś, aż zatoczył się tyłem prosto w stronę Granuaile. Pobieglem więc do pozostałych dwóch, którzy już się zdołali rozplątać i właśnie zbierali się do ponownego ataku.

Kątem oka zarejestrowałem, że Granuaile z gracją wykończyła ślepego ghula i też pędzi w stronę pozostałych dwóch, a przed nią leci jeszcze Oberon. Rzucił się od razu na nogi tego na lewo ode mnie, przez co facet się przewrócił i Granuaile załatwiła go bez trudu. Ostatni wskoczył na mnie, więc padłem na plecy i podciągnąłem kolana pod brodę, dzięki czemu trafił na moje stopy i mogłem go z całej siły kopnąć w górę i przerzucić sobie nad głowę. Walnął w stertę trupów pod ścianą, plasnął o nie głośno, a potem zjechał głową do dołu na zalaną krwią podłogę. Nie zabiło go to, ale oszołomiło na tyle, by Granuaile mogła go sprawnie wypatroszyć. Upuściła kosę wykończona.

Spod Bramy Igieł dobiegły nas okrzyki ulgi i słabe wiwatowanie. Około dwudziestu osób płakało i składało dłonie, dziękując mi i swoim bogom za ratunek. Uśmiechnąłem się do nich i pomachałem im, po czym... zginęli wszyscy co do jednego.

Brama Igieł wybuchła nagle i pokłuła ich w stu różnych miejscach. Część igieł poprzebijała na wylot tych ludzi, którzy już przedtem zaczepili się o kolce, i wbiła się potem w następny rząd ofiar. Do nas żadne już nie dotarły, bo

staliśmy w najdalszej części pomieszczenia. Większość zatrzymała się w ciałach biedaków znajdujących się po drodze, reszta trafiła w inne zakamarki sali. Wzdrygnęliśmy się, jęknęliśmy głucho i dopiero wtedy ujrzelśmy powód tego wybuchu – maszerował ku nam kolejny demon. Był to tamten naganiacz sprzed namiotu, który teraz szedł bez szczudeł, ale niziutki wzrost z nawiązką nadrabiał podłą miną. Nadal miał na głowie melonik, ale teraz już zsunął go sobie na tył głowy, tak że widać było doskonale jego lśniąco pomarańczowym blaskiem ślepie.

– Nie ruszajcie się z miejsca – mruknąłem. – Na pewno włada ogniem piekielnym.

Oberon i Granuaile nie zakwestionowali mojej rady, rzuciłem się więc naprzód, by pierwszy się z nim zmierzyć, najlepiej na tym kawałku odsłoniętej ziemi. Nie miałem nawet czasu, żeby próbować popodnosić więcej desek, bo przede wszystkim musiałem rozpocząć tę walkę jak najdalej od Granuaile i Oberona.

Demon jednak przejrzał mój plan i popędził mi go uniemożliwić zgodnie z uniwersalną zasadą, w myśl której należy zawsze utrudniać wrogowi osiągnięcie wszystkiego, do czego dąży. Ryknął i zrzucił z siebie ludzką skórę. Czerwona kamizelka, melonik i całe ciało niskiego człowieczka opadło z niego w postaci krwawej mgiełki, z której wyskoczyła prawdziwa postać demona – wysokie, blade, wychudzone monstrum obrośnięte taką ilością kościstych kolców, że nadawałoby się tylko na obraz Boscha. Niestety brak mięśni nie przekładał się wcale na brak siły czy zdolności do zadawania ciosów. Schyliłem się, by uniknąć pierwszego. Miałem nadzieję, że jeśli będzie trzeba, zdążę po prostu paść na czworaka. Przeliczyłem się. Ostry kolec znajdujący się na nadgarstku potwora rozciął mi plecy. Rył głęboko, a gdy odskoczyłem odruchowo z bólu, demon wymierzył mi jeszcze lewy sierpowy, tak że kolce na jego kłykciach rozorały mi policzek. Zatoczyłem się do tyłu.

Na jego dłoni zakwitł płomień ognia piekielnego i demon zarechotał pewien, że już po mnie. Nie mógł wiedzieć, że ciosy były w moim wypadku o

wiele bardziej efektywne. Moja aura z zimnego żelaza chroniła mnie przed ogniem, ale i tak wydarłem się rozpaczliwie i potoczyłem po podłodze – prosto na odsłonięty kawałek ziemi. Nie powstrzymał mnie, ale na wszelki wypadek podszedł sprawdzić, czy skutecznie mnie załatwił. Na to właśnie liczyłem. Gdy tylko poczułem pod sobą ziemię i zobaczyłem, że demon także jej dotyka, wskazałem go prawą dłonią i szepnąłem po irlandzku:

– *Dóigh!*

Gdybym stał, i tak runąłbym na ziemię, bo tak już jest z rzucaniem Zimnego Ognia, jednak zakłęcie to zabija demony bez pudła. Trzeba się tylko liczyć z tym, że chwilę to jednak trwa, nim zadziała, no i ogromnie osłabia rzucającego zakłęcie bez względu na to, ile magii czerpie z ziemi. Brighid z Tuatha Dé Danann – bogini ognia między innymi – podarowała mi kiedyś to zakłęcie, żebym miał jakieś szanse w starciu z jej bratem Aenghusem Ógiem, który wszedł wówczas w konszachty z piekłem. Przez najbliższe kilka godzin będę tak słaby, że nie pokonałbym chomika, o żadnym demonie nie wspominając.

– A więc o co właściwie w tym wszystkim chodzi? – zagailem, wskazując pomieszczenie. – To twój sposób na awans społeczny czy jak?

Demon pochylił się i chwycił mnie za szyję długimi patykowatymi palcami o podejrzenie dużej liczbie stawów. Zaczął je zaciskać na mojej tchawicy, a ja w ramach samoobrony zamachałem tylko łapkami niczym Kermit Żaba. Naprawdę miałem wielką nadzieję, że ten Zimny Ogień zaraz zadziała, bo jeszcze kilka sekund zwłoki i będzie po mnie. Demon wyszczerzył zęby na widok mojej słabości.

– Taaak. Miesiące całe przygotowywałem się. Małe żniwa w małych miasteczkach. – Już nie dawałem rady oddychać i robiło mi się ciemno przed oczami. Demon wciąż zaciskał palce na mojej szyi. Czemu jeszcze żyje? – Czas na dar dla piekła nadszedł. Zbiorę dziś więcej dusz niż... – Urwał i wybałuszył oczy. Puścił mnie, a ja wziąłem łapczywy wdech śmierdzącego powietrza. Chwycił się za pierś i jęknął: – Co...? – A potem pomiotał się chwilę, stanął

w niebieskich płomieniach i w końcu spłonął pochłaniającym go od środka Zimnym Ogniem.

Została z niego garstka lodowatego proszku, ale – pechowo – na mnie.

Uznawszy, że już jej nic więcej nie zagraża, Granuaile postanowiła zwymiotować.

Oberon podszedł i polizał mnie po twarzy.

<Atticusie, ty krwawisz>.

No, i dlatego właśnie nie marzyłem o niczym innym jak o obślinieniu. Dzięki.

<Nie ma sprawy. Możemy już stąd iść?>.

Przynajmniej Brama Igieł nie stanowiła teraz żadnego wyzwania. Ciekawe, czy Brama Anchois też jest jednokierunkowa. Pewnie zaraz będzie tu mnóstwo policji, bo przecież niemożliwe, żeby nie przysłali kogoś po wszystkich telefonach od ludzi, którzy spanikowali, gdy zabiłem diabelca w korytarzu. Jeszcze chwilę temu nawet bym się ucieszył na widok gliniarzy, bo mogliby mi pomóc uratować tamtych ludzi. Teraz jednak nie było już kogo ratować, a policja tylko utrudni mi pracę. Bo czekało mnie jeszcze sporo roboty.

Jeszcze nie, Oberonie.

Przez splot łączący mnie z ziemią wysłałem wiadomość do Bursztynowej:

//Demony pod ziemią zabite / Dwa diabelce na ziemi / Zaczynam szukać bram do piekieł//

//Harmonia// padła krótka odpowiedź.

//Prośba: Zasypać tunel między tą jaskinią a powierzchnią, jeśli nie ma w nim ludzi?//

Zamiast odpowiedzi usłyszałem huk w korytarzu. To nam da trochę więcej czasu.

– Musimy znaleźć wrota piekła – powiedziałem. – Muszą tu gdzieś być. Choćby nie wiem jak upiorne były wesołe miasteczka, na pewno nie jeżdżą z nimi przecież kostuchy.

<Nie widzę nic na ścianach>.

Granuaile podniosła wzrok.

– Nie ma nic na suficie. W takim razie pewnie pod jedną z tych płyt ze sklejki.

Nie miałem nawet siły ich wszystkich popodnosić. Chciałem jednak mieć to jak najszybciej z głowy, posplatałem więc każdą płytę po kolei ze ścianami i poleciały na nie natychmiast. Wrota piekieł znajdowały się tuż przy Bramie Igieł, mniej więcej tam gdzie Granuaile bawiła się przed chwilą w berka z kostuchą.

Pociągnięte solą symbole układały się w krąg ciut większy niż typowa studzienka. W środku leżała żelazna okrągła płyta, także zdobiona podobnymi symbolami, które zasłaniały wewnętrzną połowę tych solonych.

– Sprytne – stwierdziłem, opierając się na Granuaile, żeby móc się temu przyjrzeć. – Dzięki takiemu rozwiązaniu brama wciąż działa, ale jednak pozostaje chwilowo w uśpieniu, bo żelazo wycisza zaklęcie. Wystarczy odsunąć klapę, a brama znów się otworzy. Zasunąć ją, a magia przycichnie. W ten sposób mogą w parę sekund przerzucić swoich ludzi w tę lub we w tę. Nic dziwnego, że tak im to sprawnie szło.

– Ale co właściwie? – spytała Granuaile. – O co w tym wszystkim chodziło?

– O dusze. Ten demon chciał się wspiąć po drabinie hierarchii piekielnej. Plan polegał na tym, by ludzie z własnej woli wybrali piekło. Wtedy ich zabijał.

– I to się udawało ukryć? Spójrz na tych biedaków! Nikt nie zauważył, że zniknęli?

– Pewnie pierwszy raz zrobił to na taką skalę. Po niebiańskiej stronie namiotu postawił diabelca, który rzucał na ludzi zaklęcie likwidujące pamięć. Dzięki temu nie szukali potem przyjaciół, którzy nie wyszli z namiotu, a nawet gdy po jakimś czasie zaczynali czuć, że kogoś im brakuje, pamięć zapewniała im, że akurat tutaj z pewnością nie mogli ich zgubić. Zanim ktokolwiek zgłosił na policję zaginięcie bliskiej osoby, wesołe miasteczko już było daleko stąd.

Ghule natomiast zżerały ciała na bieżąco, a wiesz, jak to jest: nie ma trupa, nie ma zbrodni. Zaginięcie tych ludzi prędzej by wytłumaczono porwaniem przez kosmitów niż masowym morderstwem pod ziemią.

– Ale nie możemy ich tak tu przecież zostawić.

Rozejrzałem się wokół i pokręciłem głową.

– Nie. Ich rodziny powinny się dowiedzieć. Gdy już będzie bezpiecznie, żywiołak może wypchnąć ich ciała na powierzchnię.

– Dobra. – Granuaile wróciła wzrokiem do bramy. – Więc gdybyśmy podnieśli teraz tę klapę, moglibyśmy wskoczyć prosto do piekła?

– Albo coś by mogło wyskoczyć na nas. Tak. A kiedy wrota są otwarte, wysysają olbrzymie ilości energii z ziemi. Na szczęście dość łatwo je zniszczyć.

Splatając podobne do podobnego, połączyłem wszystkie kryształki soli razem. Uniosły się nad ziemią i spotkały nad klapą, tworząc kulę. Upuściłem ją i spadła na żelazo. Trochę soli zostało w śladach, które ktoś tu zrobił palcem, ale i jej się pozbyłem, wyrównując starannie ziemię. Nim odważyłem się podnieść klapę, jeszcze sprawdziłem w magicznym spektrum, czy mogę to bezpiecznie zrobić. Nie zobaczyłem żadnej białej poświaty, uznałem więc, że teraz bez trudu powinno się dać wtopić żelazo z powrotem w ziemię.

– Kopnęłaś tę klapę? – poprosiłem.

W moim stanie nie miałem szans jej przesunąć. Zaklęcia splatające były dla mnie wykonalne, bo opierały się na energii Bursztynowej, a nie mojej własnej. Granuaile przesunęła trochę klapę nogą i ujrzeliśmy pod spodem ziemię – taką zupełnie normalną ziemię. Kuleczka ze splecionej soli potoczyła się i spadła z klapy. Uznawszy, że już gorzej raczej nie będzie, poinformowałem Bursztynową, że brama do piekieł została zniszczona, i poprosiłem o stworzenie dla nas ścieżki, żebyśmy mogli jakoś wyjść na powierzchnię. Na naszych oczach ziemia wybudowała dla nas prowadzącą w górę klatkę schodową.

Rzuciłem na nas troje kamuflaż, bo bałem się, że jeśli pojawimy się nagle w wesołym miasteczku cali we krwi, może to wywołać nieprzyjemne uwagi.

Wyłoniliśmy się za rzędem budek z grami. Schody za nami zniknęły w jednej chwili. Dobre parę minut napawaliśmy się po prostu świeżym powietrzem. Dobiegł nas rechot typka przy stoisku z kankami mleka. Najwyraźniej obśmiewał kolejnych klientów.

– Zaraz wracam – powiedziałem i poszedłem sprawdzić, co się dzieje w namiocie, choć nie mogę powiedzieć, żebym dawał radę szybko się przemieszczać.

Pakera, który przedtem stał w drzwiach, już nie było. Ktoś wezwał w końcu policję, bo zobaczyłem przy wejściu dwóch gliniarzy. Nie było ani śladu po małej diablicy oraz ludziach, którzy udawali brodatą kobietę, trzyrękiego mężczyznę i resztę. Policja najwyraźniej nie znalazła jeszcze żadnych ciał, bo wtedy przecież zrobiliby coś więcej, zamiast tylko zamknąć jeden namiot. Ci, co ich wezwali, poinformowali ich najwyżej o tamtym diabelcu, któremu skrzyłem kark, ale bez dowodów – a nie mieli przecież jeszcze żadnych – pewnie im się to wydawało jakąś wierutną bzdurą. Nie przeżył nikt, kto widział, co się działo na samym dole. Trzeba jeszcze będzie powyłapywać wszystkie te diabelce, które uciekły, ale nie dadzą rady otworzyć na nowo wrót do piekieł. Spokojnie mogliśmy najpierw odpocząć, dojść do siebie i przemyśleć plan.

Wróciłem do Granuaile i Oberona, którzy wciąż kryli się za rzędem budek. Rozplotłem nasze kamuflaże, bo i tak byliśmy sami, a nawet gdyby ktoś nas tu dojrzał, to po ciemku nie zobaczy krwi. Granuaile kuciała i gapiała się w ziemię. Łokcie oparła sobie na udach, a dłonie spłotła między kolanami. Wszędzie wokół nieświadomi niczego ludzie nadal usiłowali jakoś się rozerwać. Światła i odgłosy wesołego miasteczka, które jeszcze chwilę temu wydawały mi się takie radosne i kuszące, teraz nieznośnie działały mi na nerwy. Nie byliśmy już w nastroju na przejażdżkę na karuzeli.

Przykucnąłem obok Granuaile.

– Ostrzegałem cię, że wybranie takiego życia wiąże się z wieloma niebezpieczeństwami, ale to były tylko słowa – szepnąłem. – Teraz już wiesz.

Granuaile pokiwała głową.

– Tak, teraz wiem.

Cała się trzęsła, częściowo pewnie od adrenaliny, a częściowo z szoku, bo powoli dochodziło do niej, czego w ogóle byliśmy świadkami.

– Ale dobrze sobie tam poradziłaś – dodałem. – Dzięki za pomoc.

– Nawzajem. – Usta jej zadrżały i po policzku pociekła łza. – Tam, na dole, nie miałam nawet czasu myśleć. Ale wiesz, tam mogła być moja mama.

– Tak. Dobrze, że tak się nie stało. Idealnie się wstrześliła z tym rejssem.

Granuaile otarła łzę i pociągnęła nosem.

– Ale czyjaś mama tam była. I to pewnie kogoś, kogo nawet znam.

– Pewnie tak. Ale nie dało się uratować nikogo więcej. Bo masz świadomość, że uratowaliśmy dziś mnóstwo ludzi przed śmiercią?

– No. Ale jakoś wcale mi nie jest od tego lepiej.

– Rozumiem.

Oberon przysunął się do niej, wpakował łeb pod jej głowę i podniósł ją ostrożnie, jakby chciał powiedzieć „głowa do góry”. Chwyliła go za szyję i przez chwilę płakała wtulona w jego sierść. Znosił to w cierpliwym milczeniu. W każdym razie tak to wyglądało z jej perspektywy, bo do mnie mruknął mentalnie:

<Nie pamięta już, że tam, na dole przyłożyła mi w nosek?>.

Pewnie nie. Może lepiej jej tego nie przypominajmy. Widzisz przecież, że cię kocha. Tak jak i ja zresztą.

<Czyżby?>.

Tak, i dobrze o tym wiesz. Ale żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości, obiecuję pomyśleć o jakiejś randce dla ciebie.

Oberon natychmiast zaczął merdać ogonem.

<Z czarną pudlicą w cieczcze?>.

I nazwiemy ją Noche. Plus kiełbaski i czas na figle.

Oberon tak się tym podekscytował, że aż zaszczekał. Zdumiona Granuaile

odskoczyła odruchowo, a wtedy oblizal jej twarz.

– Co? Oberonie! – Zatoczyła się do tyłu i rąbnęła głową w tył budki. – Hej! – Roześmiała się, gdy Oberon rzucił się jeszcze bardziej ją oblizywać.

Psy są dobre na wszystko.

Może z wyjątkiem mojego strachu przed Kansas. Nie przeszedł mi do dziś.

1 Tłum. Józef Paszkowski.

2 Nawiązanie do *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota w przekładzie Władysława Dulęby.

Niebezpieczna kapliczka

Bywają opowieści dosłownie zrodzone w ogniu, ale wszystkie historie, bez względu na swoje pochodzenie, ożywają przy ogniskach i rozrastają się w trakcie opowiadania. Tym lepiej dla nich, jeśli brzuchy są pełne, a w żyłach płynie ogrzana winem krew. Przy takich okazjach ludzie często oczekują ode mnie snucia baśni. Po prostu z góry zakładają, że każdy druid jest po części bardem.

<Atticusie, opowiedz nam coś, czego jeszcze nie słyszeliśmy> poprosił Oberon.

Zrobiliśmy sobie właśnie przerwę w ćwiczeniach i wybraliśmy się pod namiot nad jezioro Knoll. Upiekliśmy nad ogniem świeżego pstrąga, a potem zajadaliśmy się piankami cukrowymi i piliśmy kakao.

– Chciałyś, żebym wam coś opowiedział? – spytałem na głos.

Moja uczennica jeszcze nie potrafiła rozmawiać mentalnie z Oberonem. Do splecienia z ziemią zostały jej cztery lata nauki. Dopiero wtedy będzie mogła stosować magię. Żeby nie czuła się niezręcznie, starałem się mówić do Oberona na głos. W ten sposób Granuaile pośrednio też mogła uczestniczyć w rozmowie.

– Jak go znam, to pewnie wolałby jakiś smakołyk – mruknęła Granuaile. – Ale ja za to poproszę opowieść. Idealny wieczór na bajanie przy ognisku.

<Bystrą masz uczennicę> skomentował Oberon.

– Dobra, to na jaką historyjkę macie ochotę?

<Na taką, w której hultaj wilczarz poznaje puchatą pudlicę swoich marzeń i

snów. Razem lecą na magicznym dywanie, śpiewając w pięknym duecie z orkiestrą w tle, by wylądować w końcu na wrzosowisku, a tam już stoi facet, który wygląda zupełnie jak wujek Jesse z *Diuków Hazzardu*, i drugi, który wygląda jak Hank Williams Junior. I on mówi, że właśnie piecze świnie w ziemi i...>

Granuaile nie słyszała tego jego wywodu, więc jednocześnie powiedziała:

– Chciałabym usłyszeć opowieść, w której bierzesz udział w jakimś wydarzeniu historycznym, i to takim znanym.

– Dobra. – Zastanawiałem się chwilę, zdejmując ze stalowego szpikulca smakowicie podtopioną piankę. – To może o poszukiwaniu Świętego Graala?

<Nie-e!>.

– Nie gadaj! – wykrzyknęła jednocześnie moja uczennica. – Nie byłeś chyba rycerzem okrągłego stołu?

– Skądże znowu! Ale legendy o Świętym Graalu wcale nie były, u swego zarania w każdym razie, tymi mocno schrystianizowanymi bajkami o Arturze, Lancelocie i reszcie. Z początku opowiadały o przygodach tylko jednego człowieka, a ściślej rzecz biorąc, druida, dopiero potem się zmieniły, jak to z legendami bywa, gdy się je opowiada przy ogniskach takich jak nasze.

Granuaile skrzyżowała ręce na piersi.

– Chcesz powiedzieć, że nie tylko znasz prawdę o Graalu, ale jeszcze że to ty go znalazłeś?

– Tak. Takie było moje zadanie.

Ale ona wciąż podejrzewała mnie o blef.

– Niby kto ci je wyznaczył?

– Ogma z Tuatha Dé Danann.

– Hm, no dobra. To co to w końcu było ten Graal? Przecież nie kielich z Ostatniej Wieczerzy ani nic w tym stylu, prawda?

– Nie, całą tę historię o Józefie z Arymatei dodano oczywiście później. Co więcej, opowieść o królu Arturze prawie od zera zmyślił ten dupek Geoffrey z Monmouth. Te dwa wydarzenia dzieliło od siebie dobre sześćset pięćdziesiąt

lat, i tyle też mniej więcej minęło od znalezienia Graala do powstania jakiegokolwiek przekazu pisemnego, który by przetrwał do naszych czasów. Innymi słowy: mnóstwo czasu, żeby wszystko schrzanić, a większość tekstu sfabrykować. To, co poeci nazwali sobie Graalem, to był tak naprawdę Kocioł Odrodzenia, jeden z Czterech Skarbów Tuatha Dé Danann, którym można było nakarmić całe wojsko, bo był bezdenny. No wiecie, takie coś w stylu knajpy „jesz, ile chcesz”.

<Okej, tym mnie zaintrygowałeś>.

– Ogma kazał ci ukraść Kocioł Dagdy i to zapoczątkowało legendy o Świętym Graalu?

– Tak mniej więcej. Tylko że to ktoś inny ukradł kocioł. Ja go miałem tylko odzyskać.

– To kim byłeś? Lancelotem? Galahadem?

– Nie, opowieści o tych typkach powstały o wiele później. Ja tylko galopowałem po kraju i mówiłem ludziom, że się nazywam Gawain.

Granuaile pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Dobra, sensei, opowiadaj – zażądała.

<Tylko żebyś mi nie pominął opisów tego, co było w kociołku> dodał Oberon. <I chcę usłyszeć szczegółowo o tym, jak psy się tak obżarły, że mała nie pękły. Bo są tam chyba przecież jakieś psy w tej twojej opowieści, co?>.



Tuatha Dé Danann nie mają zwyczaju narażać się na ryzyko, jeśli tylko da się zrobić w nie kogoś innego. I właśnie dlatego w 537 roku, kiedy to ukrywałem się w najdalszych zakątkach saksońskich ziem na kontynencie, wezwał mnie na słówko Ogma i wyznaczył mi zadanie, które miało dla mnie nawet pewne zalety. Nie po raz pierwszy bóg ten prosił mnie zresztą o przysługę, bo jakiś czas wcześniej, przewidziawszy zniszczenie Biblioteki Aleksandryjskiej, polecił mi zrabować z niej parę książek.

– Pewien cholerny piktyjski palant zwinął Kocioł Dagdy i ukrywa go

gdzieś w zachodniej części kraju Brytów – powiedział tym razem Ogma. Miał na myśli teren, który potem stał się Walią, ale w tamtych czasach Brytowie dopiero zaczynali tworzyć swoją walijską tożsamość. – Rozciągnął na całą okolicę jakąś magiczną mgłę i przez to nie dajemy rady wywróżyć konkretnej lokalizacji kotła, ani nawet się tam przenieść. Potrzeba nam kogoś, kto by mógł się tam osobiście wybrać i odzyskać, co nasze.

– I tak od razu akurat ja ci przyszedłem do głowy?

– Nie. Posłaliśmy już tam paru śmiałków.

Zarejestrowałem to „my”, ale tego nie skomentowałem, tylko spytałem:

– Czy to także byli druidzi?

– Ano, wielu was już nie zostało, ale akurat dwóch zgodziło się pójść.

– I co miałbym niby na tym zyskać?

– Czy ty w ogóle słuchasz, co ja do ciebie mówię, synek? Nie dajemy rady wywróżyć nic na tym terenie i nie potrafimy się tam przenieść. Biorąc pod uwagę, że od jakiegoś czasu uciekasz bez przerwy, czy to przypadkiem nie jest dla ciebie jakieś rozwiązanie?

Liczył na to, że rzucę się na każdą okazję, by skryć się przed oczami Aenghusa Óga, irlandzkiego boga, który koniecznie chciał mnie zabić. Wzruszyłem tylko ramionami.

– Z tego, co mówisz, na chwilę miałbym wprawdzie z głowy boga, który chce mnie dorwać, ale za to wpakowałbym się na teren szalonego Pikta z gigantycznymi jajami i niezłym talentem magicznym. Nie jestem pewien, czy byłbym coś do przodu na takiej zamianie.

Ogma wybuchnął śmiechem.

– Też prawda. Ale weź pod uwagę, że zyskasz przy okazji moją wdzięczność, bo jak wiesz, Dagda jest moim bratem.

– Myślałem, że już zaskarbiłem sobie twoją wdzięczność po tym, co zrobiłem dla ciebie w Egipcie.

– Oczywiście. Ale teraz zaskarbiłbyś sobie jej jeszcze więcej.

To by oznaczało, że jeśli odmówię, grozi mi, że będzie jej znacząco mniej.

– Dobra. Daj mi konia i jakąś zbroję od Goibhniu, taką, wiesz, żebym z miejsca budził szacunek. Przenieś mnie najbliżej jak się da i wskaż kierunek. Potem już sam sobie poradzę.

– Tak lepiej – ucieszył się Ogma i poklepał mnie po ramieniu. – W takim razie do zobaczenia.

Nim znów go ujrzałem, minął dobry tydzień, ale rzeczywiście załatwił mi u Goibhniu zbroję i wspaniałego wierzchowca, a do tego prowiant dla nas obu. Przebrałem się ochoczo w pancerz i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczułem nikły promyk optymizmu. Potem przenieśliśmy się przez Tír na nÓg do miejsca niedaleko starej rzymskiej drogi prowadzącej z Gloucester na zachód. Lało jak z cebra.

– Zapomniałem, że tu zawsze pada – mruknąłem. – Mogłeś mi chociaż o tym przypomnieć.

Ogma puścił moje gderanie mimo uszu i wskazał mi kierunek zachodni.

– W tę stronę.

– Daleko stąd do miejsca, w którym już nie będzie mnie mógł wywróżyć Aenghus Óg?

– Niedaleko. Sam poczujesz różnicę. Ale radzę ci się przedtem dobrze zaprzyjaźnić z koniem, bo z tego, co słyszałem, bardzo łatwo tam w środku panikują.

– Co mi możesz powiedzieć o tym Pikcie?

– Że jest wredny i brzydki – podsumował, wzruszając ramionami.

– Aha. No to w drogę.

Ogma życzył mi powodzenia i przeniósł się z powrotem do Tír na nÓg, a ja zostałem w strugach deszczu.

Koń prychnął i spojrzał na mnie niepewnie. Podszedłem do niego bardzo ostrożnie i delikatnie poklepałem po szyi, powoli splatając swoją świadomość z jego, żebym mógł wyczuwać jego emocje i vice versa. Ale rezultat splotu zupełnie mnie zaskoczył.

<Uff> powiedział koń. <Jesteś zatem jednym z nich>.

Co masz na myśli? – spytałem zdumiony, że słyszę w głowie jego głos.

<No, jednym z ludzi, którzy potrafią mnie słyszeć>.

Ale skąd ty w ogóle znasz nasz język?

<Goibhniu mnie nauczył>.

Wyglądało na to, że Ogma zrealizował moją prośbę dość dosłownie – nie tylko załatwił mi zbroję od Goibhniu, ale konia też wziął prosto od boga kowalstwa. I to dzięki temu wydarzeniu zacząłem później uczyć moje zwierzęta języka.

Mam na imię Gawain – przedstawiłem się. – A jak ty się nazywasz?

<Apple Jack. Bo lubię jabłka, wiesz? Pewnie nie masz żadnego pod ręką, co?>.

Sprawdziłem w naszych zapasach i owszem, w jednej z sakw znalazłem mnóstwo jabłek. Wyciągnąłem jedno i podałem je Apple Jackowi.

<Dzięki> mruknął, wyjmując je wargami z moich palców i chrupiąc ze smakiem. <Myślę, że się będziemy świetnie dogadywać. A, i jeszcze jedno. Jeśli wyczuję zapach czegoś przerażającego, musisz albo to coś zabić, albo pozwolić mi uciec. Sam słyszałeś, co mówił ten typek, który mnie tu przyprowadził. Jestem koniem, więc mogę łatwo spanikować. Umowa stoi?>.

Hm, to zależy, co cię przeraża. Nie mogę przecież w ciemno ci czegoś takiego obiecać. A jeśli na przykład przeraża cię zapach pięknych kobiet?

<Wiem ze sprawdzonych źródeł, że poza Irlandią nie ma żadnych pięknych kobiet. Jeśli więc tu jakąś zobaczymy, to będzie z pewnością wiedźma, a wtedy należy albo ją zabić, albo od razu wiać>.

Widzę, że Goibhniu jest dobrym nauczycielem.

<I daję swoim uczniom dużo jabłek, żeby im nie spadała koncentracja>.

Nie wątpię. – Przerzuciłem nogę przez jego grzbiet, chwyciłem lejce, poklepałem go przyjacielsko po szyi i powiedziałem: – Ruszajmy! Koniu, prowadź na zachód. Ku niebezpieczeństwom i sławie!

<Czy to nazwy wioski?>.

Niebezpieczeństwa i sława? Nie. Tylko tak chciałem stworzyć nastrój.

<To nie twórz. Jeszcze coś wykraczesz>.

Też prawda.

Potruchtaliśmy więc na zachód, bo przy takiej pogodzie to nawet najlepszy wierzchowiec nie może kłusować, galopować, a już na pewno nie cwałować. Ledwie przeszliśmy może kilometr, a zupełnie zmienił się rodzaj deszczu. Zamiast zwykłej ulewy z szanującymi się kroplami otaczała nas teraz jakaś mokra, agresywna mgiełka, która nawet nie potrafiła się zdecydować, w którym kierunku spada. Smagała mnie po twarzy z dwóch stron naraz i udawało jej się nawet kapać do uszu i nozdrzy. Z zimną, nieubłaganą determinacją upierała się, że nie ma ubrań, które by mnie przed nią ochroniły. I nagle stało się coś dziwnego z ciśnieniem, bo pyknęło mi w uszach. To musiała być ta mgła, o której mówił Ogma.

Spadła też temperatura, a drzewa wzdłuż drogi nie wyglądały już na takie, w których mogliby się ukrywać kompani Robin Hooda. Jedyne, co skrywały pod konarami, to obfitość zgnilizny i smętku. Zamiast nieba zwisał nad nami jakiś rozmyty atrament, ponure maźnięcia mokrym pędzlem. Byłem przygnębiony, zniechęcony i naszyły mnie poważne wątpliwości, czy aby nie podjąłem tej decyzji zbyt pochopnie. Apple Jack wyraził podobne przekonanie. I to wielokrotnie. Powoli zmienialiśmy się w zamarzniete awatary niepokoju. Ogarniała nas typowa dla krainy deszczowców czarna rozpacz.

W nocy las wydawał rozliczne odgłosy: powarkiwania drapieźników, wrzaski ofiar, a potem trzaskanie, mlaskanie i bardzo głośne żucie. Zbudowałem szałas między drzewami, splatając ich gałęzie w jaki taki dach, pod którym skryliśmy się przed deszczem.

<A nie mógłbyś się bardziej postarać i zbudować mi całej stajni?> marudził Apple Jack. <Albo może otoczyć nas elegancką palisadą?>.

To nam musi wystarczyć – mruknąłem, szykując ognisko pod daszkiem. – Poprosiłem tutejszego żywiołaka, żeby chronił nas przed głodnymi zwierzętami. Jedyne, o co się teraz musimy martwić, to zagrożenia nienaturalne.

<Że co? Co niby takiego?>.

Duchy. Wiedzmy. Gobliny. To, co zwykle.

<To, co zwykle?> Apple Jack pokręcił łbem i zaczął nerwowo dreptać w miejscu. <To gobliny są tu czymś normalnym?>.

Hej, uspokój się...

<Ten żalosny płomyczek nie ochroni mnie przecież przed goblinami! Czyś ty w ogóle kiedykolwiek w życiu widział goblina, Gawainie? Małe oczka, wielkie zęby i nozdrza. One się ubierają w końskie skóry! W skóry ze mnie na przykład! Zmywajmy się stąd!>.

Spokojnie! Nie ma tu żadnych goblinów! Tak tylko żartowałem!

Apple Jack położył uszy po sobie i wyszczerzył zębiska.

<To NIE było śmieszne>.

Przepraszam. Wiem, że tu jest trochę upiornie, ale na razie nic nam chyba nie grozi. Do prawdziwego niebezpieczeństwa zostało nam jeszcze dobre kilka dni drogi.

<To też nie było śmieszne>.

Dałem mu parę jabłek i worek owsa, żeby jakoś mu wynagrodzić te głupie żarty, a potem jeszcze go porządnie wyczesalem. Opowiedziałem mu legendę o Pięknej Fionnait, białej klaczy z Munster, i to go trochę pocieszyło, w końcu mogliśmy więc pójść spokojnie spać. Nim jednak zawiąłem się w mokry koc, spędziłem jeszcze chwilę na modyfikowaniu podeszwy prawego buta. Wyciąłem w nim dziurę, tak żeby cały czas mieć kontakt z ziemią i pobierać jej magię, ale żeby dziura nie rzucała się ludziom w oczy.

Kiedy spaliśmy, przestało padać, lecz gdy tylko wyszliśmy rano z szałas, znów lunęło.

<To spisek> mruknął Apple Jack. <Oni to robią, żeby mi się załagł grzyb w uszach>.

Jacy oni?

<Oni>.

Zwykle to ja mam większą paranoję od innych.

<A niby dlaczego? Ty masz przecież miecz i przeciwstawne kciuki. Ja potrafię tylko biec i smakowicie się prezentować w oczach wszelkich drapieżników. Paranoja to moja specjalność>.

Wnioskuje z tego, że nie jesteś koniem wojennym Goibhniu.

Poza deszczem i naszymi strachami nie było tego dnia właściwie na co narzekać. Po południu natknęliśmy się na gospodę ze stajnią, uznaliśmy więc, że na dziś wystarczy już tej wędrówki. Jakoś bardzo nam się przecież nie spieszyło, a odrobina odpoczynku dobrze by nam zrobiła. Gdy już zaprowadziłem Apple Jacka do przytulnego boksu pełnego siana, uzmysłowiłem sobie, że nikt tu w okolicy donikąd nie wędrował. Po drodze nie minęliśmy dosłownie nikogo. A jednak stajnia była prawie pełna, co oznaczało, że gospoda – o dumnej nazwie Srebrny Ogier, jak głosiła tabliczka przed wejściem – musi też mieć sporo gości. Może wszyscy ci podróżni czekają po prostu, aż przestanie padać?

Tak jednak nie było. Po chwili okazało się, że nikt stąd nie wybierał się do Gloucester, po prostu dlatego że nikt tego zrobić nie mógł.

– O, następny! – powitał mnie jakiś stary dziwak, gdy tylko stanąłem w progu gospody. – Witamy w piekle, drogi panie.

Rozejrzałem się odruchowo. Bynajmniej nie panowała tu piekielna atmosfera, a żaden z gości nie wyglądał groźnie. Za to wszyscy jak jeden mąż cierpieli chyba na depresję, bo siedzieli na ławach z dzbanami piwa i gapili się tępo w swoje niedojedzone sery.

– Dzień dobry – odpowiedziałem więc staruchowi, ale na wszelki wypadek nie za głośno. – W piekle? Dlaczego w piekle? Czy o czymś nie wiem?

– Utknęliśmy tu raz na zawsze – wyjaśnił staruch. – A niebo to raczej nie jest.

Średniowieczna logika.

– Nie da się stąd wyjść?

– E tam, jasne, że się da wyjść. Tyle że się zaraz wróci. Idź, panie, tą drogą w stronę Gloucester, a po jakimś czasie bez pudła wrócisz do naszej gospody.

Już trzy razy wybierałem się do Gloucester i za każdym razem trafiałem pod drzwi przeklętego Srebrnego Ogiera.

– A co się dzieje, jeśli się pójdzie na zachód?

– Na zachód? – warknął na mnie facet. – A czego chcesz się, panie, pchać na zachód?

Gadał tak głośno, że teraz patrzyli na mnie już wszyscy goście. Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie głównie dlatego, że nadal czegoś nie wiem. Niby dlaczego nie powinienem iść na zachód?

– Dzieją się tam jakieś paskudne rzeczy. W tej osadzie wikingów. Tej na półwyspie Gwyr. Co ją zwą Sveinsey, ale żeby ja wiedział, co to znaczy, tobym był mądry.

Zaśmiałem się grzecznie razem z nim, choć dobrze wiedziałem, że po staronordycku, który wtedy jeszcze znany był po prostu jako nordycki, znaczy to tyle co Wyspa Sveinna. Dziś miejsce to nazywane jest Swansea.

– I jak bardzo paskudne rzeczy się tam dzieją? – drażylem.

– To długa historia, a język mi zasechł jak ślimak na słońcu.

– Aha. A gdybym tak kupił ci coś do picia?

– Bardzo to miłe z twojej strony, panie. Jak cię zwą?

Przedstawiłem mu się jako Gawain, co z pewnością usłyszało wiele osób, zwłaszcza że mówiłem w ich języku z obcym akcentem. Rozmowy w gospodzie ucichły i z pewnością nie uszło uwagi wszystkich, że mam na sobie zbroję godną rycerza. Staruch wyciągnął do mnie łapę i powiedział, że ma na imię Dafydd. Podeszliśmy do baru i zamówiłem dwa dzbany miodu. Spytałem przy okazji, czy dałoby się tu przenocować, ale karczmarz pokręcił głową.

– Nie mam już wolnych pokoi. Chyba że może być miejsce w stajni.

– Niech będzie choć stajnia.

Kiedy staruszek zaspokoił pierwsze pragnienie, opowiedział mi wesoło o śmierci i ruinie panujących na zachodzie.

– Przyjechał do Sveinsey jakiś dumny Pikt z gębą całą w dziurach i szlag

trafił nasze królestwo. Słońca to żeśmy nie widzieli od trzech miesięcy. Prawie nie przestaje lać. Tyle naszego, że nie było powodzi, ale mowy nie ma, żeby to dało radę obeschnąć. Zbiory nam pogniły do reszty, a grzyby to rosną większe niż kutas wołu. Krowy i owce srają i srają, aż zdechną, prawdę gadam? – Rozejrzał się wokół, szukając wsparcia u innych gości gospody. Zadowolił się kilkoma potwierdzającymi mruknięciami i już ciągnął swoją opowieść: – Pastwiska stoją puste, całe w błocie i tylko wrony się nimi interesują. Kto miał rozum, ten zwiął stąd wiele miesięcy temu, jak się połapał, że w cholerę nie będzie żarcia, ale nie jest łatwo tak rzucić ziemię, na której człek tyrał w znoju całe życie.

– Czyli ludzie, którzy wcześniej się stąd wyprowadzili, zdołali uciec? Nie utknęli tak jak wy?

– Ano, im się jeszcze udało. Ten magiczny płot to Pikt postawił dopiero z jakiś miesiąc temu. Dobry król Kadok ruszył się za nas modlić, niech go Bóg ma w swojej opiece, ale nic to jakoś nie pomaga, bo Pikt tam cały czas siedzi i się obwarowuje. Cholerny czarnoksiężnik upiera się, że teraz ma w Sveinsey własnego króla.

– Przepraszam, ale dawno mnie nie było w kraju. W jakim ja właściwie jestem teraz królestwie?

Dafydd zarechotał i dołączyło do niego kilku innych.

– W jakim królestwie, pytasz, panie? Jak to może być, że rycerz nie wie, gdzie jest?

Wzruszyłem ramionami.

– Dużo podróżuję. Dopiero co wróciłem z kontynentu. Granice się przesuwają, królowie umierają. Jak się na jakiś czas wyjedzie, to potem trudno się zorientować.

– Też prawda. Jesteś pan w Glywysing. A któremu lordowi służysz?

– Nie mam pana – odpowiedziałem, ale zobaczyłem po ich minach, że czegoś takiego po prostu nie łykną. – Szukam nowego – dodałem więc pospiesznie. – Szlachetnego lorda. Mój ostatni pan został zabity w walce z

Saksonami.

Na to posypały się przekleństwa i rozległo się wściekłe spluwanie. Jako wróg Saksonów automatycznie stawałem się przyjacielem wszystkich w gospodzie. Ktoś mi nawet postawił następny dzban miodu.

– Ale jak dajecie radę przeżyć, nie mogąc niczego kupić? – spytałem, patrząc na oberżystę.

Westchnął i wziął kolejny dzban do wypolerowania.

– Chłopaki pomagają, jak mogą – odparł. – Polują. Zwierzyny nam tu w lasach nie brakuje. Więc nic tylko żremy dziczyznę. Dobrze, że chociaż jest co pić, bo miałem akurat pełną piwniczkę. Mąka już się dawno skończyła, więc zapomnij, panie, o chlebie. Od trzech tygodni ani jednej jarzyny.

– Żarcie jak dla żeglarzy, tyle ci powiem, panie – narzekał Dafydd. – Wszyscy się od tego pochorujemy i przyjdzie nam tu pozdychać w tym deszczu.

– A Pikt? – spytałem. – Też nie ma co jeść?

– O! On to co innego – Dafydd pokręcił głową. – On to ma coś takiego w tej swojej pozał się Boże fortecy... Widzisz, panie, próbuje ją zmienić w prawdziwy zamek, niech go licho... Więc mówią, że ma zawsze pod dostatkiem strawy. Ma jakiś magiczny kielich czy coś. Jak się weźmie z niego choć kęsek, zaraz się pojawia więcej. Pikt spokojnie karmi więc wszystkich w fortecy i, sam rozumiesz, panie, mnóstwo ludzi jest gotowych mu służyć, żeby dostać te trzy posiłki dziennie, wiadomo. A tymczasem ziemia wokół obumiera, także coraz dalej na wschód od półwyspu, a może i na zachód i północ, tego nie wiem, bo tam nikogo nie znam.

– I nikt już się nie wybiera do Sveinsey? Ani choćby w tym kierunku?

– Tylko głupi. No i ci, co się zaprzędali diabłu.

Uniosłem brew.

– Ci, co się zaprzędali diabłu?

– A te pogańskie dranie, druidzi. Ledwo siedem dni temu był tu taki jeden. A przedtem parę tygodni wcześniej też jeden. Tacy, wiesz, panie, z tatuażami

na rękach.

I dlatego właśnie poprosiłem Ogmę o zbroję. Dawno niestety minęły czasy, gdy druidzi budzili szacunek. Doszło już nawet do tego, że gdzie się druid nie ruszył, zaraz go spotykały prześladowania i przemoc.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem i spytałem:

– Poszli dołączyć do Pikta?

– E, nie. Ubzdurało im się, że się go jakoś pozbędą. Życzyłem im powodzenia, bo czemu nie, ale więcej już ich nie widzieliśmy, a do Gloucester dalej się nie da dojść, więc tyle zdziałali co król Kadok tymi swoimi modłami, czyli nic.

Nagle zupełnie mi się odechciało pić z tymi ludźmi. Powiedzieli mi już wszystko, co powinienem wiedzieć, a teraz czekała nas już tylko wymiana pytań na tematy osobiste i wzajemne wciskanie sobie kitu. W tamtych czasach nietrudno było właściwie wtapiać się w tłum – wystarczyło schować tatuaże i trzymać się prostych zasad wyznaczonych przez wczesny Kościół: wychwalaj Jezusa, a jeśli trafisz na kogoś, kto tego nie robi, atakuj, jeśli jest słaby, a jeśli silny, uciekaj. Kamuflaż społeczny był łatwy do podtrzymania, ale naprawdę szkodził na głowę. Podziękowałem więc wszystkim za towarzystwo i powiedziałem, że muszę już iść oporządzić konia, niech Bóg ma was, dobrzy ludzie, w swojej opiece i chroni was przed złym.

Wyszczotkowałem Apple Jacka, nakarmiłem go i postanowiłem przeczekać noc, a wyruszyć z samego rana. Bardzo miałem ochotę zdjąć niewygodną i przemoczoną zbroję, ale oczywiście musiałem w niej zostać, jeśli miałem udawać dobrego chrześcijanina. Gdy tylko ktoś wchodził do stajni, klękałem i składałem ręce w bogobojnej modlitwie, nikt więc nie zakłócał mi spokoju.

Rano deszcz zaatakował z jeszcze większą furją, uparcie próbując mnie chyba rozpuścić. Wielkie krople bębniły mi w hełm i smagały skórzane części zbroi. Spuściłem głowę i zdałem się na Apple Jacka. Po mocno zamokniętym posiłku pod słabą osłoną, jaką dał nam jakiś jesion przy drodze, zaczęliśmy nawet tęsknić za suchą stajnią pod Srebrnym Ogierem.

Po jakiejś godzinie przygnębiającego marszu czekała nas jednak niespodzianka. Otarłem mokre od deszczu oczy, a Apple Jack potrząsnął łbem, by lepiej widzieć. Znowu spojrzeliśmy na drogę i słowo daję, zobaczyłem przed nami budynek, którego jeszcze chwilę temu tu nie widziałem.

– Chwilunia – powiedziałem na głos, a Apple Jack stanął jak wryty. – Jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłem?

<Mówisz o tej szopie z cmentarzem wokół?>.

Właśnie. To chyba jakaś kapliczka.

Na to by w każdym razie wskazywał krzyż na dachu. Nie była to katedra, nawet nie kościółek, a jedynie mała szara budowla z kamienia tak poukładanego, jakby murarzowi bardzo się spieszyło. Wokół chyliły się na wszystkie strony nagrobki, które zapadały się w mokrej ziemi. Wyglądały trochę jak brudne i połamane zębiska. W życiu nie widziałem tak makabrycznej świątyni.

<Też tego tu wcześniej nie widziałem. Może ktoś to zakamuflował? Druidzi tak potrafią>.

Może masz rację. Pewnie tak właśnie było. A to by oznaczało, że gdzieś tu jest jakiś inny druid, czyli sprawy zaczynają wyglądać o wiele lepiej.

<Ale pachnieć zaczęły właśnie gorzej. Tu cuchnie śmiercią>.

Bardzo? Masz na myśli tylko niejasne przeczucie śmierci, czy raczej smród ciał rozkładających się w deszczu?

<Może to tylko ten cmentarz tak capi. Ale coś tu jest nie tak. Mniejsza z tym, zaraz miniemy to miejsce i z głowy>.

Moim zdaniem dobrze by było tam zajrzeć i sprawdzić, co jest grane.

<A moim zdaniem dobrze by było jeszcze trochę pożyć>.

Nie przesadzaj, to tylko jakaś kapliczka i cmentarzyk. Suche kości nikomu nie przyczynią zła¹. A w kaplicy być może siedzi jakiś sympatyczny człowiek.

<A jeśli to pułapka? Gawainie, to nie kryjówka, to pajęczyna! W środku

czai się morderca, który ma tu od razu pod ręką cmentarz, żeby było mu wygodnie nas zakopać! Naprawdę nie przyszło ci to do głowy?>.

Yyy... Nie.

<Dobra, idź i się ładnie przywitaj, ale ja zostaję tutaj. Popilnuję prowiantu>.

Zeskoczyłem z niego, dałem mu jabłko, po czym rzuciłem na siebie kamuflaż i obnażyłem Fragaracha.

Cmentarz otoczony był niskim murkiem z jedną bramą, za którą ciągnęła się wąska ścieżka między nagrobkami. Gdy przeszedłem przez bramę, zobaczyłem, że drzwi do kaplicy są uchylone. Widać było przez nie, że w środku palą się świece. Kiedy zobaczyłem te drzwi, przemknęło mi przez myśl, że Apple Jack może jednak mieć rację, bo na progu leżała czyjaś głowa i dlatego właśnie nie dało się ich zamknąć.

Głowa była wprawdzie przyczepiona do ciała, ale zdecydowanie już martwego. Niebieskie oczy wpatrywały się martwym wzrokiem we framugę. Trup nie wyglądał mi na kogoś z kleru, bo miał na sobie prostą niebieską tunikę. Jednak za wiele też nie mogłem o nim powiedzieć z takiej odległości. Żeby to zbadać, powinienem podejść bliżej, a może nawet szerzej otworzyć drzwi.

Tylko że za nimi ktoś się mógł czaić.

Tak właściwie to równie dobrze mógł się ktoś czaić za jednym z nagrobków – na przykład jakiś łucznik. Choć tę opcję odrzuciłem zaraz po tym, jak mi przyszła do głowy, bo jednak gdy ktoś szykuje zasadzkę, to raczej tak to sobie planuje, żeby nie sterczeć całymi dniami na deszczu. Ktokolwiek zabił tego człowieka, albo już dawno sobie poszedł, albo schował się w kapliczce. Założyłem, że raczej wciąż jest w środku, bo w innym razie pewnie by jednak choć trochę po sobie posprzątał.

Szum deszczu sprawiał, że nic właściwie nie słyszałem, z drugiej strony jednak nie było też słychać moich kroków. Podkradłem się bliżej, aż do progu kaplicy i zajrzałem do środka. Teraz trochę lepiej widziałem już trupa. Prawa

ręka leżała na brzuchu. I była to ręka wytatuowana bardzo podobnie do mojej.

Odsunąłem się od kapliczki z wahaniem. Podłoga w środku była kamienna, więc kiedy tam wejść, będę odcięty od magii. Rzecz działa się na wiele wieków przed tym, jak udało mi się w końcu stworzyć mój niedźwiedzi charms, a ludzkie ciała mogą zawierać tylko bardzo niewielkie ilości magii, i to przez chwilę, mogłem więc tam wejść z jakimś jednym zaklęciem, które dałbym radę podtrzymać najwyżej przez kilka minut. Pytanie jakim. Próbowałem przeanalizować sytuację. Druida wcale nie tak łatwo zabić, a jednak komuś wyraźnie się to udało. Jeśli wejść do środka w kamuflażu, zabójca i tak zobaczy, że drzwi się szerzej otwierają, i być może tylko czeka na taki znak. Zwykle dobrym wyjściem był splot podkreślający moją prędkość, ale co mi po nim, skoro nie wiedziałem, czego i z jakiej strony mam się spodziewać. Uznałem więc, że najlepiej będzie postawić na siłę. Jeśli coś mnie zaatakuje tam w środku, zdam się na mięśnie i postaram za wszelką cenę wydostać na zewnątrz, żeby mieć znów dostęp do magii ziemi. Niewykluczone jednak, że druid na podłodze próbował zrobić to samo – nim zginął. Postanowiłem więc na wszelki wypadek trzymać się jak najbliżej drzwi.

<Znalazłeś trupa, co?> odezwał się w mojej głowie Apple Jack.

Tak.

<Ale i tak chcesz tam wleźć>.

Tak.

<Pojęcia nie mam, dlaczego to ty tu rządysz, skoro jesteś po prostu niezdolny do podjęcia najbardziej podstawowych decyzji i zadbania o własne bezpieczeństwo. „A to ci dopiero! – mówisz. – Zabity człowiek! Zamiast uciekać z tej ewidentnie niebezpiecznej kapliczki, wetknę tam łeb i zobaczymy, czy mi go ktoś utnie!“>.

Jeśli zginę, masz moje pozwolenie, by stąd zwać. A teraz cicho, muszę się zastanowić.

Apple Jack miał jednak trochę racji. Właściwie nie musiałem tam wchodzić. Kielicha Dagdy na pewno tam nie było. Tylko że przez tych

cholernych Rzymian i monoteizm zostało już na świecie tak niewielu druidów... Czuję po prostu, że moim psim obowiązkiem jest pomszczenie tego nieszczęśnika.

Zamarłem na chwilę i nasłuchiwałem. Kamienie nie szczędziły mi dźwięku pluszczącej wody, ale poza tym niczego nie było słychać. Zrzuciłem kamuflaż i wyszeptalem splot zwiększający siłę moich mięśni. Potem z całej siły kopnąłem drzwi, wpadłem do środka i zajrzałem za nie. Nikogo. Spojrzałem w górę; nikt nie czał się na belkach pod dachem. Przykucnąłem i rozejrzałem się po kaplicy, ostrożnie cofając się w stronę otwartych drzwi. Było to pojedyncze pomieszczenie. Z tyłu znajdował się ołtarz, a na nim zapalone świece i kolejne ciało. Też druida. Jego tatuaże nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Ręce złożone miał na piersi i zaciśnięte na mieczu, jakby był rycerzem.

– Hej! – zawołałem mimo wszystko. – Obudź się!

Ani drgnął. Jego pierś była zupełnie nieruchoma. Nie oddychał.

Przypomniało mi się, jak Dafydd opowiadał, że w ostatnich tygodniach przez gospodę przewinęło się dwóch druidów. Wyglądało na to, że obaj zakończyli swoją drogę właśnie tutaj. Ale jak do tego doszło? Nie chciałem stać się druidem numer trzy i miałem o wiele za mało danych. Wycofałem się, chwyciłem leżącego w drzwiach druida za tunikę i wyciągnąłem go na zewnątrz, żeby tam porządniej mu się przyjrzeć. W kaplicy było po prostu zbyt upiornie. Ktoś przecież musiał tu zapalić te świece i raczej nie był to żaden z tych trupów.

Na zewnątrz przykleknąłem w deszczu przy druidzie. W pierwszej chwili nie dojrzałem żadnych ran, ani nawet siniaków. Nisko na szyi, po prawej stronie, zobaczyłem jednak jakieś fioletowe plamy, więc zacząłem szukać ich więcej. Podobne cztery dostrzegłem po lewej stronie. Tego druida zadusiła na śmierć jakaś wielka łapa. Być może ręka okuta w rękawicę, ale to właściwie nie miało znaczenia. Wiedziałem dobrze, że przecież żaden druid nie dałby się tak po prostu zadusić. Na pewno walczył, a jednak nic to nie dało. Te pięć śladów

świadczyło o olbrzymiej sile mordercy.

Odruchowo dotknąłem własnej szyi. Czy kolczuga jakoś by mnie ochroniła przed taką ręką? Pewnie nie.

Dobrze byłoby sprawdzić, czy druid na ołtarzu zginął w ten sam sposób. Może nic się jednak nie stanie, jak tam zajrzę. Ktoś o tak wielgachnej dłoni raczej nie ukrywa się przecież w żadnym kącie malutkiej kapliczki.

Wszedłem z powrotem do środka. Większość świec na ołtarzu już zgasła, pewnie zdmuchnął je wiatr. Teraz już tylko przez drzwi wpadała jasna kolumna słabego światła, które zresztą w dużej części zasłoniłem własnym ciałem, gdy stanąłem w progu. I została jeszcze jedna świeca, która nadal paliła się przed ołtarzem. Byłem już w połowie drogi, gdy dotarło do mnie, że to jest jednak dziwne. Jeśli wiatr zdmuchnął te świece, to czy ta najbliższej drzwi nie powinna zgasnąć pierwsza? A jeśli nie wiatr, to co?

Moją uwagę przykuł ruch w prawym dolnym rogu ołtarza. Ku ostatniej świecy zbliżała się na palcach wielka czarna ręka bez ciała. Jej czerń wydała mi się nienaturalna, w odcieniu węgla, a do tego była podziurawiona niczym skała wulkaniczna. Łapa szczytnęła knot świecy kciukiem i palcem wskazującym, a potem zniknęła mi z oczu zakryta moim cieniem.

Mnie jednak najwyraźniej łatwo było namierzyć, bo choć się odruchowo cofnąłem, dłoń rzuciła się przez podłogę z zabójczą prędkością i chwyciła mnie za nogę – nie żeby mnie zatrzymać, ale żeby wspiać się po mnie palec za palcem. Chciałem ją strzepnąć lewą ręką, ale chyba tylko na to czekała, bo zdołała chwycić się moich palców i wskoczyć mi po nich na rękę. Wyraźnie dążyła do szyi, bo od razu zaczęła się wspinać coraz wyżej po moim ramieniu.

W przypiływie paniki wpadłem na pomysł, że najlepiej będzie odciąć sobie rękę Fragarachem, żeby jakoś się jej pozbyć. Zaczarowana głownia bez trudu przebiłaby się przez zbroję. Ale w następnym ułamku sekundy mój mózg dopuścił do słowa logikę i znalazłem jednak inne rozwiązanie.

– *Freagroidh tú!* – krzyknąłem, dotykając tajemniczej ręki ostrzem.

Włączyłem w ten sposób główną funkcję miecza, czyli zaklęcie zmuszające

do mówienia prawdy. Nie chciałem oczywiście gadać z jakąś łapą, chciałem wykorzystać efekt uboczny zaklęcia, czyli to, że póki trwa przesłuchanie, Fragarach nie pozwala przesłuchiwanemu ruszyć się ani na krok od wierzchołka miecza. Nawet jeśli tenże wierzchołek się przesuwają, przesłuchiwany musi przesunąć się razem z nim. Machnąłem więc mieczem, tak że teraz był skierowany w stronę podłogi, a łapa rąbnęła o kamienną posadzkę. Za pomocą miecza mogłem ją trzymać teraz kawałek od siebie. Patrzyłem chwilę, jak się miota i próbuje wyrwać, a sam usiłowałem złapać oddech i uspokoić bicie serca. Łapa była jednak tak obrzydliwa, że trudno było długo wytrzymać ten widok, zacząłem więc odrąbywać palec po palcu. Gdy tylko odpadały od ręki, przestawały się ruszać. Bezpalca łapa nadal jednak próbowała mnie zaatakować, więc wbiłem jej miecz w tył dłoni; w końcu opadła na podłogę i znieruchomiła.

Nim zdążyłem odetchnąć z ulgą, druid na ołtarzu poruszył się i usiadł. Spojrzał na mnie pustymi oczyma i ruszył w moją stronę z uniesionym wysoko mieczem. Jego stopy waliły dziwnie o kamienną posadzkę, poruszał się zupełnie sztywno, a szczeka zwisała mu luzem.

Był to dla mnie ostateczny dowód (choć prawdę powiedziawszy, wystarczyła już tamta łapa), że mam tu do czynienia z prawdziwym nekromantą, i powiem wam szczerze, że po prostu popędziłem co sił w nogach w stronę bramy cmentarnej, wołając Apple Jacka, żeby był gotowy mnie stamtąd zabrać. Na zewnątrz jednak drugi druid też już był na nogach i udało mu się mnie przewrócić. Wokół zakotłowało się błoto i trawa – to umarli wstawali z grobów. Jakaś ciężka ręka zacisnęła mi się na nodze. Machnąłem w tył Fragarachem i ręka puściła. Rzuciłem się przez błoto w stronę bramy, a z grobów po obu stronach wyrywały się kolejne pięści.

<Tłumaczyłem ci jak koń krowie na rowie, że powinniśmy stąd uciekać, to nie, uparłeś się tam włączyć>.

No tak, odtąd chyba będę cię bardziej słuchał.

Musiałem odrąbać łeb jednemu z truposzów, który dopadł mnie jeszcze

przy bramie, ale poza tym udało mi się umknąć, nim więcej ciał wylazło z mogił. Gdy Apple Jack pomknął galopem, obejrzałem się jeszcze, siedząc już bezpiecznie w siodle, i zobaczyłem, że tłum umarłych nie wychodzi poza murek otaczający cmentarz. Otarłem krople z oczu, a gdy znów spojrzałem w stronę kaplicy, już jej nie było.

Jakby nigdy nie istniała. I niby jak miałbym teraz przekonać kogoś, że naprawdę tam była? Co miałbym powiedzieć: „Mój koń też ją widział”?

Zaraz potem deszcz ustał. Przemoczony do suchej trawki krajobraz raptownie przeszedł w wysuszoną ziemię jałową – tylko czerwona skała i blade szkielety roślin. Drzewa przypominały upiorne strachy na wróble; bezlitośnie drapały bezchmurne niebo. Obejrzałem się i zobaczyłem, że wszędzie wokół tylko to samo; zielona leśna ścieżka zniknęła bez śladu – tak jak tuż przedtem zniknęła kapliczka.

Co jednak było iluzją? Moja zbroja wciąż jeszcze była mokra, tak zresztą jak sierść Apple Jacka, uznałem więc, że to raczej ta pustynia jest tylko kłamliwym złudzeniem.

Po kilku godzinach drogi zmieniłem zdanie, bo zupełnie już wyschłem i zaczynałem się dosłownie gotować. Docierało do mnie, że nekromanta, który tak doskonale potrafi kontrolować albo pogodę, albo jej odczuwanie, musi być naprawdę potężnym przeciwnikiem. Z każdym krokiem nabierałem większej pewności, że należy on do tego typu zagrożeń, z którymi właśnie powinni walczyć druidzi. Facet naprawdę niszczył środowisko wokół – nie poprzez zanieczyszczanie go, budowanie kopalń czy inne konwencjonalne sposoby, ale za pomocą najmroczniejszej magii.

Ziemia jałowa ciągnęła się przez wiele dni. Gdyby ktoś wybrał się w tę podróż bez beczki wody, już by nie żył. Ja mogłem co jakiś czas poprosić ziemię, by się pode mną rozstąpiła i stworzyła źródło, z którego mogliśmy się napić. Ale oczywiście, gdy wjeżdżaliśmy do Sveinsey, musieliśmy wyglądać na umierających z pragnienia. Mieszkańcy osady czerpali wodę z rzeki Tawe. Na straganach stały puste stoiska, bez żadnych świeżych warzyw, i

tylko z rzadka można było kupić od kogoś robaczywe jabłko. Za to ryb było w bród. Dafydd miał rację, żarcie jak dla żeglarzy. Tylko że gdzieś tam w fortecy mieli Kocioł Dagdy, zwany też kielichem bądź – w tutejszym języku – graalem.

Liczba osób, które Graal mógł wyżywić, była mimo wszystko ograniczona. Cała rzecz sprowadzała się do szczegółów technicznych, czyli: ile da się fizycznie wyjąć dziennie jedzenia z tego magicznego naczynia. Ale plan Pikta stawał się dla mnie już dość jasny. Gdy teraz miasto otaczała pustynia praktycznie nie do pokonania i nie było wokół ziemi do grabienia, żadna armia nie miała szans podejść pod bramy. A nawet gdyby podeszła, to raczej trudno by jej było skutecznie oblegać fortecę, skoro Pikt miał Kocioł Dagdy, z którego mógł bez końca karmić swoich ludzi.

Zamek nie był jeszcze ukończony, ale prezentował się już całkiem, całkiem. Mury wyglądały na porządnie wzmocnione, a znajdowały się tuż nad rzeką, z pewnością więc pomyślano o wykopaniu w środku studni, która by zapewniała pitną wodę.

Wystarczyło delikatnie podpytać sprzedawcę ryb i aptekarza, a już wiedziałem, że dowódca straży szuka właśnie rycerzy, którzy chcieliby dołączyć do jego załogi.

– Myślę, że mógłbyś, panie, nieźle tam zarobić – powiedział aptekarz, wążąc dla mnie zioła, które zamierzałem wykorzystać w sposób, o którym mu się nawet nie śniło. Spojrzał na mnie z ukosa. – Mówią, że wikt jest dobry, a i płaca niezła. Król Rybak jest szczodry dla swych rycerzy, mimo że jego ziemię męczy zaraza.

– Król Rybak?

– Ano. Niesamowity człowiek jak na króla. Nie odstępuje go wprowadzenie ani na krok ten koszmarny Pikt, ale na cycki wszystkich świętych, ta paskuda nie ma na szczęście nic do powiedzenia.

– Gdzie znajdę przywódcę straży?

– Spytaj najpierw w fortecy – poradził aptekarz. – A jeśli tam go nie

znajdziesz, zajrzyj do pubów na nabrzeżu.

Zacząłem od nabrzeża, głównie dlatego że chciałem uchodzić za kogoś, kto przybył drogą morską (a nie przeszedł jakimś cudem tę tajemniczą pustynię). Wybrałem sobie odpowiedni okręt – tych nie brakowało, bo był to naprawdę duży port – a potem ruszyłem na poszukiwanie tajni dla Apple Jacka, bo gdybym rzeczywiście przybył do Sveinsey na statku, nie miałbym przecież ze sobą konia.

Gdy już znaleźliśmy się z Apple Jackiem w jego boksie, przyklęknąłem i dotknąłem ziemi ręką, żeby skontaktować się z tamtejszym żywiołakiem. Był bardzo zmartwiony tym, co dzieje się w okolicy, i ucieszył się niezmiernie, że wreszcie jakiś druid zdołał dotrzeć na tyle daleko, żeby mieć w ogóle szansę rozwiązać ten problem. Poprosiłem go o pomoc. Już od jakiegoś czasu głowiłem się, jak tu mieć dostęp do magii w chwilach, gdy jestem odcięty od ziemi. Spytałem, czy może potrafiłby załadować magią jakiś kamień lub klejnot, żebym potem mógł tę energię wykorzystywać do tworzenia splotów.

//Kamień nie// odparł. //Metal / Srebro albo złoto / Najlepiej przechowują magię//

//Wdzięczność// ucieszyłem się. //Prośba: Stworzyć dla mnie srebrny talizman na magię?//

//Zgoda / Potrzebny kontakt ze skórą//

Zajął nam to chwilę, ale w końcu z ziemi wysunął się na moją dłoń srebrny krzyż naładowany wystarczającą ilością magii, bym mógł wykonać kilka splotów. Zapewniał mi przy okazji kamuflaż społeczny – jeśli rzucę jakieś zaklęcia za pomocą krzyża, wszyscy będą myśleli, że to cud dokonany przez chrześcijańskiego boga. Wystarczy już potem tylko, że machnę krzyżem i będę głośno dziękował Bogu za wybawienie z opresji. Żeby mieć krzyż zawsze pod ręką, schowałem go do sakwy za pasem.

Pod bramą do fortecy, która już wkrótce miała się stać prawdziwym zamczyskiem, drogę zastąpiło mi czterech rycerzy. Był wśród nich i przywódca straży, mężczyzna w średnim wieku, którego broda upstrzona już była siwymi

włosami. W pierwszej chwili bardzo mu się nie spodobałem, bo miałem zbroję o wiele lepszą od jego, ale gdy zacząłem go pokornie błagać, by raczył pozwolić mi dołączyć do załogi jego wspaniałego zamku, wykonywać jego rozkazy i służyć jego królowi, trochę wyluzował.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał.

– Przybyłem ostatnim okrętem z ziemi Franków.

– Rozumiem, ale dlaczego przypłynąłeś do Sveinsey, chłopcze?

Zawsze mam radochę, jak ludzie setki lat ode mnie młodszy zwracają się do mnie „chłopcze”.

– Tam, po drugiej stronie kanału, słyszałem o Królu Rybaku, o tym dobrym, szczodrym i niezwyciężonym władcy.

– Po drugiej stronie kanału gadają o Królu Rybaku? Chodź ze mną. Wydaje mi się, że dobrze by było, żebyśmy się dowiedzieli, co konkretnie gadają.

Wprowadził mnie przez bramę do fortecy. Ruszyliśmy korytarzami; na ścianach wisiały gobeliny, pokojówki zamiatały kamienną posadzkę.

– Właśnie pora na wieczorny posiłek – powiedział dowódca straży. – Na pewno znajdzie się dla ciebie miejsce przy stole. Nie brak nam oczywiście jedzenia.

Weszliśmy do wielkiej komnaty zdobionej bogato gobelinami i siedmioramiennymi kandelabrami. Po jednej stronie stał rząd połączonych ze sobą długich stołów z prostymi ławami, a po drugiej zupełnie nic nie było. Wszyscy siedzieli twarzami do tej dziwnej pustki. Pomyślałem, że może będzie się tam zaraz odbywało jakieś przedstawienie.

Przy środkowym stole zamiast ław stały krzesła z wysokimi oparciami; na jednym z nich siedział blady człowiek z przymkniętymi oczami. Odziany był w drogie futra, na jego szyi wisiał wielki złoty krzyż, a na głowie miał prostą złotą koronę. Nie wyglądał na zainteresowanego posiłkiem. Po jego lewicy siedziało kilku szlachciców, a po prawicy – sam Pikt. Poznałem go od razu, bo prawą część twarzy miał całą pokrytą tatuażami, które z pewnością były równie

magiczne jak moje. Na dodatek miał w skórę wbite ze trzydzieści srebrnych kolczyków; ani chybi wiedział, jakie są magiczne właściwości srebra. Najprawdopodobniej miał tam niezłe zapasy energii. Nie zmartwiło mnie to jakoś bardzo. Nikt mi nawet nie próbował odebrać miecza i to dawało mi dość dużą pewność siebie. To i mój własny srebrny talizman z magią.

Pikt miał tłuste ciemne włosy aż do ramion, a brodę przetknął przez kilka srebrnych kółek, tak że opadała mu na mostek niczym mroczny stalaktyt. I to do niego właśnie mnie zaprowadzono, a nie, jak by można było oczekiwać, do Króla Rybaka. To przed Piktem też stał Kocioł Dagdy. Służące pakowały na talerze fury żarcia i roznosiły je na stoły. Smakołyków było o wiele więcej, niż ktokolwiek by zdołał zjeść, więc oczywiście kilka psów już czekało na ucztę z resztek, których na pewno będzie mnóstwo. I tak, Oberonie, były i kielbaski.

– Wielmożny Doradco – zwrócił się do Pikta dowódca straży. – Ten oto rycerz przybył do nas z królestwa Franków i mówi, że słyszał tam o Królu Rybaku.

Pikt spojrzał na mnie uważnie, natomiast Król Rybak w ogóle nie zareagował na swoje imię.

– Doprawdy? – Głos Pikta był lekki i słodki niczym miód. Spodziewałem się raczej czegoś bliższego gruchotaniu kości i wybuchom siarki. – Jak cię zwa, rycerzu? – spytał.

– Sir Gawain, do usług – odparłem.

– Doskonale. W ramach tychże usług zjedz wpierw z nami kolację. Chętnie dowiem się, co mówią Frankowie o Królu Rybaku. – Odwrócił się w stronę szlachcica siedzącego na prawo od niego. – Lordzie Gwynedd, bądź łaskaw zrobić miejsce dla tego rycerza.

Poprzesuwaliśmy krzesła, znalazło się dodatkowe dla mnie i już siedziałem na wyciągnięcie ręki od Pikta, który ukradł Dagdzie kocioł. Nie miałem oczywiście pewności, czy to on jest też nekromantą odpowiedzialnym za zmienienie całej Walii w jakąś koszmarną krainę, ale w każdym razie wyglądał na takiego, co mógłby za tym wszystkim stać. Dowódca straży przeprosił nas i

wrócił na swoje stanowisko.

Służąca postawiła przede mną pełny talerz i powiedziała:

– Wielmożny Doradco, kolacja gotowa.

– Dobrze, dziękuję. Teraz twoja kolej, panie.

Na co Król Rybak wstał nagle i wymamrotał krótką modlitwę przed jedzeniem. Wszyscy odpowiedzieli „Amen”, a król opadł niezdarnie na krzesło.

– Czy król źle się czuje? – spytałem.

– Nie ma jakoś apetytu – wyjaśnił Pikt. – Możesz mi mówić Domech – dodał.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Opowiedz mi zatem, jak się dowiedziałeś o Królu Rybaku – zażądał Domech.

Nawciskałem mu więc, że opowiadano mi o ziemi jałowej, na której stoi piękny zamek, dzięki pobożności Króla Rybaka uratowany przez Boga przed zagładą.

– Zapragnąłem służyć tak wspaniałemu władcy i oto jestem, by walczyć u jego boku.

– Jesteś zatem człowiekiem wielkiej wiary?

– O tak, panie. Spójrz tylko na ten krzyż, który podarowała mi pewna dama, gdy uratowałem ją z rąk Saksonów. – Wyciągnąłem z sakwy srebrny krzyż i zacząłem nim wymachiwać nad talerzem. – Wystarczy, że co wieczór pomodłę się nad nim, a chroni mnie przed wszystkimi demonami z piekieł.

I szybko wymówiłem zaklęcie splatające mój wzrok z magicznym spektrum. Był to oczywiście staroirlandzki i cholerny Domech rozpoznał ten język.

– To brzmi raczej jak mowa druidów – stwierdził, marszcząc brwi. – Sir Gawainie, czy nie jesteś przypadkiem druidem?

Z pewnością spodziewał się, że zaprzeczę. Prawdę powiedziawszy, sam bym się tego po sobie spodziewał. Tymczasem moja lewa ręka uniosła się

błyskawicznie i rąbnęła go prosto w mordę nabijanym ćwiekami, skórzanym karwaszem. Walnął tyłem w oparcie krzesła, a ja odsunąłem swoje, żeby zrobić sobie więcej miejsca i móc wstać. Ludzie przy stołach jęknęli ze zdumienia i poleciało w moją stronę kilka gniewnych okrzyków. Walnąłem Domecha jeszcze raz w usta, żeby nie dał rady wypowiedzieć żadnego zaklęcia, a potem spojrzałem wreszcie na króla w magicznym wymiarze.

Nie żył.

To by wyjaśniało brak apetytu. Otaczało go mnóstwo czarnych zaklęć, z czego wiele splecionych było z Domechem, a inne rozchodziły się wokół niczym języki jakiegoś podstępного dymu i znikwały pod ścianami. Pikt był nekromantą.

– No dobra – mruknąłem, wyciągając Fragaracha.

Nie miałem czasu na głębszą analizę sytuacji. W komnacie pełno było szlachty i strażników, których na pewno zaraz będę miał na głowie. Najpierw jednak pozbawiłem króla jego makówki, bo i tak jej nie używał. Ani drgnął, gdy jego najbardziej zaufany doradca dostał dwa razy po gębie, a przecież siedział tuż obok niego. Kiedy zamachnąłem się Fragarachem, a monarsza głowa potoczyła się na stół, nie trysnęła krew. Ale mroczne zaklęcia wokół Króla Rybaka zniknęły w jednej chwili.

Domech za to wzdrygnął się, jakbym to jego uderzył, a wokół rozległy się wrzaski. Obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie będzie mnie chciał atakować z tyłu, i stwierdziłem z ulgą, że szlachcice kulą się w bardzo dla mnie obiecujący sposób. Służba natomiast od razu wybiegła z komnaty, w panice rwąc sobie włosy z głów. Niestety jednak już nadbiegała straż i w oczach tych śmiałków wyraźnie stanowiłem zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

– Nie! – ryknął Domech, wpatrując się w głowę Króla Rybaka. – Przecież on był przykuty do ziemi!

Nic dziwnego w takim razie, że ziemia tak szybko wyjałowiała; Domech splótł ją ze zmarłym człowiekiem. Teraz, gdy Króla Rybaka już nie było, ziemia będzie potrafiła odżyć – o ile Pikt znów jej do kogoś nie przykuje.

Zgodnie z druidzkim prawem Domech uczynił już dość, by zasłużyć sobie na wyrok śmierci. Okradał żywiołaka z energii, ukrywając swoje nieczne działania pod płaszczem trującej mgły. Żaden szanujący się druid nie darowałby mu życia i czułem się zaszczycony, że to ja mogę mu wymierzyć karę. Niestety gdy zamachnąłem się mieczem na jego szyję, udało mu się schylić, a potem przycisnąć mi rękę do ciała, nim zdążyłem nią zrobić kolejny zamach. Srebrne kolczyki na jego twarzy zamigotały od magii, krew ciekła z jego rozwalonego nochała. Prawą łapą chwycił mnie za nogi i uniósł sobie wysoko nad głowę, po czym cisnął mną ponad stołem na podłogę po drugiej stronie komnaty, tam, gdzie nic nie stało.

– Zabić go! – rozkazał i wytknął mnie palcem, na wypadek gdyby straż jeszcze się nie zorientowały, że to ja jestem zakałą społeczeństwa.

Taka chudzina jak on nie powinna dać rady mnie podnieść z taką łatwością. Najwyraźniej pobierał energię ziemi mniej więcej tak, jak robią to druidzi, i podkręcał sobie dzięki niej siłę. Z tą różnicą, że on tę magię kradł, wysysając ją z ziemi poprzez Króla Rybaka.

Strażnicy w skórzanych butach nie stanowili dla mnie specjalnego wyzwania. Wyciągnąłem tylko srebrny krzyż i wykorzystując odrobinę skrytej w nim magii, splotłem skórę po wewnętrznej stronie ich cholewek tak, że poupadali na kamienną posadzkę. Jedni z większym, inni z mniejszym wdziękiem.

Nie mogłem jednak podobnie unieszkodliwić Domecha. Miał jakieś zabezpieczenie chroniące go przed moimi splotami. Za to on nie mógł skierować swojej magii przeciwko mnie, bo nekromanci nie mogą wpływać bezpośrednio na żywych, a robią to jedynie poprzez umarłych. Wykorzystałem jeszcze trochę zapasów magii, żeby zwiększyć sobie szybkość i siłę, i rzuciłem się w jego stronę.

Mimo całej tej mocy, jaką wyssał z ziemi, nie miał dużych szans i dobrze o tym wiedział. Nie miał żadnej broni ani zbroi, a w komnacie nie było żadnych umarłych, których by mógł wykorzystać w walce ze mną. Za to były cholernie

duże krzesła, którymi mógł zacząć we mnie rzucać. Przeskoczyłem pierwsze, ale drugie powaliło mnie na podłogę. Nim zdołałem wstać, już na mnie wskoczył. Lewą dłonią przyciskał moją rękę z mieczem do posadzki, a prawą próbował chwycić mnie za gardło. Udało mi się temu zapobiec, bo wyrwałem mu lewą rękę – upuszczając przy tym krzyż – a potem z całych sił zacisnąłem ją na jego dość chudej szyi. Mógł zrobić to samo, ale zamiast tego chwycił moją lewicę i próbował ją oderwać. Paznokciami rozorał mi przedramię i narobił kilka siniaków, ale nie umiał walczyć, nie miał pojęcia, gdzie powinien przycisnąć ani jak złamać kość.

– To w ten właśnie sposób ta twoja czarna łapa załatwiła w kapliczce dwóch druidów – syknąłem przez zaciśnięte zęby. – Wiesz dobrze, o czym mówię, Domechu. Ale koło się kręci, prawda?

Nie odpowiedział, bo zgruchotałem mu tchawicę. Jego ręce opadły bezsilnie. Zrzuciłem go z siebie i zobaczyłem, że na jego głowie wciąż znajduje się sporo magii. Jako nekromanta mógłby nawet wskrzesić sam siebie, na wszelki wypadek odrąbałem mu więc głowę i cisnąłem do paleniska, żeby spłonęła. Teraz już nie potrzebowałem magicznego wzroku, więc go rozplotłem.

Do komnaty wbiegali kolejni strażnicy i dotarł już tu nawet dowódca straży. Spanikowani goście nie potrafili się zdecydować, czy błagać mnie o litość, czy wołać przyjaciół, by mnie dorwali. Najwyższy czas było się stąd zmyć, podniosłem więc z podłogi srebrny krzyż i popędziłem w stronę stołu szlachty. Tymczasem psy powskakiwały na błaty, słusznie uznając, że nie ma co zostawiać na zmarnowanie takiego dobrego żarcia, które ludzie nie wiedzieć czemu zupełnie ignorowali. Jeden z psiaków sam chyba nie mógł uwierzyć we własne szczęście, bo wcinał frykasy prosto z kielicha Dagdy. Nawet mnie ugryzł, gdy próbowałem odebrać mu kocioł, ale odkrył, że psie zęby nie przebijają się przez kolczugę.

– No bez przesady, przecież już się najadłeś – mruknąłem do niego, a wtedy pozwolił mi łaskawie zabrać kocioł.

Odwróciłem kielich do góry nogami, żeby wyłączyć niekończące się dokładki, po czym, wykorzystując resztki magii z krzyża, rzuciłem kamuflaż na siebie i na kocioł. Schowałem Fragaracha z powrotem do pochwy. Zdezorientowane okrzyki strażników poniosły się echem po komnacie. Trzymając krzyż w lewej, a kielich, czy też graala, w prawej ręce, próbowałem się przemknąć jakoś między ludźmi. Nie jest to wcale łatwe, jak się ma na sobie zbroję, ale wszyscy mi ładnie pomagali, głośno pytając jeden przez drugiego, gdzie się podziałem.

Gdy już wydostałem się na dziedziniec, który nie był na szczęście wybrukowany, miałem dostęp do ziemi, więc bez trudu mogłem podtrzymać kamuflaż i wymknąć się przez bramę pod nosem stojących w niej rycerzy. Zabrałem Apple Jacka ze stajni, w której go przedtem zostawiłem, i powędrowaliśmy przez ziemię jałową z powrotem do Gloucester. Pogoda wróciła do normy, a żywiołak już odżywał. Nekromanta naprawdę nie żył. Dziś nikt by się nie domyślił, że tereny wokół Swansea były niegdyś przez kilka miesięcy prawdziwą pustynią.

W drodze powrotnej nie ujrzałem już Niebezpiecznej Kapliczki, jak ją zaczęto później nazywać. Nim dotarłem do Srebrnego Ogiera, nie było tam już większości nieszczęsnych gości, bez trudu więc dostałem pokój. Ścisłej rzecz biorąc, w gospodzie było tylko trzech ludzi – ja, oberżysta i jeszcze jeden człowiek – i to im opowiedziałem, co mi się przytrafiło, gdy poszukiwałem magicznego graala. A potem moją historię opowiadano i opowiadano całe stulecia, aż zaczęli ją w końcu spisywać tacy poeci, jak na przykład Chrétien de Troyes.

Następnego poranka na drodze do Gloucester już czekał na mnie Ogma. Oddałem mu kielich i nawet mi podziękował. Opowiedziałem mu o druidach zamordowanych w kapliczce, o Domechu i jego niecnym sprawkach. Bóg pochwalił mnie za pozbycie się wrednego Pikta.

– Czego sobie zatem życzysz? – spytał wreszcie. – Jestem ci coś dłużny po tym, co zrobiłeś.

– Chciałbym zniknąć z oczu Aenghusowi Ógowi. Może potrafiłbyś mi w tym jakoś pomóc?

Dał mi kawałek zimnego żelaza i polecił nosić go jak talizman.

– Nie skryje cię tak całkiem zupełnie przed wywróceniem, ale w każdym razie będzie o wiele trudniej cię namierzyć. A tak poza tym to niedawno splotłem z Tír na nÓg zupełnie nowy kawał świata. Może miałbyś ochotę nauczyć się kolejnego języka?

Zapewniłem go, że bardzo chętnie się nauczę. Pożegnałem się z Apple Jackiem i Ogma przeniósł mnie na wschód od rzeki Łaby, gdzie słowiańskie ludy stworzyły już zupełnie odmienną kulturę. I tak właśnie zostałem unieśmiertelniony w legendzie jako Gawain.



Granuaile wbiła wzrok w ogień i powiedziała tylko:

– Łał.

<Też mi recenzja. Phi! W takich sytuacjach należy się trzymać konkretów, a oto one: bardzo mi się podobał ten fragment, gdy psy jadły, siedząc na stołach> oświadczył Oberon.

Dzięki, stary.

Moja uczennica podniosła wzrok.

– Czy nekromanci to częsty problem?

– Nie, raczej rzadki. Chyba że w grach wideo. Domech był naprawdę wrednym przypadkiem, ale udało mi się wziąć go z zaskoczenia. Gdyby miał czas rozegrać to po swojemu, pewnie bym nie wyszedł z tego cało.

– I to wtedy właśnie wpadłeś na pomysł stworzenia amuletu z zimnego żelaza, prawda?

– Tak, od tego się zaczęło. A srebrny krzyż sprawił, że zacząłem obmyślać charmsy. No i dzięki Apple Jackowi mam teraz gadającego psa. – Podrapałem Oberona za uszami. – Wysyłając mnie na tę wyprawę, w gruncie rzeczy Ogma

naprawdę wyświadczył mi wielką przysługę.

<A czy w powrotnej drodze miałeś czas posmakować tego żarcia z kielicha Dagdy?>.

Jasne, że tak.

<I co? Dobrze było?>.

Mięso i ziemniaczki w najsmakowitszym sosie, jaki w życiu jadłem. Oberonie, wciąż mi się to jedzenie śni po nocach.

<Ach, to chyba nawet lepsze od przysłowiowej świni w ziemi! Muszę koniecznie od razu zasnąć, żeby zobaczyć, czy uda mi się o tym pośnić>.

Dobranoc, Oberonie.

<Dobranoc>.

– Aż zgłodniałam od tej twojej opowieści – wyznała Granuaile. – Ma ktoś ochotę na małe co nieco?

Oberon od razu zerwał się na równe łapy i zaczął merdać ogonem.

<Miałem na myśli, że dobra noc zawsze następuje po małym co nieco>.

Uśmiechnąłem się do niego.

Się rozumie.

¹ Wszystkie cytaty i nawiązania do *Ziemi jałowej* T.S. Eliota w oparciu o tłumaczenie Adama Pomorskiego.

Preludium wojny

Akcja tego opowiadania toczy się 7–10 dni po wydarzeniach z siódmego tomu Kronik Żelaznego Druida.



Tuż przed świtem na rozlewisku zapanowała nagle podejrzana cisza. Bzyczenie owadów i gardłowe skrzeczenie płazów – ledwie przed chwilą jeszcze tak wrzaskliwe – przeszły raptem w nerwowy szum. I nie stało się to z naszej winy. To nie my z Oberonem byliśmy tu drapieżnikami. Przykucnąłem w wysokiej trawie tuż przy moim psie i położyłem mu dłoń na karku. Nie chcąc zwracać uwagi tego, kto pewnie już nasłuchiwał, odezwałem się do Oberona poprzez nasze mentalne łącze.

Cicho. Coś nas śledzi.

<Co takiego?>.

Domyślam się, że dowiemy się co, jak tylko się na nas rzuci.

<Jak tylko...? Że co?! I to ma być plan? Będziemy czekać, aż to się na nas rzuci?>.

Nie miałem w planach stać się dziś ofiarą, ale istoty o dużych zębach i takimże apetycie zwykle same decydują, co będzie na kolację.

<No, weź, Atticusie! Odwal ten swój druidzki trik i zagadaj z żywiołakiem. Niech powie temu głodnemu czemuś, żeby poszło szukać żarcia gdzie indziej>.

To by było nie fair.

Łeb Oberona zaczął się kręcić w tę i we w tę, bo mój pies rozglądał się, czy coś już przypadkiem nie nadciąga przez wysokie trawy i trzciny rosnące wokół kałuż.

<Mam nadzieję, że nie będziesz bardzo rozczarowany moją postawą moralną, ale gdy gra się toczy o to, kto mnie zje, nic mnie nie obchodzi fair play>.

Przyda nam się trening, żeby nasze zmysły wróciły do formy, Oberonie, a tu przyroda sama daje nam okazję, by poćwiczyć. Nic cię tak nie rozrusza, jak gdy dla odmiany znajdziesz się raz w roli ofiary zamiast zawsze drapieżnika.

<Po pierwsze, moje zmysły są w doskonałej formie. A po drugie, dlaczego musimy trenować akurat tutaj? Nie możemy wybrać się na te fajowskie podchody zombi? Wiesz, te, w których masz pewność, że nikt ci tak naprawdę nie zje mózgu, tylko latają za tobą ludzie z nadmiernym makijażem?>.

Mówiłem ci już przecież. Musimy się tu spotkać z pewną osobą. Mieszka akurat tutaj.

Byliśmy w Etiopii, na samym zachodnim skraju, tuż przy granicy z Sudanem, na odludziu zwanym Parkiem Narodowym Gambeli. Przeważały tu łąki i niskie, podmokłe tereny takie jak ten, ale z rzadka trafiały się też porośnięte lasami górki. Wokół nas pasło się mnóstwo bawołów i większych odmian antylop, takich jak bawolec olbrzymi czy kob żółty. Polowały na nie pałętające się po okolicy stada lwów i innych wielkich kotów, a resztkami po ich ucztach zajmowały się sępy.

<A, racja, ta wróżka. Właśnie miałem cię o nią zapytać. A jeśli kobita obudziła się właśnie i zobaczyła w swoich magicznych runach czy czym tam, że wprawdzie miała nam dziś powróżyć, ale akurat zostaniemy przedtem przez coś zjedzeni? Bo wtedy to właściwie wychodziłoby na to, że ma dziś wolne i runy już zupełnie nie będą wiedziały, co jej powiedzieć, chyba że: „Ładną dziś mamy pogodę, nieprawdaż?”>.

Że co? To najdziwniejsze pytanie, jakie w życiu słyszałem. Przecież

ona nawet nie używa run.

<Hm. Zaczynam się bać. A ty mi nawet nie odpowiedziałeś na pytanie>.

Już odpowiadam: nie na tym polega wróżenie. Nie mówi ci, że jakaś przyszłość właśnie została odwołana, i nie gawędzi z tobą o pogodzie. Jeśli w ogóle uda się coś wywróżyć, to najbardziej prawdopodobną przyszłość, a i to zawsze trzeba jeszcze zinterpretować. Zresztą nawet jeśli akurat uda ci się z interpretacją, zawsze mogą nastąpić potem jakieś zmiany. Pamiętasz, co powiedział o przyszłości Mistrz Yoda?

<Zawsze w ruchu przyszłość jest>.

Otóż to. Chodź, lepiej idźmy już dalej, ale miej oczy i nozdrza otwarte.

<Dobra, ale i tak uważam, że nie musisz akurat dzisiaj bawić się w fair play. Wcale nie mam ochoty być tu częścią kręgu życia. À propos czy to w tej części Afryki surykatki wałęsają się po puszczy z sympatycznymi guźcami, śpiewając radosne piosenki o bezstresowym życiu?>.

Umówmy się tak: jeśli je zobaczysz, to możesz do nich dołączyć.

<W dechę>.

Skradaliśmy się najciszej jak tylko się dało w tym błocie. Moje stopy siłą rzeczy czasem pluskały zdradziecko, a bez zasłony dźwiękowej, którą powinna wygrywać nam okoliczna fauna, każdy taki odgłos wydawał się nienaturalnie głośny. Dobrze, że chociaż było jeszcze ciemno, to może przynajmniej nie było nas widać.

Rzuciłem zaklęcie noktowizji na nas obu i wsłuchiwaliśmy się we wszystkie dźwięki poza naszymi krokami. Ale coś wsłuchiwało się w nie właśnie.

Hej, Oberonie, założę się o kielbaskę, że to gepard.

<Mowy nie ma! Jak ostatnim razem się założyłem i przegrałem, to mi zjadłeś tę kielbaskę tuż przed nosem i tak strasznie smakowicie przy tym mlaskałeś, że wciąż męczą mnie po nocach koszmary o Kielbasce, Która Przepadła. A poza tym i tak już pewnie wiesz, co się za nami skrada>.

Słowo daję, że nie wiem. Gram fair. Zresztą i tak pewnie rozpracujesz

to szybciej po zapachu.

<Na razie to czuję tylko nasz zapach i jeszcze tego rozlewiska. O, nie! Atticusie! Tu cuchnie śmiercią...>.

I to mi musiało wystarczyć za całe ostrzeżenie, bo w tej samej chwili z trawy na lewo od nas wyskoczył wampir i pchnął mnie w błoto. Zdążyłem tylko zasłonić szyję, ale to by było tyle z możliwych manewrów, bo dłoń z mieczem była już pode mną. W moją rękę wbiły się kły, a ostre paznokcie wryły się w ramię.

<Atticusie!>.

Odsuń się, Oberonie!

Jeśli tylko wilczarz się zbliży, wampir na pewno w ogóle się nie będzie namyślał, tylko od razu go zabije. Wolałem więc nie dawać mu takiej szansy, tym bardziej że jeśli o mnie chodzi, to wystarczył właśnie namysł, by zabić wampira z kolei. Ponieważ wampiry nie są istotami żywymi, Gaja pozwala nam rozplatać je na części składowe. Wystarczyło więc tylko przeżyć na tyle długo, żeby dać radę wymówić zaklęcie rozplatające. I właśnie przez to mało nie zginąłem kiedyś z rąk (kłów?) wampira niemal tak starego jak ja. Od tamtej strasznej chwili pracowałem nad charmsem, dzięki któremu wykonanie splotu następowałoby automatycznie po włączeniu go mentalnie. Szkopuł w tym, że nie miałem dotąd wiele okazji, by go wypróbować.

Moja partnerka Granuaile spytała mnie raz nawet, dlaczego nie poćwiczę sobie po prostu na trupach, skoro de facto tym właśnie są wampiry.

– Mimo wszystko jednak są czymś więcej – powiedziałem jej wtedy. – Normalny trup nie łązi wokół, siorbiąc krew. Wampiry napędzane są magią, która daje im siłę i możliwość ruchu, to stąd ta ich szara aura z dwoma czerwonymi ośrodkami mocy: jednym w głowie, jednym w sercu. Żeby je pokonać, trzeba przede wszystkim rozpleść te ośrodki, a nie tylko samo ciało. Tak właśnie działają słowa staroirlandzkiego zaklęcia, bo jak na pewno pamiętasz, skupiają się przede wszystkim na ich magii, a dopiero potem na ciele, tak żeby ich magia nie mogła już spleść ciało z powrotem. Jednym

słowem, żeby coś z tego było, muszę jednak wypróbować ten charms na prawdziwych wampirach.

Dotąd tylko raz udało mi się przeprowadzić taką próbę – zaatakowany charmsem wampir doświadczył czegoś, co określiłbym jako łagodny dyskomfort żołądkowy. Wyglądał na zaskoczonego, ale nie cierpiącego. Przynajmniej wiedziałem, że charms skutecznie obiera cel i jednak od bidy działa. Od tamtego ostatniego razu uparcie pracowałem nad splotem i samym charmsem, miałem więc nadzieję, że tym razem zaskoczy skuteczniej. Włączyłem go, gdy wampir wyciągnął kły z mojej ręki i znów rzucił się w stronę szyi. Zakłęcie przybrało tym razem formę podobną do ciosu w splot słoneczny.

Wamp zakrztusił się krwią i zadrzał konwulsyjnie, na chwilę przymknął oczy, potem otworzył je zdumiony. Chwycił się za pierś, jakby miał zawał, co dało mi czas, by zepchnąć go z siebie i zacząć szeptać słowa splotu. Krwiopijca szybko jednak doszedł do siebie i zerwał się na równe nogi, by znów się na mnie rzucić, ale tym razem już byłem czujny i nie dałem się tak łatwo zaskoczyć. Śmignąłem na bok i dokończyłem zakłęcie rozplatające, dzięki czemu rozpadł się w swoich ciuchach z głośnym chlupotem, a jego głowa eksplodowała mieszaniną krwi i strzaskanych kości.

<Dobra, przyznaję, że to było niesamowite. Masz pojęcie, jaką byśmy mieli oglądalność na YouTube, gdybyśmy zdołali to nagrać?>.

Pytanie brzmi raczej: skąd się tu w ogóle wziął ten wampir?

Albo może: jak tu się teraz umyć. Byłem cały w błocie, jak to zwykle bywa, gdy ktoś się w nim potarza, a do tego miałem parę ran, które należało szybko załatać. Włączyłem charms uzdrawiający i poczułem kojącą moc Gai.

<Nawet miałem o to spytać, ale wpierw chciałbym wiedzieć, czy nic ci nie jest>.

Nic, nic, dzięki. Te ugryzienia szybko się zagoją. Już się lepiej pospieszmy. Teraz to martwię się bardziej o Mekerę.

W każdym razie mój charms jeszcze najwyraźniej wymagał sporo pracy.

Tak, działał na ośrodek mocy w okolicy serca wampira, ale niestety wcale go nie niszczył. I kompletnie nie wpływał na głowę. Muszę jeszcze go ulepszyć. Transformacja rozplatania werbalnego na mentalne w dużej bliskości zimnego żelaza mojego amuletu wcale nie była łatwa. Stworzenie wszystkich moich charmsów zajmowało zawsze długie lata.

Bądź czujny, bo może się tu czaić więcej wampirów – ostrzegłem Oberona. – Ale trochę musimy jednak przyspieszyć.

Mój pies bez trudu wydłużył krok, żeby się do mnie dopasować, i po chwili wyszliśmy z bagien na trochę suchszą łąkę, która na wyższych wysokościach byłaby już pewnie krzaczastą sawanną. Dawno mnie tu nie było, przez co niewiele już zostało splecionych drzew (strażnicy faeryczni najwyraźniej poważnie zaniedbywali swoje obowiązki). W rezultacie do celu mieliśmy naprawdę kawał drogi.

Mekera z wyboru zaszyła się na tym odludziu. Spróbowała wygód współczesności, owszem, ale jej wyrok brzmiał: „Tak, nieźle”, co należało rozumieć następująco: podobała jej się elektryczność, lecz nie aż tak, żeby siedzieć z tego powodu w dużych zatłoczonych miastach. Kiedyś twierdziła, że nawet lubi ludzi, ale w małych ilościach. Po drugiej wojnie światowej i włoskiej okupacji Etiopii doszła jednak do wniosku, że właściwie to nawet w małych ilościach ich nie lubi. Coś się stało w tym czasie, ale nie wiem co, bo zbyt byłem wtedy zajęty pomaganiem w ewakuowaniu ludzi z Trzeciej Rzeszy. Gdy w końcu do niej wpadałem w odwiedziny, nie chciała o tym gadać. W ogóle patrzyła zawsze na mnie tak, jakby w głowie jej się nie mieściło, że świat jeszcze czegoś od niej chce. Ale że byłem jedną z bardzo niewielu osób, które mogły spełnić pewne jej życzenie, zaproponowała mi taki układ: załatwię jej miejsce, gdzie mogłaby się bawić w pustelniczkę, a ona będzie mi przez kilka dziesięcioleci wywróżyć najbezpieczniejsze miejsca, w których bym się mógł skryć przed Aenghusem Ógiem. Samotna skała pośrodku sawanny aż się prosiła, by przerobić ją na sekretną kryjówkę, toteż z pomocą miejscowego żywiołaka wyźłobiłem w kamieniu wejście niewidoczne z lotu ptaka, a do tego jeszcze elegancko zadaszoną werandę. Wszystko poza tym znajdowało się pod

ziemią, w chłodnych, szczelnych pomieszczeniach, żeby w porze deszczowej nie groziło jej podtopienie. Miała też oczywiście studnię z czystą wodą, a na niższych piętrach było wystarczająco zimno, by mogła przechowywać to, co wymagało niższych temperatur. Radziła tam sobie całkiem nieźle.

W latach dziewięćdziesiątych, nim jeszcze przenieśliśmy się do Tempe i adoptowałem Oberona, skusiła się na odrobinę nowoczesności, wysłała więc do mnie list do San Diego – co samo w sobie było imponujące, jako że mieszkałem tam ledwie od dwóch tygodni i nikomu nie zdradziłem swojego nowego adresu – i poprosiła o zainstalowanie u niej elektryczności. Chciała sobie wstawić kuchenkę i kilka innych nowomodnych gadżetów, a do tego potrzebowała wiatraka. Stworzenie dla niej funkcjonalnej kuchni i laboratorium było niezłym wyzwaniem, ale nie mogę powiedzieć, żebym się przy tym świetnie nie bawił. A do tego w zamian za tę pomoc wywróżyła mi, gdzie znajdę najlepszego przyjaciela. Od dawna już nie miałem żadnego zwierzaka i czułem, że nadszedł czas na psa. Bez zaufanego przyjaciela naprawdę można stracić wiarę w życie i świat i zamknąć się w sobie jak Mekera.

– W Massachusetts znajduje się schronisko dla wilczarzy irlandzkich – powiedziała mi Mekera, w czasach gdy całe Stany zamartwiały się romansami ówczesnego prezydenta. – Jeśli pojawisz się tam akurat tego dnia, złapiesz go tuż po tym, jak przywiozą go do schroniska.

Było to o tyle ważne, że na takich ranczach zawsze się kastruje zwierzaki, ale udało mi się zabrać Oberona, nim jeszcze zabrali go do weterynarza. I podobnie Granuaile znalazła Orlaith także przed jej wizytą sterylizacyjną. To oznaczało, że nasze psy będą mogły pewnego dnia mieć szczeniaki, i cieszyliśmy się już na samą myśl.

Nigdy nie powiedziałem Oberonowi, jak na niego trafiłem ani jaki los by go czekał, gdybym się spóźnił dzień czy dwa. Bałem się, że mógłby mieć potem koszmary.

Gdy przyjemnie zasapani po przebieżce stanęliśmy w końcu przed

kryjówką Mekery, był dopiero wczesny poranek, a na niebie przeważały jeszcze szarości z nikłymi tylko zapowiedziami wschodu słońca. Mimo to tyromantka siedziała już na dworze przed wejściem.

– Dzień dobry, Mekero – przywitałem się.

Jej mina jednak nie zapowiadała serdecznego powitania, a głos był ponury, gdy powiedziała:

– Hm. Tak myślałam, że się pojawisz raczej wcześniej niż później. Choć nie przypuszczałam, że będziesz cały w błocie. Tak czy siak, dobrze trafiłeś, bo zaraz będzie kawa. Jest też trochę sera i indżery, jeśli jesteście głodni – dodała, proponując nam płaskie pieczywo na zakwasie, które tak lubią jeść w Etiopii.

Wstała. Miała na sobie długą, białą płócienną tunikę, która rozcięta była po bokach. Wokół dekoltu ozdobiło ją szerokie zielono-żółte pasmo hafu, które spływało pojedynczą wstęgą aż na wysokość kolan, gdzie przechodziło w imponujący krzyż etiopski. Był to tradycyjny strój ludu Habesz, który jako jeden z pierwszych przyjął niegdyś chrześcijaństwo. Przed laty Mekera pełniła w Etiopskim Kościele Ortodoksyjnym Tewahedo funkcję debtery, ale wydaje mi się, że zarzuciła tę działalność gdzieś na początku dwudziestego wieku. Nie robiła nic z włosami i utrzymywała wygląd kobiety po czterdziestce. Na nogach miała rodzaj bojówek, które wcisnęła w wysokie ciemnobrązowe buciory, żeby chronić się przed ugryzieniami węży. Zatrzymała się już z ręką na kłance i obejrzała na Oberona.

– Duży pies. To ten, o którym ci powiedziałam, kiedy ostatni raz się widzieliśmy?

– Tak.

– Nie będzie próbował zeżreć mojego śniadania albo go obsikać?

– Nie. To bardzo grzeczny pies.

<Co? Nie trzeba być grzecznym, żeby nie sikać na śniadanie! Kto by to w ogóle robił, Atticusie? Jaki pies próbowałby... Chwileczkę. Czyżby tu były takie psy? Jakies obsikiwacze śniadaniowe?>.

Na pewno są tu jakieś dzikie psy, ale czy aż tak dzikie, to nie wiem.

– Wejdźcie więc i siadajcie – zaprosiła nas do środka Mekera, otwierając przed nami stalowe drzwi i wypuszczając z domu aromat świeżo parzonej kawy.

<Czy ja dobrze słyszałem? Ona powiedziała, że coś tobie o mnie powiedziała?>.

Tak. To dzięki niej cię znalazłem.

<O! W takim razie tym bardziej na nic nie zamierzam sikać>.

Ruszyliśmy za nią w dół po schodach prowadzących do głównego pomieszczenia, w którym stał kamienny stół i cztery drewniane krzesła. Sam je kiedyś dla niej splotłem. Można było stąd przejść do kuchni, którą unowocześniłem w latach dziewięćdziesiątych. Od razu zauważyłem, że Mekera wciąż ma zapasy świec, ale w większości przeszła jednak na oszczędne żarówki.

– Spodziewałaś się mnie? – spytałem, zmywając błoto z rąk w jej zlewie.

Mekera nalewała nam kawę. Czarną i dla niej, i dla mnie.

– Tak – przyznała, a potem postawiła kubki na stole i czekała, aż wytrę ręce ścierką. Wzięliśmy po łyku pysznej kawy i dopiero wtedy dodała: – Nie wywróżyłam tego. Wystarczyła logiczna analiza ostatnich wydarzeń. Dorwałś tego thralla?

Zmarszczyłem brwi.

– Nie. Jakiego thralla?

– Wampirzego oczywiście. Prześladowuje mnie od jakiegoś czasu, mimo że wyznaję ścisłą zasadę: żadnego śledzenia. Obserwuje mnie całymi dniami. W sumie to głównie moje drzwi. Pewnie widział, jak tu wchodziłeś.

– Nie, nie zauważyłem go – przyznałem wściekły na siebie, że nie byłem bardziej ostrożny. – Ale tuż przed świtem udało nam się zlikwidować jednego wampira. Dlatego właśnie jesteśmy tacy ubłoceni.

Mekera uniosła jedną brew, co świadczyło u niej o lekkim zaskoczeniu.

– Zlikwidowałeś wampira? Cóż, to i tak nie ma większego znaczenia. Thrall i tak doniesie na ciebie komu trzeba i jeszcze tej nocy będziemy tu mieli

na głowie całe mnóstwo tych krwiopicców. Pewnie właśnie widziałam ostatni wschód słońca. Nic dziwnego, że nie mogłam zupełnie zobaczyć, co się tu dziś wydarzy. Twój amulet okropnie utrudnia mi wróżenie.

– Wiem. Po części dlatego tu jestem. Już zupełnie nie ufam moim własnym przepowiedniom. Zresztą nigdy nie byłem najlepszy w te klocki.

Mekera wskazała palcem moją szyję.

– To przez to zimne żelazo. Nigdy go nie zdejmujesz?

– Mogę to zrobić, ale wtedy znika ochrona, którą mi ono daje. To ostatnio zbyt ryzykowne. A że chciałbym się dowiedzieć czegoś na temat mojej własnej przyszłości, i z całą pewnością będę go miał wtedy na sobie...

– Nie mógłbyś ufać tej wersji przyszłości, którą byś zobaczył, nie mając go na sobie – domyśliła się od razu Mekera.

– Otóż to.

– Przybywasz z bardzo daleka, przyjacielu. Czyżby wszyscy wróżbici po twojej stronie planety byli aż tak zajęci?

Ostatnimi czasy zdawałem się głównie na proroctwa Morrigan, ale teraz jej już nie było, a sytuacja wśród Tuatha Dé Danann była dość napięta.

– Nie ufam im.

– Hm. Chcesz powiedzieć, że mnie ufasz? Nie powinienes.

– Dlaczego nie? Pamiętasz, jak w szesnastym wieku dałaś mi cynk, że czas stawiać na kawę? – Postukałem w kubek. – Nieźle dzięki tobie zarobiłem. Byłem największym kawowym baronem świata. I najcichszym.

Mekera tylko prychnęła.

– Doprawdy? I gdzie się podziła ta twoja fortuna?

– To długa historia, ale tak w skrócie: do moich kont dorwał się niejaki Werner Drasche. Wszystko przepadło.

– Nie musisz mi jej opowiadać. Już wszystko wiem. To ja mu powiedziałam, że jeśli chce się do ciebie dobrać, najlepiej zacząć od namierzenia Kodiaka Blacka.

Zmroziło mnie.

Przyjaźniliśmy się z Kodiakiem od bardzo dawna. Był w sumie jednym z moich najstarszych przyjaciół. Poznaliśmy się, jeszcze nim większość Starego Świata dowiedziała się o istnieniu Nowego. Latem był wielkim niedźwiedziem, a przez resztę roku człowiekiem. Nazywał to hibernacją. Kiedy na kontynencie zrobiło się za dużo ludzi niedbających o przyrodę, zawsze robiłem, co mogłem, by łososie, które tak uwielbiał, przynajmniej bez problemów odbywały wędrówki na tarło i miały na Alasce pod dostatkiem czystej wody. On natomiast zajmował się większością moich finansów, bo były już wtedy na tyle pokaźne, że roboty przy nich nie brakowało. Zginął, bo zajmował się moją kasą, i to w taki sposób, że wciąż martwiłem się o jego ducha. Ściślej biorąc, bałem się, że duch ten już po prostu nie istnieje, jako że Kodiak został zamordowany przez tę skrytobójczą pijawkę Wenera Drasche'a.

– Mówiłam ci, żebyś mi nie ufał.

– Wydałaś mnie Drasche'owi?

Prychnęła tylko.

– Nigdy nie miałam nawet powodu być wobec ciebie lojalna. Ale tak, do licha.

– Ale dlaczego? Co ja ci takiego zrobiłem?

– Nic, Siodhachanie. Słuchaj, wcale nie zależało mi na twojej śmierci. Ale ten szaleniec w apaszcze chciał mnie zabić. Przyłazł tu ze swoją prywatną drużyną wampirów i wszystkie się na mnie gapiły, jakbym była ich przekąską. Patrzyły, słuchały. Wiedziałyby od razu, gdybym skłamała. Musiałam to zrobić, żeby przeżyć. Zamordował Kodiaka?

– Tak.

Spuściła głowę.

– Bardzo mi przykro – powiedziała cicho. – Nie musiał tego robić.

Tę oczywistość po prostu przemilczałem.

– Dlaczego cię nie zabił, gdy już mu pomogłaś? To nie w jego stylu.

Podniosła głowę.

– Obstawiał, że gdy już dorwie Kodiaka, pojawisz się tu, żeby ze mną

pogadać, a wtedy będzie cię miał jak na tacy. I nie uwierzysz! – Otworzyła szeroko oczy, udając zdziwienie, i rozłożyła dłonie niczym prezenterka w teleturnieju. – Oto jesteś!

Obejrzałem się nerwowo na drzwi.

– Jest tu teraz?

– E, nie. Ale o ile zakład, że zaraz, owszem, będzie?

– Zmyjemy się, zanim tu dotrze.

– Ty i twój pies? Z pewnością. Mnie to jednak wiele nie pomoże.

– Ciebie też miałem na myśli. Możesz przecież uciec z nami.

– Kiedy mnie się tu podoba. Mam swoje laboratorium, niebo, żadnych ulotek w skrzynce na listy. Nie chcę się przeprowadzać.

– Dobra, zostań sobie, jeśli tak wolisz. Ale to, co mi zrobiłaś... To, co zrobiłaś Kodiakowi... Musisz to naprawić.

Posłała mi wściekłe spojrzenie.

– Nic nie zrobiłam ani tobie, ani Kodiakowi. Wszystko to knucia tej wrednej pijawki. Ja próbowałam tylko ratować własną dupę. Nic ci nie jestem winna. Mnie zarzucasz zdradę? Lepiej się zastanów, skąd Drasche wiedział, gdzie mnie znaleźć.

– Ja mu tego na pewno nie powiedziałem.

– Tego nie sugeruję. Ale to chyba oczywiste, że nasłał go na mnie ktoś, kto cię znał.

– Kto? – spytałem, ale już się bałem odpowiedzi.

– Leif Helgarson.

– Szlag by go trafił – syknąłem przez zęby, zaciskając pięści. – Ale skąd on z kolei wiedział, że tu jesteś?

– Namierzył mnie w dziewięćdziesiątym piątym. Właściwie to nie wiem nawet, jak mu się to udało. Powiedział, że szukał najlepszych wróżbiarzy na całym świecie, żeby znaleźć ostatniego druida.

– I zastraszył cię tak jak Drasche, powiedziałaś mu więc, że najprawdopodobniej pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyląduję w Arizonie.

– Ścisłej mówiąc, w Tempe. Nie wiedziałam, czy się tam ostatecznie pojawisz, czy nie. Ale nie musiał mnie zastraszać. Po prostu zdał się na swój urok i się wygadałam.

To zabolalo. Tym bardziej że doskonale pamiętałem jeszcze bajeczkę, którą mi wcisnął Leif o tym, jak to w osiemnastym wieku spotkał Flidais i korzystając z jej rad, czekał na mnie „na pustyni”. Ale sobie dałem wtedy wcisnąć kit. Głównie chyba dlatego, że taki byłem skupiony na dotrzymaniu danej mu obietnicy, iż nie dopuszczałem do siebie myśli, że mnie oszukuje. Teraz jednak wiedziałem już, że wszystko to była gówno prawda. Flidais zresztą w życiu by mu nic takiego nie powiedziała – rozplotłaby go na miejscu. Takie już miała zasady. Za to mając cynk od Mekery, mógł z łatwością wybrać się do Tempe, zaprzyjaźnić z okoliczną watahą wilkołaków i czekać, aż się pojawię i dam mu okazję do niby to przypadkowego zawarcia znajomości.

A to z kolei oznaczało, że Drasche i Leif nadal ze sobą rozmawiają. Więcej – razem spiskują. Łudziłem się, że wtedy we Francji udało mi się ich skłócić i nasłać Drasche'a na Leifa, ale najwyraźniej nie zasiałem wystarczających wątpliwości. Lub – co bardzo zresztą prawdopodobne – Leif był po prostu o wiele lepszy ode mnie w manipulowaniu ludźmi. Jego nieporadność językowa też była pewnie tylko udawana. Chodziło o pokazanie takiej na poły ludzkiej twarzy. Teraz na przykład na pewno zacząłby wypytywać, co Mekera ma na myśli z tym urokiem, czy chodzi o jego wdzięk osobisty, czy jednak o rzucone zaklęcie, a ja zaraz bym się dał wciągnąć w analizowanie różnych znaczeń tego słowa. Zawsze się na to nabierałem.

– A on dlaczego cię nie zabił? – spytałem. – W ogóle to mogłaś mnie przecież ostrzec. Powinnaś mnie była ostrzec, kiedy przyszedłem ci załatwić elektryczność i dowiedzieć się, gdzie znajdę Oberona.

– Powiedziałaś mu dokładnie to co i tobie: niczego ci nie jestem winna. Dbam o własny interes i nic więcej. On to docenił.

– No z pewnością.

– I dodał, że jeśli nie pojawisz się w Tempe do końca dwudziestego wieku,

znów złoży mi wizytę.

– Aha, czyli jednak była i groźba

– Ale tak się akurat składa – ciągnęła – że znów potrzebuję ratunku i mam dziwne przeczucie, że tym razem nie darują mi życia, nawet jeśli im postawię tarota. Toteż proponuję taką umowę: powrócę ci, tylko jeśli uratujesz mnie przed Wernerem Drasche'em i wampirami i ochronisz przed nimi, póki ich wszystkich nie pozabijasz. Bo do tego dążysz, prawda?

Gapiałem się na nią w zupełnym szoku.

– Wierzyć mi się nie chce, że prosisz mnie o przysługę, mimo że właśnie mi się przyznałaś, że już dwa razy mnie im wydałaś!

– Nie proszę cię o przysługę. Informuję cię o cenie za wieszczbę i dobrze wiesz, że jest tyle warta. Zresztą pomogłam ci przecież znaleźć psa i ukrywać się przed bogiem, przed którym uciekałeś, prawda?

– Kiedy Aenghus Óg znalazł mnie właśnie w Tempe... – zaoponowałem.

– Tylko dlatego, że zostałeś tam za długo. – Przymknęła oko i pogroziła mi palcem. – Mówiłam ci przecież, że to ma być dziesięć lat, ale nie, ty siedziałeś tam i siedziałeś. – Westchnąłem, bo miała rację. – Zatem umowa stoi. Ja ci teraz powrócę, a ty mnie ochronisz przed wampirami.

– Teoretycznie mógłbym się zgodzić – mruknąłem. – Ale w praktyce to niewykonalne, jeśli tu zostaniesz. Mógłbym zabrać cię gdzieś, gdzie nikt nie zdołałby do ciebie dotrzeć. Gdzieś, gdzie mogłabyś to wszystko przeczekać.

Zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Masz na myśli jakieś miłe miejsce czy klitkę w wielkim mieście?

– O, tak. To może być jakieś bardzo miłe miejsce. Jeśli zechcesz, mogę cię po prostu zabrać do jakiejś innej krainy.

– Do której na przykład?

Zamilkłem na chwilę, bo musiałem się zastanowić, gdzie bym jej mógł zagwarantować bezpieczeństwo i święty spokój.

– Co byś powiedziała na Emhain Ablach, czyli Wyspę Jabłek? To jedna z irlandzkich krain. Żadnych wampirów. Żadnych śmiercionośnych pijawek.

Żadnych ulotek.

I prawie żadnych faerii, z wyjątkiem może tych wodnych. Ziemia ta znajdowała się pod pieczęcią Manannána Mac Lira i nawet jego faerie musiały dostać od niego specjalne pozwolenie, jeśli chciały tam przypłynąć. Ale na pewno nie będzie mu przeszkadzał jeden gość specjalny.

– A ludzie? Bywają tam? A ci twoi irlandzcy bogowie?

– Żadnych ludzi. Bóg tylko jeden i nie zagląda tam zbyt często, zresztą dam mu znać, że zatrzymałaś się tam na jakiś czas. Jedyne istoty, jakie możesz tam spotkać, to selkie, ale one nie będą ci przeszkadzać.

– Brzmi nieźle. Dobrze, umowa stoi, to jest, jeśli pożyjemy na tyle długo, żeby w ogóle zabrać się do tyromancji. Chcesz krwi, będziesz więc potrzebował sera z krwi.

– Słucham?

Na wzmiankę o jedzeniu natychmiast ożywił się Oberon.

<Atticusie, na moje oko to nielegalne. Albo niekoszerne. Nigdy nie pamiętam, czym się jedno różni od drugiego>.

A skąd ty w ogóle znasz słowo koszerne?

<Z telewizji oczywiście. Mówili, że nie wolno nigdy mieszać mięsa z nabiałem. Czy jakoś tak. W każdym razie krew w serze to już na pewno łamie tę zasadę>.

– Chodzi mi o to, że muszę użyć podpuszczki zwierzęcej, a nie takiej, którą zwykle ścinam mleko – wyjaśniła Mekera. – Najczęściej używam podpuszczki roślinnej, ale tym razem musimy wybrać się na polowanie.

<Jestem za! Ale jak to się ma do tamtego krwawego sera? Albo ta pani jest trochę zakręcona, albo ja coś przeoczyłem>.

Wszystko ci wytłumaczę po drodze. – A do Mekery powiedziałem: – Naprawdę nie masz w domu żadnej podpuszczki?

– Nie mam takiej, jakiej potrzebujesz do swojej tyromancji. Potrzebujemy młodego bawolca. Mleko już mam.

<Czy ona mówi o mleku bawolców?>.

Tak. Do każdego mleka potrzeba konkretnej podpuszczki. Owcza podpuszczka nie zadziała tak dobrze na krowie mleko i odwrotnie.

<Ale jakim cudem ona wydoiła bawolca?>.

Wolałbym, żeby to pozostało dla nas tajemnicą.

– Dobra – powiedziałem. – Jeśli tego nam trzeba, to zabieramy się do roboty.

Dopiła kawę, wstała i wzięła wiszący na haku przy drabinie pas z wielkim nożem do polowania.

– Nie muszę brać łuku, prawda? – upewniła się. – Upolujecie mi to zwierzę?

– Tak, zdaj się na nas. Wiesz, gdzie je znaleźć?

Prychnęła.

– Mieszkam tu od czterdziestego piątego.

– Oczywiście.

Zasepiłem się, gdy się odwracała, bo dotarło do mnie, jaki szmat czasu upłynął, odkąd się tu zasyła. Dla normalnego człowieka byłoby to całe życie w kompletnej samotności, a jednak ona nie miała wcale dość tej pustelniczej egzystencji – więcej, pragnęła tylko jeszcze bardziej skryć się przed światem.

Grzebała chwilę w kredensie, aż znalazła w końcu pudełko z woreczkami, oderwała jeden, zwinęła i schowała sobie za pas tuż przy pochwie na nóż.

– Bawolce pasą się kilka kilometrów stąd na północ – powiedziała. – Możemy iść tam na piechotę albo, jeśli się wam spieszy, możesz mnie podwieźć.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd przyszedłem. Mimo to pokręciłem głową. Chciała, żebym przemienił się w jelenia i pozwolił jej podjechać tam na moim grzbiecie, ale czułem, że zdecydowanie już i tak mnie zbyt wiele razy wykorzystwała.

– Pobiegnijmy tam po prostu – zdecydowałem. – Podpompuję cię energią, żebyś miała więcej sił.

Jej uśmiech zniknął i wzruszyła ramionami.

– Jak tam sobie chcesz.

Bieg na północ zajął nam godzinę, i to mimo że podkrecałem nam prędkość splotami, ale w końcu dotarliśmy na porośniętą wysoką trawą wzgórze, z którego ujrzelśmy równinę pełną antylop. Pasało się tu ponad sto zwierząt, a osobniki na obrzeżach czujnie wypatrywały takich drapieżników jak my. Było też kilka młodych, a tego właśnie było nam trzeba.

– Proszę bardzo, chłopcy – powiedziała Mekera. – Zaraz pojawią się tu hieny i sepy. Może nawet lew. Gdy tylko więc powalicie ofiarę, musicie skupić się na jej strzeżeniu, póki nie zdołam do was dotrzeć i zebrać podpuszczki.

Rozejrzałem się wokół.

– No właśnie, niby jak dotrzesz na miejsce, skoro wokół czai się tyle głodnych stworzeń, które tylko czekają na jakieś powolne żarcie?

Mekera spojrzała mi prosto w oczy.

– Będziesz oczywiście musiał poprosić żywiołaka, żeby wszystkie te stworzenia patrzyły przez chwilę w inną stronę.

<Ha! I to by było tyle, jeśli chodzi o twój dzisiejszy fair play, Atticusie>.

Na to wychodzi.

Nigdy nie przepadałem za wróżbami, które wymagają przelewu krwi – dlatego sam używam tylko różdżek albo zdaję się na auspicjum – ale bywają w życiu takie chwile, gdy za magię trzeba zapłacić, a słabsze sposoby przepowiadania nie wystarczą. Tu przynajmniej nic się nie zmarnuje. To, czego nie użyjemy, natychmiast zostanie wykorzystane przez lokalny łańcuch pokarmowy.

– Przynieś mi potem ubrania – powiedziałem, rozbierając się i składając je w kostkę. – Poproszę żywiołaka, żeby cię chronił. Gdy tylko odejdziemy, możesz ruszyć za nami.

Mekera skinęła głową i bez słowa przejęła moje dzinsy i koszulkę. Przemieniłem się w wilczarza, ale miałem duże opory przed zostawieniem Fragaracha, skoro gdzieś w okolicy mógł się czaić thrall, więc chwyciłem miecz w pysk i powiedziałem Oberonowi, że wypłoszę mu bawolca, ale będzie

musiał go sam zabić.

<Jak dla mnie spoko, Atticusie>.

Polowałem już z nim nieraz na jelenie, gdy pały się w pojedynkę lub nawet w małym stadzie, ale chciałem, żeby miał świadomość, że tym razem będzie to coś zupełnie innego.

<Ich jest sto, a nas dwóch> powiedziałem głosem nieco zmienionym po transformacji w psa. <I mają rogi>.

<Wiem. Będę czujny>.

<I musimy działać szybko. Mamy naprawdę mało czasu na całą tę akcję>.

<Kumam>.

<I uważaj na inne drapieżniki, które mogą chcieć się przyłączyć do polowania albo zwinąć nam zdobycz. To wprawdzie sawanna, ale obowiązuje prawo dżungli>.

<Oczy, uszy i nozdrza szeroko otwarte, Atticusie> zameldował mój pies.

<Dobra, to do roboty>.

Puściliśmy się sprintem przez wysokie zielsko – szare smugi futra między źdźbłami trawy coraz bliżej naszej ofiary.



Po bitwie w Tír na nÓg, gdzie zmierzyliśmy się z Fand i jej faeriami, naprawdę muszę zastanowić się poważnie nad bronią. W pewnym momencie chwyciłam podczas walki topór wbity w ramię Atticusa i cisnęłam nim w goblina. Załatwiłam go na miejscu – żadnego przedśmiertnego drżenia, ostatnich prób zamachnięcia się na mnie, nic. Po prostu było po nim. To dało mi do myślenia. Gdybym cisnęła w Fand toporem, a nie nożem, być może zakończylibyśmy tę bitwę, nimby się nawet zaczęła. Z drugiej strony, nie bez powodu trzymałam się dotąd noży, a nie sięgałam po cięższą broń. Łatwiej je nosić, mogę nimi dalej cisnąć i mam całkiem niezłego cela. Po prostu wolę noże. Atticus oczywiście kazał mi też trenować walkę toporami, bo przerobiliśmy niemal wszystkie rodzaje broni. Ale nie zachwyciły mnie, bo

noże są o wiele wygodniejsze – wystarczy wyciągnąć, cisnąć i już mam wolne ręce, by znów chwycić kij. Naprawdę lubię walczyć Scáthmhaide'em i zawsze dotąd myślałam, że jeśli dodam do swojego arsenału coś większego niż nóż, automatycznie zablokuję sobie wiele zalet kija.

Teraz jednak zaczynam patrzeć na to nieco inaczej. Właściwie dlaczego nie miałabym zachować sobie noży i tylko dodać do nich topór? W chwilach, gdy naprawdę nie ma wyjścia i trzeba zlikwidować jakiegoś dupka z dużej odległości i bez broni palnej, topór w stylu tomahawka (jedno ostrze, lekki, idealny do rzucania) byłby skuteczniejszy niż nóż, zwłaszcza, jeśli wróg jest zakuty w zbroję. Siła, z jaką mogę cisnąć toporek, jest, jak by nie patrzeć, o wiele większa niż ta, z którą rzucam nożami.

Broń palna też by oczywiście była przydatna w tego typu starciach, ale lubię jednak móc chodzić sobie po świecie z kijem i sprawiać wrażenie osoby nieszkodliwej, choć może lekko szurniętej. Nie czułabym się dobrze, gdyby ludzie patrzyli na mnie jak na potencjalnego masowego zabójcę. A tymczasem dodanie topora naprawdę przeszłoby niezauważone. Mieszkam w lesie nad Ouray i każdy by zrozumiał, że potrzebuję topora. Ludzie by sobie myśleli: „O, siekierka do rąbania drewna”, a nie od razu: „O, topór do rozrąbywania czaszek”.

Atticus próbuje namierzyć Wenera Drasche'a, a gdy już mu się to uda, z pewnością będziemy mieć do czynienia z dzikimi harcami w wersji XXL. Od dłuższego czasu finansuje wojnę podjazdową z wampirami i nasyła na nie cisowców. W rewanżu wampiry zabiły jednego z jego przyjaciół. Na tym etapie żadna ze stron już się raczej nie wycofa i spór ten zostanie rozstrzygnięty tak jak wiele sporów – w drodze przemocy. Jednym słowem, korzystając z chwili spokoju, gdy tak siedzimy sobie w chacie z Orlaith, powinnam się zastanowić, jak najlepiej się na to wszystko przygotować.

Zebrałam kilka różnych modeli tomahawków, żeby poeksperymentować i zobaczyć, który mi najbardziej odpowiada. Jedne mają dłuższe rękojeści, inne krótsze, mam też kilka rodzajów ostrzy. Wszystkie te różnice wpływają na

wyważenie. Nie ma dla mnie właściwie znaczenia sama waga; o wiele istotniejsze jest, jak lecą i czy dobrze wirują po wyrzuceniu. Topór powinien co najmniej raz się obrócić, nim uderzy w cel. Oszacowanie odległości potrzebnej do tego obrotu jest często kluczowe, jeśli ma to być śmiertelny cios. Dłuższych rzutów, takich z kilkoma obrotami, zbyt łatwo uniknąć; zbyt często uderzą rękojeścią zamiast ostrzem i w ogóle są za mało precyzyjne. Dlatego właśnie te cyrkowe rzuty Orlanda Blooma w jego pirackich filmach są śmiechu warte.

Z początku skłaniam się ku metalowym rączkom, bo pamiętam, jak skuteczne były Czarne Topory nordyckich krasnoludów w starciu z draugarami Hel, a ich małe toporki do blokowania ciosów były właśnie metalowe, lecz po jakimś czasie dochodzę do wniosku, że nie rzuca się nimi jednak tak dobrze jak tymi tomahawkami, które mają drewniane rączki. Tym bardziej że blokować ciosy i tak mogę kijem, a toporki mają mi służyć do ciskania.

Buduję sobie cele z połamanych gałęzi i drewna na opał, bo nie zniosłabym ranienia żywych drzew. Samo budowanie celów też stanowi dobre ćwiczenie. Zachowuję celulozę drewna, ale rozplatom jego strukturę, żeby przepleść je w inny kształt – coś w stylu druidzkiej sklejki (czy może raczej splotki). Ustawiam ją sobie pod drzewami, tworząc swoistą ścieżkę zdrowia. A potem biegnę wzdłuż niej z Orlaith. W lewej dłoni trzymam worek z różnymi tomahawkami i ciskam nimi do celu, cały czas biegnąc. W ten sposób sprawdzam, jak się je trzyma i jak celnie da się nimi rzucić. Orlaith trzyma się kilka kroków za mną na lewo, bo wie, że za nic nie powinna mi wchodzić na linię ognia. Proszę ją, żeby do mnie mówiła podczas biegu, bo dzięki temu ona ma okazję poćwiczyć język, a ja mam coś, co odwraca moją uwagę – to po prostu niezbędne przy ćwiczeniach, bo podczas prawdziwej walki nie ma szans na ciszę i spokój. Jeśli nie potrafisz się mimo tego skupić na celu, giniesz.

<Coraz mi lepiej idzie z językiem, Granuaile. Widziałaś, jak fajnie odmieniłam czasownik w tym zdaniu?>.

W pierwszym rzeczywiście nie ma się do czego przyczepić, moja mądra psinko.

<To w drugim zrobiłam jakiś błąd?>.

Po prostu staraj się nie nadużywać przysłówka „fajnie”. Ale oczywiście wszystko było zrozumiałe i gramatycznie poprawne. Coraz ładniej mówisz. Jestem z ciebie bardzo dumna.

<Czy to znaczy, że już niedługo mówić z Oberonem?>.

Uśmiecham się, bo spodziewałam się tego pytania. Oberon nieustannie też mnie pyta, czy Orlaith już jest gotowa, by ją z nim spleść. Wiem, że wierci też o to dziurę w brzuchu Atticusowi, ale druid powtarza mu, że decyzja należy do mnie. W rezultacie oba psy pytają mnie po kilka razy na dzień, kiedy wreszcie spleciemy ich umysły. A że ich poczucie czasu jest dość marnie, bywa, że pytają dosłownie co kilka minut, zupełnie nie pamiętając, że przed chwilą już dostały odpowiedź.

Po części Orlaith jest już właściwie gotowa. Bez trudu prowadzi ze mną rozmowę i z każdym dniem jej wypowiedzi są bardziej płynne. Tylko że naprawdę nie chcę, żeby potem peszyła się przy Oberonie. To bardzo stary pies, który od wielu lat doskonalili swój język, a do tego – jak każdy zadurzony mężczyzna – będzie jej od razu próbował za wszelką cenę zaimponować, a ja wolałabym, żeby Orlaith nie straciła pewności siebie.

Przyznaję, że jest w tym i odrobina egoizmu. Lubię mieć Orlaith tylko dla siebie. Ale jest tak bystra, że niedługo nie będę już miała żadnej wymówki, by ich nie połączyć.

Spleciemy wasze umysły, gdy tylko uznam, że jesteś gotowa – zapewniam więc ją po raz kolejny. – Zaufaj mi.

<Ufam ci>.

Uśmiecham się do niej mentalnie, a potem skupiam na ćwiczeniach. Nie wiem, czy to wynika z tworzywa, czy z mojego stylu rzucania, ale z całą pewnością drewniane tomahawki lecą o wiele lepiej niż te metalowe. Jeden model – z rączką o długości pięćdziesięciu pięciu centymetrów – wydaje się

prawie doskonały. A jednak tylko prawie. Odcinam centymetr na dole rączki i znów go wypróbuję. Lepiej. Odcinam jeszcze centymetr drewna i jest idealnie. W biegu ciskam w kolejne cele z różnych odległości. Muszę sobie zamówić takich więcej, a potem ćwiczyć ruchy kijem trzymany w lewej ręce. Wiem, wiem, w *Powrocie króla* Gandalf tak pięknie wymachiwał naraz mieczem i kijem, ale tomahawk to jednak zupełnie inna sprawa, bo nie ma tu żadnych ruchów dźgających.

Gdy próbuję przećwiczyć na sucho starcie z przeciwnikiem walczącym długim mieczem, siłą rzeczy przypominam sobie znów o znaku na moim lewym bicepsie. To dlatego, że Loki ma taki długi miecz, a to on wypalił mi piętno, którego nie mogę zlikwidować druidzką magią. Gaja w ogóle nie widzi żadnego problemu. Połamane kości się zrosły, siniaki zagoiły, ale piętno pozostaje; to oznacza, że Loki wciąż wie, gdzie jestem, a jednocześnie ukrywa mnie przed wszystkimi innymi. To akurat nawet dobrze, tylko że cena, jaką muszę płacić za tę częściową niewidzialność, jest dla mnie nie do przyjęcia. Loki ma teraz nade mną władzę i dał mi dość jasno do zrozumienia, że zamierza wykorzystać mnie do osiągnięcia swoich celów. Za śmierć mojego ojca powinien zapłacić mi śmiercią, a przedtem jeszcze wieloma połamanymi kośćmi. Atticus chce właśnie wymierzyć sprawiedliwość w zemście za przyjaciela, ale i ja mam swoją wendetę.

Loki posługuje się magią nordycką. Znak tworzą runy. A gdyby tak...

<Granuaile? Co się stało? Dlaczego zamarłaś?> pyta Orlaith.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Jeszcze przed chwilą leżała spokojnie w liściach, z łbem na łapach przyglądała się, jak trenuję, ale teraz już uniosła pysk i czujnie nastawiła uszu.

– A gdyby tak Odyn spróbował zlikwidować mi to piętno? – zastanawiam się na głos.

<Kto to taki?>.

– Ojciec Lokiego... To znaczy bóg, który adoptował Lokiego, ale jednak... Jeśli ktokolwiek zna się na likwidowaniu nordyckich splotów, to

właśnie on. I głowę daję, że nawet nie wie, że Loki wyciska te piętna.

<Świetnie! To chodźmy go zapytać! Gdzie mieszka?>.

– W Asgardzie. I nie wiem, jak się tam dostać.

Kiedyś Atticus przeniósł się do jednej z nordyckich krain, a potem wspiał po pniu drzewa zwanego Yggdrasilem, ale Azowie z pewnością już dawno zabezpieczyli to przejście.

<To może do niego zadzwoń?>.

– Nie wydaje mi się, żeby Odyn miał telefon. Zresztą w Asgardzie i tak nie ma zasięgu. Ale wiesz, może rzeczywiście istnieje sposób, żeby się z nim skontaktować. Gotowa na małą przebieżkę?

<Jasne! Dokąd?>.

– Tylko zbiegniemy tu z górki.

Nasza chata znajduje się dobrą milę w górę nad domem sztygara stojącym na terenie kopalni Camp Bird przy drodze numer 26. Kiedyś z Atticusem spotkaliśmy się tam z Frigg, przyleciały też do nas kruki Odyna, Hugin i Munin. Sam Odyn zresztą dokładnie zna położenie naszej chaty, bo przecież Atticus zostawił mu tam kiedyś do odbioru jego włócznie, Gungnir. I tak sobie myślę, że ponieważ dom sztygara nadal stoi pusty, może stanowić bardziej neutralny grunt, a w dodatku Frigg i krasnolud Runeskald Fjalar bardzo się kiedyś postarali, by zamienić ten budynek w istny *mjødhall*, być może więc nadal mają do tego miejsca jakąś słabość.

Dom sztygara zbudowano w stylu kolonialnym. Kiedy docieramy na miejsce, ukazuje się naszym oczom w całej swojej obdrapanej i wałacej się okazałości – ze ścian odłazi farba, weranda mocno się już zapadła, a okna ktoś zabił dechami. Hugin i Munin niestety nie siedzą wcale grzecznie na gałęzi obok, gotowe w każdej chwili zanieść moją wiadomość do Odyna. Jednym słowem, muszę się zastanowić, jak tu się z nim skontaktować.

Pojęcia nie mam, czy w tym wypadku zadziałałaby modlitwa. Czy modlitwy niewierzących w ogóle docierają do bogów, czy też może automatycznie odpadają, jeśli nie są napędzane wiarą i gorliwością? Atticus

nigdy nie omówił niczego takiego ze mną podczas treningów, a mnie nie przyszło do głowy, żeby zadać mu pytanie typu: „Hej, Atticusie, a jakbym miała ochotę na ploteczki z Odynem, to jak się z nim skontaktować?”.

Gdy stoję przed domem, Orlaith też się od razu zaczyna zastanawiać co teraz.

<Mam obszczekać drzwi?>.

– Nie, ale zapukajmy i wejdźmy do środka, żeby sprawdzić, jak to tam teraz wygląda.

Nikt nie odpowiada na moje pukanie i wołanie. Ale drzwi nie są zamknięte na klucz, wchodzimy więc ostrożnie. Nie ma tu prądu, za to na stoliku przy wejściu stoi kandelabr, a tuż obok leży pudełko zapalek. Zapalam go więc.

– Czujesz czyjś zapach? Albo może coś słyszysz? – pytam Orlaith.

<Wydaje mi się, że teraz tu nikogo nie ma> odpowiada. <Chyba że na górze>.

– Daj znać, jeśli coś wywęszysz albo usłyszysz. Najpierw rozejrzemy się na dole.

W środku domek wciąż wygląda tak, jak go zostawił Fjalar. Na drewnianych ścianach wiszą tarcze i skrzyżowane topory. W największym pokoju – w którym współcześni ludzie odpoczywaliby po posiłkach – Fjalar ustawił długi drewniany stół z ławami, żeby można było siedzieć blisko paleniska podczas jedzenia, a gdy nadejdzie czas na legendy skaldów, zostać przy stole. Na końcu stołu, tuż przy palenisku moją uwagę przykuwa żółty notesik prawniczy, który zupełnie tu nie pasuje. A w nim wielkimi literami napisane jest: OGIENŃ ROZPAL DLA FRIGG I WYPOWIEDZ SWE PRAWDZIWE IMIĘ, BY JĄ POWITAĆ.

To w zasadzie powinno zadziałać. Zresztą może w ogóle powinnam zacząć od poproszenia o pomoc Frigg, bo przecież to ona zajmuje się uzdrawianiem. Nie wiem, czy zostawili tę wiadomość dla mnie, czy Atticusa, ale wyglądałoby na to, że spodziewali się, że będziemy się chcieli do nich odezwać.

– W takim razie musimy rozpalić ogień – mówię.

<Super! Będzie ciepłutko i przytulnie, akurat na drzemkę>.

Wykorzystując drewno przygotowane tuż przy kominku, rozpalam ogień i dopiero gdy zaczyna porządnie trzaskać, odzywam się:

– Frigg, woła cię Granuaile MacTiernan. Muszę pilnie porozmawiać z tobą o Lokim. Odwiedź mnie, proszę, w Kolorado.

Na wszelki wypadek powtarzam to jeszcze dwa razy.

<Czy już czas na drzemkę?>.

– Nie, teraz musimy wyjść na werandę. Jeśli Frigg zechce porozmawiać, to przyjdzie tu po Bifroście.

I okazuje się, że owszem, chce pogadać. Przed nami z północy wysuwa się migoczący tęczyowy most, który przed domem przechodzi w dywan z liści. Bogini spływa po nim odziana w błękitny i biele, z włosami splecionymi na plecach w rozliczne warkocze.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Frigg.

– Witaj, Granuaile MacTiernan. Jakie wieści o Lokim?

– Czy wiecie z Odynem o jego znaku?

Bogini marszczy brwi.

– Jakim znaku?

Pokazuję jej ramię i wyjaśniam, skąd się wziął ślad i co powiedział o nim Loki.

– Domyślam się, że podobne piętno mają Hel i Jörmungandr. To dzięki niemu są niewidzialni dla Odyna i reszty i dlatego nie możemy ich odnaleźć.

Bogini kilka minut ogląda moje ramię i szczegółowo wypytuje, czy boli, czy przedtem bolało i jakiej pieczęci użył Loki, aż w końcu przyznaje mi rację, że dobrze by to było pokazać Odynowi.

– To z pewnością nie jest normalna rana. Miałabyś czas odwiedzić nas w Asgardzie?

– Oczywiście. Dziękuję za zaproszenie. Czy mogę zabrać ze sobą moją sukę?

– Naturalnie. Bądźcie moimi gośćmi. Chodźcie.

Na Bifroście nie ma celników. Nikt nie zadaje mi żadnych pytań o kij czy topór. Orlaith wcale nie jest pewna, czy ma ochotę wejść na tęczę, bo na jej oko nie jest to zbyt solidna konstrukcja. Kilka razy uderza w tęczę łapą na samym dole, żeby się upewnić, że nie jest to tylko optyczne złudzenie. W końcu jednak daje się przekonać, że magiczny most utrzyma jej wagę, i ruszamy piechotą ku niebu, a po chwili okazuje się, że Bifrost działa tak, jak te taśmy na lotniskach, które przesuwają się, żeby szybciej się szło. Nie mija nawet minuta marszu – przechodzimy przez pył gwiazdny, mijamy żar Muspellheimu i chłód Jötunheimu – i już jesteśmy w Asgardzie.

Bardzo mi trudno zachowywać się tak, jakby to wszystko było dla mnie czymś oczywistym, ale dzielnie tłumię przemożne pragnienie, by pstryknąć sobie selfie w Asgardzie, bo mam przecież świadomość, że to by było zupełnie nie cool. Frigg prowadzi mnie do pałacu zwanego Gładsheim. Przez labirynt korytarzy docieramy przed tron Odyna. Ku mojemu zdziwieniu komnata tronowa jest niemal zupełnie pusta. Okazuje się, że Odyn w ogóle nie ma teraz dworu. Towarzyszą mu tylko dwie nabzdyczone walkirie i dwa wilki ułożone u jego stóp. Bóg spogląda na mnie swoim jedynym okiem i czuję się nagle naga – nie w tym sensie, że patrzy na mnie pożądliwie, ale chodzi mi o to, że naprawdę czuję, że nic bym nie zdołała przed nim ukryć.

Nie widzę jednak jego kruków, a to znaczy, że nie ma też dużej części jego świadomości, więc Frigg prosi go, żeby natychmiast je przywołał.

– Będziesz ich potrzebował – mówi mu. – I musimy się spotkać w jak najmniejszym gronie. Gdy będziesz gotów, przyjdź do mojej komnaty.

Tylko coś jej odburkuje i natychmiast wychodzimy. Nawet słowem się nie zdążyłam do niego odezwać, ale uświadamiam sobie, że ten pośpiech był celowy. W Gładsheimie Loki może mieć przecież szpiegów.

Frigg zaprasza mnie do komnaty całej w brązach i kości słoniowej. Siadamy razem na sofie. Odkładam broń, a Orlaith kładzie się u moich stóp. Walkirie w hełmach przynoszą nam wielką misę z owocami. Wybieram brzoskwinie, bo chcę móc potem nosić T-shirt z napisem: „Ośmieliłam się zjeść

brzoskwinie w Asgardzie"¹.

– Odyn zaraz tu będzie – mówi Frigg.

Kiwam tylko głową, wgrzyzając się w najpyszniejszą brzoskwinie, jaką w życiu jadłam. J. Alfred Prufrock naprawdę powinien był się ośmielić.

Prawie już kończę pałaszować, gdy do komnaty wchodzi Odyn. Hugin i Munin przysiadły mu na ramionach i cała trójka wbija we mnie przenikliwy wzrok.

– Granuaile – mówi bóg i za całe powitanie musi mi starczyć pojedyncze skinienie. – My się jeszcze nie znamy.

Wstaję grzecznie, ale naprawdę nie wiem, co mam zrobić z reszką brzoskwini. Pojęcia nie mam, czy w jakimś protokole jest może wyjaśnione, jak się w obecności boga elegancko pozbyć nadgryzionego owocu.

– To dla mnie zaszczyt, choć przyznam, że głupio mi, że zastałeś mnie przy jedzeniu.

Uśmiecha się wyrozumiale.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I nie przejmuj się tym, proszę. – Przy moim boku pojawia się walkiria i zabiera ode mnie resztki brzoskwini. Odyn dziękuje jej i przenosi wzrok na moje lewe ramię. Dzioby kruków przesuwiają się jednocześnie w tym samym kierunku. – Pokaż mi, proszę, znak Lokiego i opowiedz dokładnie, jak go zrobił i co o nim powiedział.

Unoszę rękę i Odyn ujmuje ją w swoje twarde dłonie. Przygląda jej się uważnie, a ja opowiadam mu, jak w Indiach Loki podstępem zwabił mnie do zapomnianej komnaty pod ziemią, żebym zdobyła dla niego Zaginione Strzały Waju – magiczną broń, która zawsze trafia do celu, trochę zresztą tak jak Gungnir Odyna. I że gdy już pokonałam istotę strzegącą strzał, Loki za pomocą okrągłej pieczęci z runami wypalił na moim ramieniu znamię, którego nie potrafię zlikwidować.

Brodaty bóg w milczeniu przygląda się mojemu znakowi przez dobre kilka minut. Przyciska skórę grubym paluchem, patrzy pod różnymi kątami. W końcu puszcza ramię i jedynym okiem spogląda mi prosto w oczy.

- Mam plan – mówi.
- Bardzo się cieszę.



Jako druid potrafię spleść swój umysł ze świadomością innego stworzenia i uspokoić je, jeśli opanowała je agresja albo strach. Jeśli naprawdę jest ze mną cienko, mogę też poprosić żywiołaka, żeby odwiódł zwierzę od krwiożerczych zamiarów (to właśnie Oberon nazywa oszukiwaniem). Jeżeli jednak wybieram się na polowanie, jestem zdany na siebie. Nie da się poprosić zwierzęcia, żeby się położyło i sobie dla mnie umarło, i Gaja postawiła sprawę bardzo jasno: druidzi nie mogą używać magii w celu odebrania życia innym stworzeniom. To muszę zrobić sam.

Jeden z bawolców strzegących stada zauważył nas i zabeczał ostrzegawczo. Zwierzęta rzuciły się do ucieczki, aż ziemia zadudniła pod ich kopytami.

Z początku trzymaliśmy się z Oberonem razem, bo najpierw należało odłączyć od stada ten jego fragment, gdzie było jakieś młode. Znajdowaliśmy się za stadem, trochę na prawo od środka. Oberon zaczął szczekać. Natychmiast zwierzęta przed nim rozbiegły się na różne strony, spłoszyły tym następne i już po chwili stado podzieliło się na dwie części. Pomknęliśmy za tą biegnącą na prawo, a potem rozdzieliliśmy się i każdy z nas pomknął na inny bok. Zaczęła się niebezpieczna gra polegająca na tym, by pędzić stado to w jedną, to w drugą stronę, żeby w końcu w popłochu zgubiło jakieś młode. Oberon wskoczył jednemu na plecy i powalił je na ziemię, a stado popędziło dalej. Teraz przechodziliśmy do operacji „nie daj sobie wyrwać zdobyczy”.

Piskliwe chichoty zapowiedziały pojawienie się watahy hien. Chwilę mi zajęło zorientowanie się w terenie i połapanie, gdzie w ogóle zostawiliśmy Mekerę, ale gdy wreszcie namierzyłem ją w oddali, przemieniłem się z powrotem w człowieka i wyciągnąłem Fragaracha z pochwy. Zamachałem nim nad głową, licząc na to, że błysnie w słońcu i w ten sposób Mekera domyśli się, że ma do nas przyjść.

Porozumiałem się z żywiołakiem i poprosiłem go, żeby odwrócił uwagę hien i na tę chwilę przekonał je do filozofii „żyj i daj żyć innym”. Naprawdę dość już przelałem krwi dla jednej wróżby. Hieny wciąż jednak nadciągały, otaczając nas i dręcząc, bo takie są przecież ich metody, jako że nie mają szans dogonić większości zwierząt. Już się bałem, że jednak będę musiał kilka zabić, a i Oberon może odnieść rany w walce z tymi zwierzętami, ale jedna z nich skoczyła w moją stronę z obnażonymi zębiskami i koszmarnym oddechem, po czym nagle zmieniła zdanie, wycofała się i raptem cała wataha zignorowała nas i pobięła za stadem bawolców. Odetchnąłem z ulgą. Zaraz potem podeszła do nas spokojnym kroczeniem Mekera z moimi ubraniami pod pachą.

Cała akcja zajęła nam ledwie półtorej godziny i już byliśmy z powrotem w domu wieszczki ze wszystkimi niezbędnymi rzeczami. Nie wybiło jeszcze południe, a już Mekera zaczęła robić ser. Normalnie wyekstrahowanie podpuszczki ze śluzówki żołądka zajmuje kilka dni, jeśli nie tygodni, ale dało się przyspieszyć ten proces starannymi splotami.

Pod częścią, w której nas przedtem ugościła, Mekera miała sypialnię, a jeszcze niżej laboratorium, w którym hodowała bakterie, pomieszczenie do wytwarzania serów i półki, na których leżakowały gotowe kręgi serowe. Wszystko to sam jej zorganizowałem w latach dziewięćdziesiątych.

Oberon był zachwycony różnorodnością serów w dojrzewalni.

<Czy mogę wziąć gryza każdego?>.

Przecież dopiero co jadłeś, Oberonie.

<Nie twierdzę przecież, że jestem głodny. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mogę wziąć gryza potem, bo ładnie pachną>.

Nie, zapomnij o tym. Nie przyszedłszy tu jeść ser, tylko go robić.

Gdy Mekera podgrzewała mleko i wpatrywała się w termometr, znalazłem sobie krzesło pod ścianą i usiadłem, żeby jej nie przeszkadzać. Oberon ułożył się koło mnie.

<A, racja! Przecież ona będzie teraz robiła magiczny ser z krwi, tak?>.

Coś w tym stylu. Mam ci to wyjaśnić czy wystarczy, że powiem, że to

magia?

<Może lepiej opowiedz bardziej szczegółowo, bo wygląda na to, że jej to chwilę zajmie>.

Dobra. Wróżenie działa do pewnego stopnia dlatego, że nasz świat to system o pewnych przewidywalnych stałych mechanizmach. Do działania popychają stworzenia określone pragnienia, a większość tych pragnień wiąże się z jedzeniem lub seksem.

<No! To zupełnie jak u mnie>.

I bez wróżenia potrafię przewidzieć, że marzysz o kielbasce albo o chwili na osobności z Orlaith, ale ludzkie zachowania bywają nieco bardziej skomplikowane, szczególnie gdy zmieniają nagle zdanie, czy to w reakcji na innych ludzi, czy też zupełnie przypadkowo. Mimo to jednak ich zachowanie też układa się w pewne wzory, a wzory te można z pewną dozą dokładności przewidzieć, jeśli tylko się ma odpowiednie medium i umie się je interpretować.

<I ser jest takim medium?>.

Tak. Dla Mekery tak. Bo ja bym nigdy w życiu nie potrafił wróżyć z sera.

<Nigdy?>.

No pewnie mógłbym się w końcu nauczyć, ale wcale się do tego nie palę. Opanowanie tej sztuki zajęło jej całe lata, a ja już poświęciłem mnóstwo czasu na poznanie innych metod. Poza tym spójrz tylko, ile do tego trzeba sprzętu i odpowiednich składników.

<To po co ona się w to bawi?>.

Bo osiąga o wiele lepsze rezultaty niż ja z moimi różdżkami i auspicjami. Pomyśl, z pięćdziesięcioletnim wyprzedzeniem dała mi cynk, że Tempe będzie dobrym miejscem na kryjówkę na jakieś dziesięć lat, poczynając od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych. Potem miałem wrócić i znów się z nią spotkać, ale udało mi się to dopiero teraz. W każdym razie wszystko, co mi dotąd wywróżyła, sprawdzało się bez pudła.

Naprawdę jest niezła.

<Ale jakim cudem? Przecież to tylko ser>.

Nie, to rozpoznawanie wzorów. Przygląda się, jak pod wpływem naturalnego katalizatora ser przechodzi z jednego stanu egzystencji w drugi. Wzór ścinającego się mleka lub śmietany odzwierciedla wzór przechodzenia terażniejszości w przyszłość pod wpływem katalizatora w postaci pytania, które Mekera zadaje sobie w głowie podczas wrózenia. Wzory powstające, gdy ścina się mleko, są niemal fraktalowe w swojej złożoności, dzięki czemu Mekera może zobaczyć o wiele więcej, niż zdołałbym się dopatrzeć w jukstapozycji pięciu rzuconych w powietrze różdżek.

<Hej! Fraktale! Pamiętam! Już mi kiedyś o nich opowiadałeś. To te matematyczne cosie, co mają jakiś tam związek z matematyką>.

Masz świetną pamięć, Oberonie.

<Wiem. To o co konkretnie ją zapytałeś?>.

Jeszcze o nic. Spytam dopiero, kiedy powie, że jest gotowa.

A miałem wielką nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej. Zwykle produkcja serów zajmuje kilka dobrych dni i gdybyśmy tylko mieli czas, na pewno poprosiłbym ją o jeden z takich, ale tym razem musieliśmy się zdać na coś najprostszego i najszybszego, bo naprawdę powinniśmy skończyć przed zachodem słońca. Nie widzieliśmy jeszcze wprawdzie thralla, ale na pewno już wzywał posiłki i pewnie napadną na nas zaraz po zachodzie. Musieliśmy więc dotrzeć przedtem do jakiegoś splecionego drzewa, a do najbliższego był kawał drogi.

Mekera nastawiła minutnik i jego głośne tykanie uświadomiło mi, że mam teraz chwilę, żeby z nią pogawędzić. Ona też zorientowała się, że to wiem, ale już było za późno. Spojrzała na mnie z paniką w oczach, odezwałem się więc natychmiast, żeby nie miała czasu udać, że jest zajęta czymś innym.

– Hej, pogadajmy o czymś ciekawym. Może na przykład o tym, dlaczego właściwie od końca drugiej wojny światowej mieszkasz tu tak zupełnie sama.

Mekera zaklęła cicho i syknęła:

– Wiedziałaś, że to wyciągniesz.

– Rozmawiałaś o tym z kimś kiedyś? Miałaś ponad siedemdziesiąt lat, żeby się zamartwiać, czymkolwiek tam się zamartwiasz.

– Samotność ma dla mnie działanie terapeutyczne.

– Świetnie się składa. W takim razie po takiej ilości terapii powinnaś już móc spokojnie o tym pogadać.

– Nie.

– Pomóż mi cię zrozumieć, Mekero. Wiem, że nie widujemy się zbyt często, ale znamy się od tak dawna. Poznaliśmy się przecież w Bahyr Darze i to dzięki tobie spróbowałem kawy. Wtedy jeszcze lubiłaś ludzi. Co się potem stało?

Odpowiedziała mi na to upartym milczeniem i wściekłym wzrokiem. Patrzyłem na nią jednak z wyczekującą cierpliwością. W końcu przesunęła krzesło tak, że stało do mnie tyłem, i siadła na nim okrakiem, kładąc brodę na oparciu i oplatając je rękoma. Jej wzrok zsunął się na podłogę, ale wiedziałem, że nie ją widzi, tylko swoje wspomnienia. Kąciki ust jej opadły, wargi zdrząły, a oczy napełniły się łzami. Jedna spłynęła, zostawiając na policzku mokry ślad.

– Straciłam ukochaną osobę – szepnęła. – Wiem, że to nic wyjątkowego. Zdarza się każdemu. A jednak przy niej czułam się wyjątkowa. W ciągu tych pięciuset lat nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ona. – Otarła łzę. – Nie wiem, czy udałoby się nam żyć długo i szczęśliwie, ale chcieliśmy chociaż spróbować.

– Bardzo mi przykro – odpowiedziałem i nie pytałem już o nic więcej. Bo i po co. Utrata ukochanej osoby może rzeczywiście zniszczyć człowieka.

Zapadła między nami cisza, którą przerywało tylko tykanie minutnika i chrapanie Oberona. Jak większość psów potrafił on bowiem zasypiać na zawołanie.

– A ty? Przecież miałaś wtedy żonę – powiedziała już nie szeptem, ale

nadal cicho. – W Tanzanii, prawda? Byliście dość długo małżeństwem, mieliście dzieci?

– Tak.

– Jak miała na imię?

– Tahirah.

– Racja. Pamiętałam, że rymowało się z moim imieniem. Co się stało z dziećmi?

– Nie wiem. Wszystkie były już dorosłe, gdy ją straciłem. Pożegnałem się i poszedłem sobie. Trochę tak jak ty, tylko nie izolowałem się od ludzi, a zamiast tego uciekłem jak najdalej, żeby dojść do siebie, zapomnieć. Zabawne, ale właśnie wybierałem się zobaczyć, co u nich, kiedy się na ciebie natknąłem.

– I spotkałeś się z nimi?

– W pewnym sensie. Odkąd ich opuściłem, minęło już wtedy parę stuleci, więc raczej tylko zobaczyłem, jak sobie radzą moi potomkowie. Udało mi się namierzyć tylko część z nich.

– Parę stuleci? – syknęła z irytacją. – A ty się mnie czepiasz o marne siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat?

– To co innego. Wyszedłem z żałoby poprzez życie w świecie. A twoja metoda nie przewiduje żadnego wyjścia z wyjątkiem tego ostatecznego.

To ją ubodło. Wyprostowała się, puściła oparcie krzesła i położyła łokcie tam, gdzie jeszcze przed chwilą opierała się brodą. Jej dłonie wychylały się teraz w moją stronę, a jedna machnęła groźnie, gdy warknęła:

– Teraz ja cię o coś spytam, Siodhachanie.

– Dobra.

– Tahirah była miłością twojego życia?

– Tak.

– Czy potem znów kogoś pokochałeś?

– Tak. Zupełnie niedawno. Dziewczynę o imieniu Granuaile.

– A, czyli i dla mnie jest nadzieja! – Jej usta ułożyły się w szeroki, ale fałszywy uśmiech. – Czyli ile dokładnie stuleci minęło między Tahirah a

Granuaile?

– No weź...

– Więcej niż całe moje życie, prawda?

– Słuchaj, przecież nie mówię, że będzie łatwo. Nie mówię, że w ogóle się uda, a już na pewno nie zaraz. Chcę tylko powiedzieć ci, że to w ogóle możliwe. Można znów kogoś pokochać. No, chyba że się żyje na zupełnym pustkowiu.

Zadzwoił minutnik i wybudził Oberona ze snu, w którym mój wilczarz najwyraźniej dopuszczał się jakichś wybryków.

<Co? To nie moja wina! Nic nie zrobiłem tym chihuahua!>.

Mekera wstała i machnęła ręką na moje słowa.

– Dość już tego. Czas zabrać się do pracy. To czego mam szukać?

Naszej rozmowy nie nazwałbym raczej wielkim psychoterapeutycznym sukcesem, ale też Mekera miała rację – czas nas gonił.

– Wampiry przepuły większość mojej kasy, a muszę im pokazać, kto tu rządzi. – Cisowcy na pewno nie należeli do tanich płatnych zabójców. – Ale nie ma sensu pytać o cokolwiek dotyczącego mnie bezpośrednio, bo zimne żelazo zaburzy tyromancję.

– Czyli chodzi ci po prostu o pieniądze?

– Pieniądze są teraz najważniejsze. Ale przydałoby się też, żebyś jakoś im zaszkodził i napsuł krwi. Nie wiem, czy da się w ogóle napsuć krwi wampirom, ale nie można tracić nadziei.

Przez chwilę Mekera wpatrywała się we mnie z namysłem.

– Mogę powiedzieć ci coś – odezwała się w końcu – co być może wpłynie na pytanie, które zadasz. Choć nie mogę dać ci gwarancji, że do czegoś ci się to przyda.

– Powiedz, proszę, a ja dobrze się zastanowię, zanim zadam pytanie.

Skinęła głową.

– Niech będzie. Otóż ta pijawka nie chciała jednego sera, tylko dwa. Drasche miał dwa pytania. Dzięki jednemu z nich dotarł, jak już zresztą wiesz,

do Kodiaka Blacka. Drugie było... dziwne.

– O co pytał?

– Chciał wiedzieć, gdzie może coś przed tobą schować. Pamiętam jego dokładne słowa. Zapytał: „W jakie miejsce na ziemi najprawdopodobniej nie wróci nigdy Siodhachan Ó Suileabháin?”.

– O, nie. I powiedziałaś mu?

– Tak. Toronto.

– Kuurwa mać! – zakląłem, bo naprawdę za nic nie chciałem się znów znaleźć w Toronto.

Teraz jednak, gdy już mi o tym powiedziała, sprawiła, że prawdopodobieństwo mojego pojawienia się w tym mieście znacznie wzrosło. Nie mogła wcześniej tego przewidzieć, bo uniemożliwiło to moje zimne żelazo. Moje pojawienie się tam – gdybym się jednak zdecydował tam wybrać – byłoby więc zupełnie nie do przewidzenia. Jeśli więc Werner Drasche wykorzystał jej radę, być może będę mógł zadać mu jakiś poważny cios. Wystarczy, że zbiorę się na odwagę i wrócę do Toronto.

O wiele łatwiej byłoby się jednak skupić na pieniądzach. Mekera mogłaby mi zdradzić, na czym dałoby się szybko zarobić. Zresztą i bez jej pomocy potrafiłbym się szybko wzbogacić – z moimi zdolnościami nietrudno stać się przestępcą idealnym. Tylko że w ten sposób krzywdziłbym innych ludzi, a nie Wenera Drasche'a. A chciałem – czułem wręcz, że jest moim obowiązkiem – odplacić Wernerowi pięknym za nadobne i pomścić Kodiaka.

– Potrafisz mi powiedzieć, co ukrywa w Toronto i gdzie? – spytałem.

– Być może. Jeśli coś tam schował, powinnam to zobaczyć. Ale ostrzegam: mógł nie wykorzystać mojej rady. A jeśli zadam to pytanie i nic się nie pojawi, nie będziemy już mieć czasu przed zachodem słońca na kolejny ser. Masz tylko jedno pytanie.

– Rozumiem. – Namyslałem się chwilę, ale uznałem, że potencjalne korzyści są zbyt duże, by z nich zrezygnować. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, zawsze mogę w jakiś inny sposób zarobić pieniądze. – Zadaj takie pytanie: Co

Werner Drasche i/lub wampir znany jako Theophilus ukrywają w Toronto i gdzie dokładnie?

– Ściśle rzecz biorąc, nie jest to jedno pytanie – stwierdziła. – Ale może się uda. Spróbuję.

– Ile jeszcze do zmierzchu? – spytałem, bo w tych podziemiach traciłem poczucie czasu.

Mekera spojrzała na zegarek, taki starodawny, ręcznie nakręcany, zapięty na jej ręce na znoszonym skórzanym pasku.

– Zostało nam około trzech godzin – powiedziała. – Nie będę mogła ci powiedzieć niczego sensownego przez jakąś godzinę od teraz, może trochę dłużej.

– Okej, dzięki za ostrzeżenie.

– Tylko mi przypadkiem nie zaśnij. Mówię, co widzę, kiedy to widzę, i niczego nie powtarzam.

– Rozumiem.

– Dobrze. Zaczynam.

Odwróciła się do swojej niewielkiej przemysłowej kadzi do mieszania sera. Włączyła fachowo wyglądające mieszadło i do wirującej śmietany wlała podpuszczkę. Potem zaczęła mówić po amharsku. Jest to język semicki wciąż dziś jeszcze używany, ale ja go prawie w ogóle nie rozumiem. Najbliższy mu znany mi język to aramejski. Domyśliłem się tylko, że zadaje pytanie, splata je ze ścinającym się mlekiem i katalizuje wróżbę.

<Co ona tam mówi? Czy to coś w stylu: „Bogowie Kobolu, pobłogosławcie ten ser”?>.

Pewnie tak, ale w sumie to nie wiem.

<Szkoda. To mogę już spać? Bo byłem akurat w trakcie ekscytującego snu>.

Wiem, tego o chihuahua.

Oberon prychnął mentalnie z ubawienia.

<Z nich to są niezłe łobuzy, co?>.

Oberon zasnął, Mekera skupiła się na pracy, coś tam nuąc i wpatrując się w kadź, a ja miałem mnóstwo czasu, by pomartwić się tym, co powiedziała. Nie byłem w Toronto od 1953 roku i nie zamierzałem tam wracać. Wybrałem sobie wtedy ksywkę Nigel, co – jak się potem okazało – było jedną z najgorszych decyzji w moim życiu. Drasche nie znał oczywiście tej historii, więc nie wiedział, że zmuszenie mnie do powrotu otworzy starą ranę – prawdę powiedziawszy, robiło mi się słabo na samą myśl o tym, że miałbym znów pojawić się w tym mieście.

Pocieszyłem się Szekspirem, który tak często potrafi mnie podnieść na duchu. Wiem, że Hamlet nie jest może najlepszym wzorem do naśladowania, ale kiedy już wie, że wuj planuje go zabić w Anglii z pomocą przyjaciół Rozenkranca i Gildensterna, postanawia ich przechytrzyć i mówi: „Ja głębiej o parę sążni podkopię ich minę i puszcę ich aż pod księżyc”².

– To gdzieś w centrum Toronto – odezwała się nagle Mekera po angielsku i jeszcze dodała: – Jakaś dzielnica finansów. – Zmrużyła oczy. – Czy litery R, B i C miałyby jakiś sens?

– Tak. To pewnie chodzi o Royal Bank of Canada.

– Proszę bardzo. – Zamilkła znów na dobre piętnaście minut i nagle powiedziała. – Dobra, tu masz cyfry związane z bankiem: pięć, jeden, siedem.

– A to co?

– Domyślam się, że numer skrytki w sejfie. Przecież nie PIN, bo za mało cyfr.

– Aha. A co tam jest?

Mekera wpatrywała się jeszcze dobre pół godziny w wirującą zawartość kadzi, po czym skrzywiła się i pokręciła głową.

– Nie mogę już dojrzeć nic konkretnego. Ale to nie pieniądze. I nie żadne kosztowności. To po prostu jakiś papier. Dużo papieru. Z jakimiś informacjami. Jakby jakaś lista.

– Werner Drasche przechowuje w skrytce w sejfie w banku w Toronto jakąś listę, bo nie chce, żebym ją znalazł? To ta lista może mu aż tak

zaszkodzić?

– Jemu i Theophilusowi. To ich wspólna lista, więc dobrze strzelałeś. I tak, odpowiedź brzmi: tak.

– To wszystko?

Wskazała na wirujące mleko i westchnęła.

– Ser próbuje mi podać nazwiska i adresy, ale nie daje rady. To nie taki ser. A nie mamy też więcej czasu na konkrety, rozumiesz? Ser będzie gotowy za kilka minut, okropnie więc się spieszy, zalewa mnie szczegółowymi danymi i nic z tego nie wychodzi. To jakbyś próbował precyzyjnie przelimitować dużą ilość wody przez jakiś mały pojemnik. Zrobi się z tego tylko ścisk i trochę hałasu.

Oberon, który miał niby śnić o małych psich rozrabiakach, obudził się już najwyraźniej, bo nagle wyskoczył ze swoim skojarzeniem:

<To mi zupełnie brzmi jak *comic con*>.

Przecież ty w życiu nie byłeś na żadnym konwencie.

<Nie, ale dość się nasłuchałem, jak narzekacie z Bystrą Dziewczyną za każdym razem, jak z nich wracacie. Ona zawsze mówi: „Kurczę, ale był tłok. Co za ścisk! Co za hałas!”. Koniec cytatu>.

– Dobrze, Mekero, dziękuję ci za pomoc. Ile nam zostało czasu do zachodu słońca?

Rzuciła okiem na zegarek.

– Nieco ponad godzina – powiedziała.

– Dobra, spakuj się i pobiegniemy do najbliższego drzewa, które da się spleść.

– A co z thralliem?

– Jeśli chcesz, mogę go załatwić, zanim wyruszymy.

– A nie powinniśmy?

– Nie, chyba że uważasz, że stanowi poważne zagrożenie. Wampiry będą potrafiły wytropić nas po zapachu bez względu na to, czy thrall będzie żył, czy nie. Pewnie czeka na nie i kiedy się pojawią, wskaże im kierunek, licząc na jakąś nagrodę.

Mekera jednak miała inną hipotezę.

– Moim zdaniem każą mu nas śledzić i podawać naszą bieżącą lokalizację. Ma telefon satelitarny.

To rzeczywiście mogło stanowić pewien problem. Jeśli popędzimy prosto w stronę drzew, przez które przeniosłem się tutaj, będzie to ten sam kierunek, z którego najprawdopodobniej będą w naszą stronę nadciągały wampiry, bo tuż obok znajdowało się lotnisko w Gambeli. Jeśli jednak zaczniemy teraz szukać thralla, stracimy cenny czas. Moglibyśmy pobiec w kierunku przeciwnym do lotniska, czyli na południe, i tam szukać najbliższego wyjścia, przez co zwiększalibyśmy czas potrzebny, by nas dogonić. W tym wypadku potrzebowałbym jednak z kolei dodatkowego czasu na splecenie nowego drzewa z Tír na nÓg. Każda opcja była ryzykowna.

– Jest tu gdzieś na południe stąd jakieś duże drzewo? – spytałem.

Te małe krzaczki, które widziałem na sawannie, były zbyt delikatne, by zakotwiczyć do nich Tír na nÓg. Mekera wbiła wzrok w sufit, żeby się zastanowić, a potem znów na mnie spojrzała.

– Tak. Jest baobab. Stary.

– Daleko?

Tyromantka wzruszyła ramionami.

– Jakies piętnaście, może dwadzieścia kilometrów stąd.

To może być dobre wyjście. Thrall nie powinien dać rady nadążyć za nami na tak długim dystansie, a wampiry nie będą przecież mogły rozwijać pełnej prędkości, jeśli będą musiały nas tropić.

– W takim razie ruszamy, gdy tylko będziesz gotowa.



Po konsultacji u Odyna Bifrost przenosi nas z powrotem do domu sztygara. Orlaith natychmiast unosi podejrzliwie pysk.

<Granuaile, śmierdzi ogniem. Dymem>.

Skąd? Nie z naszej chaty?

<Może. To z tej strony>.

Chodźmy to sprawdzić. Ale cicho.

Zabezpieczyliśmy z Atticusem dom przed ogniem, ale tylko tym magicznym – takim, jakim włada Brighid czy Loki. Nie jest odporny na zapalki czy zapalniczkę. Gdy już jesteśmy bliżej, Orlaith mówi, że dym nie dochodzi z naszej chaty.

<To tam, nad rzeką> wyjaśnia.

Okej. Najpierw i tak muszę zobaczyć, co z chatą.

Dokładniej rzecz biorąc, chcę rzucić okiem na zabezpieczenia – czy ktoś je ruszał i czy ten ktoś lub coś nie czai się nadal gdzieś w okolicy. Pożar to najprostszy sposób na odwrócenie uwagi i nie chcę dać się nabrać na taki trik.

Przykładam dłoń do ziemi przed chatą i wymawiam słowa zaklęcia, które splata mój wzrok z magicznym spektrum. Przeglądam kontrolnie zabezpieczenia, ale nie widzę nic podejrzanego. Nikt ich nie ruszał. A w oknach nie tańczą płomienie, co też mnie trochę pociesza.

Nie tracąc jednak czujności, schodzę między białymi kolumnami brzoź w stronę potoku Sneffels, zimnego strumienia, który wpada potem w Ouray do rzeki Uncompahgre. Przypominam Orlaith, żeby trzymała się blisko mnie i nie wybiegała do przodu. Dym prowadzi do niebezpiecznie rozległego ognia, a nad nim stoi ze skrzyżowanymi rękoma niepokojąco wysoki człowiek.

Twarz zasłaniają mu proste, brudne jasne włosy, ale po chwili podnosi na mnie wzrok i widzę otoczone bliznami oczy i wredny uśmiech. Natychmiast nakazuję Orlaith wracać pędem do chaty i wejść do środka przez drzwiczki dla psów.

Biegnij jak najszybciej, bo on ci może zrobić krzywdę. Nie czas na dyskusje. Uciekaj.

<A jeśli tobie zrobi krzywdę?>.

Nie robi. Potrzebuje mnie. Ale będzie chciał posłużyć się tobą, żeby mnie szantażować. Jeśli będziesz poza jego zasięgiem, nie będzie mógł

mnie kontrolować, więc uciekaj.

Orlaith obraca się i biegnie, ale jeszcze woła mentalnie:

<Powiedz mi, jak tylko będę mogła wyjść!>.

Powiem na pewno.

Z twarzy Lokiego znika uśmiech, bo zarejestrował ucieczkę Orlaith.

– Oj, a ona dokąd? Przecież tak się świetnie ostatnio dogadywaliśmy.

Ostatnio zrobił coś z jej umysłem i trzymał ją potem jako zakładniczkę. Nie dopuszczę, by się to powtórzyło.

– Nie zapraszałam cię tu, Loki. Spadaj.

Udaje, że to zraniło jego uczucia.

– Gdzie się podziała twoja gościnność, panno MacTiernan?

Pokazuję mu kij i topór, mówiąc:

– Tu jest. Chcesz sprawdzić, jaka jestem gościnnie, proszę bardzo.

Włosy Lokiego stają w ogniu. Udało mi się go wkurzyć.

– Byłaś w Asgardzie.

– Owszem.

– Po co?

– Odyn z pewnością chętnie ci o tym opowie. W sumie bardzo chciał się z tobą zobaczyć. Może wpadnij do niego i sam go spytaj?

– Pytam ciebie.

– Nie odpowiadam. Spadaj.

Płomienie wokół jego głowy stają się coraz potężniejsze, a oczy mu ciemnieją.

– Chyba powinienem ci przypomnieć, jak działa nasz związek. Kiedy czegoś potrzebuję, ty mi to dajesz, jasne? I nieważne, czy chodzi o Zaginione Strzały Waju czy prostą odpowiedź na proste pytanie. Powiedz mi, dlaczego byłaś w Asgardzie i co omawiałaś z Odynem – syczy, a potem wskazuje mi palcem chatę. – A może twój kundel musi zapłacić za twój niewyparzony język?

Szlag mnie trafia, że znów zdaje się na tę samą groźbę – złości mnie to nie tylko dlatego, że jest gotów skrzywdzić niewinną istotę, ale też dlatego że tak bardzo mnie lekceważy jako przeciwnika, iż nawet mu do głowy nie przyjdzie, że przygotowałam się na coś takiego. Nie szkodzi. Już wiem przecież, że łatwo go wyprowadzić z równowagi, i wiem też dobrze, jak to zrobić.

– Pocałuj mnie w jaja – mówię.

Mruga zdezorientowany.

– Przecież ty nawet nie masz...

– I tak mam większe niż ty.

Wzdryga się, jakbym go spoliczkowała – i w sumie to właśnie werbalnie zrobiłam. Nie tylko obraziłam jego wątpliwą męskość, ale jeszcze mu bezczelnie przerwałam w połowie zdania.

– Ty zdiro! – ryczy, odruchowo sięgając po słowo tak chętnie wykorzystywane przez mężczyzn w chwilach, gdy natkną się na kobietę, której nie potrafią kontrolować. Całe jego ciało staje w ogniu i tylko słyszę jego głos:
– Już ja ci dam nauczkę!

Przemienia się w kulę ognia i mknie nad moją głową prosto w stronę chaty.

Jesteś już w środku, Orlaith?

<Tak>.

Dobrze. Zostań tam i nie wychodź, choćby nie wiem co.

Wykorzystując to, że Loki przez chwilę na mnie nie patrzy, włączam za pomocą splotów ze Scáthmhaide'a niewidzialność i biegnę pod górę, próbując dojrzeć, co się dzieje. Sama jestem ciekawa, jak zadziałają na niego sploty zabezpieczające, gdy już w nie uderzy. Po drodze mamrocę zaklęcia zwiększające moją siłę i prędkość.

Gdy Loki rąbie w druidzkie zabezpieczenie przed ogniem, niestety nie rozplaskuje się na nim jak ptak o szybę. Ale jego płomienie natychmiast znikają, jakby ktoś zgasił świecę palcami, a on sam – chude, wciąż dymiące ciało – spada na ziemię. Ma jeszcze czas wrzasnąć zdumiony, gdy uświadamia

sobie, że nie da rady zapanować nad lądowaniem. Przyspieszam, żeby znaleźć się tam, gdzie walnie w ziemię.

Odruchowo wyciąga ręce, żeby złagodzić upadek, i przez to łamie sobie prawą rękę – ostry trzask, a potem ryk rannego. Turla się w dół po zboczu przed chatą. Chwyta złamaną rękę lewą dłonią i próbuje wstać. Wtedy wskakuję mu na plecy i wbijam w nie tomahawk tak mocno, że nie widzę już nawet ostrza. Zostawiam go w jego lewej łopatce i odskakuję, a on się miota i ryczy jeszcze głośniej.

– Nauczka to się należy tobie, Loki. Zapamiętaj sobie: nie zadziera się z druidką.

Bóg oszustwa wstaje z trudem, odwraca się i usiłuje mnie namierzyć, ale obie jego ręce zwisają bezwładnie. Najwyraźniej próbuje znów zapłonąć, kończy się jednak tylko na kilku obłoczkach dymu. Nie da rady znów posłużyć się ogniem, dopóki będzie się znajdował w obrębie naszego zabezpieczenia.

– Gdzie ty...? – wrzeszczy, nie jest mu jednak dane dokończyć, bo końcówka Scáthmhaide'a wbija się mocno w jego szczękę od lewej strony, a mnóstwo zębów leci na prawo. Towarzyszy im czerwona mgiełka krwi.

– Zamknij się – mówię, obracając kij i uderzając go w przeponę, żeby mu zabrakło tchu. – Zaplanowałeś sobie wszystko tak, żeby mój ojciec zginął na moich oczach, zwabiłeś mnie do tamtej dziury, żeby jakiś potwór połamał mi kości, po czym wypaliłeś mi piętno, jakbym była twoją własnością, co?

Loki bierze świszczący oddech i wygląda tak, jakby chciał mi nawet odpowiedzieć, więc walę go po żebrach i kilka pęka cicho.

– Zastanawiałam się, jak tu się pozbyć tego twojego znaku, i wiesz co? Najprościej będzie się po prostu pozbyć ciebie. – Ból na twarzy Lokiego przechodzi w strach, gdy dociera do niego, że to gówno, w które wdepnął, nie ma dna. – I to nawet nie będzie żadna samolubna zemsta, wiesz? Sam powiedziałeś, że zamierzasz zrównać z ziemią cały Midgard i zacząć od nowa. Otóż jestem przeciw. Więcej, jako druidka mam wręcz obowiązek ci to

uniemożliwić. I tak: za przestępstwa, które już popełniłeś, i te jeszcze większe, które chcesz popełnić, skazuję cię, Loki Podpalaczu, na karę śmierci. Jesteś bowiem winny i oto zapadł wyrok.

Wybałusza oczy z przerażenia, krwawi i z trudem łapie oddech, ale jeszcze udaje mu się ruszyć parę kroków. Potyka się o krzak i płoszy spod niego jakiegoś zająca. Zatacza się do tyłu, a ja zamachuję się Scáthmhaide'em, by zadać mu cios w twarz, ale końcówka kija przechodzi przez powietrze i zamiast w boga wali w ziemię. Ciało Lokiego rozpląnęło się bez śladu. Rozglądam się, bo przecież gdzieś tu musi być, i wtedy dopiero uświadamiam sobie, że udało mu się mnie oszukać. Zając wciąż ucieka, i to bardzo jak na zająca powoli. Sapie i podskakuje, wyraźnie próbując wybuchnąć płomieniem, co udaje mu się dopiero, gdy wydostaje się poza obręb naszych zabezpieczeń. Na chwilę przemienia się z powrotem w Lokiego – wciąż niezłe zmasakrowanego, z moim toporkiem nadal w plecach, choć teraz rączka toporka też płonie. Obraca się mniej więcej w moim kierunku i posyła mi wściekłe spojrzenie, ale nic nie mówi – z połamaną szczęką pewnie po prostu nie może. Ponieważ nadal nie daje rady mnie namierzyć i pewnie boi się trochę, że znów mu przyłożę, ulatuje w niebo i znika.

W pierwszej chwili reaguję złością. Dlaczego nie splotłam go z ziemią, żeby nie mógł mi zwiać? Albo powinnam była przynajmniej włączyć magiczne widzenie, a wtedy tak łatwo by mnie nie nabrał na zająca. Potem jednak uśmiecham się i nawet wybucham śmiechem, bo to jednak wspaniałe uczucie zemścić się na Lokim i pokazać mu, że nie jest niezniszczalny. Właściwie to nie liczyłam, że aż tak mi się uda mu zaszkodzić. Wracam po śladach i przyglądam się zalanej krwią ziemi. Znajduję zęby Lokiego i zbieram je starannie. Potem wpatruję się chwilę w korony drzew wokół i proszę bardzo – jest i Hugin, i Munin. Gapią się na mnie z brzozy obok. W triumfalnym geście pokazuję im zęby Lokiego.

– Nieźle, Odyinie, co? Teraz go mamy.

Jeden z ptaków coś tam odkracza w odpowiedzi, ale przecież nie mówię po

kruczemu.

– Zaczekajcie, zrobię pudełko. – Splotami podobnymi do tych, dzięki którym zrobiłam sobie przedtem cele do ćwiczenia ciosów tomahawkiem, tworzę z gałęzi małą drewnianą skrzyneczkę w kształcie sześcianu. Zęby wrzucam do środka, a potem jeszcze podnoszę kilka zalanych krwią liści i też je dorzucam. Zamykam szczelnie pudełko ze splotki. – Mogę już wskakiwać na Bifrost.

Odpowiada mi zgodne kraknięcie i kruki odlatują z powrotem do Odyna.

Orlaith, możesz już wyjść, ale biegnij prosto do mnie.

Nie chcę, żeby mi przypadkiem wyszła poza zabezpieczony teren, bo przecież nie wiem, czy Loki nie wróci.

<Hurra!>.

Wypada z domu, merdając ogonem. Przyklękam, żeby ją uściskać.

– Wracamy do Asgardu i zostaniemy tam jakiś czas.

<Dlaczego?>.

– Odyn spróbuje usunąć mi znak z ramienia, a wtedy będziemy już mogli wędrować, gdzie nas nogi poniosą, bez niepokoju, że Loki znów nas namierzy.

<Ale co z Oberonem i Atticusem?>.

– Dam znać żywołakowi, gdzie jesteśmy, a on powie Atticusowi, gdy tu wróci. Atticus wyjaśni Oberonowi. Gdy wrócimy z Asgardu, będziemy mogli zamieszkać, gdzie nam się będzie żywnie podobało. To znaczy z wyjątkiem tej chaty. Czy marzy ci się jakieś konkretne miejsce?

<Nie znam się na miejscach. Ale lubię drzewa>.

– To dobrze, bo myśleliśmy, żeby przenieść się też w takie miejsce, gdzie jest dużo drzew, tylko w Oregonie.

Atticus już zlecił swojemu prawnikowi, Halowi Haukowi, znalezienie odpowiedniego domu w okolicach Doliny Willamette.

Biegnę z powrotem nad strumień i pospiesznie gaszę pożar po Lokim. Potem wyjaśniam żywołakowi, dokąd idziemy, i już po chwili pojawia się

przed nami migoczący w słońcu Bifrost. Loki będzie wiedział, że poszłam do Asgardu, i może się domyślić po co, bo wie też, że zabrałam jego zęby, ale nic mnie to nie obchodzi. Może nawet lepiej, żeby wiedział, że wyrok śmierci, który na niego wydałam, został zatwierdzony przez Odyna. Jeśli chce odzyskać swoje uzębienie, będzie musiał od razu rozpocząć Ragnarök, ale Odyn najwyraźniej jest przygotowany na taką ewentualność.

Podczas mojej poprzedniej wizyty Jednooki stwierdził, że znak Lokiego działa mniej więcej tak jak zimne żelazo wplecione w aurę Atticusa. Nie jest to rzecz, a raczej proxy rzeczy, a dokładniej proxy samego Lokiego splecione z jego kluczem genetycznym. I dlatego właśnie Gaja nie widzi rany, bo dla niej to raczej coś takiego jak ubranie, tyle że bez pomocy Lokiego nie mogę go zdjąć. Odyn nakreślił mi kilka rozwiązań. Plan A – zabić Lokiego, co z pewnością rozwścieczyłoby Hel, ale z drugiej strony przynajmniej skutecznie by przekreśliło wszelkie plany Lokiego. Albo plan B – zdobyć trochę jego materiału genetycznego, żeby stworzyć przeciwnak. Krew i zęby powinny się świetnie do tego nadać.

Wchodzę na tęczę lekkim krokiem. Tak, Loki pokonał mnie w Indiach, ale ja zwyciężyłam go właśnie w Kolorado. Jest mi z tym o wiele lepiej. Teraz wiem, że już nie będzie mógł z uśmiechem wspominać tamtego zwycięstwa.

Nie łudzę się – wiem dobrze, że tak jak ja wydałam wyrok śmierci na Lokiego, on wydał go na mnie. To jednak oznacza koniec gierki i to także mnie cieszy. Przypomina mi się kilka wersów z Whitmana, które w *Źdźbłach trawy* dotyczyły oczywiście czegoś zupełnie innego, a jednak wydają się idealne w mojej sytuacji: „I dlatego niech płoną moje płomienie tym ogniem, który groził mi spaleniem”.

No, to ma sens.



Dzięki pomocy Gai udaje nam się robić każdy kilometr w zaledwie parę minut, ale i tak docieramy do baobabu trochę po zmierzchu, bo to jednak było

dobrze dwadzieścia kilometrów, a przedtem Mekerze też trochę długo zeszło na pakowaniu. Za długo, jak się okazało.

Splecenie nowego drzewa także nie jest wcale procesem szybkim. W końcu chodzi o to, żeby stworzyć bezpieczną ścieżkę między ziemią a Tír na nÓg, więc choć jeśli się ma wprawę, całość może zająć tylko z piętnaście minut, to jednak musi to być kwadrans pełnego skupienia. Jeśli coś przerwie splatanie, trzeba zacząć od samego początku. Zwykle dobrym rozwiązaniem jest używanie innej przestrzeni myślowej, żeby radziła sobie z werbalnymi przeszkodami, ale trzeba jeszcze jakoś rozwiązywać inne problemy. Zdarzało mi się w takich chwilach, że jakimś pszczołom strzeliło coś do łba, żeby zapylać mi nozdrza czy ucho, bo moje rude włosy przyciągają je niczym krzak pełen kwiatów. A jak mam tam sześć nóżek i skrzydełka i wszystko byczy, to jednak wpadam w panikę we wszystkich przestrzeniach myślowych. Nie ma nic gorszego niż pszczoły na twarzy (patrz #facebees).

Po kilku takich pszczelich wpadkach nauczyłem się prosić żywiołaka, żeby przez tę chwilę trzymał wszystkie zwierzęta z dala ode mnie. Nie tylko pszczoły. Bo na przykład zdarzyło mi się też raz w Panamie, że wślizgnął mi się do nogawki boa dusiciel. Prawdziwy wąż w kieszeni naprawdę może człowieka przestraszyć na śmierć.

Nim więc zacząłem, poprosiłem Oberona i Mekerę, żeby starali się w miarę możliwości do mnie nie mówić, a potem wszystkich nas zakamuflowałem przed thrallem, choć pewnie jeszcze był daleko za nami. Włączyłem też noktowizję dla nas wszystkich, a do tego poprosiłem żywiołaka, żeby na jakiś czas oczyścił teren wokół baobabu z wszelkich owadów i drapieżników. Dopiero wtedy podzieliłem świadomość: w staroirlandzkiej przestrzeni mentalnej będę wyłącznie splatał, a w angielskiej zajmował się całą resztą. I to właśnie poprzez tę drugą przestrzeń dałem Mekerze i Oberonowi znać, że zaczynam. Za piętnaście minut będziemy mogli przenieść się do Tír na nÓg, a stamtąd do Emhain Ablach, gdzie Mekera będzie wreszcie bezpieczna i zupełnie sama.

Prócz plecaka z ciuchami i kilkoma owiniętymi w folię bąbelkową fiolkami z bakteriami i roślinną podpuszczką wzięła też łuk i kołczan oraz krążek twardego sera, który – jak twierdziła – był dla niej bardzo ważny. Uznałem, że to pewnie właśnie ten ser przedłużyła jej życie. Kiedy poznałem ją w szesnastym wieku, miała już na karku kilka stuleci. Resztę sera musiała zostawić, co wzbudziło w Oberonie szczere współczucie – do tego stopnia, że większość biegu spędził na komponowaniu *Pieśni o serze podpuszczonym, acz opuszczonym*. Muszę pamiętać dać mu potem jakiś smakołyk za ten łamaniec językowy.

Łuk przydał się zaledwie cztery czy pięć minut później. Pojawił się thrall, udowadniając, że nie tylko rzeczywiście istnieje, ale jest do tego niesamowicie sprawny. Okazał się mężczyzną bardzo smukłym, wręcz urodzonym długodystansowcem, a co gorsza, miał przy uchu telefon satelitarny, o którym wspomniała Mekera, i właśnie coś do niego mówił. Wampiry zresztą nie żałowały mu sprzętów – miał też jakieś gogle. Jeśli były to tylko gogle noktowizyjne, które wzmacniają natężenie światła od bardzo niskich wartości do takich, w których już co nieco widać, to nie powinien dać rady przejrzeć naszego kamuflażu. Jeśli jednak były to gogle termowizyjne, czyli analizujące temperaturowe promieniowanie podczerwieni, to zobaczy nas bez trudu. Kamuflaż nie ukrywał ciepła naszych ciał. W ten właśnie sposób namierzył mnie tamten snajper w Niemczech.

Mekera nie traciła czasu na konsultacje ze mną, tylko wyjęła z kołczana strzałę, naciągnęła cięciwę i strzeliła prosto w pierś thralla, gdy akurat zwolnił tuż przed drzewem, żeby nas poszukać – z czego by wynikało, że jego gogle nie rejestrują jednak promieniowania cieplnego.

Pisnął, padając na ziemię, a ja zrzuciłem kamuflaż z Mekery, bo chciałem zobaczyć, co robi. Podbiegła, żeby wykończyć thralla, na wypadek gdyby było to konieczne. Rzuciła łuk i wyciągnęła nóż. Na chwilę zniknęła mi w trawie, ale zaraz wstała z telefonem przy uchu. Mówiła na tyle głośno, że słyszałem ją bez trudu. Najwyraźniej ktoś tam wciąż był po drugiej stronie, a thrall nie zaprotestował, gdy odbierała mu telefon.

– Spóźniliście się – syknęła. – Zabiliśmy waszego thralla i wynosimy się stąd. Powiedzcie Drasche'owi, że jego ubrania są równie urocze jak odparzony tyłek pawiana.

Słuchała kilka sekund, po czym rozłączyła się i cisnęła telefon w trawę.

Nic nie powiedziałem, bo musiałem dalej wypowiadać staroirlandzkie słowa splotu, ale też zrzuciłem kamuflaż i widać moja mina wyrażała więcej niż słowa, bo Mekera warknęła:

– No co? Mówiłam ci, że wyznaję ścisłą zasadę: żadnego śledzenia.

– Racja – mruknąłem tylko, gdy miałem chwilę między jednym etapem splatania a drugim.

– Będą tu zaraz. Za kilka minut. W każdym razie zanim skończysz, cokolwiek tam robisz. Ale nie wiem, ilu ich będzie.

Nawet jeden to będzie już za dużo. Nie ma się co łudzić, że Mekera i Oberon poradzą sobie z wampirem. Być może udałoby się jej trafić jednego strzałą w serce, bo nie uszło mojej uwagi, że ma takie z drewnianymi grotami, które chyba by zadziałały, gdyby udało jej się dobrze wycelować. Ale więcej niż jednego to już na pewno nie pokona.

Z drugiej strony, przecież nie mieli dość czasu, by zebrać większą liczbę wampirów. Dopiero co zaszło słońce. Mogą się tu stawić najwyżej dwa, może trzy wampy, nie więcej – miejscowa populacja nie wykarmiłaby większej ilości. Pewnie przybiegną z samej Gambeli, a może też ze znajdującego się na wschód od niej miasta Gorie. Jeśli jednak uda im się mnie tu dłużej zatrzymać, nadciągnie ich więcej. A właściwie już się im udało, bo nie mogłem ich zignorować. Najlepsze wyjście to uporać się z nimi jak najszybciej, a potem znów zacząć splatanie od początku, licząc na to, że przez chwilę nie pojawią się nowe posiłki. Westchnąłem sfrustrowany, przerwałem splatanie i otrzepałem dzinsy z pyłu.

– Schowajcie się z Oberonem za drzewem – powiedziałem.

Pień był na tyle szeroki, że nie będzie ich widać.

– Przecież wiedzą, że tu jesteśmy.

– Tak, ale to mnie chcą dorwać, więc lepiej, żebyście im zeszli z oczu.

<Atticusie, chcę ci pomóc>.

Wiem, stary, ale ci faceci są naprawdę szybcy i silni. Jeśli będziesz próbował z nimi walczyć, na pewno cię zranią, a tego bym nie chciał.

<A jeśli ciebie zranią?>.

Zrobię wszystko, żeby tego uniknąć.

Okazało się, że to w ogóle nie są faceci. Pędziły w naszą stronę dwie kobiety w powiewających luźno szatach. W przeciwieństwie do wampira, który zaczął się na nas przed świtem, były zbyt daleko, bym mógł je łatwo rozpleść. I tak jednak uruchomiłem charms rozplatający i atakowałem nim raz po raz, żeby dowiedzieć się przy okazji, jaki ma zasięg rażenia. Kiedy w końcu zaskoczył, gdy wampirzyce znajdowały się jakieś trzysta metrów od nas, obie chwyciły się za pierś i zaliczyły faceplanta, dzięki czemu miałem czas, by rozpleść jedną z nich, a gdy zakończyłem jej rozplatanie, stworzyłem makro tego zaklęcia, zmieniając tylko cel, i rozplotłem drugą. Cała akcja nie wymagała nawet wyciągnięcia miecza.

Tak, ten prastary wampir Theophilus nie bez powodu bał się druidów. Ale gdyby zostawił mnie w spokoju, zamiast głośić wszem i wobec, że chce się pozbyć wszystkich druidów co do jednego, przecież nie likwidowałbym jego ludzi i nie próbował dobrać mu się do skóry. A tak mój mały interesik z cisowcami dopiero zaczynał wyrównywać rachunki między nami. Na razie jednak o przewadze po mojej stronie jeszcze nawet nie było mowy. Lecz jeśli nazwiska i adresy schowane w kanadyjskim banku naprawdę należały do przywódców wampirów – a byłby to sprytny sposób na bezpieczne przechowywanie informacji offline – to mógłbym naprawdę zacząć się zniszczenie. Zwłaszcza gdyby znajdowały się tam namiary na Theophilusa.

– No dobra – mruknąłem. – Zaczynamy od początku. Zaraz wrzucam kamuflaż. Znikamy stąd za piętnaście minut. Dajcie mi znać, jeśli coś usłyszycie lub zwęszycie.

I czternaście minut upłynęło nam w błogim spokoju. Owady bzyczały, ale

nie jakoś blisko mojej facjaty. Sępy połapały się, że coś tu niedawno umarło, zaczęły więc krążyć nad ciałem thralla, z pewną taką niepewnością co do naszych intencji względem świeżego smakowitego trupa. A potem usłyszeliśmy w oddali ryk – ryk nienaturalny i narastający. Aż stało się jasne, że to ryczy silnik.

<Ktoś do nas jedzie dżipem, Atticusie> powiedział Oberon. <Tam, dokąd jadą, nie potrzebują dróg. Może to doktor Emmett Brown?>.

Po chwili Mekera potwierdziła, że widzi dżipa, a zaraz potem ciemność rozdarły jego reflektory, nie pozostawiając już żadnych wątpliwości. Nie przerywałem jednak splatania, mając cichą nadzieję, że mimo wszystko zdążymy się wymknąć. Skoro jechali dżipem, a nie biegli piechotą, należało przypuszczać, że któreś z nich nie jest wampirem. Być może więc nadciągało więcej thralli. Albo sam Werner Drasche we własnej osobie. Jeśli thrall dał mu znać od razu o świcie, że się pojawiliśmy, to Drasche miał dość czasu, by dolecieć tu z większości miejsc w Europie.

Oberon, do drzewa. Przeniesiemy się, zanim dojadą. – A na głos, w przerwach między staroirlandzkimi słowami, powiedziałem do Mekery po angielsku: – Zabieraj rzeczy. Dotknij drzewa. Przenosimy się.

Nie widziałem, czy to robi czy nie, bo byliśmy przecież zakamuflowani, ale usłyszałem, jak zarzuca kołczan i plecak na ramię. Tymczasem coraz wyraźniej było słyhać dżipa, a światło jego reflektorów trzęsło się coraz mocniej na nierównej równinie. Wiązać ostatnie supelki skończyłem w chwili, gdy dżip był jakieś dwieście metrów od nas. Pewnie jechali po namiarach przekazanych przez telefon satelitarny thralla.

Zdałem się na ciemność i kamuflaż oraz ryk ich silnika – w sumie nie powinni mnie ani widzieć, ani słyszeć. Zerwałem się z ziemi, położyłem dłonie na pniu i dopiero wtedy na moment zrzuciłem kamuflaż, żeby Mekera i Oberon mnie zobaczyli. Żeby udało mi się ich przenieść, musieli dotykać zarówno mnie, jak i drzewa.

Ale przez tę chwilę, gdy byłem dla nich widoczny, widziała mnie też

załoga z dżipa. Nie wiedziałem, ilu ich tam jest – w ogóle mało widziałem w świetle reflektorów – ale na pewno był wśród nich Werner Drasche.

– O'Sullivan! – warknął z tym swoim austriackim akcentem i strzelił do mnie.

Ściśle rzecz biorąc, strzelił trzy razy do drzewa, a do mnie raz. Widać nie jest tak łatwo w coś trafić z poruszającego się pojazdu, w dodatku najwyraźniej chciał trafić w głowę. Kora nade mną wybuchnęła z hukiem, a jeden z pocisków wbił się w moje plecy, tak w połowie ich długości, trochę na lewo – przebił mi śledzionę. Nie przeleciał na wylot, co oznaczało, że będę się musiał przenieść z nabojem w ciele, ale tak było nawet lepiej. Gdyby wyleciał, przez ranę po drugiej stronie chlusnęłoby też mnóstwo krwi, a wołałem, żeby nie trafiła ona w ręce Drasche'a. Jeśli zostanie choć chwilę dłużej, będę miał zaraz więcej poważnych ran – a pewnie i rannego psa oraz takąż tyromantkę.

Gdy przenosiłem już nas do Tír na nÓg, Oberon i Mekera pisnęli, a mnie uderzył w pierś amulet. Wiedziałem dobrze, co to oznacza: skrytobójcza pijawka usiłował wysssać ze mnie energię. Ze mnie i moich towarzyszy. Wylądowaliśmy niedaleko Dworu Faerii, a nić zerwała się tuż za nami. Najprawdopodobniej Drasche próbował nam uniemożliwić ucieczkę poprzez zamordowanie baobabu.

Pewnie po prostu wysssał energię z całego tego miejsca – w każdym razie na pewno z Oberona i Mekery. Oboje osunęli się na ziemię ze słabości. Przyklęknąłem przy nich i pobierając energię przez dość słabe łącze z ziemią, karmiłem ich nią, nie zważając na problem z własną śledzioną.

<Atticusie, taki jakiś się nagle poczułem zmęczony>.

Próbuję coś z tym zrobić.

– Co nas zaatakowało? – szepnęła Mekera, przyciskając sobie dłoń do głowy.

– Ten idiota lubujący się w szalonych fularach. Wyssał sporego łyka waszej energii. Wyssałby więcej, gdybyśmy tam dłużej zostali. Część teraz wam oddaję, a resztę nadrobicie kaloriami i odpoczynkiem.

– To było dziwne. Nagle poczułam ostry ból wszędzie naraz, a potem raptem jakbym była w wygodnym fotelu i nie miała siły z niego wstać. Jakbym oddawała krew i pielęgniarka wzięła ciut za dużo. Ukłucie igły i nagle wyciągają z ciebie całe życie. O, a ty masz dziurę w plecach.

<Co? Atticusie! Jesteś ranny?>.

– No, zaraz się tym zajmę – zapewniłem ich oboje. – Czujecie się już trochę lepiej?

– Wciąż jestem zmęczona, ale już mi się nie kręci w głowie.

<Ja tak samo>.

– To dobrze. – Ból w ranie postrzałowej był już dość przekonujący, zablokowałem go więc. Czas było wyjąć kulę. – Mekero, mogłabyś potrzymać chwilę dłoń jakies pół metra nad raną?

– Po co?

– Chciałbym, żebyś złapała tę kulę.

– Słucham?

– Splotę kulę z wnętrzem twojej dłoni, żebyś mógł już się zacząć leczyć.

– Spleciesz? Na zawsze?

– Nie, no tylko na chwilę.

Gdy pocisk wysunął się z moich wnętrzności i poleciał do ręki Mekery, włączyłem charms uzdrawiający i zdałem się na ciało, bo wiedziałem, że teraz już poradzi sobie z obrażeniami. Najlepiej byłoby zrobić sobie dzień czy dwa odpoczynku, a Emhain Ablach było wprost wymarzone miejsce do takich celów, ale miałem odrobinę przewagi nad Drasche'em i nie chciałem jej stracić. Wiedziałem, gdzie się teraz znajduje, i tak się składało, że było to cholernie daleko od Toronto.

Gdy zabił Kodiaka Blacka, zostawił jego dziewczynie wiadomość. Napisał, że chce ze mną pogadać. Teraz nie miałem jednak wątpliwości, że nad rozmowę przedkładał strzelaninę. W sumie mnie też się już nie chciało z nim gadać.

Drasche wiedział, że rozmawiałem z Mekerą, bo thrall musiał mu o tym

powiedzieć. Miał cały dzień, żeby przedzwonić do kogoś w Toronto, niewykluczone więc, że już tam na mnie czekają. Ale być może był tak skupiony na tym, żeby mnie dorwać, że nawet nie pomyślał o Toronto. Dość prawdopodobne też, że uwierzył Mekerze, gdy go zapewniła, że nigdy tam nie wróce.

Kto zresztą mógł tam na mnie czekać? Poza Drasche'em tylko Theophilus mógłby mi przysporzyć kłopotów. Albo ewentualnie mnóstwo wampirów. Te jednak raczej nie wyłazą na światło dzienne, a domyślałem się, że pewnie tylko Theophilus i Drasche mają klucz do skrytki. Im szybciej się tam dostanę, tym większa nadzieja, że zdobędę, cokolwiek jest tam do zdobycia. Śledziona będzie się musiała goić po drodze. Najpierw jednak trzeba zabrać Mekerę z Tír na nÓg. Kilka faerii już się zleciało, żeby sprawdzić, co jest grane. Zobaczyły Żelaznego Druida i odleciały, ale zaraz wróci ich więcej, a potem nadęci dworzanie Brighid będą chcieli wiedzieć, co tu robię.

– Dobra, spadajmy do Emhain Ablach.

Stanęliśmy pod splecionym drzewem i przenieśliśmy się na Wyspę Jabłek, taki raj dla koni Manannána Mac Lira, no i pewnie wszystkich miłośników szarlotek i cydru. Wiem na przykład, że Goibhniu zbierał tam co roku kilka buszli, żeby zrobić doskonały cydr na święto Beltane.

Zawsze pięknie tu pachniało i tak jak w Tír na nÓg panowało tu wieczne lato. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Manannán lubi tu odpoczywać.

Dość sceptyczna z początku mina Mekery przeszła w pogodniejszą, wręcz nawet uśmiechniętą, gdy tyromantka rozejrzała się wokół i wzięła kilka głębszych wdechów.

– Nie kłamałeś – stwierdziła.

– Nie – mruknąłem zbyt zmęczony, by się obrazić.

– Ale czy powiedziałaś mi całą prawdę? Kto jeszcze tu będzie?

– Jak już mówiłem, pewnie wpadnie tu Manannán Mac Lir, bóg morza. Dam mu znać, że tu jesteś, to będzie ci mógł przynieść, czego ci tam będzie trzeba. Poza tym będą konie, ptaki i pszczoły. Nie jest to może typowe M-1,

ale za to jabłek ci nie zabraknie.

– Nie martwię się o schronienie. Wygląda na to, że panuje tu bardzo łagodny klimat. – Wskazała gałęzie nad nami. – Czy wszystkie te jabłonie są takie same?

– Nie, rosną tu różne odmiany. Zorientujesz się w nich, jak ich popróbujesz.

<A mają tu odmianę Oxheart Pippin? Albo Smoky Mountain Limbertwigs?>.

Że co?

<No przecież to jedzą prawdziwi hipsterzy, Atticusie. Pokaż mi brodacza paradującego dumnie w łaskach z ciucholandu, a założę się, że wcina jabłka Smoky Mountain Limbertwig, które spadły naturalnie, prosto w gniazdo uwite na jego głowie. Widziałem cały taki program o owocach naszych praojców. Bez końca tam nawijali o tych właśnie odmianach>.

Nie wiem, czy Manannán w ogóle o nich słyszał, jeśli to odmiany typowe dla Ameryki Północnej, ale jestem pewien, że wszystko, co tu rośnie, jest przepyszne.

Mekera pokiwała głową z zadowoleniem i przerzuciła plecak z jednego ramienia na drugie.

– To może ja się teraz wybiorę na mały spacer. Idziesz ze mną? Masz czas? – Spojrzała na moje plecy. – I siłę?

– Powinienem już lecieć... – zacząłem, ale przerwał mi Oberon:

<No, weź, Atticusie! Tylko króciutki spacer!>.

– ...ale pewnie na taki króciutki to mogę pójść.

– Dobra. A możemy skosztować tych jabłek? Nie są zakazane?

– Jedz do woli. Nie ma tu zakazanego owocu.

Zerwała dwa z najbliższego drzewa. Ich skórka była jasnoróżowa z żółtymi muśnięciami. Podała mi jedno.

– Ty pierwszy – powiedziała.

Śmiać mi się chciało, że podejrzewa mnie o taki podstęp – miałbym ją

celowo zaciągnąć na wyspę pełną zatrutych jabłek? Wgryzłem się w moje bez żadnego wahania. Było wspaniałe, chrupkie, słodkie, ale z delikatną cierpką nutą. Dopiero gdy przełknąłem, odważyła się ugryźć swoje.

– Cholera, smaczne – wymamrotała z pełną buzią.

Pokiwałem głową i ruszyliśmy przed siebie.

No dobrze, Oberonie, to dlaczego tak bardzo chciałeś tu zostać?

<Zastanawiam się nad tymi przepisami do *Księgi Pięciu Mięś*, i wiesz, jeśli mamy napisać prawdziwe arcydzieło, musimy zacząć od najlepszych składników. I tak sobie pomyślałem, że ten boski sad może mi dostarczyć najlepszych jabłek w całym wszechświecie. A rozumiesz, potrzebuję ich do kielbaski jabłkowo-kurczakowej>.

Czy ty widzisz, jak przewracam oczami?

<Ale mój przepis na kielbaskę jabłkowo-kurczakową zmieni świat!>.

Jabłka to tylko jeden ze składników. Skąd zamierzasz wziąć idealnego kurczaka?

<Otóż... Pamiętasz, jak dzielny Sir Robin niemal zmierzył się ze Złośliwym Kurczakiem z Bristolu? Musimy się wybrać do Bristolu, pokonać Kurczaka i z niego właśnie zrobimy kielbasę?>.

Oberonie, przecież to nie jest prawdziwy kurczak. Pythoni to wymyślili.

<W legendach zawsze jest więcej niż ziarno prawdy, Atticusie! Sam tak mówisz! Jedźmy do Bristolu, a na pewno znajdziemy Złośliwego Kurczaka. Jego złośliwość tylko zwiększy jego pyszność>.

Zapomnisz o całej tej sprawie, gdy tylko znów cię wykąpię.

<Wcale że nie! Dokonamy tego razem. To będzie dzieło naszego życia. Jaki ma sens ciągła walka o życie przyjaciół i takie tam, jeśli potem nie możesz sobie z nimi po prostu pożycić?>.

Coś w tym było.

Okej, uważaj, leci próbka.

Zerwałem jabłko i cisnąłem w jego kierunku. Chwytny je w locie i zaczął je

gryźć po swojemu.

<O, tak, to się nada, Atticusie. Mój przepis na Kiełbasę ze Złośliwego Kurczaka z Jabłkiem będzie niesamowity. Czy teraz możemy znaleźć jakiś kumik?>.

Przykro mi, stary, ale teraz to musimy już lecieć do Toronto i tylko po drodze wpadniemy do naszej chaty.

<Niech ci będzie, ale obiecaj, że potem wybierzemy się do Bristolu>.

Gdy tylko będziemy mieli wolną chwilę.

– Mmm – mruknęła Mekera, kończąc jabłko i wyrzucając ogryzek. – Tak tylko jeszcze dla porządku: to kto wie, że tu jestem?

– Tylko ja. I postaram się dać znać Manannánowi Mac Lirowi. To prawdziwy raj prywatności i witaminy C. Ale wiesz, Mekero...

Tyromantka zrobiła natychmiast niby to zatroskaną minę.

– Czy tobie się aby nie spieszy, Atticusie?

– A co? Już ci zakłócam twoją samotność?

Uśmiechnęła się do mnie, chyba naprawdę mile zaskoczona, że zgadłem. Było dla mnie jasne, że gdy już sprawdziła, że jabłka są jadalne, chciała się mnie jak najszybciej pozbyć. Zmusiła się jednak do kilku uprzejmych słów:

– Dzięki za wspólny spacer. Do zobaczenia, jak już się pozbędziesz wszystkich wampirów, Siodhachanie.

– Niech harmonia będzie z tobą, Mekero. – Naprawdę szczerze jej tego życzyłem.

– A wiesz? – Uśmiechnęła się, rozglądając się wokół. – Kto wie, może i ją odnajdę. Jestem ci wdzięczna za tę rozmowę. Nie jestem jeszcze gotowa wrócić do tego okrutnego świata, ale teraz przynajmniej mogę zacząć o tym myśleć.

– To już coś.

Przenieśliśmy się z Oberonem do naszej chaty w Kolorado, gdzie zastaliśmy ślady po całkiem sporym pożarze nad strumieniem. Ktoś zasypał go warstwą ziemi. Nie było ani Granuaile, ani Orlaith, ale żywiołak poinformował mnie, że obie wybrały się do Odyna do Asgardu, żeby usunąć znak Lokiego.

– W takim razie już nie mogę dłużej zwlekać, Oberonie – stwierdziłem, gdy wziąłem prysznic i ubrałem się w coś, co nie było oblepione błotem. – Muszę wrócić do Toronto. Jako Nigel.

<Zdawało mi się, że mówiłeś, że za nic nie chciałbyś już nigdy być Nigelem w Toronto>.

– Bo nie chciałem. Ale jeszcze bardziej nie chciałem, żeby ta wojna ciągnęła się bez końca. A stanąć się na chwilę Nigelem to chyba jedyny sposób, by ją zakończyć.

<O! To mamy wojnę? To w takim razie zrzucę jakąś wiewiórkę z drzewa w Toronto i warknę na nią: To! Jest! Kanada!>.

Podrapałem mojego przyjaciela za uszami.

– I obyś nigdy nie zaznał żadnej innej wojny.

1 Nawiązanie do *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota w przekładzie Władysława Dulęby.

2 Tłum. Józef Paszkowski.

Źródła

W. Szekspir, *Hamlet. Książę duński*, spolszczył J.S. Sito, Warszawa 1968.

W. Szekspir, *Hamlet. Królewicz duński*, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1923.

W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Łódź 1984.

T.S. Eliot, *W moim początku jest mój kres*, przeł. A. Pomorski, Warszawa 2007.

T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, przeł. W. Dulęba, Wrocław 1989.

Sis treści

Okładka

Karta tytułowa

Wstęp

Grymuar jagnięcy

Klan Rathskellerów

Uwolnić Kaibaba

Próba charakteru

Bogini na rozdrożu

Dwa kruki i (jedna) wrona

Naganiacz dusz

Niebezpieczna kapliczka

Preludium wojny

Źródła